

Kraszewski Józef Ignacy

KRAKÓW ZA ŁOKTKA

Powieść Historyczna.

Cykl Powieści Historycznych Obejmujących

Dzieje Polski.

Część dwunasta cyklu.

Skonował i błędy poprawił: J. Podleśny.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa
1970

*Aż do szesnastego wieku pisarze nasi zowią
Władysława Łoktek, nie Łokietek;
trzymaliśmy się tradycji,
choć dla brzmienia twardego ją zaniedbano.*

Autorowi

DUCHA WOJEWODY
PANU LUDWIKOWI GROSMANOWSI
Wywdzięczając się za dar Jubileuszowy,
Przesyła
Autor.
Drezno, 1880
Kwiecień.

Tom pierwszy

Rozdział pierwszy.

Pod Krakowem, około Balic, które naówczas do rozległych majątności *Toporczyków z Tęczyna* należały, stał w lesie dwór, zwany *Łowczą*, gdyż w nim dawniej na łowy zbierano się i po łowach odpoczywano. Zbudował go był przed laty wielu Jaśko z Tęczyna, ale później dwór, zaniedbany, opustoszał, kołem go podparto i pastusi się leśni tylko tulili w słoty pod strzechę, gdyż zubożały ziemianin, który ojcowizny pozbył, a w jakimś stopniu dalekim z rodem Starzów był spowinowacony, wyprosił sobie chatę za czynsz mały, z kawałkiem lasu i pola. Warowali tylko panowie z Tęczyna, aby w lasach nie polował, zwierza im nie płoszył, a po trosze od szkody pilnował.

Stary, wojak niegdyś, teraz już niedołęga, ubożuchno żyjący, podjął się wszystkiego, co od niego chciano, byle zyskać kątek spokojny, i dworek na Łowczej oblepiwszy, podpartwszy, od lat kilku w nim z żoną i synem przemieszkiwał. Nieszlachecka to była, nierycerska rzecz w takiej zagrodzie, cudzej jeszcze, biedę klepać, ale wolał już to Zbyszek Suła, niż w Krakowie wśród mieszczan i Niemców pospołu żyć, bo ci ziemianina nie szanowali. Wójtowi zuchwałemu i lada *wiertelnikowi* ulegać było trzeba. Na Łowczej jeśli przyszło się komu pokłonić, to równemu sobie ziemianinowi, nie Szwabowi lub Sasowi, zresztą swobody mógł zażywać jak największej. Dostatku wielkiego u Suły nie było, ale i nędzy nie doznawali.

Syn Zbyszka, którego Marcikiem zwano, bo mu na imię Marcin było, a matka go tak spieszczyła, nie młodzienaszkiem już był, ale też nie starym; miał lat ze trzydzieści. Jak ojciec służywał rycersko, ale się przerzucał od jednego do drugiego pana, skarżąc się, że mu wszędzie nie po myśli było, że go krzywdzono. Przeto też często do ojca powracał, wyczekując jakichś lepszych czasów i ludzi lepszych, a w Łowczej przesiadując.

O półtorej milki od Krakowa, który podówczas już rósł bardzo, mógł stąd zawsze, gdy chciał (a zachciewało mu się tego prawie codziennie), dojeżdżać do miasta, spędzić tam dzionek z dobrymi przyjaciółmi, dużo się nasłuchać, dobrze napić nie płacąc i z wesołą myślą a plotkami wieczorem do rodziców powrócić.

Zbyszek Suła niekoniecznie był rad temu, że syn tak miejsca nigdzie nie zagrzewał. Chciałby go był widzieć przy możnym panu jakim, zapracowującego sobie na łaskę i opiekę, ale z drugiej strony on i matka Zbita cieszyli się, iż go przy sobie mieszał, bo z nim im w pustym dworze różniej i weselej było.

Krom starego Zbyszka, matki Zbity, starej baby, co im jeść gotowała, parobka do posług i wyrostka sieroty, z Krakowa przybłąkanego, pary koni na stajni, krowy i psa podwórzowego, nie było w Łowczej więcej nikogo. Wśród głuchego lasu nie bardzo by bezpiecznie było tak siedzieć, dla włóczęgów i zbójów, których zawsze dokoła miasta dużo bywa, ale o Zbyszku i łotrzykowie wiedzieli, że się u niego pożywić nie było tak dalece czym, a guza złapać łatwo. Stary żołnierz w

potrzebie jeszcze rażno obuchem wywijał. On i syn jego Marcik ludzie byli niepłochliwi, do korda i do topora szparcy.

Zbliżał się wieczór jesienny, niebo było pochmurne dnia tego, więc i ciemno się zawczasu robić poczęło. Wiatr szumiał w borze, liście już poschle z drzew opędzając. W izbie około ognia siedział Zbyszek, dalej nieco drzymała Zbita, która już wieczorami prząść nie mogła, bo jej nie służyły oczy, a i ręce się trzęsły. Na ławie, w kącie, z kądzielą siedziała gospodyni Marucha, w drugim parobek Chaber, nie mając co robić, skałki łupał. Przy ognisku w garnkach się coś gotowało. Dym, któremu wiatr nie dawał przez dymnik wychodzić, często się do izby wracając, rozwlekał po niej, ale do niego przywykli byli wszyscy. Wieczór był smutny, Marcik, który swym zwyczajem powłókł się był do Krakowa, jakoś nie wracał. Czekano nań z wieczerzą. Zbita niespokojna coraz to się wiatrowi przysłuchiwała, czy jej tętentu konia nie przyniesie, który by powrót syna zwiastował. Miała się o co troskać, bo Marcik czasem z Krakowa pokrwawiony i potłuczony powracał. Różnie się trafiało, jak zwyczajnie człowiekowi rycerskiego rzemiosła, co się rad mieszać, gdzie gorąco.

Wiatr, który jesienią dziwnymi odzywał się głosy, dnia tego strachem przejmował, tak zawodził przeraźliwie. Słysząc w nim było wycie ludzkie, jęki dziecięce, niby okrzyki tłumów i wrzawę swarliwą, to śmiechy szatańskie, to zbójcekie gwizdania, to urągające się śpiewy jakichś ptaków niebywałych. Głosy te oddalały się, przybliżały, uciekały kędyś i jakby gnane powracały spieszenie, dając słyszeć z różnych stron domu, od jednego, to od drugiego węgła. Zaskakiwały od komina, szeleściły w strzesze. Jakaś siła szatańska łomotała drzwiami, szelpotała w słomianym pokryciu, dobijała się do okiennic, pełzała po ścianach.

Zbita, która pobożną była, zegnała się, słysząc to, i zegnała krzyżem świętym wszystkie cztery świata strony.

Nie pomagało to nic, wietrzysko dokazywało, a wiadomo, że jest w nim siła nieczysta i diabelskie tańce i wesela innej nad tę gędźby nie znają. Drzewa bliskie, miotane tą złą mocą, trzeszczały i skrzypiały, gałęzie ich upadały na strzechę, słysząc było liście szeleszczące po ścianach. Czasem z wiatrem sypnął deszcz gęsty, ale wprędce, rozbity wichrem, ustawał.

Mieszkańcy lasu oswojeni byli z tymi głosami, które czasem po całych nocach spać im nie dawały, a jednak tego dnia strach ich jakiś przejmował. Nastawiali uszu, czekali, aby się skończył ten taniec diabelski i burza poszła na dalsze bory. Lecz wietrzysko, jakby sobie upodobało wyrąbaną nieco około Łowczej polanę, szumiało w niej, a im wieczór był późniejszy, tym siły i ochoty większej nabierało do szaleństwa.

Teraz już i Marcika przybywającego z dala posłyszeć było trudno, z taką wściekłością burza około dworku wyła. Ogień, choć od wichru zakryty, słaniał się i przypadał do ziemi, ściany dygotały, a drzwi trzęsły się ciągle i wiązanie na dachu trzaskało.

Stary Zbyszek ze wszystkich we dworku zebranych najmniej był czułym na to. Wojak, obyty z życiem, nawykły pod gołym niebem obozować, doznawał niemal jakiegoś błogiego uczucia, czując się pod dachem w taką porę. Przypominał sobie, jak nieraz burze jesienne namioty im znad głów i szalasy precz roznosiły, a ognisk nie dawały rozpalić. Stary pamiętał przygód niemało i sam ich doznał wiele. Przed dwudziestą kilką laty zaciągnął się był do wojska księcia *kujawskiego Władysława*, służył u niego długo i dzielił z nim różne losy. W końcu, lat temu już było ze sześć, musiał, zaniemógłszy, powrócić do żony i osiedlić się w Łowczej.

Książę Władysław, którego Łoktkiem zwano, mały, ale dziarski mąż, żelazny człek, wojował długo, aż go wreszcie zazdrośni i nieprzyjaźni książęta, a w ostatku Czechy, co Polskę opanowali, wygnali gdzieś z kraju. Słysząc już o nim od lat kilku nie było. Jedni twierdzili, że kędyś został zabity, drudzy, że się błąkał po obcych krajach, a od czasu, jak Wacław czeski objął panowanie nad całą niemal Polską, miano Łoktka i sprawę jego za zgubioną.

Książę już i niemłody był, bo lat czterdzieści kilka liczył, znużony też, gdyż lat dwadzieścia przeszło ciągle wojował. Dobił się był panowania, niemal *korony po Przemysławie*, aż naraz naposiedli się nań Wielkopolanie; duchowni zaczęli go wyklinać za to, że im ich ziemie pustoszył i klasztorom nie przepuszczał. Czecha wezwano w pomoc, a waleczny książę zniknął i jakby zapadł pod ziemię.

Zbyszek właśnie o nim sobie myślał, bo go kochał bardzo. Lepszego pana dla swoich żołnierzy nie było nad niego, żył on tak samo jak i oni, z jednego kociołka jadał z nimi, śmiał się i dawał śmiać ochotnie, pyszny nie był, ludzki bardzo. Prawda, że żołnierz u niego rzadko grosz zobaczył, bo on sam nigdy go nie miał, ale po wsiach i dobrach duchownych żywili się i rwali, jak chcieli, a i na plebanie zaglądali.

Dobry ten pan wprawdzie, gdy mu się kto sprzeciwiał, wieszał bez sądu, ścinał bez miłosierdzia, a jednak ludzie miłowali go, bo gdy kazał wieszać albo ścinać, pewnie było za co, a dla dobrych był ojcem rodzonym. W tych ziemiach, których był panem, osobliwszym sposobem miał najzjadlejszych wrogów i najlepszych przyjaciół, co zań gotowi byli dać życie. Miłowano go bez miary i nienawidzono srodze.

Takim był, że i sam nic pomierne czynić nie umiał i w ludziach też budził albo niechęć wściekłą, lub miłość ogromną. Zbyszek myślał o tym dawnym swym wodzu, z którym się dużo po Szląsku, Wielkopolsce, po sandomirskiej i krakowskiej ziemi nawłóczył, gdy pomimo wichru dał się słyszeć tętent konia tuż pod oknem. Pies leżący w progu (wabił się na Kruczka) szczeukać począł zerwawszy się, parobek skałki łupać porzucił, a Zbita zawołała, z drzemki się budząc:

— Ot i Marcik!

Szedł Chaber do drzwi, bo te na wszelki wypadek wieczorem drągiem zakładano, aby podsłuchawszy w sionce młodemu panu otworzyć. Ten się już, w znany wszystkim sposób kułakiem tłukąc, do drzwi dobijał.

On ci to był sam. Ruszyło się wszystko w chacie, stara Marucha do garnków, Zbita na przyjęcie syna, nawet Zbyszek głowę podniósł i zwrócił się ku wnijściu.

Marcik, oddawszy konia, wchodził właśnie. Chłop był dorodny, silny, szerokoramienny, co się zowie tęgi, twarzy krągłej i rumianej, całe niebrzydkiej, a gdy była wesoła, piękniejącej. Z całej postawy i ruchu znać było, że się rodził na wojaka, ale nie na takiego, co by, nogami wrósłszy w jedno miejsce, trwał w nim, na ruchawego i potrzebującego co dzień nowej sprawy.

Okryty szeroko opończę dość wyszarzaną miał pod nią kawałek zbroi i mieczyk, na głowie czapkę z obręczami żelaznymi i spiczastym wierzchem okutym, bo onego czasu z donn u się wybierać bez zbroi i oręża niebezpieczno było. Każdej godziny mogło coś niespodzianego spotkać. Marcik dobrze wiedział o tym i w rękę też trzymając od siodła odjęty kosztunek z siekierką i obuszkim, który w jego dłoni mógł się dobrze dać we znaki.

Pokłonił się rodzicom, zdejmując z wolna opończę i na ścianie ją wieszając, gdzie miejsce dla niej na kołku było.

— Psi czas! — zawołał. — żeby marcha nie miała lepszych nóg, a ja dobrych rąk, wicher by ją obalił, tak szaleje. Drzewa ogromne kłaniają się jak kłosa. Psi czas!

— A trzeba ci to było siedzieć tak do późna? — zamruczał ojciec.

— Nie mogłem bo się wyrwać z gospody od Szeluchy, takiego tam dziś było ludu i gadania!

— Ho! ho! — odparł ojciec, a matka stanęła, gotując się już słuchać opowiadania i ręce na piersi zakładając.

— Co tam ludzie pletli, aż strach! — rozśmiał się Marcik. — Żebyście to wy byli mogli posłuchać, ojczeniu, dopiero byście się radowali. Mnie się zda, że to wierutne baśnie.

— Cóż to? co? — przerwał ojciec ciekawie.

— No! — rzekł Marcik, wyciągając się jakby go siedzenie na koniu zmęczyło — plotą ludzie, że się kędyś znowu Łoktek pokazał!

To rzekłszy śmiać się począł, a Zbyszek, choć stary, choć w nogach niemocen, porwał się piorunem i przyskoczył do syna.

— Łoktek! mój pan! — zawołał radośnie. — Widzisz, a tom ci ja mówił zawsze, przysięgałem się, że pan ten zginąć nie mógł, że on się zabić nie dał, że wypłynie jeszcze i panować musi!!

— Ho! ho! — śmiał się syn, siadając na ławie i nogi ku ogniowi wyciągając. — Ojczeniu! ojczeniu! Już mu tu nie bywać! Z czeskich mocnych rąk już my się nie wydobędziemy! Waclaw się królem koronował, ma za sobą pół świata, potęgę ogromną. Cesarze i króle z nim, a ten twój biedota książę, Łoktek goły, co nigdy denara przy duszy nie miał, gdyby ci wypłynął! gdzie, co on zrobi przeciw takiemu mocarzowi jak król czeski?

Stary zasmucił się mocno. Nie mógł synowi prawdy nie przyznać, a serce inaczej pragnęło i czuło. Przeciw wszystkiemu miał jakąś nadzieję.

— E! e! — rzekł cicho — niechaj no się on tylko pokaże! Zobaczysz, Marcik, da on sobie rady i z tym mocarzem! Ty go nie znasz! Ja u niego służyłem, ja na niego patrzałem! Mały człeczek, nie ma spojrzeć na co — a jak bije! Jaką ma siłę i jaką moc daje swoim, gdyby czary miał. Ludzie już słaniają się i padają, niech on krzyknie na nich tylko, wnet nowa dusza w nich wstępuje. Miecz jego dobry, ale serce jeszcze lepsze.

Przerwał w końcu Zbyszek pochwały i przystąpiwszy do syna naglił nań.

— No, gadajże ty mnie, gadaj, skąd ludzie wzięli, że on się znowu pokazał. Widział go kto? Blisko lat cztery go nie było ani słyhu, jak w wodę wpadł, mówiono, że zabili go, że na Węgrzech zginął, że do klasztoru wstąpił na pokutę, że go Czechy czy Niemcy zamordowali. A jam temu nigdy nie wierzył, bo ja go znam!!

— Kto tu teraz prawdy dojdzie? — odezwał się Marcik obojętnie, wcale zapału ojca nie biorąc do serca. — At! Prawią ludzie, jakoby się zjawił! To by nie znaczyło nic, bo czego nie prawią? Ale Czechy czegoś niespokojne. Mówią, że pan Ulrych Boskowicz, co na zamku siedzi, dał pilne rozkazy, aby go szukano. Trzęsiono po kątach, łapano, a za głowę jego naznaczył moc grzywien czy wielkich tych groszy praskich.

Stary ręce załamał.

— Uchowaj, Panie Boże, nieszczęścia, gotów się jaki łotr ułakomić — zawołał — i zdradzić go! Miłosierny Panie!!

A co by w tym dziwnego było? — rzekł Marcik. — Nie każdego dnia trafi się taka zwierzyna.

Zbyszek aż się wstrząsnął ze zgrozy.

— Milczałbyś! — krzyknął. — Ja bym swoje życie za tego pana dał. — Oh! oh! Gdyby się on zjawił, a poszczęściło mu się, ty i ja nie siedzielibyśmy w tej mizernej chacie na Łowczej, ale na krakowskim zamku albo na własnym ziemi kawałku.

Marcik ręką zamachnął, jakby tę przepowiednię lekko sobie ważył.

— Tak by było! Tak! — ciągnął stary dalej. — Pan to jest taki, że żadnego ze swoich starych żołnierzy, gdyby go raz widział, nie zapomni. Spojrzawszy jeno na mnie, powiedziałby ci zaraz, gdzieśmy razem bywali i co robili. Choćby miał tysiąc ludzi, gdy im raz popatrzył w oczy, każdego poznał, bodaj po dziesięciu latach. Każdemu wdzięczen był...

— A co dziś ta jego wdzięczność warta, kiedy on sam kąta i przytułku nie ma i mieć nie będzie — rzekł Marcik spluwając. — Jeżeli prawda, że żyw włóczy się kędyś, a Czechy za nim w tropy, kto do niego dziś przystanie? Ani łomu, ani domu, ani grosza w kalecie. Co po takim panu?

— Co ty wiesz? Co ty znasz? — gorąco ofuknął go stary. — Widziałem ja go już w dziesięć koni jeżdżącego po dworach, w lichej zbroicze powiązanej sznurkami, z kaletą pustą, a w miesiąc, we dwa, ludzi już miał, grody brał i bił się, i zwycięzał...

— Tak ci to, może, bywało — odparł Marcik — póki u nas małe książątka trzymały ziemię. Rwać od nich było łatwo, nie od Czecha! To siłacz wielki!

— A ja ci mówię — porwał się Zbyszek — że tym Czechom u nas długo nie gościć! Już się ziemianie skrobią po głowach, już po miastach Niemcy, choć się im kłaniają, a stękają. Dłużej nikt nie strzyma.

— A co ziemianie dziś znaczą? — rozśmiał się Marcik — albo to oni ci, co byli? Niegdyś oni rej wodzili, teraz miasta górą, Niemcy górą, grody poobsadzone najemnikiem, żołnierza cudzego dosyć!

Zbyszek głową potrząsał.

— Gadaj ty mi lepiej, co w nieście słyhać? Tego od ciebie chcę.

— Mówilem już — odparł syn. — Plotą, jakby się znowu skądś wyrwał wasz Łoktek, dodają, że najwyższy biskup rzymski o jego prawa się upomina, że on w Rzymie u niego był i stamtąd wraca.

— Widzisz! — zatryumfował ojciec — widzisz! Ho! Niedarmo on w świat szedł! Rozumny pan! Wiedział, gdzie uderzyć. Był tego czasu właśnie w Rzymie wielki odpust na świat cały, kędy i zbójom wszelakim odpuszczano... Ty myślisz, że biskup rzymski to mała rzecz? Taki prosty biskup jak nasze? On ci przecie koronę nosi i korony rozdaje. A jak on się upomni? Jak zaklnie?

Marcik głową kręcił.

— To co? — rzekł. — Wszystko babskie gadanie, aby ludzie mieli co językami mleć. Czechów ktoś chciał nastraszyć, bajkę im puścił, a na nich czapka gore popłoszyli się. Skąd by on po czterech leciech wziął się tu znowu, kiedy już wracać nie ma do czego!? Kujawy, nie Kujawy — zabrali mu wszystko, piędzi ziemi nie ma. Prawią ci, co dobrze wiedzą, że księżnę, żonę jego, mieszczanin do domu przez miłosierdzie wziął i żywi ją, przytułek jej daje. Nie czekałby on tyle lat, gdyby o czym myślał. Czechy tymczasem gospodarują... Na granicy od Węgier, w **Kamienicy** nad Dunajem twierdzą, słyszę, budują, że aż strach!

— W Kamienicy? Nad Dunajem? — spytał stary. — Toć ona biskupia była?

— Biskupowi dali za nią Biecz — rzekł Marcik. — Tam gród chcą mocny i wielkie miasto zakładać. Cóż wasz Łoktek z rękami gołymi zrobi przeciw nim??

Zbyszek nie dał się pożyć, zwiesił trochę głowę i mruknął uparcie:

— Gadaj, gdzie go widzieli? Kto o nim mówi?

Marcik, uśmiechając się miłosiernie, w głowę się poskrobał.

— Jam ci to myślał sobie — rzekł — jak się tatulo dowiedzą o tym swym zmartwychwstałym Łoktku, spokoju mi o niego nie dadzą. Dlatego u Szeluchy od jednego do drugiego chodził, nastawując uszu, ale bredzą, każdy co innego.

— A prawże mi, co gadają?

— Każdy swoim smakiem — śmiał się Marcik. — Jedni, jak ja, drwią i wiary nie dają, drudzy gotowi by iść tropić, aby Czechom wydać za pieniądze...

— To łajdaki są i zbójce! — krzyknął głośno oburzony Zbyszek — psy niepoczciwe, dałbym je wywieszać!

— Niektórzy pomrukiwali, że go widziano w okolicy, kędyś niedaleko — ciągnął Marcik. — Mówią, że po dworach do ziemian zaglądał około Ojcowa, do tych, co mu dawniej sprzyjali i chadzali z nim. Ci go pono przyjmują ni źle, ni dobrze — goszczą, karmią, przez zęby coś cedzą, a z pomocą nieradzi.

— Tacy oni wszyscy, tacy! — westchnął Suła. — Im i Czech dobry, i Niemiec dobry, a gdyby Tatar przyszedł panować, i temu by się kłaniali. Co im! — A ja sobie mówię — słyszysz Marcik — ten mały był dla nas na pana stworzony! Z nim ksiądz, ziemianin, chłop, najlichsza gadzina rozmówić się mogła, zrozumiał każdego, nie przegnał precz nikogo! To był pan — nasz! On tej biedy podczas zażywał, co i my wszyscy! Czarny chleb jadał, na ziemi legał, po lasach się tułał, w siermiędze chodził, głowy gdzie przytulić nie miał, a jak było potrzeba, panem potrafił on być i łeb

uciać, i krwi utoczyć gorącej. Gdy dobry bywał, choć do rany, gdy się namarszczył, stój z dala albo nogi za pas. Żartu z nim nie ma. To był pan dla nas! Trzymał twardo, gdy potrzeba było, a wiedział, gdzie i kogo głaskać i dać dobre słowo.

Zbyszek westchnął.

— Co ty wiesz? — dodał do syna. — Tyś nic nie widział, a mało co słyszał ode mnie, ale gdybyś patrzył na to, co ja!!

Syn się uśmiechał po trosze, stary rozgadywał tak, że już utrzymać nie mógł i choć pewnie raz nie pierwszy puścił się w opowiadanie, gdy tymczasem wieczerzę im przygotowywano.

— Ja, jam go z malenia znał — mówił. — Nie miał wówczas może nad lat piętnaście, a rwał się już wojować i panować. Jam naówczas służył przy medyku Mikołaju, co go pilnował, żeby nie chorzał. Ale gdzie on kiedy chory mógł być!! Bywało, zdaje się, że słabuje, niech no mu powiedzą, że trzeba w pole, zerwie się na równe nogi, zdrow jak ryba! Wówczas na swą rękę jeszcze nie mógł wojować, to się czepiał, gdzie co szczęknęło. Chodził z nieboszczykiem *kaliskim Pobożnym* i przy innych, byle się wojny uczyć. — Z Przemkiem, co na Poznaniu siedział, choć nie bardzo byli zgodni, a i temu pomagał. Lat kilkanaście, jak się *Czarnemu Leszkowi* zmarło, co też żołnierz był dobry, a potomstwa po nim nie zostało, choć żaby i węże na to jedli oboje, i nic im nie pomogło. Ziemianie sobie na Kraków wzięli *mazowieckiego Bolka*, a mieszczanie krakowscy z *Wrocławia Szlązaka*. Wówczas Mazurów sobie ściągnął i Wielkopolan, i Pomorzan. Jam tam by!, gdy Henryka napadł *pod Siewierzem* w parę niedziel po Gromnicach! Tośmy się tłukli, to siekli, to gnali!! Przemko jeden padł zabity, młodziuchne chłopię, Bolko opolski, ranny, dostał się nam w niewolę. W drugiej bitwie pod Skalą, w trzeciej pod Świątnicą — biliśmy się a bili. Ten mały tak sam dokazywał, że stał za dużych dziesięciu. On ci nie będzie patrzył z dala, ręce założywszy, jak się ludzie rąbią za niego; żeby go przywiązano na łańcuch, urwie się, leci w samą gąszcz, w upał, a siecze. Trzeba na to patrzeć!! Po Świątnicy szliśmy do Krakowa prosto. Tu nam wrota otwierają szeroko, Niemcy się do ziemi kłaniają, *ksiądz biskup Paweł*, co to wiecznie wicherzył, a smrodził, z krzyżem i święconą wodą wychodzi naprzeciw: Witaj-że, gospodynie! Przyszliśmy, jak swoi, wziąć gród, ano zaraz prędko, kto w mieście stał u tych Niemców paskudnych, zwąchał, że oni ze strachu, nie z miłości się poddali. W mieście było nieswojo. Patrzali na nas jak na wrogów, po kątach się już zmawiali. Pan o tym wiedząc, lekce sobie ważył. Jednak strażę wokół wałów i wrót miejskich obchodził sam, aby być pewnym, że się nie stanie nic. Niemcy prawili ciągle: *Ja! ja!* Kłaniali się, a diabła za kołnierzem mieli. Posłali po swoich cichaczem na Szląsk. My tymczasem w Krakowie siedzieli jak w uchu. Pamiętam tę noc, bom na straży był, a właśnie Łoktek sam obszedł czaty i opatrzył. Naraz, kiedy on już był blisko zamku, pod Świętym Franciszkiem zrobił się hałas. Niemcy wrota otwarli, puścili wewnątrz Szlązaków! Ci wprost na nas, bij, zabijaj! Ledwieśmy z życiem uszli... Jam popędził za panem i dognałem go przy klasztorze. Nie więcej nas z nim było jak sześciu. Wpadliśmy do franciszkanów. Mnichy za nami drzwi zawarli. Co tu począć? Ino patrzeć, jak tu nas Niemcy pobiorą, gdyby w gnieździe piskłęta. Myślicie, że się uląkł albo serce stracił? Wziął na się mniszy habit, co mu go od jakiegoś wyrostka dobrali, obciążwszy od dołu, i na mur, który do klasztoru przytykał! Dawaj drabinę, podawaj sznury! Spuściliśmy się tak szczęśliwie i uszli, koni dostawszy.

W tej to zawierusze *zgłosił się Czech*, że jemu należy Polska, bo *Gryfiny wdowy kleryk* coś tam na skórze fałsznie napisał. Przemko wielkopolski przez zazdrość dla naszego wołał oddać Kraków Czechowi.

Myślisz, że nasz mały się poddał i uszy stulił? Szli Czechy na Sandomierz, a my też przeciw nim. Znowuśmy się tłukli a gnali, bo nie były to Czechy też same, co dziś są. Jednak my im z Łoktkiem

podołali. Poszliśmy do Wiślicy i wzięli. Podstąpiliśmy pod Kraków, zajęli przedmieścia, siedzieliśmy im pod nosem, nie dali się. Nie mógł naówczas żaden Czech na krok się za wał ważyć, bośmy na nich czatowali i rwali ich wszędzie. Przyciągnął z *Pragi biskup* z wojskiem, bo oni sobie z biskupa wojewodę zrobili, i ten nam rady nie dał. Łoktek z nami krył się po lasach, po wąwozach, po górach i polował na nich. Wówczas nierazemy obłowili się dobrze, tak że już oni sami się prosili u niego, aby zgodę zrobił.

— A dobrze — rzekł — idźcie precz, będzie zgoda!

I rwaliśmy ich po kawalcu...

Dopiero jak sam król przyciągnął z mocą wielką, a jeszcze tamtych Sasów sobie z Brandenburga dobrał, co się to nim opiekowali, musieliśmy od Krakowa odstąpić, aleśmy poszli do Sieradzia i do Sandomierza. Przeciw takiej sile, co było robić? Rozumny pan był! Rozumny!

Bitwy się im chciało, prosili o nią, nie dał im jej. Staliśmy znowu po lasach i na czatach. Wymkną się Czechy, z głodu mrąc, na *picownika*, puszczamy. Gdy się ubezpieczą i zapuszczą głębiej, dopiero my na nich i z tyłu, i z przodu. Mało który nam uchodził. Snu tam nie było ani spoczynku. A i on też nie zasypiał, dworu sobie ani dachu nie szukał. Wszędzie sam był z nami. Musieli Sieradz oblegać i tego nie wzięli, tylko miasto same. Cały następny rok nie dawaliśmy im spokoju. Boże miłosierny! Gdyby człowiek chciał powiedzieć, co przez te czasy przecierpiał i robił, nikt by nie wierzył!

Biliśmy się, gdzie ino było można, aż do samego końca, póki nas taka garść była, żeśmy w pole wyciągać mogli. Aż obrali sobie w Poznaniu króla, dopiero my spoczęli. Mały nasz przycupnął, wiedział, że chyba on długo tam nie posiedzi, na niego bo się odgrażali dawno. I zabili go w Rogoźnie.

W Poznaniu na Święty Wojciech, wiosną, naszego pana okrzyknęli księciem i tylko co mu korony nie dali. Królem go chcieli mieć. Dopieroż Szlązaki sobie drwić z łokciowego pana! Że mały, że znosek, a odgrażać się.

Zasłyszał, że Szlązacy go tak i owak przezywają, a lekce sobie ważą: — Pójdziemyż na Szląsko — rzekł. Poszliśmy i spustoszyli je, aby znali, co łokciowy pan może.

Stary westchnął ciszej.

— Wróciwszy my z tego Szląska do Polski — nie ma co się zapierać — prawda, że nasi ludzie srogo sobie poczynali w domu, ale nie było sposobu, płaca nie dochodziła, pieniędzy nie było, żyć musieli. Więc się nie patrzyło, czyja wieś, czy księża, czy kościelna. A i do klasztorów młodzież zaglądała, do młodych mniszek, że niejedną wyciągnęli z sobą. Za to Pan Bóg pokarać musiał, bo tam na swawolę dużo dziewcząt pobrali.

Jam precz szedł, na sumieniu nic nie mam. Szlązacy się z biskupem poznańskim zwąchali, więc choćby z tego nie było nic, począł biskup klnąć, nie tyle za mniszki, co za snopy i grosze. Szlązakowi chcieli się poddać. Połatało się, przyszła zgoda, gdy lichy Czechów nadało...

Zamilkł Zbyszek nagle, podparłszy się smutnie na rękę.

— Tamtych to lat go widzieć było potrzeba — dodał — gdyśmy w polu ciągle byli. Wszyscy jako jeden człek, pułkownicy i ciury, o głodzie i chłodzie, a gdy wróg się pokazał, jak wściekli!

W złej czy dobrej doli nigdy się on nie zmieniał, zawsze ten sam, noc i dzień we zbroi, miecza nie od pasując. Namiotu sobie rozbić nie dał, na gołej ziemi spał. Ledwie się ozwało hasło, pierwszy na nogach. Konie pod nim padały, on się tylko przesiadał i — dalej! Nam siły ustawały, jemu nigdy! I jakim on był, takim będzie, gdy powróci! — zakończył stary Zbyszek.

Rozdział drugi.

Po chwili dodał Suła:

— Gdyby on czy z nieba spadł, czy spod ziemi wyszedł, wojowałby i zawojowywał jak wprzódy! Marcik słuchał z uwagą, oczy mu czasem pobłyskiwały. Wierzył czy nie w opowiadanie, brało go ono za serce, rozgrzewał się, zajmował, uśmiechał. Stary mówił coraz żywiej, a gdy skończył i zadumał się, Marcik rzekł cicho:

— Któż ich wie? Choć mnie się wierzyć nie chce, aby on się zjawił znowu, któż wie? Czechy się niepokoją i ruchają. Coś to znaczy. Biegają po okolicy, porozsyłali ludzi, trzęsą po dworach.

W ciągu rozmowy wiatr ucichł był nieco, szumiały tylko lasy w dali poważnie, głucho, niby sobie rozpowiadając o tym, co przeszło.

O tej godzinie nigdy prawie nikt do Łowczej się nie zjawiał, nie spodziewano się też nikogo, gdy pies naprzód okrutnie, do drzwi przyskakując, ujadać zaczął, co wszystkich nastraszyło, bo Kruczek słynął z roztropności i nigdy darmo nie napędził popłochu, chyba albo się wilcy zbliżali, których czuł z dala, albo człek przywłókł obcy.

Chaber pobiegł nasłuchiwać, gdy razem we drzwi i okiennice bić zaczęto. O tej porze nocnej z otwieraniem dobrze się trzeba było namyślać. Wyprawiano więc Marcika do sieni, aby przez otwór w ścianie rozpatrzył się, co to było. U progu już krzyki jakieś rozlegały się pół niemieckie, pół niby polskie. Domyślano się *Czechów Boskowicza*.

Byli to podówczas straszni panowie, którym posłuch dawać musiano, bo nie folgowali nikomu. Stary Zbyszek już wolał, aby im otwierano, nie czekając, gdy Marcik jeszcze się rozpytywał. Na ostatek po krótkim targu drzwi otwarto, bo je już łamać chcieli, i wparł się mąż uzbrojony, wzrostu słusznego, z mieczem w rękę, który z czeska łajał, że śmiano go trzymać u progu, opowiadając się, że był posłany od wielkorządcy Boskowicza, aby po okolicy tropił włóczęgów. Zbyszek koso nań spojrzął spode łba.

Za nim tuż ciągnęło dwu pachółków z toporami i mieczami. Weisnęli się do chaty, a drugich dwu na straży przy drzwiach zostało. Wysoki mąż w sieni zaraz począł się pilno rozglądać. Zawołali ognia. Zobaczywszy, że drabina stała wiodąca na wyżki, jednemu ze skałką kazali wleźć zobaczyć, czy się tam kto nie ukrywa.

Sam dowódca wszedł do izby niespokojnie, badając wszystkie kąty.

— Nie masz kogo obcego u ciebie? — zapytał gospodarza, który ramionami tylko poruszył. — Łotrzyka się po okolicy błakają.

— Cóż to wy macie dworek ziemianina za łotrowską gospodę? — odbąknął Suła.

Czech dumnie i opryskliwie odwrócił się ku niemu wołając:

— Albo to u was po dworach, po ziemianach nie było rozbójniczych szajek? Czyśmy to nie musieli tych gniazd wywracać? Nie łupiło wasze rycerstwo po gościńcach?

Zbyszek odpowiedział mu tylko gniewnym spojrzeniem i uszedł na bok. Nie mówiąc więcej, Czech powlókł się po izbie, a drzwi do komory zobaczywszy, zajrzał i tam. Wrócił mrużąc i siadł na ławie, z dala od ognia.

— Nie macie co pić? — spytał po chwili.

— U mnie tu nie szynk ni gospoda — rzekł stary. — Wody, kiedy chcecie, dam, piwo pono wyszło, miodu ja nie sycę ni piję, a na wino mnie nie stać.

Czech spod nosa łajał.

Tymczasem i pacholkiwie, co na strychu byli, nic nie znalazłszy, weszli do izby, stanęli w progu. Reszta ich w sieni i podwórku czekała. Kruczek, który się nieco uspokoił, znowu począł na obcych naszcekiwać.

Dowódca siedział kwaśny.

— Myśmy tu o żadnych nowych rozbojach i łotrzykach w okolicy nie słyszeli— odezwał się, przysuwając ku niemu Suła, ciekawy. — Cóż to was tak pilno po nocy pędzi?

Czech zrazu nie chciał odpowiadać i mrucał tylko sam do siebie coś po cichu. Potem zagadnął o drogi w okolicy, o dwory w sąsiedztwie, o przesmyki ku Ojcowu, o przejezdnych jakich, czy ich tu za dnia nie widziano.

Suła uspokajał zapewniając, że po lasach nic słyhać nie było od czasu, jak mieszczanina Stroke jadącego z Wrocławia ubito, a zabójców połapano i powieszano.

Czech słuchał obojętnie i milczał. Na myśl wręście przyszło Zbyszkowi, że ładniej by co może z niego wyciągnął, gdyby przyjął gościnniej. Więc choć mu resztek *piwa świdnickiego*, z Krakowa przyniesionego, żal było okrutnie, choć wprzód powiedział, że mu ono wyszło, zamruczał coś do ucha Zbicie, która z komory wyniosła garnek prosty pełen piwa i podała kubek Czechowi. Ten, co się już poczęstowania nie spodziewał, wzbraniał się trochę zrazu, potem napój przyjął i wasy po nim otarłszy, trochę czoło rozchmurzył.

Ze szczęśliwego usposobienia korzystając, gospodarz śmieiej się coraz ku niemu przysuwał.

— Mówcie sobie, co chcecie — rzekł — musi coś pilnego być, kiedy was na noc w burzę rozsyłają po drogach i lasach. Ludzie jakieś brednie plotą, a wy im wierząc i sami pokoju nie macie, i drugim go nie dajecie. U nas tu o niczym nie słyhać.

— Ludzie plotą bajki i nie bajki — odmruknął Czech — kto to wie? Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Na zamku coś wiedzieć muszą, kiedy nas na wszystkie strony, pod Sącz, pod "Wiślicę i ku Ojcowu rozpędzono.

— No, a kogóż się boicie? — pytał Suła.

— My? Nie bo jemy się nikogo — rzekł dowódca — ale po co warchoły mają ludzi niepokoić?

— Jakie warchoły? — nalegał stary.

Czech się obejrzał.

— Cóż? Niceście nie słyszeli?

— W kącie siedząc, skąd ja co mam słyszeć? Nie wiem nic.

— At, plotą — dodał Czech pogardliwie — że to małe książątko, co to było przepadło, Władek Łokieć, z mysiej jamy się znowu dobył.

Ramionami dźwignął uśmiechając się.

— U was — mówił — człowiek nowy czy stary, byle się ruszył, a huknął, głowy się zawracają. Nowe sitka lubicie.

— Skąd by się ten miał wziąć!? — rzekł Suła z udaną obojętnością.

Podał Czechowi kubek drugi, który on wypił ochoczo i stał się jeszcze otwartzym.

— Wczorajszego dnia — począł, pochylając się ku niemu — przybył na zamek do pana Ulrycha ziemianin Poręba, co ma nie opodal dwór w górach. Ten oznajmił, że u niego był i nocował z kilku ludźmi mały panek, Łoktek. Zamiast go tam zaraz pochwycić i na zamek odstawić, za co by nagrodę dobrą wziął, puścił go wolno, nakarmiwszy i napoiwszy, a potem się dopiero namyślił i ze strachu dał mu o nim znać Ulrychowi.

Począł go Boskowicz łąjać, dlaczego nie wziął wywołanego w niewolę, kiedy go w ręku miał. Tłumaczył się, iż starego prawa gościnności łamać mu się nie godziło. Naklął go i nałajał nasz dobrze i zaraz po drogach rozesłał, aby Łokcia tropiono.

Suła słuchał z uwagą wielką i głową pokręcał.

— E! — rzekł udając niedowiarka. — Ten Poręba przylizać się chciał i lada co wam naplótł. Wy się darmo po okolicy tułać będziecie. Tu go nie ma. Skąd by się wziął? Po tylu latach i to jeszcze pod bokiem waszym, pod Krakowem? Naprzód by o nim na Kujawach słyhać było.

— I ja tak myślę — rzekł Czech wstając z ławy. — Myśmy się dosyć po lesie i wąwozach natłukli, powrócimy do Krakowa.

— Najrozumniej zrobicie — potwierdził Suła, dając mu trzeci kubek na drogę.

Czeladź, którą też poczęstowano, aby ją udobruchać, ogrzawszy się zaczęła do odjazdu sposobić. Marcik, który czasu rozmowy z dala się trzymał, wywiódł ich za próg i poświeciwszy do wsiadania, gdy w las ruszyli, rad, że się zbył, drzwi drągiem założył.

Wróciwszy do izby, gdy na ojca spojrział, zdumiał się mocno, takiej starowina buty nabral i poweselał. Czapczynę na jedno ucho wykręcił, ręce w boki za pas pozakładał i tylko że po izbie nie skakał, ale nogami podtuptywał.

— Słuchaj no, Marcik! Ho! Teraz jam pewien, że Łoktek żyw. A jak on żyw, to im sadła za skórę zaleje! Gorącego!! Jeśli nie on, nikt stąd Czechów nie wyzenie. To go Pan Bóg zesłał!

Zbyszek dziwnym głosem ostatnie słowa wyśpiewał, a syn mu się uśmiechnął.

— Śmiej się, nie śmiej — począł stary. — Czechy dobre nosy mają, wietrzą oni sławnie. Poręba by nie skłamał, choć urwisz! Zaraz z gębą na zamek, z długim jęzorem do Czecha!! Ja bym go za to powiesił. Dał jeść, pić, a potem puścił nań ogary — dobra mi gościnność!! Jak się Łoktka doczekamy, warto mu za to krwawą łaźnię sprawić!

— Ojczulu, kochany mój! — patrząc nań i wpół go obejmując, zawołał Marcik — ażeście odmłodnieli!

— Co myślisz? Gdybym pana mego zobaczył — krzyknął Zbyszek ręce składając — naprawię by mi może młodość wróciła. To człowiek cudotwórca.

Gwarzyli tak śmiejąc się, gdy Zbita, która z wieczerzą się dla Czechów wstrzymała, poczęła kaszę ze słoniną na misę wykładać, aż zapach od niej rozszedł się po izbie.

Syn i ojciec, poczuwszy ją, oba się zwrócili ku stołowi.

— Idźcie jeść, aby darmo nie stygła! — powoływała Zbita.

Zbiegli się do misy, na którą czeladź się też oglądała. Stary Zbyszek miał ręce umywać, gdy stukanie nieśmiałe i powolne do okiennicy słyszeć się dało. Z początku przeżegnali się tylko, sądząc, że zły duch się im jaki przekomarza, ale gdy pukanie się powtórzyło, Marcik śmielszy ku oknu się zbliżył. Z podwórza dochodziło jakby szeptanie i mruczenie.

— Albo Czechy powróciły — rzekł Zbyszek — albo... licha już wie, co o tej godzinie może być?? Zbójce?

— Nie otwierajcież po nocy lada komu — dodała Zbita — diabeł nie śpi, kto wie, jaką zły duch może przybrać postać? Kto by pocziwy ważył się po nocy na taką burzę?

Zbyszek niespokojny, rozgorączkowany, łyżkę za pas wetknawszy, sam też pobiegł słuchać do okna, Marcik do sieni, aby wyjrzeć otworem. Zamieszało się w chacie, a stukanie do okiennicy nie ustawało. Gdy po długich szeptach i naradach Marcik, w rękę wzięwszy obuszek, odważył się drzwi przemknąć, aby z ludźmi, małą gromadką spokojnie w podwórku stojącymi, rozmówić się, gdyż proszący o przytułek zbójcecko i napastliwie nie wyglądali, spotkał się naprzód z dość słusznego wzrostu mężczyzną, otulonym opończą, który dla zbłąkanych podróżnych od Szląska jadących o jaką godzinę spoczynku w chacie upraszał.

— A gdzie tu u mnie dla was wygoda w takiej biednej chłynie? — odparł Zbyszek od progu — ani miejsca dosyć, ani strawy.

Przybyli poczęli się naradzać między sobą.

— Myśmy się tu tylko co Czechów z Krakowa Ulrychowych zbyli — mówił gospodarz — i tych musieliśmy częstować, a zapasów nie mamy.

— Czechów, jakich? — zapytano z gromadki.

Głos, który Zbyszek posłyszał, tak go tknął, że zadrżał.

— Boskowiczowych ciurów — odparł — którzy włóczą się po okolicy, sami nie wiedzą, kogo szukając.

— Powiadają — dodał Marcik — że Łoktek się kędyś, z martwych powstawszy, zjawił i za nim się puścili. Radzi by go mieć!

Gdy to rzekł, pomiędzy przybyłymi gwar się wszczął wielki, zrozumieć nie było można, co mówili. Spierali się o coś. Jeden mimo wszystkich pode drzwi podjeżdżał i chciał do chaty.

Marcik rozeznał tylko, gdy ktoś rzekł:

— Ano dobrze, kiedy raz byli, rychło tu nie powrócą.

Człeczek mały, krępy, natychmiast z konia się zsunął i, rozpychając drugich, szedł do dworku. Za nim trzech jeszcze pospieszyło i Zbyszek także.

Właśnie na ognisko świeżo skałek dorzuciła Marucha. Zapałało mocno, światło padło na wchodzących, którym się z wielką przyglądano ciekawością.

Państwo to było jakieś, ale niewielkie, ludzie nędznie poodziewani, w opończach grubych, po których znać było, że na gołej ziemi często legiwały. Twarze zbiedzone i pomęczone, odzież obmokła, obuwie wychodzone. Pomędzy nimi Zbyszka najwięcej zajął ten, co był najniepozorniejszy: mały, średnich lat mężczyzna, krępy, zdrów, czarno porosły. Patrzył nań, przyglądał się, oczy mu na wierzch wychodziły, ręce począł łamać, usta się otworzyły i nagle na kolana przed nim padłszy, twarzą do ziemi, krzyknął:

— Pan mój! Pan mój!

Słowa te jakby zarzewiem na gości rzuciły. Ci, co małemu towarzyszyli, obścąpili go i już z nim do drzwi chcieli, gdy on śmiało naprzód wystąpił i do Zbyszka się zbliżywszy, rękę mu kładąc na ramieniu, rażno zawołał:

— Pokaż twarz? Coś za jeden?

Gdy światło padło na nią, podumał kęs i rzekł:

— A toć — Zbyszek Suła, hę? Ty, coś ze mną długo wojował i na Szląsku, i pod Krakowem, i w Krakowie onej nocy, cośmy się zmniszyli? Pamiętasz? Tyś to jest.

Śmiał się, a oczy mu błyszczały.

— Dobra wróżba starego spotkać wojaka — dodał — he! Znowu na wojnę pójdziemy!

Mówił, a drudzy się rozstępowali. Można mu się było lepiej przypatrzeć.

Mały był bardzo, ale jak z jednej bryły wyciosany. Na twarzy, w oczach, w uśmiechu, na czole, męstwo, rzeškość jakaś okrutna i wiara w siebie napiętnowane były. Każdy je musiał przeczytać, nikt omylić nie mógł. Niepiękny był z twarzy, w której surowości i dumy wiele było, ale powaga jej, energia, poszanowanie wrażały. Człek był z rodzaju tych, co ich, chcąc nie chcąc, słuchać drudzy muszą, umiejący rozkazywać, czujący w sobie do tego prawo. Mały, gdy stał wśród takich, co go nie głową, ale dwoma i trzema przerośli, zdawał się nad wszystkich większy.

W ustach, na czole śmiały mu się wspomnienia tych wypraw na Szląsko w roku 1297, gdy mszcząc się urąganiu książąt wrocławskich z wyboru jego na króla i przezwiskom pogardliwym, jakie mu nadawali, szyderstwom ich niepocziwym, wpadł na ich ziemie i spustoszył je okrutnie.

Lecz jakże innym się teraz wydał ów Łoktek w oczach starego żołnierza! Pod te czasy miał jeszcze błyszczące zbroje, orszak książęcy, purpurowe płaszcze i hełm złożony, choć wszystko to pono za pożyczany grosz kupione było. Pamiętał Zbyszek ową kity, którą do hełmu przypinał, aby się trochę słuszniejszym wydawać. Naówczas książęco występował, a teraz!

Spod opończy starej i zabłoconej przeglądała zbroja dawno nie czyszczona, piersi jego okrywająca; miecz u pasa wisiał w prostych pochwach czarnych, hełm miał lichy i pogięty. Towarzystwo też jego nie lepiej było poodziewane i zbrojne.

Zbyszek, patrząc nań, z radości tak drżał, iż przemówić mu było trudno, przyciągnął tylko syna przed księcia, kazał mu na kolana paść i w rękę go całować.

— Syn mój! — rzekł.

— A żołnierz taki dobry jak ty? — spytał Łoktek.

— Posłużywszy u Miłości Waszej — zawołał stary — będzie on lepszy ode mnie. Weźcie go ino z sobą! Poszedłbym i ja za wami, ale nie zdużam już. Zaniemógłbym kędy na drodze.

Łoktek wpatrywał się w Marcika.

— Ano — rzekł — zdałby się. Teraz czy później, nie wiem. Ludzi mi trzeba dużo.

Otoczający księcia, widząc go tak bezpiecznym, poszli strażę postawić dokoła chaty. Łoktek zbliżył się do ognia, ręce grzejąc, a miał je tak duże i silne jak u najroślejszego chłopca, żyłaste i namulane.

— Cóżście to mówili? — zwrócił się do Zbyszka — Czechy tu was nawiedzili, szukając mnie i tropiąc? Jużci to wiedzą o mnie?

— Na biedę — rzekł Suła, który z radością niezmierną usługiwał staremu panu, prawie oszalały szczęściem tym, że go oglądał. — Opowiadali tu, że Poręba stary, co Miłość Waszą przyjmował u siebie onegdaj, wczoraj do Ulrycha przybył i dał mu znać o tym.

— Poręba! — powtórzył Łoktek, smutnie podnosząc głowę. — Któż by się po nim spodziewał? Kłaniał mi się do stóp, płakał wrzekomo z radości. Tacy oni dziś mało nie wszyscy. W oczy mi nic rzec nie śmieją, a boją się i radzi by siedzieć w spokoju, choć pod obcym — i...

Nie dokończył. Potem na pół głośno, jakby do siebie, mówił:

— Nie na tym jednym dworze drząc mnie ugaszczali, oglądając się, niby ciesząc, a w rzeczy tworząc i przeklinając, żem się żyw ostał. Na nikogo tu nie liczyć pono, aż się siła zbierze.

Wtem Zbyszek przyszedł z pokłonem.

— Liczcie na starych, co wam służyli! — zawołał niemal ze łzami — rachujcie na pewno. My byśmy się za wis ubić dali.

Smutnie klepiąc go po ramieniu, rozśmiał się Łoktek.

Milczenie jego mówiło wiele, jak gdyby:

— A co mi po was, biedacy?

W tejże chwili posępni twarz jego się rozjaśniła. Nie był to człowiek, co by smutkom a trosce dał się gryźć jak rdzy i zjadać. Rozpatrzył się po izbie ubogiej, po ludziach biednych. Towarzysze jego właśnie wracali do chaty.

Na stole misa z kaszą woniała.

Zbyszek kłopotał się, skrobiąc w głowę.

— Czym my tu Miłość Waszą w tej nędzy przyjmujemy? Czyni ugościm? — mrucał. — U nas strawa licha!

— Jakbyś zgadł, żeśmy głodni — odpowiedział Łoktek — a kto głodny, nie przebiera. Pamiętasz, stary, żeśmy nieraz o suchym chlebie, o wodzie z kałuży niejedną dzień trwać musieli. Ja też z wami!

Mówił to wesoło, poglądając ku swoim, których twarze blade wydawały głód i znużenie.

— Jak dziki zwierz juzem się po pieczarach i jaskiniach chronić musiał — mówił dalej — i pod drzewy w błocie legiwać. Żołnierska rzecz żyć, jak się zdarzy.

I z wolna zaczął się zbliżać ku misie.

— Słuchaj, Zbysz — rzekł. — Nie objemy my was? Macie więcej tej kaszy, byście przez nas nie byli głodni?

Zbita żywo porwała się z kąta.

— Jedzcie zdrowi! — zawołała — choćby na pół kopy kaszy i słoniny starczy, a i wędliny kawał się najdzie.

— I piwo świdnickie, tylko go już omal — rzekł Zbyszek. — Aby tylko nie z drożdżami, bo już u spodu.

Książę śmiał się i już na ławie siadał do stołu, drewnianej, lipowej łyżki szukając. Ci, co z nim byli, siadać się nie ważyli razem, czekali z dala. Nie patrząc na nich, książę się wziął do misy. Jadł, ale widać było, że o jadle nie myślał.

Marcikowi przypatrywał się z uwagą. Chłop miał w oczach bystrość wielką. Dał mu znak, aby bliżej przystąpił.

— Pocziw być musisz, jak twój ojciec? — odezwał się. — Nie zdradzisz mnie?

Marcik rękę na piersiach położył. Mały ten pan już i jego rozgrzewał i rad był mu się przysłużyć.

— Pół mili stąd do Balic — zapytał Łoktek — juści nie więcej?

— Prawie i tyle na prost nie ma — ozwał się Zbyszek.

— Tym lepiej — dodał książę. — Po nocy tam dojechać nie ulękniecie się?

Marcik się rozśmiał, białe zęby pokazując. Nie lękał się on niczego w świecie, nie było to ani w jego naturze, ni w obyczaju. W Krakowie najtęższe zbóje jego się obawiały. We trzech nań nieraźno było.

— W Balicach — mówił pan, jedząc ciągle — musi być pod ten czas Topór, co go to Mieczkiem zową?

— Toć od niego tę chatę trzymamy — dodał Zbyszek.

— Ten dawniej bywał ze mną — rzekł Łoktek.

— Prawda — zamruczał Zbyszek, trąc głowę — ale postarzał się bardzo i zbabiał trochę, młodą żonę sobie wzięwszy.

— Ja tam do Balic do niego sam nie chcę — mówił książę — abym, dobrego człowieka szukając, na złych nie trafił. Jedź-że ty, na ucho jemu tylko samemu szepnij, kto cię przysłał. Zechceli do mnie, przyprowadź go, a zawaha się, rzuć go nie mówiąc, gdzie jestem. Rozumiesz?

Zbyszek głową potakiwał ręcąc, że syn się sprawi dobrze, Marcik też, ochoczo opończę z kołka zdjawszy, skoczył do szopy po konia.

Łoktek tymczasem jadł, piwa postawionego napił się trochę, chleb czarny krajał nożem u pasa na rzemyku zawieszonym i wesoło potem towarzyszków wezwał do kaszy i wędliny, sam na drugą ustępując ławę.

— Zbyszek! — zawołał po chwili ziewnąwszy. — Jam to pono nocy dwie tak dobrze jak nie spał, a trzeciej mało co i na chłodzie. Daj ty mi gdzie legnąć. Zbroi nie będę zdejmował, przywykłem do niej, nie zacięży mi. Kto wie, co się przydarzyć może? Ano, legnę.

Nie mając lepszego nad własne posłanie, powiódł go ku niemu Zbyszek. Ledwie na nie spojrzawszy, mały pan zaraz legł, płaszczem krzynę oczy przysłonił i wnet chrapać zaczął. Towarzysze jego, szepcząc cicho, dali znać, aby i drudzy się też tak znajdowali. Sami na ławach posiadali, raz jeszcze wyjrzawszy na strażę.

Na dworze cicho już było, księżyc świecił z chmur porozrywanych, które się po niebiosach tułały, szparko go to zasłaniając, to odkrywając. Las spoczywał, szum jego ledwie słyhać było.

W chacie też stała się cisza, tylko mały ogienek, który, na palcach chodząc, utrzymywano, potrzaskiwał niekiedy, miotając iskrami dokoła. Koc tedy nastąpiła, każdy, gdzie kto mógł, przyległ na ławie lub na ziemi. Pospali się wszyscy, ale gotowi zbudzić za najmniejszym szelestem, coraz to głosy podnosząc i nasłuchując, a usypiając znowu. Widać było niekiedy otwierające się niespokojnie oczy na wpół uśpionych i wysiłek znużonych, którzy od twardego snu bronili się, jak mogli. Wstawał czasem który z towarzyszków księcia, na palcach do drzwi podchodził, wysuwał się do sieni, zaglądał na podwórze do straży i wracał nazad odpocząć na ławie.

Choć do Balic pół tylko mili było, ale nocą się do nich dobrać, do śpiącego pana dostać, poselstwo takie sprawić, z łoża go wziąć, do Łowczej przywieść, dużo czasu zabrało. Już prawie na dzień się miało, gdy konie posłyszano u drzwi i wszyscy pobudzili się, i zerwali, krom Łoktka, który spał twardym snem kamiennym człowieka spokojnego, nie dbającego wcale, że za głowę jego nagrodę wyznaczono.

Rozdział trzeci.

Z Marcikiem do izby wchodził już mąż poważny w rysim kozuchu, w kołpaku z soboli, blade, twarzy pięknej, lecz: jakby wylęklej, pańskiego oblicza i postawy.

Nie znający go nawet, pierwszy raz widząc, mógł się w nim domyśleć jednego z tych, których ród z dawna nawykł był rej wieść, pierwszy głos zabierać, na przednim miejscu zasiadać. Wchodząc ciekawie się rozglądał po izbie, szukając oczyma tego, dla którego przybywał.

Ujrzawszy go jeden z towarzyszków Łoktka, z sukni do duchownego podobny, poszedł obudzić pana. Książę, choć twardo spał, zaledwie go tknął, zerwał się na nogi, tak przytomny i pamiętny, gdzie był, iż ani chwili nie potrzebował do opamiętania się po śnie głębokim.

Mieczyk nie wiedział jeszcze, co poczynać, gdzie go szukać, gdy książę wyszedł naprzeciw i pozdrowił go.

— Mieczyk! Bóg zapłać!

Dał mu rękę silną, którą ten pocałował, ale choć poszanowanie mu okazywał, obawy w nim widać było więcej jeszcze niż innego uczucia. Mały pan zdawał się to rozumieć. Dał znak ręką swoim, aby się oddalili. Mieczyka poprowadził ku ławie, na której usiadł.

— Spodziewaliście się wy ujrzeć mnie kiedy? — zapytał księżę zdumiałego i przypatrującego mu się Toporczyka.

— Pragnęliśmy Was nieraz — odezwał się z powagą chłodną pan z Tęczyna — ale spodziewać się jak byśmy mogli, kiedy oto czwarty już rok słuchu o Was nie było, krom żeście Wasza Miłość pono w Rzymie pobożni byli. Ludzie mówili wszyscy, że już Was nie ujrzymy. Tymczasem u nas wiele rzeczy srodze się przemieniło.

— I gdyby Bogu się nie podobało uczynić cudu — począł Łoktek — nie powstałbym już ja na tej ziemi ani bym kiedy ujrzał żonę, ni mógł pomyśleć o tym, co mi wydarło. Ale Bóg raczył sprawić cud, wierzę, iż go dokona. Tak, chodziłem pokutę sprawiać za grzechy do Rzymu i widziały tam oczy moje to, czego za żywota naszego nie ujrzy już nikt: troje drzwi kościoła bożego na rozcież ludziom otwartych, wielką uroczystość przebaczenia i łaski, na którą krocie tysiący co dzień biednych do grobu apostołów spieszyło. Tam padłem i ja na kolana przed *Bonifacym* papieżem, skarżąc mu się na Czecha najezdника, co sobie moją przywłaszczył koronę. Biskup najwyższy rzymski wziął mnie w opiekę, a mocen jest ten, przed którym, jako przed cesarzem i papieżem, noszą podwójne znamię krzyża i miecza. W nim ufam, że potężną dłonią strąci z głowy Waclawa przywłaszczoną koronę. Nie komu ona, tylko mnie należy, bom ja do niej był wybrany!

Gdy to mówił, patrzy! na Toporczyka, który słuchał z poszanowaniem, ale małą wiarą. Nie zważając na ten chłód jego, Łoktek coraz goręcej ciągnął dalej:

— Tak! Mam za sobą i niosę potęgę Rzymu. Was wzywam, pomóżcie mi. Obcych ludzi niewoli sromotnej się pozbądźcie, a kto mi teraz rękę poda, najwyżej go postawię, stokroć odpłacę. Dziś mi jeden droższy, niż bywało dziesięciu.

Topor milczał długo, nim się na odpowiedź zebrał.

— Pomóc Waszej Miłości — rzekł po namyśle — któż by z duszy nierad? Swojemu panu!? Ano żelazną ręką trzymają nas Czechy z Brandenburgami. Na nich iść, potrzeba sił daleko większych niż nasze. Mieli dobry czas się usadowić, oszańcować, ludzi sobie jednać i nastraszyć.

Łoktek głową strząsnął.

— Gdy wszyscy tak mówić będziecie — rzekł — a ręce wam opadną, pewnie, że im nie podołamy. Małe siły, gdy się skupią, wielkimi się staną. Kraj to nasz, my w domu, a oni gospodą. Wielkich sił nam nie trzeba. Czechów policzcie. Gdy się ziemianie wszyscy poruszą, zmożemy ich i przegnamy. Walnej bitwy dawać im nie będziemy, ja na jedną kość nie postawię wszystkiego. Rwać ich i kasać musimy, to sam, to tam, aż im tu życie obrzydnie. Byłem jeden, drugi gródek zdobył — za tym pójdą inne.

Oczy mu się paliły, Topor słuchał.

— Miły Panie — rzekł. — Chwila nie po temu. Czech nie sam. Będzie miał Niemców zastępy z sobą, Brandenburczyk z nim jedna ręka. Siła ich straszna, cały kraj dzierżą do morza. Co tu począć? Jak nam nawet pomyśleć o tym? Czekać trzeba, znajdzie się, dali Bóg, sposobniejszy czas...

— Mnie każecie czekać? — oburzył się Łoktek. — Przecież wiecie, iż nigdy nie umiałem czekać, a i czasu na to nie mam. Czterdzieści kilka ciężkich lat mam już na głowie! Kto wie, ile mi ich zostaje? Dla mnie i doba droga. Najlepsza pora, gdy się nie spodziewają.

Wyciągnął ręce do Mieczyka.

— Chodźcie ze mną! Zbierzcie się potajemnie! Wie już wam Waclaw tak zasmakował?

— Nie, Miłościwy Panie. Czech nam cięży strasznie — odparł Topor — ale zębami kamienia nie ugryźć. Szlązacy pójda z nim. Ottony brandenburskie, *król rzymski* też pewnie. Kto wie, ile i jakich Niemców. A z nami, kto? Żywej duszy. Kraj się zaburzy, krew się poleje, mścić się będą, plądrować — my, my jeszcześmy po Tatarach nie wytchnęli. Miły Panie, posłuchajcie lepszej rady! Ponowić by z Waclawem układy, niech papież, ojciec święty lub z ramienia jego biskupi pośredniczą. Oddadzą wam Kujawy i Sieradz, weźmiecie lennem od niego, spoczniecie po tylu utrapieniach.

Usłyszawszy to Łoktek skoczył z ławy, cały rozogniony i gniewny.

— Wy mi to mówicie? — zakrzyknął. — Ja z rozbójnikami się układać? Ja ich prosić, aby mi ochłap mój rzucili? Ja lennikiem tego, któremum równy albowiem lepszy? Raczej zginąć marnie w boju! Sromoty bym tej nie przeniósł! Ja nie o pół, nie o ćwierć tej ziemi wojuję ani o trzy ćwierci, ani o szmat jakiś, na którym bym chleb jadł polewany łzami, ale o koronę moją, o jedność państwa tego, co Chrobrowe było!! Ja bym miał rękę podać do ćwiertowania tego, co się ledwie zrastać zaczęło? Ja? Mieczyku mój! Zabyliście mnie alboście nigdy nie znali. Wolę się tułać jak wygnaniec niż prosić łaski, gdy mam prawo!

Wolał namiętnie, z oburzeniem takim, iż Topor spuścił głowę, zawstydzil się, ale go ta gorącość nie objęła, nie przekonała. Schylił się, jak do ręki, księciu, który mu ją usunął.

— Wielką żalność Waszą — rzekł powolnie — każde serce uczuje. Swojego pana ze krwi własnej mieć każdy by rad, choćby zdrowiem przypłacił, ale tu i życie dać, darmo! Nie pomoże! Spójrzyście na ziemię te — zajęli wszystko! Załogi ich siedzą wszędzie, wielkorządcy po wszech ziemiach. W Kamienicy, w biskupiej, nową twierdzę wznoszą, Kraków w ich rękach, Poznań, Sandomierz, Sieradz, Płock; rycerstwo mają doskonałe, zbroje dobre, ludu dosyć!

— A my serca marny małe! — zawołał Łoktek gniewnie. — Cóż rzec? Omyliłem się na was, Mieczyku! Zestarzeliście u ognia w domu, serce wam wyszło, strach z ciepłego kąta wyjść w pole. Darmo! Ufałem w was i zawołanie wasze... Starza niegdy przy panach swych stała, a dziś?!

Nie dokończył. Topor to rumienił się, to bladł.

— Panie Miłościwy — odezwał się urażony. — Żądajcie od nas, czym byśmy Wam miłości naszej dowiedli, damy wszystko, ale wojnę poczynać bez nadziei, na ślepo...

— Ja mam i oczy, i nadzieję — przerwał mu Łoktek porywczo. — Nie chcecie wy, pocznę ja sam z garścią, z kupką najemnika. Od was zaś już nie żądam nic, bo albo do wszystkiego prawo mam, lub, skoro królem uznajecie najeżdżcę tego, przywłaszczyciela, świętokradcę, tom ja dla was niczym. Żebrakiem nie będę...

Topor stal z rękami zwieszonymi jak winowajca.

— Najeżdźca ten — ciągnął dalej Łoktek — ma tylko takie prawo, jakie mu wasza małoduszność daje. Powołuje się na dar Gryfiny, a stara, szalona baba nie mogła mu tego dać, czego nie miała, ani Leszek jej darować kraju, który nie jego był. Testament fałszywy jest i kłamany. Papież Bonifacy pisał doń i w liście mu zadał zuchwałe przywłaszczenie, pozwał go przed sąd swój, nie uznaje królem. Korona to wydarta mnie i ja ją z pomocą Bożą odzyszczę.

Ostatnie słowo wyrzekłszy gwałtownie, uspokoił się i pohamował.

Topor stał, słuchał, lecz zimny był jak skała.

— Zaprawdę — rzekł zmieszany, usiłując złagodzić Łoktka — chyba byście u książąt jakich znaleźli poparcie, ale gdzie?

— Wiecie polskie przysłowie, że książęta powinowatych nie mają, a tym mniej przyjaciół — odparł Mały. — Nie odezwę się nawet do żadnego. Na ziemian rachowałem, chybią mi oni jak ty, Mieczyku, pójdę na srom wam szukać posiłków u obcych — i znajdę je. Przyjdziecie mi się dopiero kłaniać, gdy siłę poczujecie, ale naówczas ja was znać nie będę, jak wy mnie teraz znać żeście nie chcieli.

Topor poruszony krok się cofnął.

— U jakich obcych chcecie szukać posiłków? — zawołał. — Miłościwy Książę, nie uwodźcie się. Pomocy nikt wam nie da, a łącno traficie na zgubę. Czekajcie lepiej, może przyjsć chwila, do której na Kujawach spokojnie dosiedzieć możecie.

Łoktek odwrócił się od niego i nic mu już nie odpowiedział.

— Żal mi — rzekł, pomilczawszy spokojniej — żal mi, żem was nadaremnie z ciepłego, małżeńskiego łoża wyrwał. Niewiasta się za wami niepokoić będzie, wracajcież rychło, aby nie połąjała. Mnie też dłuższy spoczynek należał, bo długo jeszcze przyjdzie mi się tułać od bramy do bramy, nim znajdę męznego serca ludzi. Na teraz choćby garść, bym z nią na jakie gniazdo mógł uderzyć.

To mówiąc, nie patrząc na Toporczyka już, podszedł ku ognisku i znowu ręce zagrzewał.

Mieczyk postępował za nim z wolna, rozmyślając, nachmurzony. Wstyd mu było, ale i strach także.

— Miłościwy Książę — odezwał się — nie odprawiajcie mnie z gniewem. Omyliłem się może. Żal mi Was. Wieleż ludzi masz książę?

Łoktek odwrócił się śmiejąc ku niemu.

— Dotąd — rzekł — nie mam ani pół sotki, ale więcej niż ludzi, bo wolę ogromną mam i ufność w Bogu niezachwianą. Ksiądz Stach, kapelan mój, powiadał niegdyś, że wiara góry dźwiga i przenosi, a moja taka jest, że grody wywracać będzie!

— Tak — dodał. — Powiem wam więcej. Dziesięciu grzywien przy nas wszystkich, gdybyś strząśł cały orszak mój, pewnie nie znajdziesz. Ubogi jestem, sam jak palec, żonę moją z

miłosierdzia karmi mieszczanin ubogi, a wy, których ojcowie chodzili razem z moimi, wy, stary ród rycerski, wy — opuszczacie mnie. Wiecie co? Nie znajdę u ziemian posłuchu... do chłopów pójde, do chat. Ci się ruszą i skoczą do mnie. Ci wam srom uczynią.

Namarszczył się Topor, gorzko ma się stało, zaciął usta; miał jednak tak mocne przekonanie, iż nic nie można było dokazać przeciwko czeskiej potędze, że i to go nie nawróciło.

— Daj Boże, Miłościwy Panie, abyście dokazali cudu — rzekł zimno. — Nam się widzi, że z ziemiany czy z chłopami porwiecie się na dziesięćkroć liczniejszego wroga... krew tylko przelejecie na próżno.

Książę milczał, w ogień patrząc.

— Michał — odezwał się do jednego ze swych — niech szkapy będą gotowe. Na dzień tu czekać niebezpieczno, ten dla nas zdrajcą jak i ludzie. Musimy dalej w las, aby nas Boskowiczowi nie pochwycili.

To rzekłszy, zwrócił się do Topora z szyderskim uśmiechem.

— Do smaku wam więc pan Ulrych? — zapytał. — Słyszę, że człek gładki i powolny? Ziemian przyjmuje poufale, na pościeli leżąc, a innych bez sądu zamyka do izbic na wałach? No i grosz z was szie lepiej niż ja, choć na mnie też krzyczeliście, zem go dużo brał, alem ja żądał na to, bym państwa przysporzył, bo dla siebie nie potrzebowałem nic i rzadko lepszą miewałem niż dziś opończę.

Potrząsnął uśmiechając się szarą swoją sukmaną. Topor słuchał, serce mu się krajało.

— Dokąd myślicie stąd? — zapytał po cichu.

— Trudno mi na to odpowiedzieć, Mieczyku — rzekł Łoktek smutno. — Gdzie oczy poniosą. Prosiłem Śreniawów, kłaniałem się Jaksom, stukałem do Toporów, zajeżdżałem do Różyców, wszędzie mnie tym, co wy, zbyto. Miłujem, żałujem, nie możemy. Słowami wilk nie tyje. Muszę innego szczęścia próbować.

— Byle nie wpaść w nieszczęście inne... Boże uchwaj! — przerwał Topor. — Około Krakowa Czechy się nieustannie włóczą.

— Wiem o tym — odparł Łoktek — ale gromadki ich niewielkie, gdybyśmy się z którą spotkali, zniesiemy ich.

Spojrzał na swoich butno, a ci mu rażno głowami znak dali, że się nie lękają.

Poczekawszy nieco Topor jeszcze spróbował.

— Miłościwy Książę — rzekł zniżając głos tak, aby drudzy go nie słyszeli. — Od lat tyłu wojujecie, nie mogliście zwyciężyć, nic uczynić — widoczna rzecz, iż to, czego pragniecie, niemożliwe. Po co się kusić?

— Mylisz się, Mieczyku! — zawołał Łoktek. — Gdy się co dziesięć razy nie uda, właśnie spodziewać się trzeba, że na przyszły raz lepiej się powiedzie. Co myślisz? Ja wojować będę do śmierci! Bóg nade mną! Prawowity król wasz musi do praw swych powrócić. Ten niewieściuch

Wacław, co się czasu burzy do kaplicy pod relikwie chowa, a od kota ucieka, ten miałby być mi straszny?

— Nie on, ale lud jego i sprzymierzeńcy — westchnął Topor.

Tego księżę już się nawet słuchać nie zdawał. Postrzegł stojącego opodal Zbyszka i skinął nań poufale.

— Stary — rzekł doń — zagrzejcie mi co ciepłego, bo w pole potrzeba. Gdy, Bóg da, siądę w Krakowie na zamku, zapłacę ci za gościnę. Kury pieją, nie wiem, drugie czy trzecie, jechać czas, ranek chłodny, co ciepłego, żywo! Dobrze, że wicher przycichł. Z gorącą stawą nierychło się spotkamy.

— Panie Miłościwy — zamruczał Topor — dopóki mrok jeszcze, do Balic bezpiecznie dostać się możecie. Sam poprowadzę Was. Spoczniecie u mnie, nikt Was szukać tam nie będzie i nie zdradzi.

— Bóg płąć! — odparł Łoktek zimno. — Spocząłem już, to dosyć, na dłuższe odpoczywanie czasu nie mam. Jechać trzeba.

Spojrzał na swoich.

— Konie niegłodne?

Jeden z ludzi skinął głową. U ognia grzało się coś w garnuszku. Zbita i Zbyszek pośpieszali. Mały pan opończą potrząsał, poprawiał ją, ociągał, na Topora zasmuconego już ani patrząc. Ten stał upokorzony odprawą, ale mówić już nie miał co, wyczerpał wszystko.

Księżę, jakby na przekorę, jeszcze mu rzucił.

— Przy zdarzonej zręczności, Mieczyku, dajcie Boskowiczowi dobrą radę, powiedzcie mu, by darmo ludzi nie męczył, posyłając w pogoń za mną. Żyw się ja schwycić nie dam. Raz mnie zdradziecko niepoczciwe Czechy porwały i do sromotnego oprzysiężenia się i podpisania zmusiły, drugi raz niedoczekanie. Jeszcze dotąd tego kawałka skóry, przy którym pieczęć moja zawisła, strawić nie mogę. Krwią bym ją zmasał to kanclerskie pisanie, w którym się im do Pragi stawić obiecałem!! A! Szedłbym ja, szedł do tej Pragi — westchnął — ale inaczej!

W kubku przyniesiono mu napój ciepły, a tuż i dworzanin przystąpił z hełmem i rękawicami, przypominając podróż pilną.

Łoktek pił, wdziewał, a oczyma Zbyszka szukał.

— Stary — odezwał się — chciałeś mi syna dać? Niech na koń siada ze mną, nie zatracę ci go.

— On i koń gotowy — odparł do kolan się chyląc Zbyszek — bierzcie go, Miłościwy Panie, bierzcie. W rękę siłę ma, ale i język w gębie nie darmo.

Usłyszawszy to księżę, z ukosa spojrzał na Topora.

— No, mam choć jednego już wojaka — zaśmiał się — dobre i to na dzisiejsze czasy. Bóg łaskaw.

Starego uderzył po głowie.

— Jakem żyw, syn twój nie zmarnieje — dodał. Ruszył się i szedł już ku drzwiom, tymczasem Marcik pośpiesznie się z matką żegnał, ojcu błogosławiącemu do kolan kłaniał, rad bardzo, że służbę sobie znalazł taką niebezpieczną, a szaloną, która mu najlepiej do serca przypadała. Szeptał mu coś na ucho ojciec, wszyscy odprowadzali do progu. Topor szedł za nim, do księcia się zbliżyć nie śmiejąc.

Na dworze ledwie szarzeń zaczynało i maleńki wiaterek zrywał się, jak to bywa nad rankiem, poruszając górne drzew gałęzie.

Maleńka kupka ludzi, otaczająca Łoktka, razem z nim, pod przewodem Marcika najlepiej znającego okolicę, puściła się ścieżką w lasy i wprędce z oczów znikła patrzącym od progu dworu.

Przez drzwi otwarte, które Zbyszek zamknąć zapomniał, chłodem wiało w izbę pustą i ogniem miało. Topor, zwróciwszy się od progu, padł na ławę zadumany. Zbyszek, który tu na łasce jego siedział, teraz dopiero ochłonawszy i rozmyśliwszy się, pomyślał, że należało go przyjąć i ugościć, aby z gniewem nie odjechał. Miarkował, że i wyprawę Marcika za złe wziąć może, jakby daną sobie naukę. Zachodził doń z boku ostrożnie, czekając, aby nań spojrzął lub sam przemówił; lecz Mieczyk długo siedział jak wryty, na ogień tylko patrząc. Z twarzy namarszczonej widać było gorycz, co serce zalała. Dopiero dzień jaśniejszy, który przez błony rybie w oknie przeglądać zaczął, zbudził starego pana z tej zadumy głębokiej. Popatrzał na Zbyszka, wskazał na drzwi.

— Pilno ci było — rzekł — syna dać na stracenie! Ciężył ci w domu? Coś to uczynił?

Zbyszek ręce rozpostarł, spojrzął ku niebu, westchnął:

— Panie mój! — zamruczał. — Trudno! Za serce nas wziął! Chodziłem z nim dawniej! Syn i tak tu próżnował. Gorzej mu nie będzie z nim, jak bywało w Krakowie, skąd często pokrwawiony przez Czechów powracał.

— Niepoprawny, uparty, nieszczęśliwy człek! — dodał Topor gniewnie. — Nie dosyć mu było lat kilkadziesiąt męczyć się, wojować darmo, nas targać, kraj niszczyć, jeszcze na zgubę leci! — Hej! hej! Nie ze Szlązakami to pod Wrocławiem się parać ani z drugimi małymi książętą! Zbyszek milczał.

— Pożegnaj się z Marcikiem — dorzucił Topor. — Oczy go twe nie zobaczą. On, on ani siebie, ni ludzi swych nie pożałuje. Poprowadzi kędyś, wpadną w paszczę...

Słowa te trafiły do przekonania matki, która płakać zabrała się po synu.

— Prawdę mówicie, Miłościwy Panie — odezwała się z kąta. — Stary mój zawsze za tym panem szalał. Gdyby zdurzał, poszedłby sam, nie mógł, to choć syna oddał. I posłał go, ot tak, na stracone imię!

Obwiniony Zbysz cofnął się do kąta, nie śmiejąc odpowiadać zonie, którą Topor popierał.

Siedział jeszcze Mieczyk na ławie, dzień się robił coraz jaśniejszy. Marucha w milczeniu garnki do ognia przystawiała, gdy znowu zawieruszyło się przed chatą. Z krzykiem i wołaniem wpadli na

podwórko Czechy, w znaczniejszej liczbie niż pierwsi, pomęczeni, zziajani. Topor podniósł się z ławy. U drzwi stawiono straż, budynki obiegali dokoła.

Ogromny drab wpadł z mieczem do izby, za nim tuż dwu zbrojnych, dalej kupa ich cała. Spodziewali się tu kogoś pochwycić na pewno; ten, co prowadził, przyskoczył zuchwale do Topora, choć z ubioru widział, iż ze znacznym człkiem miał do czynienia. Mieczyk do korda się miał, oczyma ich mierząc. Drudzy obalając wszystko i wywracając, do komory pędzili, drzwi wywaliwszy, w beczki i nasyпки tłukli.

Mieczyka otoczyła starszyzna.

— Jest ptak w gnieździe! — krzyczał dowódca. — Nie kłamali ci, co donieśli. Wyście tu z Balic na znowę do małego księcia zjechali! On tu był! Wiemy wszystko. Gdzie on?

Topor namyślał się z odpowiedzią. Zbyszek strwożony oczy sobie przysłaniał.

— Ja się przed tobą, żołdaku jakiś — zawołał Mieczyk — tłumaczyć nie będę! Wiedź mnie do Krakowa, do Boskowicza, rozmówię się z nim, po com tu przybył. Tobie wara ode mnie!

Śmiałe to odparcie niewiele pomogło, żołdactwo zuchwale niewiele na ziemianina godność zważało. Dowódca krzyknął już był, rozkazując wiązać starego, gdy ten, miecza dobywszy, zagroził, że pierwszemu, co przystąpi doń, łeb utnie.

Czesi klnąc trochę się wstrzymali, popatrzywszy na siebie.

— Pojadę z wami do Krakowa dobrowolnie — dodał Topor — ale niech się mnie nikt tykać nie waży.

Napastnicy rozmyślali, nienawykli pobłażać nikomu. Nastąpiła chwila ciężkiego jakiegoś milczenia. Topor, który nie chciał być zmuszony mierzyć się z lada jakimi ciurami, dobył spod kozucha kaletkę i rzucił im ją na ziemię.

Sam dowódca, opasły, czerwony drab, szybko się po nią pochylił, podniósł i pod oponczę schował.

— Do Krakowa musicie wszyscy z nami, wy, buntownicy! — zawołał.

Odwrócił się do bezbronnego Zbyszka i skinął na ludzi.

— Wiązać go!

Zbita poskoczyła, jakby go bronić chciała, lecz stary dał jej znak i zawodząc z płaczu odeszła do kąta. Sułę tymczasem postronkami zdjętymi z kołka skrępowano. Nie mówił nic ani się opierał.

— Syn twój gdzie? — zapytał Czech.

— Nie wiem — rzekł Zbyszek. — Toć nie dzieciak, ja go na pasku nie wodzę.

Topor spokojnie usiadł na ławie, dokoła otoczony strzegącym go żołnierstwem. Drudzy pod pozorem szukania Łoktka trzęśli cały dworek, zabierając, co pod rękę wpadło. Widząc to Zbita z

rozpaczy ręce łamała, mąż jej stał z rezygnacją starego żołnierza, dla którego to nowiną nie było. Wiedział, iż w podobnych razach opierać się, żołnierza jątrzyć, niebezpiecznie. Jak w pożarze musiano ogniowi temu poświęcić, czego uratować nie było można. Padli zgłodniali na chleb, na wędlinę, na reszty piwa, cokolwiek gdzie do zjedzenia było, resztę połcia słoniny tnąc w kawały i rozdzielając między siebie.

Marucha, Chaber, wyrostek, tulili się do kątów wylękli, aby razów uniknąć. Gdy wreszcie przebrało się jadła i napoju, krzyknął dowodzący na Topora, aby na koń siadał. Musiał on, wielki pan, ziemianin stary a poważny, słuchać ciurów i iść rad, że się od wiązania wykupił.

Gdy konia swego dosiadł, otoczyli go ciasnym kołem, aby się im wymknąć nie mógł. Zbyszka na sznurze popędzili pieszo i klnąc, a wykrzykując, zwrócili się z Łowczej wprost na Kraków.

Dworek stał ze drzwiami na rozcież otwartymi, pusty, jak by go zbójcy nawiedzili, a czeladź nierychło ważyła się z kątów dobyć, aby ze Zbitą razem rozpatrzyć się w stratach, jakie ponieśli. Gdy gospodyni z ławy się ruszyła, aby do komory zajrzeć, nim do niej doszła, kilkakroć siły ją opuściły. Wlokła się biedaczka i cofała, tak ją serce bolało; wiedziała, że z tego, co nagromadziła z taką troskliwością, mało co albo nic nie pozostało. Z progu dostrzegła całe spustoszenie: rozerwano jej płótna, pochwytano przędzę, opróżnione stały statki. Ciury obławowały się, ile podźwignąć mogły, aby mieć co na targu sprzedać w Krakowie. Czego nie dopili, nie dojedli, a pochwycić z sobą nie mogli, to stratowali, powylewali i zniszczyli. Zbita i Marucha jęczały, coraz na nowo wykrzykując boleśnie, zbierając garnków okruchy, łamiąc ręce nad kałużami porozlewane go piwa i miodów. Gospodyni kłąc zaczęła dzień i godzinę, które tego nieszczęsnego księcia tu przyniosły, bo ten był przyczyną wszystkiego. Wkrótce potem Chaber z Marucha poczęli z wolna łąd w chacie przywracać, umiatać i zbierać, co gdzie pozostało.

Zbita gorzko płakała, jeść co nie było. Szczęściem odrobina groszy gdzieś się uchowała, z tą więc musiała, dla dowiedzenia się o losie męża i kupienia choćby chleba w ławkach, iść pieszo do Krakowa.

W tydzień dopiero z zamkowego więzienia wyprosił się zbiedzony i chory Zbyszek i przywłókł do dworku. Zamiast się uradować mu, Zbita wpadła nań z wymówkami za syna, za to, co ucierpiała, co stracili — przeklinała księcia.

Siebie dawał jej bezcześć Zbyszek, lecz gdy Łoktka dotknęła, nasrożył się i najeżył.

— Słuchaj, babo długojęzyczna! — zawołał. — Na mnie sobie psy wieszaj, jako chcesz, ale na mojego pana... wara! Jeszcze ty mnie będziesz w ręce całować i błogosławić tę godzinę, co go tu do nas przyniosła!

Taką w niego wiarę miał stary żołnierz naówczas, gdy inni się urągali.

Zbita umilknąć musiała.

Znalazł się w szopce stary garnuszek zakopany, z którego Zbyszek groszy dobył i milcząc znowu małe swe gospodarstwo i zapasy na zimę opatrywać zaczął.

O Marciku, gdy raz stąd wyszedł, słuchu wcale nie było. Po okolicach na próżno szukano i uganiało się za Łoktkiem, który miał się w różnych miejscach ukrywać, ale go nigdzie nie znaleziono.

Rozdział czwarty.

Dwa lata spokojnie w Łowczej upłynęły. Zbyszek, stary, zeschły człek nie zmienił się nic ani się posunął. Od wyprawienia syna, owszem, na co matka tak narzekała, bolejąc nad straconym, życia Zbyszkowi, ochoty do niego i sił przybyło. Weselszy się stał, rozmowniejszy, a że do Łowczej mało kto zawitał, ledwie mógł wytrzymać stary dzień jaki, żeby się do Krakowa nie puścił na słuchy i zwiady. Rad się był o synu coś dowiedzieć, lecz nikt się o niego nie troszczył, wpadł jak w wodę. Za to o Łokietku, którego za zgubionego miano, urągano z niego i szydzono, coraz dziwniejsze dochodziły słuchy. W rok jakoś opowiadano, że się na Węgry udał i tam z pomocą jakiegoś Amadaja, przyjaciela swego, u którego był gościem, ściągnawszy ludzi, garść najemnika, z nią do Polski powrócił.

Ziemiańskie ramionami ruszali, gdy w Krakowie rozpowiadać zaczęto, że książę opanował *Pelczyska nad Wiślicą*, a wkrótce potem i z samej Wiślicy Czechów precz wyгнаł. Ludzie temu wierzyć nie chcieli, a w Krakowie nowy wielkorządca Frycek Szachowie wściekał się i odgrażał, wołając o posiłki do Pragi. Król Wacław stał podówczas na Węgrzech i o ludzi trudno było.

Potem jakoś gruchnęło, że Łoktek po Wiślicy Lelów opanował. Ci, co biednemu dziedzicowi korony smutną przyszłość wróżyli, poczęli kręcić głowami. Ten i ów się odzywał:

— Kto go wie? Uparty i mężny pan, gotów i Czechów poprzeganiać.

Ziemiańskie, którzy stronili od niego i chowali się, z wolna, co śmielsi, po cichu doń przystawać zaczęli, ale tak ostrożnie, aby, broń Boże, mu się noga powinie, mogli nie przyznać do niczego. Siły Łoktka rosły, z secin poczęły się robić tysiące. Rzecz niesłychana, gdy mu rycerstwa prawego i ziemian brakło, prostych ludzi po chatach brał, lud silny odziewał we zbroje i uczył się bić. Niewolników brać się nie wzdragał, włosy u niego zapuszczali, siadali na cudze konie, bo nie zważano, czyj pod ręką się znalazł, i w pole szli. Ziemiańskie kwaśno było. Myśleli, a nuż z nich porobi takich jak my? A to czerń!

O tym wszystkim słuchając w Krakowie, w szynku u Szeluty, Zbyszek, który się nie zdradzając najmniejszym słowem, w kącie siadywał, z głową spuszczoną drzemać się zdawał — gdy do dworku powrócił, opowiadał Zbicie z taką gorącością, że zawsze się potem pokłócili. Ona nie cierpiała pana tego, który jej zabrał dziecko jedyne, on w niego wierzył i pewien był, że Marcik na wielkiego człowieka przy nim urośnie. Czasem się tak daleko posunął Zbyszek, że babie milczeć nakazywał.

Drugiego roku przyleciał raz Zbyszek z wiadomością do żony, że król Wacław zmarł i że Łoktek teraz na pewno zawojuje kraj cały. Mówiono, że nie żartem ziemiańskie się doń garnęli. Syn Wacława jedyne chłopaczek był niedorosły, swawolny bardzo, hulaka, pieszczoszek, więc z nim łatwiej poczynać było. Raz opóźniwszy się do dworku, Zbyszek zbudził babę swą tryumfujący, wołając, że Marcika tylko co widać nie było, bo już w samym Krakowie mówiono, iż wojewoda, kasztelan i dużo innych znacznych ludzi do Łoktka się mieli.

Czechy coraz groźniejsi, swarliwsi, ledwie się już na zamku trzymać mieli, a w mieście Niemcy głowy tracili, nie wiedząc, komu się oddać i z kim trzymać.

Zbita na wpół już pokonana milczała, odpowiadając tylko mężowi, gdy chciał nad nią przewodzić:

— A Marcika przecie nie ma!

Był znowu prawie taki sam wieczór jesienny jak owego pamiętnego dnia, którego wspomnienie jeszcze Zbicie łzy wyciskało. Wiatr tylko jesienny szumiący na lasach daleko tak silnym nie był i tak dzikimi nie odzywał się głosami. Na ognisku płonęły drewna suche i garnki stały dokoła, Marucha siedziała z kądzielą, Zbita z założonymi rękami, Chaber strugał coś roztargniony, Kruczek zwinięty w kłębek przy ognisku spoczywał po trudach dnia, przez sen wzdychając.

Zbyszek, który się teraz niedorzecznym oddawał marzeniom i często siadywał całymi dniami, snując z nich jakieś pasma złote, patrzył w ogień, dumał, uśmiechał się sam do siebie. Patrząc nań Zbita, ramionami poruszała, litując się temu, co za nierozum brała.

Nadchodził już czas wieczerzy, gdy Kruczek, który przez cały wieczór nie drgnął, zerwał się nagle i uszy do góry postawiwszy, nie szczekając i nie burcząc, podbiegł do drzwi samych. Oczy wszystkich ścigały go, bo psisko było zmyślne bardzo i nigdy daremnie się nie poruszyło.

Wtem i koń zarżał w podwórku, a po głosie tym Zbyszek, Zbita, Chaber, wszyscy w piekle by byli poznali konia, na którym Marcik wyjechał przed laty dwoma. Zerwali się z krzykiem, jak gdyby głos młodego chłopca posłyszeli. Zbyszek o mało nie upadł na drodze, tak prędko do drzwi się chciał dostać. Chaber, Zbita, cisnęli się za nim.

Pod progiem półgłosem nucona ozwała się piosenka, którą tysiąc razy z ust Marcika słyszeli, gdy podchmielony wracał z Krakowa:

*Borem, lasem, goło, boso — Idę,
gdzie mnie oczy poniosą.*

Zbyszkwowi, który sam porwał się drąg ode drzwi odwalać, ręce się tak trzęsły, iż ciężką tę kłodę na nogi sobie puścił i ledwie mógł w czas uskoczyć, aby mu ich nie przygniotła.

W progu stał, konia za uzdę trzymając, on, on sam — Marcik! Nie widać było twarzy po nocy, ale ojciec poczuł go i ręce rozpostarł. Zbita stała tuż, nie mówiąc nic, bo słowo z ust wyjść nie zdołało, tylko jakieś łkanie radosne. Wiedli go do izby, chwytając za suknię, do ognia, żeby zobaczyć.

Zbyszek spojrzawszy o mało nie krzyknął. — On ci to był, ale co się z niego przez te dwa lata w dobrej szkole zrobiło!! Nie ten człek ociężały, obojętny, co z Krakowa, bywało, po piwsku powracał, aby się na ławie wyciągnąć, ale rycerz prawy, silny, na twarzy ogorzeliżna zdrowa, w oku żar i wesele. Na nim zbroja, choć się w niej przeglądać, świecąca, i opończa bramowana, pas mosiądzem nabijany jak złoty, miecz takiż, nóż jeszcze piękniejszy u pasa, hełm, siatkowa koszula na szyi, na rękach — wszystko nowe, piękne, jak ułał na nim leżące.

Piękny był, a stał, tak się z sobą czwaniąc, jakby mówić chciał:

— A co? Widzicie? Czasum nie zmarnowałam!

Śmiał się, otworzywszy usta, z których białe zęby wyglądały.

— Marcik! Marcik! — powtarzano dokoła.

Zbyszek do żony się odwracał zwycięski. Spełniło się jego marzenie. Takim się go widzieć spodziewał. Kruczek, do nóg mu przypadłszy, skomlił radośnie, wachał, a cieszyło się biedne psisko, jakby ludzką duszę miało. Dopieroż ścisnąć go, a sadowić, a pytać poczęto. Zbyszek napierał gorąco, ale przybyły Marcik, jakby mu czym usta zamalował — nic prawie z niego dobyć nie było można. Minę miał figlarną, trochę szyderską, coś w sobie chował, mało co przez zęby cedził.

Najpilniej było ojcu dowiedzieć się o to, skąd się tu wziął i po co, a na to właśnie on jasno odpowiadać czy nie chciał, czy nie umiał.

— Wojowało się, wojowało z naszym panem — rzekł — biedy i głodu długo zaznało. Musieliśmy uciekać, kryć się, ba i z kraju iść do Amadaja, któremu niech Bóg płaci. Ten nas dopiero na nogi postawił. Wprzód nim swoich, dostaliśmy najemnych Węgrów. Gdy nas już była kupka, poczęli się i ziemianie rozmyślać niektórzy. Ten i ów się przybłąkał, zwłaszcza tacy, co o łeb swój niewiele stali. No — i poszło. Wzięliśmy naprzód Pełczyska, poddała się wprędce Wiślica, Czechy z niej uciekły. Zabraliśmy Lelów...

Rozśmiał się ochoczo:

— Ho! ho! Teraz już my druhów mamy i żołnierzy; wojewodów i kasztelanów, gdy starego Waclawa nie stało! No! — dodał schylając się do ojca po cichu — mało co, tylko nie widać, jak i Kraków będzie nasz...

Zbyszek złożone ręce podniósł do góry, a potem ścisnąć jął syna.

— Toś ty się pewnie tylko wyrwał, aby nas starych pocieszyć, a długo tu popasać nie będziesz?

Spojrzeli sobie w oczy.

— Hm — rzekł zagadkowo Marcik. — Kto to tam wie? Mnie pan odpuścił, abym sobie trochę odpoczął.

Zbyszek odął usta, nie podobało mu się to.

— Kłamiesz — odparł rzeško — alboś ty mi wstyd zrobił! Gdybyś ty dobrym był, książę by się ciebie nie pozbył tak łatwo, bo mu teraz właśnie najlepszych ludzi potrzeba! Chybaś już co zbroił?

Marcik się roześmiał głośno i raźnie.

— Ojczulu! Niech ta Bóg broni! Pan ze mnie taki rad, że mi złote góry obiecuje! Ja u niego pierwszy, najwierniejszy sługa, ano...

Nagle urwał, jak nożem ciął, i na ławę padł.

— No... bo widzicie — dodał zmienionym głosem — mnie się po dwóch leciech trochę wytchnienia należało.

Zbyszek nie dowierzając głową kręcił.

— Jaki by z ciebie wojak był — zawołał — żeby ci się wylegiwać chciało, kiedy drudzy się biją? Gdy kto w tym życiu zasmakuje, potem w chacie dusznej siedzieć śmierci się równa.

Marcik, na wymówki ojca nie zważając, wesół był jak na przekorę. Starego ścisnął, Kruczka głaskał, do matki się uśmiechał, z Maruchy starej drwił, czy za męża nie poszła. Chabra prześladował jakąś dziewczką z sąsiedztwa, ale o sobie mówić nie chciał ani się myślał tłumaczyć.

— Jakiś czas muszę ta sobie posiedzieć — mówił do ojca. — Zatęskniło mi się do Krakowa i do świdnickiego piwa u Szeluchy albo i w ratuszowej piwnicy. Rad bym sobie trochę dawny żywot przypomnieć.

Ojcu to widocznie markotnym było. Krzywił się, ale matka, ciesząc się z tego, z dała synowi głową pokazywała, że dobrze czynił. Spodziewała się nim nacieszyć.

W smutny, cichy dworek nowe wstąpiło życie, przybyła z nim wesołość, odżyli wszyscy, Kruczek nawet, opanowany radością jakąś, wiekowi jego nieprzyzwoitą, drzazgi w zęby chwycił i bawił się nimi. Niewiele brakło, żeby własny ogon nie począł jak szczenię zaczepiać.

Widząc, że z syna po niewoli nic nie dobędzie, Zbyszek dał pokój teraźniejszości i począł rozpytywać o to, co było, i o swego najmilszego pana.

Marcik teraz ojcowskie dla niego bałwochwalstwo całym sercem dzielił.

— To mi pan! — wołał. — Takiego drugiego na świecie nie ma! Z nim bodaj na kraj świata! Żeby do piekła szedł, człek z nim bezpieczny, że się i z niego wyrąbie. Żebyście go to widzieli, gdy w bitwie pot poczuje, kiedy wodze w zęby chwyciwszy oburącz walić zacznie! Gdzie się potknie, wszystko przed nim ustępować musi.

— Jam przecie z nim bywał, i dłużej niż ty — przerwał Zbyszek. — Znam ja go. Na starość mu sił nie przybyło!

— Chyba tak! — zawołał syn. — Straszny człek maleńki. Przez mury widzi, nieprzyjaciela tropi, jakby nań patrzył, wie, kędy pójść musiał, skąd mu zachodzić, gdzie go złapać. A jak powie: Tak ma być! — stanie się wedle słów jego. Prawda! Z nim nie żartować! Zły u niego miru nie ma. Co rozkaże, sprawić musisz albo łeb dać, nie pożałuje nikogo, a jak dobry, choć do rany.

— A com ja ci o nim mawiał? — zawołał tryumfująco Zbyszek. — Takim był i takim jest.

Oprócz tych pochwał i uniesień nic już nie mogli z niego dobyć tego wieczora starzy. Powtórzył im tylko, że z nimi musi czas jakiś pozostać, a zaraz jutro do Krakowa na cały dzień.

Zbyszkowi i to nie w smak było.

— Po co do Krakowa — zamruczał — biedy pytać? Czechy się teraz lada czego boją, ludzi wszelakich na oku mają. Nie .bez tego, żeby nie wiedzieli, gdzie i z kim bywałeś? Zobaczą, zwąchają, gotowi pochwycić i uwięzić.

Marcik głową trząsał.

— Nie wezmą mnie — rzekł. — Jam też nie głupi w oczy im leżę. Kraków znam jak moją kieszeń, ludzi tam przyjaznych znajdę, wiem, kędy chodzić, a pójść tam muszę. Gdyby mnie najrzeli, a spytali? Powiem, zem na Szląsku bywałem i służyłem tam. Nic mi nie uczynią. Popoję ciurów i wyłgam się.

I powtórzył z naciskiem:

— Bo do Krakowa, gdyby jak, muszę, muszę. Wieczora tego i nocy później do snu się im kłaść trudno było. Co się już zaczęli zbierać do spoczynku, rozpoczął jeden, zagadnął drugi, ozwała się matka i już przerwane gadanie na nowo się zawiązywało. Nad rankiem dopiero znużeni legli, piwa dużo grzanego wypiwszy. Dzień był około połowy, gdy ciężko potem śpiący Marcik się przebudził. Obiad starzy bez niego zjedli, bo znużonego i kamiennym snem odpoczywającego budzić nie śmieli. Oczy przetarłszy, gdy wstał Marcik, a zobaczył, że tak późno było, markotno mu się stało. Począł Chabra łajać, że go zawczasu nie budził, bo mu się dzień miał zmarnować. Co było robić? Do misy usiadł i póki się nie pożywił, konia nie opatrzył, nie osiodłał, sam się nie przyodział, był już wieczór prawie. Przecież do miasta na gwałt się wyrwał, choć ojciec odradzał, bo czas był nie po temu.

— Późno jest, ale muszą — powtarzał Marcik uparty.

— Chyba dziś nie wrócisz? — pytał ojciec.

— Wrócę albo nie, nie wiem, a zajrzeć tam mi potrzeba.

Matka dopiero grożąc mu bąknęła, że już chyba ową Gretę Niemkinię zobaczyć chciał tak pilno, o której dawniej często prawił, że się w niej srodze miłował.

Rozśmiał się Marcik.

— Czemu nie? — zawołał. — Choć z nią przez dwa lata dużo się stać mogło, dziewczka była wesoła, niecierpliwa, piękna, ojciec bogaty, pół domu za nią dawali i jatkę, poczekawszy i więcej!! Swatali się do niej Czechy, Niemcy i gawiedź różna, a jam jej zawsze mówił, że ja bo cię muszę mieć. I tak się stanie! Jeśli ją za mąż wydali, męża gotowem ubić!

Mówił śmiejąc się, ale widać było, że mu ta Greta na sercu leżała.

— Srodze mi się za nią tęskniło! Żeby choć w te ślepie jasne zajrzeć, co mi się czasem śmiały!

— A co ci po Niemce? — ofuknął ojciec. — Żeby najpiękniejsza była, tak samo jak Żydówka, inne plemię, sprośna rzecz o tym myśleć.

Marcik śmiechem na dobre wybuchnął.

— Co zaś! — wykrzyknął — niewiasta, gdyby poganką była, chrzci się pocałunkiem, gdy hoża, a miła, ja z niej zrobię pokochawszy, co zechcę!! A tę Gretę muszę mieć!!

Zbita przeżegnała się i poczęła syna strofować, ale to nie przystawało do niego. Marcik, żołnierz, który już nieraz miast dobywał, a w zdobytych grodach pochwycawszy dziewczynę, byle hożą, nie pytał, jakiej krwi była, lekce sobie ważył, co rodzice mówili. Znać w nim było jednego z tych zapamiętałców, za których niegdy w Poznaniu pokutował Łoktek i chodzić musiał potem do Rzymu, tak srodze w klasztorach żeńskich dokazywali.

Z tej strony znał Zbyszek syna, ale miał też może co na sumieniu, na starość nie chwając się z tego, i pierwszy zamilczał.

Pomimo rady rodziców, Marcik pod wieczór wybrał się do miasta. Ci dopiero go odzyskawszy, gdy im znikł z oczów, posmutnieli bardzo. Nie tał przed żoną Sułą, że się o syna obawiał. Czechy były złe, podejrzliwe, okrutne, Niemcom też wierzyć nie można było, a kto wie, czy i swoim, których się tam wiele różnych znajdowało.

Rodzice potem długo na Marcika czekali, kury piałły jedne i drugie, dopiero nade dniem powrócił. A choć w drodze piwo miał czas wydychać, jeszcze znać było, że u Szeluty gościł długo. Dopiero gdy go zobaczyli, że z dobrą myślą powracał, śmiejący się, podśpiewujący, odetchnęli starzy.

Marcik się zaraz obrócił do matki.

— Matuniu — rzekł — a tom ci moją Gretę widział, choć daleko pono do tego, aby moją była, ale musi być! Nic nie pomoże! Miała już pono męża, którego jej, chwalić Boga, ubito na *Okolu* w browarze, przy zwadzie... Ojciec jej zmarł, owdowiała, wypiękniała, pani sobie!! Jeszcze śliczniejsza, niż była, ale bo też nie wiem, czy ma lat dwadzieścia!

— Co ci po niej? — odparła matka. — Nie pójdzie za cię bogata mieszcza ani ty się z jej ławką ożenisz.

— Eh! Ożenię się, nie ożenię się, tego ja nie wiem — rzekł rażno Marcik — przynajmniej z nią wczasu zażyję. Uśmieję się, żartować z sobą daje, a choćby człek i pozwolił sobie, nie pokąsa. Nic mi po niej, prawda, a przecież na upór ją miłuję i musi być moja!!

Ojcu się to płoche gadanie przykrzyło, zagadał, że dobrze, iż go tam Czechy nie pochwycili, na co Marcik ręką pogardliwie machnął.

— Czechy! — rzekł — niedługo ino patrzeć będą, aby się sami stąd cało dobyli. Zacznie im wprędce być ciasno.

Marcik, przez drogę wygłodniawszy już, prosił, aby mu się pożywić dano, nimby się spać położył. Dopytywali go rodzice ostrożnie, co porabiał w Krakowie.

— Jeszczem nic nie poczynał, bo się trzeba rozpatrzyć — rzekł przybyły. — Mało kogo widziałem, z niewieloma mówiłem, bom trochę u tej wdowy zagrzął i zasiedział.

— Ano, pokój byś dał tej przekłętej Niemce — burknął Zbyszek — jak by mało innych było. Rozpusta to i nic więcej, a u niej cię Niemcy lub Czechy przydybawszy potłuką jeszcze.

Marcik lekce to sobie ważył.

— Nie mają za co się rwać do mnie — rzekł. — Każdemu przecie z hożą niewiastą pocziwie się rozmówić wolno. Ta wdową jest, nikt do niej nie ma nic, pani sobie. Spotkałem u niej Niemców dosyć i różnych ludzi — radzi mi byli!

Rodzicom się to dziwnym wydawało, lecz Marcik teraz u nich coraz więcej na powadze zyskiwał. Pomyśleli, że wie on, co robi.

Nazajutrz, choć późno spać poszedł, wstał Marcik do dnia, obudzić się kazawszy Chabrowi. Konia osiodłał zaraz i jakby mu pilno bardzo było, ledwie się posiliwszy, znowu ruszył do miasta.

Ojciec z tego pośpiechu i milczenia dorozumiewał się, że musiał mieć coś ważniejszego do czynienia, niżeli dawną znajomą Gretę nawiedzać. Pytać zaś go nie śmieli, gdyż mówić nie chciał, zatem nie mógł. Znali go z tego, iż rad się wypaplał z tego, co miał w sobie, gdy mu było wolno, więc gdy usta miał zawarte uparcie, nie musiało to być bez przyczyny.

Zbyszek zmianę wielką upatrywał w synu po dwóch latach niewidzenia. Straszniejszy był, bystrzejszy, doświadczenia nabrał, a nawet z powierzchowności już na lada jakiego ciurę nie wyglądał. Odzieży z sobą w sakwach przywiózł dosyć i pięknej, choć nie wszystka była do jego miary i na wojnie gdzieś musiała być poodzierana. Naówczas nikt tych zdobyczy za złe nie miał, bo żołnierz, zwłaszcza niepłatny, łupem żył, brał go, gdzie mógł, i chlubił się tym, nie wstydził. Kaletę też miał Marcik nabitą dobrze, którą ojcu do schowania dał, szerokich groszów praskich z niej rodzicom coś zaofiarowawszy. Matce dostał się też i łańcuszek złoty niczego i kolce gdzieś na wojnie zdobyte. Rodzice dumni byli tym synem, który powiadał ciągle, jak wielkie u księcia łaski miał. Zbyszek odgadywał, że może nawet przez niego do Krakowa na zwiady był wysłany. Zdało się to i tym potwierdzać, że jakkolwiek chciałby być doma spocząć, powracał późno i nazajutrz rano nazad do Krakowa spieszył. Trwało tak z tydzień może, rodzice się uspokoili, że w Krakowie mu nic nie grozi, kiedy sobie tak śmiało poczyna, gdy jednego dnia nocą powróciwszy Marcik ojca wziął na rozmowę do kąta.

— Słuchajcie no — rzekł. — Może się tak złożyć, że do mnie tu kto z Krakowa dla pogadania przybędzie. Prawda, nie mamy ani gdzie, ani czym przyjmować tak bardzo, ale się na to nie patrzy, byleśmy sami, swobodnie mogli rozhówr prowadzić. Ja z rana ruszę jeszcze stąd, z południa może z kim wrócę. Niemców kilku z Krakowa nadciągnie. Niechby się matka postarała choć o kołacz, ser i piwo, abyśmy wstydu nie mieli, głodnych odprawiwszy.

Zbyszek się trochę w głowę poskrobał, mając na pamięci, jak go Boskowiczowi ludzie razem z Toporem chwycili i pędzili, jak go potem więziono. Obawiał się, aby coś podobnego nie przytrafiło się znowu. Domyślał się piskiu jakiegoś.

Marcik, dorozumiawszy się tego, wesoło ojcu zaręczył, że strachu żadnego mieć nie powinien. Zbita, choć niechętnie, poczęła myśleć o tych gościach zapowiedzianych, lamentując tylko, że ją przy ubóstwie na srom narażano. Z Marcikiem się jednak nie sprzeczała, trzeba go było słuchać, czuli, iż przez niego sam pan im rozkazywał.

Jak tylko zaświtało, Marcik już był na koniu i zniknął. Wymieciono chatę, okryto stół, z miasta Zbyszek przywiózł, co mógł dostać, gotowano się z piwem i miodem, z kołaczami białymi i z mięsem dla gości. Z południa zarżał koń Marcika i z nim razem wszedł do izby człek sucherlawy, więcej do klechy niż do rycerza podobny, nieosobliwie zbrojny, przygarbiony, z oczkami małymi, które przymrużał, gdy chciał co zobaczyć. Niemłody już był, nieprzystępny jakiś, niezręczny i nienawykły pewnie ni do podróży, mi do ludzi nowych, jakby się zasiedziały gdzie i niewiele ruszał. Choć odzież na nim zamożnego bardzo nie oznaczała, Marcik go z uszanowaniem takim wiódł i sadził, a on też miejsce pierwsze tak sobie za należne przyjmował, iż Zbyszek się w nim znacznego kogoś domyślił.

Posadzono go na ławie. Gość wcale jakoś do rozmowy ochoty nie okazywał, oczki przymrużał, chrząkał, paska poprawiał i czekał. Zbyszek przysięgłby był, że to kawał klechy, gdyż u nóg mu

ostróg brakło, a miecz przy nim wisiał, jak by nie wiedział, co z nim robić. Częstoowano go piwem, odmówił, maleńki tylko kubek miodu i chleba białego kawałek przyjął, a z tymi się pieścił, do jedzenia i picia nie okazując wielkiej ochoty. Kilkakroć na Marcika niespokojnie wejrzał, ten go za każdym razem uspokajał szeptaniem i za drzwi chaty wysuwał się nasłuchiwać i wyglądać.

Doczekano się wreszcie gości z Krakowa, którzy wozem przybyli. Tych, chociaż odzież była skromna, Zbyszek, który często około ratusza i po rynku się przechadzał, a ludzi ważniejszych w mieście znał, bo mu ich nieraz palcami pokazywano — poznał w nich bogatszych mieszczan, kupców i rajców miejskich, Pawła z Brzegu i *Żurdmana z Pisar*.

Pookrywali się byli na drogę starymi płaszczami, czapki pobrali wyszarżane, lecz gdy ich do izby wprowadzono, spod wierzchnich szat ukazały się dostatnie i czyste, jakie ludziom zamożnym przystały. Przyodziani byli niemieckim obyczajem, broni nie mieli, tylko obuszki w rękach, a noże u pasa.

Paweł z Brzegu, Szlązak dawno osiadły w Krakowie, tuszy był okazałej, twarzy krągłej, świecącej, oczu wypukłych; Żurdman więcej Szwaba przypominał płaską a wyrosłą postawą, nogami szerokimi i jak pletwy kaczki rozpostartymi. Oba, z pewną obawą wszedłszy do dworku za Marcikiem, pociągnęli ku ławie, u której ich już czekał pierwej przybyły człeczek z oczyma przymrużonymi. Wnet syn, niewiele myśląc, wszystkim, ojcu i matce nawet, z chaty się wynosić kazał, aby ich samych zostawiono. Co też spełniono. Zamknięto drzwi i Marcik sam tylko stanął ich pilnować. Pawłowi z Brzegu i Żurdmanowi milczącego człeka ukazał Marcik jako *sędziego Smiła*.

Jak czasem w lesie psy i zwierz, gdy się zetkną z sobą niespodzianie, długo na się patrzą, zęby sobie pokazując i siłę swą starając się zmierzyć, tak chwilę pewną krakowscy goście i sędzia Smił przypatrywali się sobie milcząco. Dopiero Marcik niecierpliwym zagaił.

— A co, panowie rajcy — jakby to o przyszłych losach miasta się pogadało?

Ostrożny Paweł, otyły, przebąknął.

— Czy tylko czas o mieście mówić, kiedy nad nim w zamku, choć wygorzałym, Czechy siedzą jeszcze i trzymać się myślą?

— Tak jest — dodał Żurdman — miasto samo nie da sobie rady, póki sprawa króla Wacława się nie rozwiąże. — Czech jeszcze mocny jest.

Smił sędzia ze słowami też okazał się ostrożny, nim je z ust puścił. Żuł je wprzód długo, nim rzekł półgłosem:

— Miasto przecie nie będzie samo, gdy ten pan, co już Czechów ze znacznej części kraju wygnał, stanie u bram, a sprawę miejską za swoją weźmie.

Rajcy milczeli oglądając się.

Rozmowa jak bryła lodu potrzebowała czasu, by powoli roztając mogła i płynąć. Patrzono na się z niedowierzaniem.

Wybąknął Paweł, iż miastu należały przywileje Leszka Czarnego, aby je potwierdzono, iż ono musiało mieć swój rząd, sąd, własne prawa, bez których oni się ostać nie mogli. Smił temu nie

przeciżył, lecz szeroko o tym mówić jakoś nie chciał. Wtedy Żurdman dodał, iż oni pierwszymi być nie mogli, ale ostatnimi nie będą; że na gwałt przy Czechu trzymać się nie chcą, ale pierwsi go nie zdradzą, bo jeszcze by mścić się miał czas, a silny był. Paweł syknął, ośmielając się przeciw Czechom, że oni zbyt wielkich opłat od miasta wymagali, nakładali nań ciężary i surowymi się okazywali, że na Okolu zakładali miasto nowe, powoli je łącząc z zamkiem, co groziło miastu starymu, które samo sobą być chciało. Z zamkiem ono nic wspólnego mieć sobie nie życzyło, oprócz wierności księciu czy królowi. Z naciskiem to mówił takim, jakby chciał dać poznać, że do Czecha się nie przywiązali, bo ich uciskał, a i do innego się nie przywiążą, gdyby im też chciał odejmować swobody.

Smił słuchał z uwagą.

Rajcy twardo przy tym stali, że gdy Czechy osłabną, oni się opierać nie będą, ale dla Łokietka pierwsi poczynać nie mogą. Dopiero sędzia, zabrawszy głos, wielkie im łaski zapowiadać począł i nowe nadania. Na to Żurdman rzekł, iż radzi je przyjmą z wdzięcznością, byle tylko zbyt drogo ich opłacać nie przyszło.

Pierwsze to zetknięcie się wysłańca książęcego z miastem Krakowem nie przyniosło żadnego skutku, krom że się wzajem wybadano. Sędzia Smił chwalił pana swojego Władysława, obiecywał wiele; tamci przebąkiwali coś, nie przyrzekali nic, chcieli za drugimi pójść, ale naprzód wrywać nie przyrzekali. Rozmowa ostrożnie prowadzona trwała bardzo długo. Marcik niecierpliwy to jedną, to drugą stronę coraz jakim słowem popychał, aby do końca doprowadzić umowę. Smił i rajcy udając, że nie słyszą, półgębkiem pomrukiwali.

W ostatku otyły Paweł i płaski Żurdman, spojrzawszy na się raz i drugi, wstali z ławy i dosyć uprzejmie pozdrowiwszy sędziego, ku drzwiom się mieli.

Smił ich nie zatrzymywał, a Marcik dopiero za progiem, gdy na wóz włązili, począł im żywo wymawiać, iż nie chcieli nic sprawić i darmo go zwiedli.

— Ależ pilnego nie ma nic — odparł Żurdman. — Przecie tyleśmy zyskali, że wiemy z jednej i drugiej strony, czego chcemy i czego spodziewać się możemy.

Wtem woźnicy kazali nazad do miasta.

Smił milczący siedział za stołem. Marcik do izby powróciwszy, choć z uszanowaniem do sędziego się zbliżył, zapytał go kwaśno, czemu Niemców większymi obietnicami nie starał się pozyskać. Klecha potrząsł głową.

— Lepiej, żeby Niemcy wielkich się od nas rzeczy nie spodziewali — rzekł sucho. — Pan nasz około siebie drugiego pana nie ścierpi.

Marcikowi po żołniersku zdawało się, że można było obiecywać, aby za łeb wziąć, a wzięwszy za łeb niekoniecznie dotrzymać. Smił inaczej myślał i za daleko iść nie chciał.

— Gdy ziemian i ziemię mieć będziemy — dokończył — przyjdą oni sami prosić się do nas, a płacić drogimi przywilejami za to, co bez nich wziąć można, nie warto!

Rozdział piąty.

Noc była, a choć niebo wypogodzone iskrzyło się gwiazdami i księżyc pełni bliski sypał na ziemię światłem srebrzystym, w mieście wśród ścian, płotów, dachów, murów — gdziekolwiek nie padły białe jego promienie — tym głębsze panowały ciemności. Światło księżycowe na to przeznaczone się zdało, aby zwiększało mroki. Ostro odcinały się kawałki ścian gliną lepionych, na które blask padał, od pogrążonych w zimnych i czarnych cieniach nocy.

O wczesnej naówczas godzinie wiertelnicy i ich stróże wywoływali gaszenie ogni i zamykanie domostw, a razem z mrokiem poczynały w mieście krążyć piesze zbrojnych pachółków warty, nasłuchując pod niektórymi domostwami, czy wrzawy nie usłyszą, bójki jakiej nie napatrzą. Oprócz nich mało już kto ważył się w ulicę. Bramy miejskie były zamknięte. Przesuwali się tylko pod ścianami złodzieje i nocni łotrzykowie lub opóźnieni w szynkach i browarach, do domu powracający opoje.

Główne miasta ulice widok przedstawiały malowniczy i dziwaczny. Gdziekolwiek stały z wysokimi dachami domy, a obok nich nie zabudowane dworzyszczka, wśród których za parkanami kupy kamieni i drzewa przygotowane leżały. Dalej były i niskie chatki poprzedzielane ogrodami i drzewa podnosiły się nad parkany, z obleciałymi już z liści gałęziami. Wśród domostw drewnianych tu i owdzie wyrastały i mury poczętych kościołów lub klasztorów, w większej części jeszcze rusztowaniami pootaczane; wyżej podnosiła się kwadratowa wieżyca ciężka, kamienica biała, kawał muru i drewniane ściany.

Ulica, niby równo wytknięta, wyginała się jednak w miejscach wielu, to zwężając, to rozszerzając, a wśród niej widać było, gdzie padały promienie księżyca, powybijane głęboko koleje, kałuże pozarzucane chrustem lada jako, doły, kamienie i ślady kół wozów ciężkich. Na jednej połączy ulicy, oświetlonej księżycem, rysowały się wyraziście ganki wyższych domostw z załomami głębokimi i wystającymi rzeźbami, słupy podsieni, pozapierane szczelnie okna jatek i mieszkań i owe stolnice do ścian przyparte, które we dnie do sprzedaży służyły. W innych dworkach, gdzie cień padał od szerokiego okapu, okiennice nieszczelne przepuszczały złotymi paskami nie pogaszone światła wewnętrzne. Od strony przyciemnionej światło to czerwone kładło się aż na ziemi i pogarbione na gruncie nierównym jak wstęgami przerywało mroki. W półcieniach zlewało się wszystko w jedną masę szarą, wśród której ledwie wyraziście pobielone murów kawałki wychodziły. Wśród ciszy głębokiej, panującej w ulicach, po drogach i placach wyludnionych, z domostw niektórych załatywały okrzyki i głosy stłumione, lecz, jakby się lękały zdradzić nawet, przycichały. Szmerem tylko różne rozeznac było można wśród głuchego milczenia nocy. Błędne psy bezpieczeństwa z nosami powieszanymi wietrzyły po śmietnikach kości; kupy ich zalegały kąty, bo gospodarze nie bardzo się troszczyli o ich uprzątnięcie. Stuknięcie drzwi, skrzypienie wrót ciężkich, pisk wietrznika na dachu, szczekanie podwórzowych stróżów zdradzało, że nie wszystko spało jeszcze.

W Rynku ciszej było niż gdzie indziej, krom piwnicy ratuszowej, która, choć już niby zamknięta, pełną jeszcze była przypóźnionych, w niej poufałych gości. Około długo wyciągniętych kramów i kupieckiej gospody nocne stráže snuły się nieustannie, grzechotkami dając znać o sobie. Na niebie mury rozpoczętego kościoła Panny Marii, przy których, jak w większej części innych budowli, ciężkie rusztowania stały, ściany ratusza i kilka wyższych kamienic dokoła ciemno się zarysowywały. Miasto, na pozór śpiące, w istocie jak żółw w skorupie z życiem swym we wnętrzu się kryło. Stráže, co się snuły po kwartałach, przystając niekiedy, nasłuchując i przypatrując się, najlepiej wiedziały o tym. Nie łudziło je to milczenie przymusowe, znali oni mieszkańców każdego

domu i wiedzieli, gdzie się co ukrywać mogło. Około niektórych budowli zakradali się ciszej, przysuwali do ścian, przykładali ucho do okiennic i czekali, czy podejrzanego nie posłyszają głosu. Czujne ich uszy czyhały tylko na okrzyk jaki, wołanie o ratunek, jęk stłumiony lub stukot gwałtowny, aby wpaść do domu i pochwycić winowajców.

Połów każdy był im pożądanym. Szczególniej gdzie stały łaźnie, gdzie były szynki, gdzie przy licznych browarach sprzedawano piwo, nasłuchiwali miejscy pachołkowie i dowódca, który ich prowadził. Gdy powolne a ciężkie kroki ich i chrzęst żelastwa, którym byli okryci, dały się słyszeć z dala, widać było wśród mroków przemykających się ludzi nocnych, co się im w ręce popaść lękali. Kryli się oni w najciaśniejsze zaułki, zwane kątami, przytulali do parkanów, a niekiedy szukali bezpieczniejszego schronienia po cmentarzach, otaczających kościoły.

Największa różnorodność budowli czyniła miasto, po księżycu widziane, obrazem, wśród którego połamanych linii i zagłębień gubiło się oko i błąkało, nie mogąc dojrzeć nic, oprócz pstrej szachownicy światła i cieni. Obcy przybysz niełatwo by tu znalazł drogę. Miejscami zdawały się urywać ulice, kończyć miasto, wieś rozpoczynać, wtem nagle wyrastała jak wyspa czarna kupa budowli i murów lub kościół murem opasany. Domostwa nawet sznury pól i zagonów przedzielały. W środku miasta ściśnięte domy im bardziej odbiegały od tego ogniska, tym rzadsze siedziały i bardziej osamotnione.

Około Mikołajskiej bramy szczególnie uderzało domostwo jedno, które o lepszą nawet z ratuszem iść mogło. Stało ono, podnosząc się dosyć wysoko; znaczniejsza część jego z grubego muru, jakby w skale zdała się wykuta. Po rogach półbaszty nadawały mu do zamczyska podobieństwo. Ze wgłębień, w których małe okienka poumieszczone były, rozeznawało się łatwo, jak potężne rozmiary miały ściany. Od ulicy ogromna ława kamienna biegła pod domostwem całym, której wyslizganą powierzchnię księżyc jak śniegiem obsypał swym blaskiem. Jedyne drzwi wiodące do wnętrza, całe opancerzowane żelazem, nabite gwoździemi, z zamkiem floresami misternymi okolonym, obronne były jak wrota twierdzy. Przy nich dwa kamienie wgłębione do gaszenia pochodni służyły. Dom u dołu, pod lawą, miał okna tak gęstymi kratami obwarowane, że światło dzienne przez nie mało się do wnętrza wdzierać musiało. U góry okienka też wąskie, pozaokrągłane w górze, okiennicami z wewnątrz poprzysłaniane były.

W jednym rogu gmachu tego coś jak poczęta wieżyca kwadratowa podnosiła się na dach, ale zdawała się nie skończona i płasko tylko przykrywały ją deski i rusztowania. Od domostwa głównego, panującego nad miastem dumnie, mury grube i wysokie sunęły się, opasując podwórca. Do nich przypierały szopy i drewniane kłecie. Dworzysko to wyniosłe, mocno stojące nad grodem, w istocie nad nim panowało. Było to mieszkanie dziedzicznego wójta miasta Krakowa, który tu dzierżył władzę najwyższą, pobierał dochody, rządy i sądy miał w ręku, a był jakby udziałnym księciem niemiecko-polskiego mieszczaństwa stolicy, nie bez wpływu na inne grody.

Albert, teraźniejszy **wójt krakowski**, a można było powiedzieć pan Krakowa, po ojcu już odziedziczył tę władzę, a sprawiał ją, nie mając ponad sobą nikogo, oprócz prawa niemieckiego, którego sam był tłumaczem. U boku jego stali rajcy miejscy i ławnicy, na których wybory wpływ miał stanowczy. Rodem był Niemiec, jak najznacniejsza część nowych osadników odradzającego się po tatarskim zniszczeniu miasta-stolicy. Musieli się z nim rachować panujący, ujmując go sobie, bo i siłę zbrojną miał na zawołanie w mieście i bogactwo wielkimi, miejskimi i własnymi rozporządzał, a znaczenie miał równe wielkorządcy na zamku. Na zamku siedział książę lub namiestnik jego, w grodzie tak samo wójt. Był to pan możny i mocen; czuł się też tak silnym, że na równi stawał z najdostojniejszymi, a nie ustępował nikomu.

Domostwo wójtowe mogło i książąt przyjmować, a na owe czasy wspaniałe było jak książęcy zamek. Z kupieckiego wyszedłszy stanu, handel mając na wsze strony otwarty i ułatwiony, wójt Albert miał sposobność we wszystko się zaopatrzyć, czego owe czasy dostarczyć mogły do wygod i wytwornego życia. Dostatki dozwalały mu, a urząd nakazywał, żyć po pańsku. Rodzaj dworu dosyć liczny otaczał tego królika miasta, który miał swego kanclerza, notariuszów, podkomorzanych, komorników, czeladź mnogą i strażę.

W późnej godzinie dnia tego płaszczem okryty mężczyzna otyły, krągły, toczący się jak baryłka, podchodził do małej furty bocznej domostwa wójtowego i uderzył w nie kilka razy.

Wrótny, który miał izdebkę u wnijscia, otworzył zaraz, ogarek niosąc w ręku i rozpoznawszy przybysza, a powitawszy go dosyć uniznienie, choć z pewną poufałością, powiódł go świecąc na małe wschodki ciasne, kamienne, które w grubej ścianie jakby wykute były. U góry znalazły się drzwi drugie, do których też zapukać było potrzeba; te otworzył wyrostek jak paź ubrany, pięknej twarzy chłopak strojny. Zobaczywszy przybywającego, powitał go po niemiecku z rozjaśnioną uśmiechem twarzą. W małej izdebce, do której wchodziło, z pułapem grubymi, rzeźbionymi belkami na kwadraty podzielonym, nie było nikogo. Pacholę wiodło gościa dalej. Parę wschodków w dół i ciasną sionkę przeszedłszy znaleźli się u drzwi, którymi wpuszczono przybywającego do komnaty obszernej, z pułapem ozdobnie belkowanym. Ogień się palił i światło jasne odbijało się na bogatych jej sprzętach. W środku stał właśnie, jakby oczekując na przybywającego, mężczyzna w czarnej, długiej sukni zwierzchniej, w krótszej pod spodem, łańcuchem przepasanej, z pańską postawą dumną, z twarzą surową i brwiami rozrostłymi najeżoną.

Był to wójt dziedziczny miasta Krakowa Albert. Znać w nim było, że się tu czuł panem, nawet z powitania gościa, który mu się nisko pokłonił, a ledwie skinieniem głowy i półuśmiechem był wynagrodzony.

Twarz pana wójta, mimo tej powagi i dumy, miała w sobie coś niespokojnego, czego pokryć obojętnością nie umiała. W tej chwili może nie czuł się tak silnym, jak okazać pragnął. Puszył się też tym mocniej. Rysy twarzy dosyć regularne już wiek dojrzały i życie znacznie poszczerbiło. Około oczów gromadziły się zmarszczki i fałdy, przy ustach pozapadały policzki, na czole występowały naprężone żyły. Ognia jednak i żywości było jeszcze dosyć na tym obliczu namiętym, energią wielką napiętnowanym. Patrzył bystro, tak jak by mógł z samego wnijscia i twarzy gościa wyczytać, co przynosił.

Izba, w której się znajdowali, była razem sypialnią wójta i jego ulubioną komorą. W rogu stało łóżko rzeźbione, ze słupkami i zasłonami jedwabnymi, a na nim pościel miękka i wygodna już do spoczynku leżała przygotowana. Na stolyczku u wezłowania złocisty dzban i takiż kubek zawierał napój do poduszki (*Schlafrunk*). Na drugim, większym stole stał krzyż, leżało ksiąg parę, kilka zwitków pergaminowych z przywieszistymi pieczęciami i drobny sprzęt różny. Szafa rzeźbiona, police także ozdobne, ławy poduszkami powyścielane, świecznik u pułapu mosiężny, opony na ścianach wzorzyste, wszystko to opowiadało o bogatym panu, który sobie niczego odmawiać nie potrzebował. Zdjęty przed chwilą łańcuch ciężki, złoty, leżał na skraju stoła.

Przez wąskie drzwiczki, otwarte w głąb domu, widać było ciemne przejście do dalszych izb, słabo oświetlonych. Cisza panowała w mieszkaniu, ogień tylko pryskał. Dwaj Niemcy spojrzeli po sobie. Wzrok Alberta pytał.

Otyły przybysz z krągłą twarzą lśniącą, Paweł z Brzegu, przybliżył się z wolna ku niemu.

— Cóż dobrego przynosicie mi? — zapytał wójt, krok także naprzód występując.

Paweł z lekka poruszył ramionami.

— Dobrego nic i nic złego — rzekł z wolna. — Jeździliśmy z Żurdmanem na zwiady. Chcieliby miasta dostać, nie potrzebując go zdobywać.

— My byśmy też radzi szturmu uniknąć — odparł wójt. — W żadnym razie nie godzi go się wystawiać na zdobycie i rabunek. Łoktkowych ludzi znamy!

— Ale Czesi na zamku jeszcze — mówił Paweł głową kręcąc. — Chcąc się od szturmu Władysława ratować, moglibyśmy na łupieską wycieczkę Czechów się wystawić, toteż powiedzieliśmy mu...

— Któż był? — spytał Albert. — Sędzia Smił...

Wójt skrzywił się nieznacznie.

— Obiecuje on wprawdzie uroczyście, że wszystkie prawa nasze potwierdzone zostaną — mówił Paweł — lecz nie ochotnie, jakby z musu. A patrzy koso.

Wójt przeszedł się po izbie parę razy.

— Waclaw i Czesi ciężęć nam zaczynają — rzekł powoli. — Z tego, co na zamku słyhać, co z kraju wieje — być może, iż oni się tu nie utrzymają. Waclaw ma zanadto wiele spraw na młodej głowie. Ziemiań sobie naraził. Łoktek szalony jest i śmiały, może wziąć górę! Ha! Nie cieszyć się nam z tego, ale z musu znieść trzeba... Wolelibyśmy książąt śląskich widzieć na Krakowie niż tego małego włóczęgę, który w swe żelazo wierzy, nie poszanuje nic. Z nim z czasem gorzej nam być może niż z Czechem. Nie ma pieniędzy, wiecznie ich potrzebuje, nienasycony, a obcych i Niemców nie cierpi. Tak, pewnie, Szlązak każdy byłby od niego lepszym, ale ci się ważyć nie zechcą, a Władysław ziemiań już sobie zjednał.

— Poszli więcej ze strachu niż z miłości dlań — szepnął Albert. — Jego jedno chyba rycerstwo miłuje, a u niego żołnierz pierwszy. Księża się go boją. Biskup nasz bardzo się nań krzywi. Ten tak myśli, jako my i z nami trzymać będzie.

— Tak — powtórzył Paweł — Szlązak by lepszy był, ale Władysław męstwem i rzutnością ubieży innych. Co robić!?

— Dobrze ważyć trzeba, jak postąpić — rzekł Albert. — Poddamy się, gdy będziemy zmuszeni, radzi nieradzi. Miasto ocalić potrzeba.

Chwila długiego milczenia nastąpiła, czasu której Paweł z nogi na nogę przystępował, a Albert chodził i w ogień patrzył.

— Umowy nie było żadnej?

— Na tym skończyliśmy — rzekł Paweł z Brzega — iż pierwsi nie chcemy być, ale i ostatni nie będziemy.

— Dobrze! Powtórzyliście im słowa moje — przerwał wójt. — Wkrótce rozwiązać się muszą wątpliwości, szala się przechyli.

I znowu po przestanku i dumaniu począł:

— Na zamku złe jakieś wieści mieć muszą, ale tają się z nimi. Czytam im to z twarzy, kłamią przede mną. Głosili wprzód, że młody Waclaw idzie już z wojskiem potężnym. Umilkło coś o tym. Twarze zasępione i chmurne. Wiem, że z Ołomuńca przybiegł goniec jakiś, ale go zamknęli. Ten pewno nic nie musiał przynieść im dobrego.

— Tajemnica ta, jeśli jaka jest, nie uchowa się długo — dodał Paweł. — Nie poczekamy na to.

Rozmowa przeciągnęła się jeszcze i przeszła na miejskie sprawy. Paweł w końcu pożegnał wójta, który jak księżę udzielnemu urzędnikowi głowy skinieniem tylko na pokłon odpowiedział.

Za drzwiami znowu pacholę czekało na gościa, który tąż samą drogą, jaką wszedł, wrócił do izdebki odźwiernego i na ulicę. Wolniej oddychając po zdaniu sprawy z poselstwa, krokiem mierzonym posuwał się Paweł ku domowi. Zamyślał się jednak, stawał, ważył, przypominał i niezupełnie zdawał uspokojony. Ten sam wyczekiwania trwożliwego stan dawał się postrzegać w całym mieście.

Na spalonym zamku, który Czechy zaledwie odbudowywać, a raczej klecić poczynali, ruch nawet nocą widać było niezwykle. Dolatywały stamtąd wrzawa jakaś i krzątanie się w godzinach spoczynku dziwne. Nie opodal od dworca wójtowego, w Rzeźniczej ulicy, zastukał Paweł z Brzega do własnego, skromniejszego, ale dostatnio i czysto wyglądającego domostwa. Świeciło tu jeszcze, bo w jatkach, które do niego należały, świeżo zabitego wołu mięso na jutrzejszą sprzedaż przygotowywano.

Paweł sam już tylko nadzorem zwierzchnim swego rzemiosła się zajmował, a przy robocie zastępował go młody czeladnik Hans, który naprzeciw niego wyszedł w fartuchu z wiszącym, zakrwawionym nożem u pasa i rękami zakasany. Chciał go pytaniem jakimś zatrzymać, ale Paweł ręką rzucił i spieszył odpocząć w izbie, w której ogień widać było. Hans popatrzał za odchodzącym z ciekawością pewną i zawrócił do szlachtuza, w którym wesołe głosy chłopców ćwiertujących mięso i śmiechy słycać było.

Dom Pawła z Brzega wcale do wójtowej kamienicy nie był podobnym. Drewniany, obszerny, wygodny, nie kusił się o żadne państwa pozory. Jedna duża izba na dole, w której właśnie ogień płonął jasny, służyła za stołową i gościnną, a nawet i za kuchnię. Bliżej ogniska pozawieszane były sprzęty kuchenne: patelnie, misy, garnki stały na policach. Dnia tego wszystko już było ukończone, naczynia poustawiane, a niemłoda jejmość w sukni czarnej, opiętej, z rękami założonymi spokojnie na ławie siedziała. Sługa z kądzielą drzemała w kącie.

Gdy Paweł wszedł do izby, stara, po chodzie go poznając, wstała milcząca i, poczuwszy się do swego obowiązku przygotowania mu nocnego napoju do poduszki, zabrała się do płukania śklenicy. Pora była ogień gasić i iść do łoża. Paweł jednak nie spieszył do sypialni obok otwartej, w której światła jeszcze nie było. Przeszedł się zadumany po izbie, pogrzał u ognia i starą, jakby teraz dopiero zobaczywszy, zapytał cicho:

— Nie było Grety?

Pytanie to zdało się na niej nieprzyjemne czynić wrażenie, pomarszczona jej twarz wykrzywiła się niesmacznie, spojrzała na gospodarza i rzekła:

— Na cóż wam ta Greta potrzebna?

— Ach! — odparł swobodnie Paweł — moja stara Anchen — Greta nie tylko mnie opiekunowi i powinowatemu, ale ludziom wielu potrzebna jest na świecie. Zda się ona każdemu!

— Tak! tak! — mruknęła stara Anchen, wycierając kubek i nie patrząc mu w oczy. — Greta się zda wielu na utrapienie. Wszyscy wy, nie wyjmując ciebie starego, coś jej stryjem i opiekunem, odkąd ojca i męża straciła — wszyscy wy dajecie się jej bałamucić, a ona o żadnego z was nie dba!

Paweł rozśmiał się.

— Anchen moja! — odparł. — Jeżeli też kto, oprócz ciebie, popatrzywszy na mnie, powiedziec śmie, iż niewiasta bałamucić może taką starą baryłę.

— A przecież tak jest! Tak jest! — rzekła, upierając się przy swoim, stara Anchen. — Tyś taki zaślepiony jak i drudzy. Aż mi wstyd!

Paweł, któremu wyrzuty te pochlebiać się zdawały, śmiał się, a oczy mu połyskiwały.

— Oj, Greta wasza! — poczęła szydersko, gniewnie szepleniąc, stara Anchen. — Greta ma głowę do tego, żeby cały świat durzyła. Rozmiałowują się w niej Czechy, nasze Niemcy, kto żyw! Nawet ten głupi Hans!!

— O, i ten? — przerwał śmiejąc się Paweł. — Dobrego mu się zachciewa.

— A jej wy wszyscy nie w głowie — mówiła Anchen — a co u niej w głowie, jeden Bóg wie. Bawi się wami jak dziecko lalkami, Kogo chce, sobie zyszcze, byleby rzuciła okiem, mrugnęła, uśmiechnęła się. Każdy głupi szaleje.

Ruszyła ramionami.

— Gdyby nieboszczyk mąż jej żył — dodała — ten by ją może utrzymał, bo zazdrosny był. Na jego szczęście zabito go, bo płochą jest. Teraz wdowa, swobodna! Oho! Powinni byście wydać ją za mąż, aby się to raz skończyło.

— Anchen moja — odezwał się Paweł zawsze wesoło. — Tej Greta ani ja, ani nikt nie wyda, póki ona sama wyjść nie zechce. Na dziś to i lepiej tak, jak jest...

— Dla was lepiej! Umhu! — mruknęła stara, złośliwym okiem rzucając na okrągłego Pawła i zamilkła.

Poczuła pewnie kogoś nadchodzącego, bo wzrok jej padł na drzwi, które właśnie otwierał mały człeczek, rodzaj karła garbatego, z twarzą dużą, ubranego pociesznie w karmazynowy kubrak z rękawami długimi i strzępkami przy nich, w czapce spiczastej, z uszami na piersi zwieszonymi. Szedł on, trzymając w ręku rogową latareczkę z ogarkiem i opierając się na kiju większym od siebie, zakończonym galką białą, ozdobionym kutasami. Na dużych jego nogach trzewiki, z nosami wysoko zadartymi, miały u góry mosiężne skuwki, które łańcuszki łączyły z cholewą. Karzeł-garbus

poprzedzał niewiastę wchodzącą żywo. Była to synowica Pawła, tylko co wspomiana Greta. Na widok jej z zasępioną twarzą cofnęła się zaraz stara Anchen w swe miejsce ciemne na ławce, przy kominie, jak by z nią nie chciała nic mieć wspólnego. Paweł z twarzą uradowaną czekał na przybywającą.

Mieszczka była, mimo późnej dnia godziny, strojną, ale ubiór piękności jej nie przyczyniał, bo i bez niego śliczną by się w lada sukience wydała. Nie miała w sobie nic niemieckiego i można było posądzić, że przy częstych dawniej stosunkach Niemiec z Włochami zabłąkała się w jej żyły gorąca krew Południa. Miernego wzrostu, zręczna, form pełnych, biała, uderzała naprzód Greta dwojgiem oczu, które patrzyły nakazująco, śmiało, wesoło, figlarnie, pańsko, a razem miały w sobie coś tęsknego i zagadkowego. Oczy te stałyby za nią całą, bo mówiły więcej niż małe usta koralowe, z których zębki perłowe przezierały, niż czoło jasne, niż twarzyczka życiem drgająca. Na głowie jej piętrzyły się zbyt bujne, czarne, krucze włosy, pozwijane, podzielone, pokręcone, posplatane, a ciężące. Z ruchów, wejrzenia, uśmiechu biła odwaga zuchwała, wyzywająca, nie wierząca w to, aby kto się jej śmiał opierać.

Miała na sobie suknię ciemną, szytą i wyszywaną dokoła, pas z torebką u boku, na ramionach płaszczyk, na głowie zasłonę czarną. Ten ubiór na pół wdowi był jej bardzo do twarzy. Karzełgarbus, który z laską panią swą poprzedzał, stanął jak herold idący przed królową i odezwał się głosem ochrypłym:

— Greta!

Spełniwszy ten obowiązek urzędowy, zniżył laskę, zmienił butną postawę i wprost poszedł spocząć na ławie, chociaż garb mu o ścianę oprzeć się nie dawał.

Greta przypatrywała się stryjowi, stanąwszy opodal. Czekala, aby ją powitał. Paweł, nie bez spojrzenia z ukosa na starą swą gospodynię, krok uczynił naprzód.

— Dobry wieczór pięknej Grecie! A co? Przynosisz mi tam co nowego? Mów!

— Właśnie ja przyszedłam do was z tym samym pytaniem — odpowiedziała śmiejąc się wdowa. — Skądże ja mam wiedzieć co nowego?

— Łatwiej niż ja — odparł Paweł. — U ciebie przez cały dzień pełno ludzi ze wszystkich stron świata, a każdy ci się ze śmiertelnego grzechu wyświadcza, gdy ty mu wyszczerzysz zębki.

Anchen w kącie rzuciła się niecierpliwie i splunęła, spozierając na swego pana.

Greta śmiała się z obojętnością prawie dziecinną.

— Dobyłaś co z Czechów? — zapytał, głos zniżając, Paweł. — U nich, słyszę, niepokój na zamku? Co to jest? Domyślają się ludzie czegoś niedobrego? Prawa ręka wielkorządcy Fryca, Mikosz, jest w twojej mocy, czy się przed tobą z czym nie wygadał?

Greta usta składała żartobliwie, dumnie, patrząc ciągle na Pawła.

— No? Jak się wam zda? — szepnęła.

— Jam prosty człek — zawołał stryj ramionami ruszając — niczego się domyślać nie umiem, ale inni coś przewidują! Albert...

— O, wasz Albert! — odparła Greta — gdyby tyle serca miał, co rozumu!

Obejrzała się po izbie i pochyliwszy do ucha Pawłowi, a osłaniając rączką pulchną i białą, aby się głos nie rozchodził, szepnęła mu:

— Młody król *Wacław zabity w Ołomuńcu, zabity!* Ale cicho! Tają się z tym przed wami! Nie wiadomo, od kogo i kto nasadzony go zabił.

Pawłowi ręce się złożyły rozpaczliwie. Stał błądliwy.

— Możeli to być? — zawołał.

— Mikosz mi to zeznał, podpojoną trochę przeze mnie, ale w tajemnicy wielkiej. Czechy się lękają, wojsko do Polski przeznaczone pewnie zawróci się z drogi. Króla sobie nowego wybierać będą musieli.

Rzeźnik słowa rzec nie mógł, tak był tą wiadomością przybity.

Greta, jak gdyby do ważnej wiadomości, którą przyniosła, żadnej nie przywiązywała wagi, zupełnie pozostała obojętną. W twarzy nie było śladu wzruszenia ni smutku.

Paweł dumał, ona koniec rąbka gryzła ząbkami białymi, patrzyła nań, na drzemiącego garbusa swego, rozglądała się po izbie z chłodem znudzonej istoty, szukającej jakiejś rozrywki.

Wreszcie Paweł dał jej znak, aby z nim poszła dalej ku oknom, na co Anchen z rosnącą coraz niecierpliwością patrzyła, rzucając się i mrucząc w swym kątku.

— Cóż teraz poczynać? — zawołał. — Ten zuchwały mały królik Łoktek, gdy się dowie o śmierci Wacława, w butę jeszcze urośnie.

— On? On już wprzód niż wy pewnie o niej wiedział! — rzekła Greta.

— Nam więc nic nie pozostaje, tylko mu się poddać niezwłocznie — dodał rzeźnik. — Nie chcę dziś budzić wójta Alberta z tą wieścią, choć należałoby, jutro do dnia pospieszę z nią do niego.

Zadumał się głęboko Paweł.

— Nie trwóżże się — przerwała Greta. — Ten czy kto inny potrzebować będzie mieszczan krakowskich, zyskacie na nim, co zechcecie.

Ramiona się jej poruszyły, ziewnęła, popatrzyła na garbusa.

— Kurcwurst! — zawołała doń głośno — nie spać! Na nogi! Idziemy do domu! Wstawaj! Śpiochu jakiś, gdy nie jesz i nie pijesz, spałbyś tylko.

— Najjaśniejsza pani — odparł Kurcwurst śmiało — proszę o przebaczenie. Ja nawet jedząc i pijąc spałbym, gdyby było można. Niestety!

Królowa rozśmiała się. Kurcwurst stał już, laskę ujawszy, którą w wyprężonej mocno ręce trzymał z dala od siebie, z powagą śmieszna. Paweł nawet, spojrzawszy na garbusa, uśmiechnął się, choć miał o czym innym, niewesołym do myślenia.

Greta zgrabnym ruchem rączki podniosła suknię długą, włosy spadające na szyję otrząsnęła, ruchem główki pozdrowiła Pawła i zabrała się do wyjścia.

— Choć twój dom tuż — odezwał się Paweł — niechby ci kto dla bezpieczeństwa towarzyszył, bodaj mój Hans z wielkim nożem.

Greta uśmiechnęła się pogardliwie, odsłoniła nieco płaszczyk i pokazała Pawłowi obok kaletki szytej perłami piękny nóż w srebrnej oprawie, który wisiał u pasa.

— Nie boję się — rzekła — mój Kurcwurst za straż mi stanie. Trzy kroki mam do mojej bramy. — Dobranoc.

Skłoniła się, szukając Anchen oczyma, ale ta skryła się w swój kątek głębiej jeszcze, aby jej nie żegnać, tak jak nie witała. I wyszła.

Rozdział szósty.

Na dzień się dopiero brało, a miasto zaledwie budzić zaczęło, gdy około dworu biskupiego zebrała się niezwykła w tej dnia porze gromada ludzi. Pojedynczo i gromadkami cisnęli się do wrót, wychodzili i wchodzili spiesźnie.

Można w nich było łatwo poznać mieszczan, po większej części Niemców, kupców, bogatszych właścicieli kramów, ławek i gospód w mieście. Biegli żywo, rozglądając się dokoła, a nie bardzo chcąc być widzianymi.

W kościołach dzwoniło na jutrznię i razem dwa współzawodniczą dzwonki *Świętego Franciszka i Dominika* na wypródki zwiastowały poranną modlitwę. Po dworach światła popalane przede dniem jeszcze widać było przez błony i okiennice. Ranek chłodny był i chmurny, ludzie szli pootulani opończami, których kołnierze wysoko sterczały, kobiety w narzuconych na głowę fartuchach i chustach. Ruch w mieście, w początku mały, wzrastał z każdą chwilą, otwierały się wrota, dziewczęta biegły do studzien po wodę, psy wychodziły w ulice, wietrząc, co na nich w czasie niebytności ich się działo, i nogi przeciągając skurczone. Miasto w tej szarej mgłę poranka wcale różnie wyglądało niż w nocy. To, co światło księżycy i mroki czyniły wielkim i pięknym, występowało w nagiej rzeczywistości szare, smętne, odrapane i pospolite. Na ścianach domostw widać było opadającą glinę i tynki, płoty świeciły dziurami i łataniną, wysokie dachy pokazywały szczyby, które w nich czas i słońce porobiły. Kościoły ze swymi rusztowaniami, które nocą piętrzyły się wspaniale, zmały teraz i widać było, jak im wiele brakło do ukończenia. Nie było ani jednego prawie, który by już się mógł rozebrać z przystawionych doń ogromnych sztandarów i powiązanych do nich desek. Teraz robotników na nich nie było, czekały na przyszłą wiosnę. Przy świetle dziennym śmiećka i kałuże w ulicach pierwsze wystąpiły, gdzieś powymaszczane kamieniami, chrustem i deskami, pokazały się kładki pod domostwy i cała sieć kolei, które wozy

zostawiły po sobie. Po deskach, na pniakach i słupkach opartych, przekradali się pod okapami przechodnie, gdzieniegdzie przeskakując zerwane *hacie*.

Dworzec biskupi nie wyglądał tak świetnie jak za owych błogosławionych czasów *Prandoty lub Iwona*. Powaga pasterzy, ich znaczenie i władza, z różnych przyczyn ucierpiały wiele. Cios im zadał najdotkliwszy szalony Paweł z Przemankowa, wichrzyciel, warchoł, człek swawolny, po którym ani *Prokop*, choć mąż wielkiego rodu, powinowaty księżnej Gryfiny, ani *Szlązak Muskata*, pasterz terazniejszy, dźwignąć już biskupiego dostojęstwa do dawnej świetności nie mogli.

Razem prawie ze wzmocnieniem władzy świeckiej koroną starą osłabła moc biskupów. Lecz nie byłaby dała się pożyć tak łatwo i rychło, gdyby nie ten człowiek, co jej cały blask dawny odjął, Paweł ów, za którego grzechy następcy jego pokutować mieli. Pod nim to rozprzęgło się duchowieństwo i zaczęło je lekceważyć. Widać już było, że w przyszłości nie biskup nad królem, ale król nad biskupami stać będzie. Kończyło się dla duchowieństwa panowanie zwierzchnie nad krajem, a zaczynała walka o utrzymanie przy zachwianej powadze, którą, ciągle walącą się, posiłki z Watykanu podpierać musiały.

Po Prokopie Rusinie wybrano Szlązaka, obcego na wpół, nie mającego tu ani rodu, ani związków. Ten, aby się utrzymać na stolicy, pokornie wszystkim stawić się musiał, jednać sobie świeckich i duchowych. Dawni biskupi, Iwo, Prandota, Paweł, poprzednicy ich, rośli z ziemian tutejszych, ten był obcym. Sam na wpół Niemiec, miał tylko zwolenników w mieście, na zamku starał się ich pozyskać. Kraju znał mało. Mąż był uczony, spokojny, milczący, w sobie zamknięty, nieco lękliwy, oglądający na wsze strony, ostrożny, a mimo to czujący słabość swoją. Widział, że się chwia, że mu tu nieswojo było. Człek był podówczas lat średnich, siwiejący już za wcześnie, oblicza zadumanego, oczów bladych, cery żółtej, chudy i zgięty. Losy dlań przeznaczone zdały się przecuciem piętnować na jego twarzy trwożliwej i tajemniczą okrytej zasłoną.

O szarej godzinie biskup Muskata był właśnie tylko co mszę w kaplicy domowej odprawił, powracał przygarbiony do sypialni, w której około ksiąg najlepiej zabawiać się lubił, gdy kapelan jego Stańko, całując w rękę, cicho mu szepnął, że wójt Albert z mieszczanami czekał nań i o posłuchanie się dopraszał.

Po twarzy biskupa przemknął się wyraz trwogi, krokiem spieszniejszym posunął się naprzód do sypialni, później zawrócił żywo do izby, w której zwykł był gości przyjmować.

Tu też wójt i mieszczanie czekali na niego, a że dzień się jeszcze jasny nie zrobił, okna w niej były małe, o mroku wchodzący biskup więcej się mógł domyślać niż poznawać przybyłych.

Albert stał na przedzie, tego wszędzie po wzroście i postaci odróżnić było łatwo. Za nim blade i niespokojne twarze rajców i kupców patrzyły. Szeptali coś między sobą. Niezwykła ranna pora, w której przybywali, przecucie jakieś złowrogie, zawczasu trwogą się odbiły na obliczu biskupa.

Witano go cichymi rękami pocałowaniem.

— Ojcie — odezwał się wójt Albert — przychodzimy na radę! Straszne wieści nas doszły!

Oczy Muskaty błysły, spojrzął i spuścił je smutnie.

— Mówią, że młody król nasz zdradziecko został zabity. Czesi na zamku już się trwożą — mówił wójt. — Co nam poczynać? Łoktek nie zaniebda korzystać z tego... Sie już nawet i upomina, aby mu zawczasu miasto zdano. Ratując się od klęski, tak by uczynić należało, ale Czechy... Zemsta ich?!

Biskup trwożliwie się obejrzał dokoła. Niewiele osób go otaczało, lecz i tę gromadkę za zbyt liczną uważał, aby przy niej mógł się odezwać otwarcie. Zawahał się, wejrzał na Alberta, ręce złożył.

— Pomówiemy o tym na osobności — szepnął. — Chodźcie ze mną.

Mieszczanie pozostali w izbie, a wójt szedł do sypialni za Muskata.

Izba, do której go wprowadził, szczupłą była jak cela klasztorna, ksiąg pełna, stołem do połowy zajęta, skromna, niczym nie zdradzająca zamożności. Łoże twarde stało w kątku z rozrzuconym jeszcze posłaniem, krzyżem w głowach, palmą i gromnicą.

Gdy się drzwi zamknęły, biskup znowu ręce złamał i podniósł jak do modlitwy.

— Ciężkie Bóg na nas próby zsyła! — rzekł pobożnie. — Chyba on sam natchnie, co czynić mamy.

— A kogóż on prędzej oświecić i przez czyje usta przemówić raczy niż wasze, ojcze — odezwał się wójt. — Przychodzimy do was po mądrą radę. Miasto ratować potrzeba.

Biskup milczący stał, patrząc w okno oczyma szklanymi, które łzami zachodziły.

— Książę Władysław — dodał Albert — już krąży, wypatruje, nasyła i nagli.

Muskata dał znak ręką.

— Nie przeto spieszyć trzeba — rzekł. — Zuchwały i mężny człek jest, bo tylekroć wygnany, za zgubionego uważany, na nowo się dobył, siły stworzył i ludzi zyskał! Tak, bać się go musimy, ale czy to pan, jakiego nam potrzeba?

Biskup coraz głos zniżał, jakby się lękał słów, które z własnych ust jego wychodziły. Wyrwały mu się one jednak siłą jakąś wewnętrzną z piersi i powstrzymać ich nie mógł.

— Książę ten — dodał — kościoła i duchowieństwa nigdy nie szanował. Pamiętają ludzie, co na Szląsku, w Poznaniu i po innych ziemiach żołnierze jego i on dokazywali. Klątwą go kościelną trzeba się było pozbywać. Ani wam, ani nam nie jest miły ni pożądany.

Tu zamilczał chwilę.

— Lecz jeśli Czechom do oparcia mu się sił braknie — wtrącił Albert — my kogoś przecie za pana sobie obrać musimy. Ten dużo ziem już posiadał, a gdy Czechów nie stanie, resztę zagarnie.

Po krótkim milczeniu Muskata do ucha prawie wójtowi szeptać począł.

— Czemuż byście nie mieli się postarać o to, aby Kraków oddać któremu z Piastów szląskich? Oni narodowi niemieckiemu więcej sprzyjają i siłę mają w niemieckich sprzymierzeńcach.

Albert głową potrząsł.

— Nie dziś to nam księcia ze swej ręki prowadzić tu — rzekł — nie mamy o czym. Ziemianie będą przeciwni.

Muskata słuchał nie przekonany.

— Siłę byście znaleźli i wy — rzekł — rozumem, zręcznością, wreszcie pieniędzmi wiele dokazać można.

Przerwał nagle. Wójt słuchał zimno. Miał on też same myśli, ale widział niepodobieństwa przyprowadzenia ich do skutku.

— Książę Władysław mężny jest i waży się na wszystko.

— Ale sił on nie ma — odparł biskup — tylko te, które mu słabość wasza daje. Wszak niedawno rycerstwa mu brakło i chłopów a gmin uzbrajać musiał.

— Dziś mu ze szczęściem druhów przybyło — rzekł wójt. — Wiemy z pewnością, iż Wierzbęta kasztelan, wojewoda, pan ze Żmigroda, sandomirscy oba, a i pod bokiem waszym Klemens kanonik, kanclerz, tajemnie mu są oddani.

Nie musiało to być nowiną dla biskupa, bo kanclerza głową potwierdził i dodał:

— Co do kasztelana i wojewody — wątpliwa jeszcze.

— A! Nie ma już wątpliwości! — odezwał się wójt.

Zamilkli, patrząc na siebie. Biskup widząc, że Albert na ostatnie czeka słowo, dorzucił:

— Nie spieszcie! Dopóki Czechy na zamku, nowego pana nie szukajcie. Korona czeska nie zostanie bezpieczną. Wybiorą prędko króla nowego panowie lub której z pozostałych niewiast dadzą męża z możnego domu. Naówczas upomną się Czechy o polską koronę, a wasz Mały pójsć znowu może na wygnanie.

Ostatnie wyrazy cichuteńko dokończył biskup, ale z uczuciem, i widać było, że życzył tego, co prorokował.

— Ten mały Łoktek — dodał żywiej — wiecie, co on znaczy? Oto z nim jego Polacy, co mu się zasłużyli, przyjdą tu i posiadą wszystko. Wiecie, jak oni Niemców kochają, jak im zazdroszczą! Złe czasy dla was nastaną. Książę ten nigdy nic nie miał, wojna wpędziła go w długie, któż, jeśli nie my i nie wy płacić je będziemy? Mieszczanstwo i dobra duchowne!

Westchnęli oba.

— Czekajcież! Nie spieszcie! — dodał Muskata. — Czechy nad wami siedzą! Zawsze czas bramy otworzyć. On na miasto i zamek razem ważyć się nie może, to nad jego siłę.

Krótką chwilę trwała jeszcze urywana rozmowa. Biskup wypowiedziawszy, co myślał, nie nalegał już, ochłódł, z rezygnacją patrząc na przyszłość. Albert pożegnał go, niosąc swym

towarzyszom radę, z którą mieszczenie na ratusz poszli, rozdzieliwszy się w podwórzu, aby ich stąd kupą idących nie widziano.

Dzień był już biały. Muskata szedł, zabierając się dopomnieć o posiłek ranny, gdy zapukano. Zdziwił się i zarumienił nieco pasterz, widząc wchodzącego kanclerza Klemensa, o którym co tylko mowa była.

Kanclerz postawą i twarzą stanowił zupełną sprzeczność z Muskata przygnębionym, ściśniętym, przestraszonym. W sile wieku, pięknego oblicza, z czołem wyniosłym, łagodnym wyrazem w ustach, ks. Klemens śmiałym był i pewnym siebie. Nic nie krył w sobie, nie potrzebował nic taić, przynajmniej twarz jego otwarta żadnego wysiłku do stłumienia myśli i uczuć nie okazywała. Biskup przywitał go z uprzejmością tym większą, że nie była szczerą, chciał nawet okazać się wesołym, choć nagłe zjawienie się kanclerza mocno go zaniepokoiło. Wskazał mu siedzenie, poczynając rozmowę od pory wilgotnej i rzeczy obojętnych. Ksiądz Klemens usiadł. Muskata domyślał się, że nie przyszedł bez celu. Przeczuyawał, że zagai sprawę Łoktka. Nierad był temu.

Zawołał na ochmistrza o winną polewkę. Czekał, czy co nie przeszkodzi niemiłej rozmowie. Kanclerz nie spieszył z jej rozpoczęciem. Dopiero gdy służba odeszła, odezwał się nagle:

— Mówią o smutnym losie młodego króla Waclawa. Pewnie Ojcu naszemu jest to wiadomym.

— Mówią... tak... powiadają — rzekł Muskata. — Ja temu jednak nie wierzę. Są ludzie, którym takie wieści na rękę. Młody pan nie miał jeszcze czasu narazić się nikomu.

— Rozpustnym był — otwarcie odparł Klemens.

Biskup pił polewkę, oczu nie podnosząc.

— Jeżeli Czechy wyjść stąd będą musiały — dodał kanclerz — a pan nowy, nasz własny, przyjdzie objąć panowanie nad nami, my się na to skarżyć nie będziemy.

— Dla nas — wtrącił biskup sucho — wszelki pan, który władzę kościoła szanuje, kto by kolwiek był, równie dobry.

— Ale ziemie nasze wszystkie — dodał kanclerz — oglądają się na Władysława.

Patrzył na biskupa, który nie drgnął i szepnął obojętnie:

— Wszystko w ręku Boga! Wola Jego święta.

— Bóg też doń serca ludzkie nakłania — rzekł Klemens.

Biskup, nie dając odpowiedzi, kubek postawił.

Milczeli chwilę, po czym w stół patrząc, Muskata obojętnym głosem mówił:

— Nie nasze to są sprawy. Ja do nich wcale mieszać się nie chcę ani na żadną przechylać stronę. Dali Bóg księciu kujawskiemu szczęście, modlić się tak zań będziemy, jak za króla Waclawa.

Kanclerz wstał z ławy, nabywszy przekonania, iż się tu nic więcej nie dowie. Znał oględność pasterza, a gdy Muskata właśnie, jakby machinalnie, księgę przed sobą leżącą roztworzył, okazując, że rad by się modlić lub czytać, ksiądz Klemens, nisko się skłoniwszy, wyszedł. Nie zatrzymując się we dworcu, okryty płaszczem, natychmiast podążył ku własnemu mieszkaniu, w bliskiej uliczce położonemu. Tu w progu czekał nań mężczyzna opończą osłonięty, tak że mu kołnierz twarz zakrywał, słusznego wzrostu, zbrojny. Pokłonił się, weszli razem do domu, ksiądz Klemens do swej izby go wprowadził. Był to znajomy nam Mircik Suła, wesolej twarzy, śmiejących się oczów. Pocałował księdza w rękę.

— Gonię za Miłością Waszą dla języka — rzekł. — Czy nie ma co nowego dziś dla pana naszego? Co od Czechów słyhać? Rychłoli pójda precz?

Kanclerz: się doń uśmiechnął.

— Cierpliwości — odparł — rzeczy dobrze się składają. Niemcy nam jeszcze tylko brużdzą, bo niepewni, co im nowe panowanie przyniesie, wołą przy Czechach stać i do nich się tulać.

— Ale Czechy w tym spalonym zamku długo się trzymać nie będą mogli! — porywczo zawołał Marcik. — Jam się tam kolo nich i kręcił, i podpatrywał. Szopy zaczęli stawiać, wrota trochę ukrzepili, ale ich tam pono i niewielki lik i — serce tracą. Gdyby ich dobrze nacisnąć, na pogorzelsku by nie wysiedzieli.

— Cierpliwości! — powtórzy! kanclerz. — Tymczasem nie macie nic lepszego do roboty, jak Niemców znajomych namawiać, aby prędzej bramy miasta otworzyli.

— *Szoldry* te właśnie pierwszymi być nie chcą — odezwał się Marcik. — Ja do nich na różne sposoby się cisnę i namawiam, ale ostrożni są.

— Czechy im przecie też nie bardzo do smaku?

— Ale naszego małego pana gorzej jeszcze się boją — ciągnął Marcik. — A może i słuszność mają... wiatr dobry, bo on ich też nie miłuje bardzo, swoich woli.

Tak rozmowa się skończyła, bo kanclerz po pergaminy swe sięgnął, a Marcik wziął to na znak, aby precz szedł. Pożegnał się i wysunął.

Godzina była w owe czasy obiadowa, choć ranna, bo jadano zawczasu. Marcik nierad długo marł głodem, na koniu z Łowczej jadąc wytrząsłszy się. Myślał, gdzie by się pożywił. Spojrzał w górę na niebo chmurne, chcąc lepiej poznać dnia porę. Ruch też miejski pomógł mu do oznaczenia jej. Ciągnęły na targ ku rynkom wozy wieśniacze, szli piesi, worki dźwigając na plecach, oskakiwali ich przekupnie i przekupki, nie dając się do nich docisnąć ludowi, rwąc i szarpiąc. Około kramów i jatek, których okiennice już pootwierane stały sparte na kołkach, gromadzili się ranni goście, dobijając o chleb świeżo pieczony, kołaczki, mięso i żywność na deskach powystawianą. Głosy przekupek, wyglądających z przyciemnionych okien, rozlegały się szeroko, bo targ nie obchodził się bez słów grubych, przymówek, żartów i przekąsów.

Marcik, torując sobie drogę pomiędzy budami, wozami, i przechodniami, dążył do dworu, na który patrząc już mu się z dala oczy śmiały. Stał on niedaleko domostwa pana Pawła z Brzega, a miał też od ulicy dwie ławki otwarte. Ale na te Marcik ani spojrział, choć w nich się mógł pożywić, i prosto wszedłszy w podwórze, do sieni i izb od ogrodu skierował się, w których rozmowę głośną i

śmiechy słyhać było. Namarszczył się nieco, stanąwszy u drzwi, Suła, ale odwagi nabrawszy, popchnął je i wszedł rażno do środka. W izbie stół był zastawiony, za nim dwóch biesiadników ucztowało, dalej u okna na ławeczce siedząca Greta strojna uśmiechała się do nich, a w kącie na stołku niskim czerwono przyodziany straż trzymał Kurcwurst. Było to mieszkanie wdowy. Właśnie tu obiadować skończono, a dwaj spóźnieni jak Marcik goście dzbankiem się pocieszali. Rozmowa śmiechami przerywana toczyła się między gospodynią a nimi. Jeden z nich Czech, drugi Niemiec, oba młodzi, oba strojni, oba zazdrośnie na się patrzący, niezbyt pono byli radzi trzeciemu, który wchodził, gdy i tak każdy się towarzysza życzył pozbyć. Gospodynię bawić się to zdawało.

Czech Mikosz bardzo był urodziwy i świetnie zbrojny a odziany. Znać było po nim, że się chciał niewiastom podobać, bo i suknię miał wyszywaną bogato, i u zbroi łańcuszków siła, więcej dla oka niż potrzeby. Płaszczyk kusy, który mu się z ramion zsuwał, szafirowy, malinowe miał podszycie, na palcach rycerz błyszczał pierścieniami grubymi, złote udającymi. Poczciwa twarz jego, szeroka, duża, z wystającymi kośćmi policzkowymi, nie była piękną, ale młodą, świeżą i męską.

Niemiec też, jego wieku, z małą bródką jasną, smukły, chudy, nie miał na sobie żelaza ni zbroi, nóż tylko u pasa. Rycersko nie wyglądał, lecz śmiało patrzył jak człek, co w pewną siłę wierzy i nie lada jakim się czuje. Łańcuch, który miał na szyi, więcej może był wart niż całe uzbrojenie Czecha i świecące na nim blaszki. Oprócz zwierchniego futerka reszta odzieży na nim ze szczerego była jedwabiu.

Czech i Niemiec spierali się z sobą i przycinali sobie wzajem, gdy wszedł Marcik, który, choć postawny i przystojny, z żadnym z nich mierzyć się nie mógł. Uboższym i pospolitszym od nich się wydawał.

Niemniej jednak Greta wchodzącemu się uśmiechała, a oba siedzący za stołem zobaczywszy go namarszczyli się. Suła miał ten obyczaj, że czy go dobrze, czy źle przyjmowano, twarz zachowywał wypogodzoną, jasną, niewiele dbając o ludzi.

Głową ledwie skłoniwszy dwom ichmościom u stołu, podszedł śmiało do Grety, która tego dnia tak strojną i piękną była jak zawsze. Na niej nigdy ani znużenia, ani smutku, ni uczucia żadnego nie znać tak było, aby jej pogodne, dziwnie chłodne, promieniejące pięknnością oblicze mogło się zmienić i zachmurzyć. Zdawała się bawić i zajmować każdą rzeczą, nie biorąc nic do serca. Ludzie musieli jej być obojętni, chociaż wyzywała ich, bawiła się nimi, zagadywała każdego, nie gardziła nikim i lubiła pomnażać liczbę swych niewolników. Każdemu z nich na chwilę jakąś zdawać się mogło, że mu więcej niż innym sprzyjała, lecz jeden chyba Kurcwurst, który nieodstępnie przy niej siedział i na wszystko patrzył, a słuchał wszystkiego, mógł wiedzieć najlepiej, jak ludzi lekceważyła. Po wyjściu każdego wyśmiewała się i nie było dla niej lepszego od drugich nikogo.

Czech przychodził tu prawie codziennie, Niemiec Wurm, imieniem Balzer, nieustannie się jej z ożenieniem napraszał. — Bywało i innych wielu. Marcik, który ją znał jeszcze dziewczyną, a bardzo sobie upodobał, nie gorzej był widzianym od innych, ale i nie lepiej. Stary, okrągły rzeźnik, stryj Paweł i pierwszy jego czeladnik Hans, i niezliczona młodzież rozmiłowaną była we wdowie. Po śmierci zabitego w jakiejś zwadzie jej męża, który był zuchwały i porywszy, nalegała rodzina, aby sobie drugiego wybrała. Greta ruszyła na to ramionami i rzadko nawet odpowiadać raczyła. Byliby ją zmusili może iść za męża, gdyby nie stryj Paweł, który miłując dziewczę, choć mu wiek i pokrewieństwo myśleć o niej nie dozwalało, rad był dłużej z praw opiekuna korzystać. Ona też, robiąc z nim, co chciała, nie spieszyła szukać sobie pana, Majątek wszelki w dworzyszczach, placach, domach i pieniądzech miała znaczny, wyprawę bogatą, co tym więcej przywabiało ludzi, ale Greta nad wszystko przynosiła swobodę. Używała jej zaś tak, że, choć wcale od ludzi nie stroniła,

nikt na nią złego słowa powiedzieć nie mógł. Kurcwurst — pół sługi, pół błazna, jak za swą królową chodził za nią wszędzie.

Gdy Marcika ujrzeni siedzący za stołem, zajęci żywą rozmową, przerwali ją w sposób znaczący; on zaś, zbliżywszy się do Grety, siadł przy niej na ławie i po cichu, śmiejąc się poufale, rozmawiać z nią zaczął.

Czechowi i Niemcowi był zarówno niemiłym gościem. Oba oni dosiadywali tu, chcąc jeden drugiego przetrwać i zostać sam na sam z wdową, bo Kurcwurst, siedzący w kącie, za nic się nie liczył. Tymczasem Marcik szyki im i rachubę pomieszał. Wiedzieli, że go się nie zbęda tak łatwo, zwłaszcza że najpóźniej przybył. Pochmurniały im twarze. Mikosz musiał dla służby na zamek, Niemiec zaś z Polakiem razem siedzieć nie lubił. Stało się tedy, że oba z jedną myślą wstali i żegnać się poczęli. Wdowa ich nie zatrzymywała. Kurcwurst wstał i zabawne robiąc miny pozdrowiał ich, długimi rękami machając. Marcik, patrząc na drzwi za nimi, gdy wychodzili, taką twarz ułożył, że Greta się uśmiechnęła z niego. Rad bardzo się ich pozbywał.

Lecz radość ta krótko trwała, gdyż ledwie zwróciwszy się do gospodyni, zwykłą z nią zawiązał rozmowę, gdy już w progu posłyszał kroki i Paweł z Brzegu się okazał. Zasepiony był i spotniały mimo chłodu. Naprzód więc okrąglą i świecąca twarz ocierać zaczął, potem skłoniwszy się Grecie siadł co rychlej.

— A co nowego? — zapytał Suła rajcy.

— Co dzień ani świeżego mięsa, ani nowin mieć nie można — odezwał się Paweł. — Nowego nie ma nic. Wiemy tylko, że Czechy się krzepko trzymać myślą, a słysząc, że z Pragi *Paweł z Paulsztynu* jedzie tu na wielkorządy. Mówią o nim, że człowiek być ma rozumny, a nie tak jak Boskowicz gwałtowny i srogi.

— No! no! Czechy! Czechy!! — rozśmiał się Marcik lekceważąco. — Pókiż tych Czechów będzie? Jam myślał, że bodaj pan Wierzbęta albo pan ze Żmigroda zamek obejmie.

Spojrzał na Pawła, okazującego mu rękami, że do tego bardzo jeszcze było daleko. Greta słuchała z uwagą, spoglądając to na stryja, to na Marcika.

— E! — rzekła żartobliwie — do wiosny się to wszystko przecie skończy, z bocianami Polacy przylecą.

— Ja bym wolał — zaśmiał się Marcik — żeby sobie Czechy z gęsmi teraz odleciały.

Paweł milczał, patrzył na synowicę, która w rączkach chustkę kręciła, a bystrymi oczyma strzelając, obu ich trzymała na uwieży.

— Niech no śliczna Greta — ozwał się Marcik — powie panu Pawłowi, że nasz mały książę wart, aby mu się tak nie opierano. Mieszczanom nagrodzi sowicie, gdy mu powolność okażą. Drażnić znowu go i jątrzyć nie radziłbym nikomu.

Greta w istocie zdawała się brać stronę Marcika, ząbki białe pokazała i rzekła:

— Tych małych człowieczków zawsze się najwięcej bać potrzeba. Nie wiedzieć, co to jest, ale Pan Bóg im siły i rozumu więcej niż dużym daje. Z siłą i rozumem to bodaj jak z piwem: póki miarka go jest, mocne, wody podlawszy, zrobi się półtorej lub dwie, ale cienkusz.

Paweł dziwował się i cieszył porównaniu i rozumowi.

— Różnie bywa — dodał — są i olbrzymy silne.

— No, a ja karłów się gorzej boję — mówiła Greta. — Ten Łoktek to czarodziej. Gdy mu się już udało, nie mając ani ludzi, ni pieniędzy, tyle kraju zdobyć, dostanie się i do Krakowa.

Rzeźnik spojrział na synowicę, czy istotnie myślała tak, jak mówiła, czy sobie z Marcika żarty stroiła. Wdówka powtórzyła raz jeszcze swoje. Marcik zbliżył mu się do ucha i spytał:

— Cóż więc? Co?

— A nic. — To jest, com mówił — odpowiedział Paweł. — Pierwsi być nie chcemy.

Pochylił się do ucha Suły:

— Tak starszyzna uradziła.

Suła mu nawzajem szepnął do ucha:

— Starszyźnie, wiecie, kto to doradził z wielkiej mądrości swej? Ks. biskup Muskata. Ho, ho! Znamy go i wiemy, z kim trzyma. Ale choć mitrę ma na głowie, niech się dobrze za waruje, aby mu ona nie spadła i żeby jak Paweł nie siedział w więzieniu. Z naszym panem w kości grać niezdrowo!

Paweł chciał biskupa uniewinniać, ale Marcik go z lekka po ramieniu uderzył.

— Chodziliście przecie o świcie do niego z Albertem na radę.

Rzeźnik spuścił głowę. Greta odgadując, o co szło, uśmiechała się. Suła parę kroków odstąpił, nadrabiając miną, choć widać było, że koniec rozmowy kwaśno przyjął. Siadł bliżej Greta i rzekł żartobliwie:

— Choć mi wszystko na przekór się składa, tyle mojego, że choć wam w oczy popatrzę. Szkoda tylko, że niedługo, bo mi stąd precz iść przyjdzie.

Rękami okazał, że próżne były, nic nie zyskał. Ona mu znak dała, aby się nadziei nie zrzekał.

W kącie siedzący Kurcwurst, który, gdy nie spał, zwykł się był pilno swej pani przypatrywać, gdy z mężczyznami obcowała, aby odkryć niedocieczoną tajemnicę, patrzył, krzywił się i mówił sobie:

— Któż ją wie? Prosty drab, gołe żołnierzysko, a może ona go woli niż innych.

Ale Kurcwurstowi po kilka razy na dzień się to przy widywało.

Rozdział siódmy.

Główne siły księcia Władysława, Łoktkiem zwanego, pod Sandomierzem naówczas zgromadzone były. Na zamku, jako tako po pożodze i spustoszeniu polepionym i odbudowanym, mieścił się sam książę, dwór jego i starszyzna. W nowo także odbudowanym i budującym się w części miasteczku, na pogorzelskich tatarskich, w ogrodach i szałasach, w namiotach i ziemiankach mieściła się wielce zbierana drużyna tego, który się zwał już jedynym, prawdziwym dziedzicem polskiej korony. Naówczas wojska nawet najmożniejszych królów i mocarzów nie miały tej, co dziś, jednolitości, porządku i szyku, ale wśród ówczesnych wojsk i dworów Łokietkowe różniły się od wszystkich innych wcale osobliwym ustrojem i obliczem.

Ludzie, uzbrojenie, twarze, rynsztunki zdradzały najosobliwszą mieszaninę najrozmaitszego pochodzenia tej siły wojskowej. Oddział Amadajowy, którego tu cząstka stała lvi ko, składał się z samych Węgrów i najemnych dzikich Kumanów. Lud to był, jako zaciężny, najniespokojniejszy, a że go płaca nie dochodziła, plądrujący niemiłosiernie wsie, dwory, plebanie i klasztory. Ani języka ich zrozumieć, ani ich grozą było można powstrzymać. Nie lękali się nikogo, zuchwali byli, a że książę pierwsze im winien był zwycięstwa, nosili się dumnie. Ogromni ludzie, ogorzali, czarno zarośli głośno krzyczący, rwący się o lada co do miecza, chcieli tu pinami być, choć już garść tylko się znajdowała, bo resztę na biskupie dobra wysłał Łoktek do Biecza, powoli tych sprzymierzeńców niewygodnych, co dzień o żołąd mu suszących głowę, starając się pozbywać.

Kumani z Węgrami nie sami tu dziwnie wyglądali i dziko. Reszta pułków także nie lepszą była. Od granicy Kujaw lud różny w twarzach też jakby jakieś obce plemię zdradzał Rycerstwa prawdziwego, ze starych ziemian złożonego, a przednio zbrojnego, mało było i to tylko przy osobie księcia. Inne oddziały połatanie były ludźmi prostymi, gminem po woli czy po niewoli do służby zaciągniętym. Byli i tacy, co szli opierając się, kijmi pędzeni, a teraz w wojaczce zasmakowali, zobaczywszy, że im wiele wolno było, że drugim huknąć i grozić mogli bezkarnie. Zbroi nowej, porządnej trudno było dopatrzeć, tylko u tych, co na zamku stali, reszta wychodziła z domów z lada czym, a zbroiła się dopiero łupem na pobojuwisku. Nierówno i niejednako byli opatrzeni. Z toporem jeden, z cepem żelaznym drugi, z łukiem ogromnym, prostym, inny z małym, a misternym, z nożami różnej miary, z mieczami wszelakiego kształtu. Lepszych kuszników, co ciężkie bełty puszczały z kusz misternych, ledwie kilkudziesięciu naliczyć było można. Włócznie też pstro malowane, czerwone, białe, ciężkie i lekkie, nie u wszystkich się znalazły. Tak samo tarcze, począwszy od starych, ciężkich, niezgrabnych z łubu a skóry, aż do kutych z nosami żelaznymi i nabijanych gwoździemi mosiężnymi, leżały na kupach niby łom na pobojuwisku.

Obóz przedstawiał dość nieporządkny, ale rozległy tabor, na kilka części podzielony, mało się różniące od siebie. Pułków jednego zawołania, wedle starego obyczaju, Nałęczów, Toporów, Śreniawitów prawie nie było, garstki ich straż trzymały przy panu. Więc i ładu wielkiego w tym mrowisku trudno było utrzymać. Obóz wrzał i kipiał ciągle, a dowódcy, sędziowie obozowi, czeladź, co miała porządku pilnować, nieustannie latała z miejsca na miejsce, bojujących rozbijając, najczęściej kijmi. Darli się z sobą ciurowie za lada co, bo ludzie byli rozpuszczeni wojną, którym wszystko wolno było, a czuli się potrzebni. Pomimo to wesoło było wśród tego tłumu, teraz używającego spoczynku i wczasu. Gęźbiarze, grajki, przekupnie, włóczęgi płci obojej, żebracy, szynkarze siedzieli i snuli się pośród namiotów z szarego płótna, z wojskoków, wśród szałasów i szatr

ukleconych z gałęzi, bud plecionych z chrustu, dołów pokrytych drzewem i darnią, ognisk otoczonych kamieniami, wozów i koni powiązanych do kołów. Gdzieniedzie górą, nad daszkami namiotów, stał pochylony drąg z chorągwią, z płachtą, ze znakiem jakimś, pod który gromadzili się ci, co do jednej kupy należeli. A niełacno było wśród tego natłoku własnego często wyszukać legowiska. Krzyżowały się i wiły ścieżyny na wsze strony, płacząc z sobą, tak że niejedni się, po nich krocząc, obłąkał. Hukano też, nawoływano, trąbiono jak w lesie. Niektóre oddziały dla zwoływania się deski sobie wiszące na kołach postawiały, w które kijmi bębniiono, gdy ludzi trzeba było gromadzić. Śpiewy, brzękania, kłótnie, śmiechy i narzekania razem zmieszane stanowiły ów chór obozowy, do którego rzenie koni, szczekanie i wycie psów, i jęki pobitych się łączyły. Bójki były tu rzeczą tak powszednią, a zabójstwa tak częstymi, że gdy trupa niesiono grześć, mało się kto od kości lub kufla odwrócił nań spojrzeć. Ci, co przy kotłach siedzieli, widząc odarte ciało na noszach, bo sukni do grobu nie darowano nikomu, nawet piosnek nie zaprzestawali.

Wśród tego zamieszania i nieładu gdzieniedzie lepszy namiot dowódcy, ludzie dostatniej odziani, wetknięte włócznie, wozy kute, domyślać się kazały ziemianina. Chociaż z ziemian, co naprzód do Łoktka przystało, mężne było, porywcze, ale w większej części niedostatnie. Moźniejsi czekali jeszcze, teraz dopiero z wolna się garnąc zaczynając.

Nie mógł książę dostarczać żywności ludziom swoim, ratowano się więc od głodu i pragnienia obyczajem ówczesnym. Codzień wychodziły oddziały picowników, brały, co napadły, nie pytając czyje. Jesienią naprzód na dziesięciny się rzucano i na dobrze nabite plebanów brogi a stodoły klasztorne. Oprócz tego wykradało się dużo ludzi na ochotnika w świat. Tych po całych dniach potem wracały kupki, wioząc wory, wiązki, pomordowane ptactwo i zwierzęta domowe. Pożądanych tych gości witano wesoło, bo się od nich za mały grosz pożywić było można.

Przekupniów niewielu do obozu się ważyło, bo tu pieniędzy było omal, a zuchwałości wiele. Niejednego odarto, który na zamku nie znalazł potem sprawiedliwości i wypchnięto go, bo winnych wskazać nie umiał.

Bliżej ku zamkowi stały coraz pokaźniejsze siły, większa część ziemian, których już wodzowie do Łoktka przystali i wiedli za sobą ludzi własnego zawołania. Tu też trochę ciszej było, gdy od miasta i z błonia z dala nawet dochodziło warczenie ciągle, jakby woda wrzała. Pod zamkiem ludzi, konie widać było pańskie, u namiotów niejedno pacholę czyszczące zbroję połyskliwą, trzepiące szaty, krzątające się około kociołka. Tu odartej gawiedzi obu płci mniej się kręciło, bo ją wysmagiwano precz, obawiając się złodziejstwa. W dworkach i chatkach miejskich wielu siedziało przedniejsze rycerstwo, bo mieszczanie mieć je woleli dla opieki od zuchwalstwa ciżby obozowej. Tu też znaki stały na tyczkach, aby lada kto się nie wparł nieproszony.

Na samym zamku siedział książę, ale zamczysko po zniszczeniu za ledwie jako tako było połatane. Murów kawały starych, oczerniały od ognia, stały samopas, wśród nich naprędce pobudowano szopy i stajania. Wał i tyny były sprawne, wrota nowe i mocne, wewnątrz więcej rumowisk niż budowli.

Wielką też wspaniałością pan się ten nie otaczał, dwór i czeladź dla oka ludzkiego czysto, ale z prosta i niewykwintnie były przyodziane. Łoktek o świetność nie dbał, na zaciągi wszystko łożył. Brał, gdzie mógł, dla siebie wiele nie potrzebując, na sprawę swą waząc ostatek. Miał tylko to, co mu przyjaciele przynosili. Ten koni kilka, ów *siądzienie*, inny coś sukna i szat, tamten broni, mało który grosza ofiarował, a szło im teraz o to, aby przyszedł pan niezbyt się ubogo na świat okazał.

Skarbnik tam niewiele miał do czynienia, bo ledwie gdzie chwycono trochę pieniędzy, wnet nimi Węgrom, Kumanom i innym gęby trzeba było zatykać. Miał już naówczas ksiązę Władysława kanclerza, podkomorznych, kapelana, komorników, dwór, jakiego potrzebował, lecz występować nie było z czym, bo w tym wszystkim zbieraninę widać było. Przyszła wielkość tego, co się dobijał korony, widomą jeszcze nie była, lecz kto wszedł do izby, w której małe książątko siedziało na ławie u stołu, **z gruba od siedzenia** wyciosanego, popatrzywszy i posłuchawszy niepozornego człeka, czuł, że w nim siła mieszkała wielka. Niczym on nie oślepieł, nie chwalił się, a szedł z taką wiarą w zwycięstwo dobrej sprawy, że i innym o nim wątpić nie dopuszczał.

Było to nad wieczór. Łoktek dowódców i urzędników swych zgromadził do siebie. Wśród nich stojąc, drobny człek, odziany w zszarzony kaftan, z włosami rozrzuconymi, z brodą pomietą, z oczyma bystrymi, panował przecie. Gdy się odezwał głos jego, milkli wszyscy, oczy otaczających nie schodziły z niego. Z całego zgromadzenia tego on najmniej na pozór był widnym, a do niego jak do ogniska zbiegało się, co tu żyło. Spojrzawszy na wchodzącego, posłyszawszy słowo, wnet zgadywał, o co chodziło, odprawiał krótko i stanowczo. Rąbał jak siekierą tym, co rzekł, sporu nie znosił. Gdy brwi ściągnął, a stanęły mu dwa fałdy do góry między nimi, nie było mu się co sprzeciwiać.

Stał właśnie pomiędzy Wierzbietą a Wojciechem ze Żmigroda, u boku mając Klemensa kanclerza, tylko co przybyłego z Krakowa z sędzią Smilem, i naradzał się z nimi, gdy głośno wołając wpadł nagle, drzwi rozwarłszy, poruszony mocno mąż średnich lat w sukni duchownej. Nim zrozumiano, z czym szedł, Łoktek się dorozumiewał, że skargę niósł. Gniew, żal, rozdrażnienie buchały z niego. Ledwie się skłoniwszy, ręce do góry podniósł i krzyczeń zaczął:

— Sodoma i Gomora! Miłościwy Książę! Karę niebios na siebie ściągniecie! Tak samo tu sobie wasi poczynają, jak niegdy w Poznaniu! Komorę mi odbito, chlewy wypróżniono, służebne pokrzywdzono, konie ze stajni uprowadzono. Gwałt, rabunek własności kościelnej!

Zadyszany księżyna zakaszał się.

Książę stał spokojny, dając mu się wylać z gniewem. Księża, który go tak obojętnym ujrzał, zimna krew Łoktka jeszcze mocniej poruszyła.

— Najazd tatarski! — zawołał — dzicz, poganie! Świątynie pańskie i sługi nie poszanowane.

— Uspokój się, mój ojcze — rzekł Łoktek. — Nie ma na to rady! Wojna ma swe prawa, żołnierz mój mrze z głodu. Nagrodzę wszystko, dziś wy tak jak ja cierpieć musicie.

Książę podniósł głos i już miał wołać — **Anatema!** — gdy kanclerz Klemens z powagą wystąpił przeciwko niemu.

— Ojcze kochany — rzekł. — Książę, gdyby pragnął, nie może nic. Ściąga się lud, jeść musi, dostarczyć mu chleba trudno. Wojna nie potrwa, krzywdy się nagrodzą.

— Nietykalna święta własność kościelna, na którą się sprośne ręce rzucają — przerwał pleban.

— Kościołowi straty się jego powrócą — rzekł książę spokojnie. — Bylebyśmy się Czechów pozbyli, kraj oczyścili i ład przywrócili.

— Czech nas tak nie łupił! — dodał klecha.

Ksiądz Klemens, prawie gwałtem go na bok odwiódłszy, ułagodzić usiłował i uspokoić, gdy przez drzwi, które otworem zostały, ujrzał Łoktek twarz jakąś. Drgnął i zapomniawszy o plebanie pospieszał do progu.

Tu stał zbłocony cały, ledwie z konia zsiadłszy, Marcik. Z dała do swojego pana, a on do niego miłościwie się uśmiechał. Książę, na innych nie zważając, wyszedł z nim do bocznej izdebki, w której ubogie leżało posłanie i trochę oręza stało w kącie.

— Z czymżeś ty przyznał? — zapytał. — Pewno dobrego nie przynosisz mi nic. Oto ksiądz kanclerz także z Krakowa przybył ze Smilem i nic, nic, tylko jakieś niepewne obiecanki. Cóż mieszczanie?

— Mieszczanie! Miłościwy Książę — zwawo począł Marcik — wszystko prawie Niemcy, Niemiec zaś, by najlepszy był, chytry jak lis. Na dwóch stołkach siedzieć by chcieli.

Wtem przerwał. — Z mieszczan by jeszcze do ładu się doszło może, ale biskup bruździ, a oni go słuchają. Czechy też ustępować coś nie myślą.

Spojrzał na księcia, który wcale się nie zasępił, słuchał spokojnie.

— Nie miałeś z czym wracać! — rzekł. — Trzeba ci było siedzieć i mieszczan ujmować. Zyskać mi choć kilku, byle było komu otworzyć bramy, reszta musiałaby się poddać. Na to, aby wrota zdali, niewielu trzeba.

Marcik po głowie palcami przeszedł i pokłonił się.

— Miłościwy Panie — odparł — jednać bym rad, ale czym? Rozumu ja na to nie mam, kupić ich nie było czym. Na mój język za twarda sprawa. Wolałbym trochę ludzi i żelaza, dalibyśmy prędzej radę, kto wie!?

Łoktek poweselał.

— Czekaj ino, ja tam sam pójdę — odpowiedział — gdy pora będzie po temu. Myślę, że niebawem.

Urwał i odwrócił się.

— Nie baw tu — rzekł — tyś mi tam potrzebny we środku, w mieście. Obiecuj im, co chcesz, strasz szturmem, a rób tak, aby się bez niego obeszło. Tyś tu mi niekonieczny, a tam pomocny, bo się z mieszczany i mieszczkami kumasz. Nie bawże, a wracaj.

— Gdyby nie biskup! — wyrwało się Marcikowi. — Za Biecz się podobno sierdzi, że mu go Węgry plądrują.

— Do biskupa kanclerza posłę — odparł książę. — Ty wytchnij tylko i powracaj do miasta. Gdy przybędziesz po kilku dniach niebytności, a pytać będą, mów, że wiesz, iż ciągnę całą siłą na Kraków.

Łoktek skończywszy podał rękę do pocałowania Marcikowi, dobył z kalety na stole garść groszy, wcisnął mu je i wyszedł spiesźnie.

Suła, sprawiwszy się tak żwawo, miał czas dawnych swych towarzyszków odwiedzić w obozie i przypomnieć sobie życie, za którym tęsknił.

Wyszedł zaraz w podwórcę między ludzi. Tu go ze wszech stron witano okrzykami:

— Marcik! Suła! Znowuś ty tu! A skądże cię tu przyniosło?

Piąte przez dziesiąte odpowiadał gość, zaglądając wszędzie, rozpytując nawzajem, rozglądając się pilno, kto był z panem, kto przybył, kto się nawrócił, bo widział, że siły urosły.

Jak tylko zachwiała się potęga czeska, nie oglądano się już na nikogo, tylko na małego pana. Korona Przemysławowa i Wacława jemu należała. Ze wszystkich ziem coraz gęściej nadjeżdżało rycerstwo, choć niektórzy jeszcze nie bardzo widzianymi być chcieli. Ludzi przybyło. Gdy z zamku, od góry, spojrzął Marcik na szeroko rozciągnięte obozy, a w myśli sobie liczyć począł, ile tam być mogło głów, serca mu przyrastało.

Tymczasem w izbie książęcej trwały narady, coraz nowi zgłaszali się sprzymierzeńcy. Wśród nich jednym z najznacniejszych był, a najpożądańszym **Wincenty z Szamotuł**, możny ziemianin z Wielkiej Polski, którego się tu nikt nie spodziewał, a wszyscy witali z pociechą wielką. Mąż był w sile wieku, znany z cnót swych rycerskich, niepomiernie żądny czci, dostojęństw i mienia. Tego Wierzbęta przywiózł księciu, polecając jako człowieka, który mógł mu Wielką Polskę pozyskać. Na pierwsze wejrzenie widać w nim było dumnego pana, krwi gorącej. Nigdy on jeszcze Łoktka nie widział wprzód i wszedłszy zdumiał się wielce niepozornej postaci. Sam on wybrał się do obozu prawie po książęcemu, aby okazać, jak możliwym był. Wśród tego szarego dworu wyglądał dziwnie w szatach barwnych i błyszczących.

Wszyscy przypatrywali mu się, gdy w kilku słowach ofiarował posługi swe księciu.

— Rad jestem wam tutaj — odezwał się książę — a wdzięczniejszy jeszcze będę, gdy tam sprawę moją popierać zechcecie, gdzie ja się wielu przyjaciół nie spodziewam. Pamiętajcie mi tam przeszłe czasy, za którem odpokutował.

Wincenty mało co mógł odpowiedzieć i przyrzekać nie śmiał wiele, bo wiedział, że w Poznaniu rychlej Szlązak znajdzie sojuszników niż Łoktek, którego się duchowieństwo obawiało. Księciu dosyć było krótkiej chwili rozmowy i wejrzenia, którym sięgał w głąb każdego łącno, aby w panu z Szamotuł poznać człowieka, którego nadzieją władzy i dostojęństwa mógł sobie zjednać. Wziął go na osobność, posadził obok siebie i czcąc, a poufałość mu okazując, w końcu mu szepnął:

— Jednajcie mi ludzi u siebie. Jeżeli tę ziemię z pomocą waszą zdobędę, a jest mi ona dla całości korony mej potrzebna, i w niej gniazdo nasze, możecie się spodziewać wdzięczności. Wielkorządów nie dam nikomu, tylko wam...

Czy myślał w istocie Łoktek tak wspaniale nagrodzić przybysza? On sam tylko mógł wiedzieć, ale słowem tym ujął go sobie.

Wielkopolski potrzeba mu było. Korona Przemysława leżała w Gnieźnie, a Gniezno w tej ziemi, którą Wincenty miał dlań pozyskać. Godzin parę przesiedzieli na rozmowie z nim, aż do wieczery,

do której zasiedli w wielkiej izbie. Uczta była nie pańska, a żołnierska, na drewnianych misach, z kubkami glinianymi. Srebra tam nie spotkać było, z czego się sam książę wyśmiewał pierwszy, żarty strojąc z ubóstwa swojego. Podczaszy ubodnięty dobył jedyną czarkę pozłocistą, jaka była, a książę w rękę ją podniósł do góry, aby wszyscy widzieli.

— Tak mnie moje żołnierstwo objadło — rzekł śmiejąc się — iż mu Mieczyn ledwie jedną tę odkradł jakimś cudem. Ale w Krakowie złotników siła!

— A w Olkuszu srebro znajdziemy! — dodał wesoło Wierzbęta.

— Jak ja, tak i żona moja — dodał Łoktek — nawykła do prostych szat i ubożego sprzętu w Radziejowie, nie będziemy więc dla siebie wiele potrzebowali od nikogo.

Sędzia Smił ozwał się z pokłonem, że ziemianie chętnie dla swego pana po kubku się złożą.

— Dla mnie tego nie potrzeba — odparł Łoktek — byłem miał czym ludzi opłacić i stało na zaciągi nowe, bo do oczyszczenia wiele kątów mamy i do odzyskania dosyć, a i Czechy po zamkach jeszcze siedzą.

— Brandenburgi z Sasami na granicy — dorzucił ktoś z boku.

— Na tych Krzyżacy pomogą — rzekł Żegota — bo oni się z sobą nie bardzo godzą.

— No, a na Krzyżaków kto? — przerwał Wierzbęta — bo i ci nam straszni. Na Pomorze się cisną gwałtem, chcąc nam je odebrać.

— Na Boga, nie damy im go! — zawołał książę. — Najdroższy to nam kraj, przez który wrota do nas ze świata i na świat wiodą.

— Nie damy! — powtarzali inni.

Ciągnęła się tak przy wieczerzy mowa o wszystkim. Wincenty z Szamotuł badał oczyma tego pana, któremu przybył usługi swe ofiarować, on też spoglądał nań i można było posądzać ich, że się wzajem lękali siebie, choć czuli się sobie potrzebni.

Gdy się szerzej rozgadano o wojnie, o prowadzeniu jej, o nieprzyjaciółach, jak przeciw któremu występować i walczyć z nim przystało, Łoktek się dopiero ożywił i twarz mu się wyjaśniła. Bliżej Krzyżaków i Sasów siedzący pan z Szamotuł odważył się wyrzec, że wojsko polskie wiele potrzebowało jeszcze, nimby się z nimi mierzyć mogło.

— A mierzyliśmy się przecie z nie gorszymi od nich Czechami — rzekł książę — i biliśmy ich całe nie zgorzej. Wy, coście ludzi moich nie widzieli w boju, nie znacie ich. Niepozorna to gawiedź, ale głosu mojego słucha i jak drapieżny zwierz pada na wroga.

Wincenty się uśmiechał.

— Nie ma lepszych żołnierzy — dodał Łoktek — jak głodni i odarci. Pięknej zbroi niejednemu żal i dostatku, gdy go ma. Moi wszystko zdobyć się spodziewają, a do stracenia nie mają nic.

Tak do nocy zabawiano się opowiadaniem różnych przygód wojennych, po czym każdy szedł, gdzie mógł kąt znaleźć dla spoczynku, a pan z Szamotuł do osobnego namiotu, który sobie rozbić kazał, bo już innego miejsca dlań nie było.

Kanclerz Klemens sam z księciem pozostał.

— Winszujcie mi, ojcze — odezwał się Łoktek — znaczna ryba weszła w sieć moją. Cieszę się tym Wielkopolaninem.

— Byle nie zawiódł nadziei waszych — rzekł kanclerz. — Ja go nie znam, ludzie o nim mówią różnie. Można jest, rodu znacznego, ale wiele też zapagnie i drogo się płacić każe.

Ksiązę zdanie to potwierdził głową, nie okazując, by się lękał.

— Ja się w nim dumy nienasyconej boję — dodał książdz — bo ludziom pysznym, a władzy chciwym nigdy dosyc.

Książdz Klemens wracać miał do Krakowa, żądał więc poleceń i rozkazów, na co Łoktek krótko mu odpowiedział:

— Kraków wziąć muszę. Czyńcie, co można, aby mi go dali bez krwi rozlewu. Dziś o to najpierwsza troska. Niewiele on wart sam, ale w mieście Niemcy są zamożni, jam grosza żądny, na Wawelu moc siedzi niewidzialna, która mi da inne ziemie, gdy go posiędę.

Nazajutrz rano w orszaku swym ujrzał książdz kanclerz wesoło jadącego Marcika, który, pokłoniwszy mu się, oświadczył, że z rozkazu pańskiego w jedną dążąc stronę, za straż bezpieczeństwa służyć mu gotów.

Rozdział ósmy.

Rynek krakowski we dnie nawet powszednie w pewnych godzinach bardzo ożywiony bywał. Nazajutrz po przybyciu Marcika do miasta, przed południem trudno się tu było przecisnąć, trudniej rozmówić wśród zgiełku i wrzawy.

Na ratusz ciągnęli panowie rajcy z dwoma wójtami, którzy wójta wielkiego, dziedzicznego pana, zastępowali; do *dyngusza* szli ławnicy i ci, co sprawy do nich mieli; z towarami wieziono się do wielkiej i małej wagi miejskiej tuż stojącej; niemało ludu gromadziło się w piwnicy ratuszowej, gdzie najlepsze wino świdnickie szynkowano. — Ale najwięcej pono spieszyło do ławek, sklepów, straganów, jatek i kramów, które dwoma długimi rzędami, jakby małą ulicę tworząc, przez Rynek szły ku ratuszowi i dotykały doi prawie. Tu się skupiał cały wielki, ówczesny ruch handlowy, który z jednej strony sięgał aż do Flandrii, do Włoch, z drugiej do dalekiego Wschodu. Im prostsze były wyroby kraju, tym większa obcych potrzeba. Kupcy zyskiwali najwięcej na sprzedaży tu właśnie, gdzie to, co przywieźli, osobliwym było i pożądanym.

Niepozorne to były te kramy, co się jeden przy drugim ciągnąc szeregiem, stały długą ulicą. Większa część ich ciemna była i ciasna. Oznaczała je na zewnątrz ledwie wywieszona na drągu sztuka jaka sukna flamskiego, jedwabiu wschodniego, pas barwisty lub jakieś naczynie. Ale w głębi

tych bud, napchanych towarem, mieściły się najdroższe rzeczy. Wszystkiego tu dostać było można, czego dostarczało *Byzancjum* przez Sycylię i Wenecję, począwszy od najdroższej purpury, sametów (aksamitów) aż do pospolitej *fryzy* wełnianej, od najdroższych futer aż do najcieńszego płótna i rąbków. Można tu było do kościoła na ornat i do domu na opończę kupić tkaniny i pierścień dla narzeczonej, i myśliwską trąbkę z kości słoniowej, i buty ozdobne, i chleba kawałek.

Wszystko to, szczególnie cenny towar, nie pokazywało się na jaw, jak dzisiaj, nie ogłaszało, aby nie obudzić łakomstwa i nie narazić na zdzierstwo. Chowano co najdroższe rzeczy po skrytkach, ale usłudni pośrednicy wiedzieli, dokąd kupującego prowadzić.

Sklepów z suknam i tkaninami niemieckimi i holenderskimi było pono najwięcej w tym rzędzie, ale razem i włoskich jedwabów wiele, i tkanin z koziej wełny na włosienice przeznaczonych, które na gołym ciele noszono i w które się pobożni zaopatrywali.

W innych ławkach siedzieli złotnicy i ci, co cynowe i miedziane sprzedawali naczynia, paciorki weneckie, pierścienie, pasy, kolce itp.

Targ o każdą rzecz naówczas inaczej się odbywał, kupowano na długie trwanie, z rozmysłem, spierano się długo, rozpatrywano bacznie, o cenę umawiano uparcie, tak że w uliczce dzielącej sklepy żwawe często odbywały się sceny, gdy kupujący już odchodził, a czeladź sklepową niemal gwałtem nazad za rękawy do siebie ciągnęła. Gwar nie dawał się tu dobrze rozszłuchać, bo ówczesne przekupki już były tak wymowne i krzykliwe jak dzisiejsze, a swoboda mowy większa była. Dowcipowano, drwiąc sobie, gwoli słuchającej gawiedzi.

Mała ta, ciasna uliczka, którą często ogromne wozy kupieckie zawały, bo dla bezpieczeństwa zajeżdżały tu, nim towar złożyły albo go się hurtem pozbyły, malowniczą była jak bazylika Wschodu.

Najdziwniejsze stroje ocierały się tu o siebie, niemieckie, włoskie, flandryjskie, perskie, byzantyjskie, rycerskie i pospolite, wręście duchowne, bo i duchowieństwo, okrom zakonnego, żebraczego, do ławek iść potrzebowało. Niewiast też, jeśli nie dla kupna, to dla ciekawości przewijało się tu mnóstwo, a młodzieży za nimi.

Sąsiedztwo piwnicy ratuszowej, z której wychodzili podchmieleni, ratusza, w którym rajcy zasiadali, sądu, wagi, kilku łaźni w rynku i kilku browarów czyniło uliczkę tę sukienników, a raczej gospodę kupiecką, niezmiernie ludną przez dzień cały.

Dziwacznie wyglądały te budy, zawierające tyle skarbów w sobie, bo niektóre z nich już były murowane, inne z drzewa, inne z tarcic i lada jakiego sklecone materiału. W większej ich części wchód do środka dla zuchwałego gminu był zaparty. Szerokie okno, którego okiennica jak stół się na-zewnątrz otwierała, opierając na podstawionych palikach, służyło kupcowi do wykładania towaru przed nabywcą. Takież okiennice otwierały się i po domach, gdzie cokolwiek sprzedawano. Oprócz kupców krakowskich w tych oknach dostrzec było można i Greków, i Włochów, a nade wszystko wielu niemieckich gości.

I tu gorąca krew a obyczaj szorstki wywoływał częste zajścia, łajania, nawet bójkę, które pacholkiwce ratuszowi spieszyli rozejmować. W czasie upałów rozpinano tu płótna dla cienia, niekiedy służyły one obwarowując od pomniejszej słoty. Przezorniejsi rozwieszonymi skórami drogą *kupię* ochraniaли.

Piękna Greta właśnie była weszła w tę uliczkę ze swym Kurcwestem, którego całe miasto znało. Rozumie się, iż wdówka, gdy się raczyła na świat wychylić, starała się swą pięknnością pochwalić, a stroiła jak najwytworniej. Oczy też wszystkich, szczególnie rycerskiego stanu ludzi, ciekawie się ku niej zwracały, nie wiedząc, co sądzić o tym zjawisku. Z bogactwa stroju, piękności twarzy, wypieszczonego lica i rączek, można ją było uważać za wielką panią, ze śmiałości, z jaką pieszko puszczała się w tłum ten, za mieszkę z nim oswojoną, z wejrzeń zuchwałych i wyzywających za jakąś dwuznaczną istotę. Ci, co ją znali, uśmiechali się, z dala pomijając, inni stawali albo nawet szli za nią, aby się lepiej pięknej kobiecie przypatrzeć. Szła z wolna jak swobodna pani, która się spieszyć nie potrzebuje, pragnie się rozerwać, a nie jest zbytnio niczego ciekawą.

Kupcy zza okiennic witali ją słówkami, a że wiedzieli, jak lubiła stroje i fraszki różne i jak bogatą była, kusili ją różnymi pięknymi rzeczami.

— Niech no piękna Greta raczy zajrzeć do mnie — odzywał się jeden z siwą brodą, figlarnymi oczyma i zbyt rumianą twarzą, ostro odbijającą się od siwizny — mam świeżo z *Winedży* przywiezione łańcuszki, cieniuchne, tak że się ich nitka przez ucho igliczki przeciągnąć daje, i guzy do sukienki złote, jakby z nici tkane.

Greta się uśmiechała, pomijając kusiciela i ręką mu dając znać — na później.

Drugi w rękę podnosił i wyciągał śliczne leciuchne *rendle i sigelaty*, pokazując, jak się fałdowały misternie, lśniły i mieniły w świetle.

— Paniusiu — wołał trzeci — dla waszej piękności gotowym dać darmo! Proszę, zatrzymajcie się, nigdzie nie dostaniecie takich jedwabów jak u mnie, ni takiego złotogłowiu.

Pomijała to wszystko Greta, nawet sklepy futer, którymi okładana odzież bardzo jej była miłą. Miała jej pod dostatkiem. Z niektórymi kupcami, dobrymi znajomymi jej i Pawła, mieniała po słów kilka wesołych. Sklepowa czeladź goniła za nią łakomymi oczyma, umiała bowiem tak iść, że niby nie dbając i nie myśląc o tym, całą swą piękną okazywała w świetle najkorzystniejszym. I nóżka obuta starannie, i ręka biała, osadzona pierścieniami, i czoło spod białej zasłony, ukazujące się po trosze, i włosów sploty, i kibić pasem ujęta, spod płaszczyka widna, i ruchy wdzięczne a młode zachwycały patrzących. Szła, dając im się cieszyć sobą. W miarę jak się uliczką posuwała w głąb, ku ratuszowi, coraz większa liczba ciekawych sunęła za nią. Kurcwest szedł z komiczną powagą, laską swą przed panią cizbę rozpędzając.

Pierwszy, który się ośmielił wprost zbliżyć do niej i pójść za nią, był Balcer Wurm. Właśnie jego sklep jedwabów mijała, gdy zdawszy go na pomocnika, wyszedł, witając Gretę. Chciał ją też do siebie zaprosić.

— Jeśli nie dla czego innego, piękna Greto — rzekł do niej — wstąpić do mnie warto, aby zobaczyć samt cudowny, który wczoraj dopiero przywieziono, którego nie widział nikt jeszcze, nikt nie ma. Nic miększego, miłszego w dotknięciu, piękniejszego dla oka nie ma na świecie, a składa się tak na sukni, że ją do królewskiego płaszcza podobną czyni.

— Drogie takie materie nie dla biednej jak ja wdowy — odparła szydersko Greta. — Chybabym kupiła na ofiarę do kościoła Panny Marii za duszę nieboszczyka męża mojego. Właśnie mam na myśli tę fundację. Żal mi wielce Arnolda mego! — dodała z wejrzeniem bystrym.

— O następcę nie będzie trudno! — westchnął Balcer.

— O dziesięciu — odpowiedziała, trochę się zatrzymując Greta — ale nie o takiego, jak on był.

— Umarli zawsze bywają najlepsi, to wiadomo — ozwał się z trochę urazy Wurm.

W chwili, gdy się może weselsza zawiązywać miała pogadanka, pędem do ratusza, rozbijając ludzi, nadbiegł Czech Mikosz, któremu ktoś musiał podszeptać o Grecie. Spieszył ją tu powitać i innym do zalecania się przeszkadzać.

Idący też od ratusza okrążył stryj Paweł z Brzega, zoczywszy synowicę, mrugając na nią z dala, przysunął się, chcąc pocieszyć choć spojrzeniem na nią, bo szedł bardzo posepny i skłopotany. Lecz zobaczywszy swą ulubioną, już się uśmiechał po trosze i policzki ocierał.

Zaczynał się jakby dwór około Greta gromadzić, gdyż i Marcik znalazł się koło niej, wyszedłszy z którejś budki, gdzie coś musiał targować. Ze wszystkich, co ją otaczali, ściskając się dokoła, on, jeśli nie z postawy, bo ta była piękną, to z powierzchowności wyglądał najmniej dostatnio i możnie.

Greta pomimo to i jemu się dobrotliwie uśmiechnęła, tak łaskawą była dla wszystkich. Spytała go nawet, kędy tak długo bywał, że go nie widziała.

— Na łowym jeździł — odparł Marcik figlarnie.

— No, a przywieźliście z nich jaką zwierzynę? — spytała dwuznacznie.

Marcik więcej może odpowiedział oczyma, a usty rzucił obojętnie:

— Łowcowi się chwalić nie godzi, bo mu nie wierzą, alem ja zawsze rad temu, co mam.

— Rad? — powtórzyła Greta.

Marcik potwierdził to uśmiechem. Drudzy chmurno nań patrzyli, zazdroszcząc z wdową rozmowy.

— Dalekoście jeździli? — pytała.

— Powiłem w górę — rzekł Marcik, głos zniżając — tam zwierza dosyć.

— Jeżeliście w naszym miejskim *Chwacimiechu* polowali — przerwał mu Paweł półzartem — strzeżcie się, aby was tam straż miejska nie pochwyciła. My krom księcia nikomu łowów nie dopuszczamy.

— Choćbym i w Chwacimiechu był — rzekł Marcik żartując — kawał go też do panien zwierzynieckich należy, a panny same nie myśliwe, nie powiedzą mi nic.

— Hm! — bąknął ktoś z boku — coś tak śmiało o klasztornych lasach i ziemiach mówicie, jakbyście po nich z Łoktkiem plądrowali!

Marcik się rozśmiał dobrodusznie.

— Nie mówcież bo o nim, abyście wilka z lasu nie wywołali — rzekł. — Nuż Łoktek do Chwacimiecha zawita i Krakowowi będzie strach.

— Czego? Ho! Ho! Łoktkowych żołnierzy bosych — przerwał Czech Mikosz dumnie. — Obroniemy od nich łatwo miasto, bo to gawiedź, na którą włóczni nawet nie trzeba, kija dosyć.

Zapłonął Marcik jak wiśnia, gniew mu na twarzy zadrgał, ale, na Gretę spojrzawszy, pohamował się.

— Ja tam nie wiem — przebaknął — jacy są żołnierze małego księcia, ale przecież oni was, silnych, powyganiali z Wiślicy i z Lelowa, i z innych gródków! Nim miasto bronić będziecie, myślcie lepiej o sobie.

— O nas się wy nie bójcie — zamruczał Mikosz, rześko poprawiając hełmika i ręką bijąc po mieczu. — Gdyby tego, co jest, za mało było, z Pragi przyciągną posiłki.

Marcik nic na to nie odpowiadając, rzucił wejrzenie na Czecha bystre i po chwili dopiero dodał:

— Nim co do czego przyjdzie, nie chcielibyście ze mną do piwnicy napić się piwa czy miodu? Sam czas po temu.

Dziwne to zaproszenie najbardziej zdumiało Gretę, która popatrzyła znacząco na mówiącego, a potem na Czecha. Nie chciało mu się odchodzić od wdowy, a do kubka słabość miał wielką.

Inni stali milczący.

Marcik wskazywał w stronę piwnicy. Wahał się jeszcze Mikosz, gdy Greta, jakby nie chciała im stać na zawadzie, na Pawła stryja skinąwszy, uszła z nim prędko ciasną uliczką, która między dwoma kramami w głąb wiodła. Nie zwróciła się już nawet do Czecha, który, urażony tym lekceważeniem, odwrócił się do Marcika tak uprzejmie go zapraszającego i, zbliżywszy się doń, poszedł z nim razem.

Przed piwnicą ratuszową o niskich drzwiach, więcej dla zwyczaju niż z potrzeby, powiewała zielona wiecha sośniny na drążku z muru wystającym. Koło drzwi stało dużo ludzi. Z piwnicy samej gwar dochodził. Ścisk tu był znaczny około stołów, po bokach i w pośrodku. Około beczek, za przegrodą z balas, dwie szynkarki, szynkarz i dziewczka otyła z zakasanyimi rękawami, z podpiętym fartuchem, ledwie radę sobie dać mogli, aby gościom starczyć, rozdając im spore, gliniane kubki. Wrzawa była wielka.

Marcik jednak musiał tu mieć pewne zachowanie, bo i miejsce w rogu jednego stoła dla Czecha znalazł i skinąwszy na dziewczynę, kubków się rychło doprosił. Czech, w boki się podparłszy, po piwnicy się bacznie rozglądał.

— Nie dziwujcie się, zem was, niewiele znając, zaprosił — odezwał się przysuwając doń Marcik. — Jam też dawniej służywał wojskowo. Choć mi za złe mieć możecie, że ja się około Grety kręcę, pono tam z nas jeden drugiemu niewiele zaszkodzi. Niewiasta jest, co się równie uprzejmie do wszystkich uśmiecha, ale ich lekceważy.

Posłyszawszy o Grecie, Mikosz poweselał. Poczciwa jego, szeroka, rumiana twarz wypogodziła się.

— Ano... tak ci jest! — rzekł. — Ale człowiek, choć wie, że tam nic nie zyszcze, na ten lep się brać daje.

— Prawda — przerwał rozochacając się Marcik. — Tej czarownicy nikt się oprzeć nie umie.

— Wiedźma straszna jest! — śmiał się Czech, wzdychając razem. — Ja bym się z nią żenił chętnie, ale Niemcy jej nikomu obcemu nie dadzą, aby jej bogactwa z rąk im się nie wysliznęły.

— Nie bardzo by ona komu powodować się dała — odezwał się Marcik — gdyby w niej serce się odezwało, ale niewiasta jak lód albo kamień.

— Macie słuszność — potwierdził Mikosz, poufalając się coraz, bo mu rozmowa o pięknej wdowie bardzo miłą była. — No! Kto by to powiedział! Uprzejma jest, śmiejąc się patrzy, drugim serce wyrywa z piersi i jak kot igra z nim. Przyjdzie też na nią kiedyś godzina.

— Ja ją dawniej od was znam — mówił Marcik, widocznie się Czechowi przypochlebiając i o dzban mrugnawszy, który przyniesiono. — Taką samą była, dziewczyną będąc, śmiałą, wesołą i uprzejmą.

— No... i wybrała sobie za kogo pójść?

— Ona! — zawołał Marcik. — Jako żywo! Ojciec naglił, aby szła, obawiając się ją zostawić samą, a by! chorowity. Wzięła pierwszego z brzegu, gdy nalegano. Ten Arnold na zabój się w niej miłował, ale prędko w zwadzie zginął.

— Płakała słyszę po nim bardzo?

— Juści też choćby dla ludzi płakać musiała — ciągnął dalej Marcik. — Teraz, gdy go nie stało, wspomina, żałuje, a wiem, że za żywota gdyby parobek rozkazy jej spełniać musiał, a małżeńskiej od niej czułości doprosić się nie mógł, rychlej połajania lub szturchańca.

Czech słuchał z zajęciem i podziwieniem.

Wkupił mu się Marcik w łaski, mówiąc o wdowie. Reszty może napój dobry a mocny dokonał, tak że w godzinę dwaj współzawodnicy byli z sobą na tej stopie, na jakiej zręczny Suła chciał być z Czechem. Zachęcał go do picia, bawił, pochlebiał, w dumę go wzbijał. Na ostatek tak wypadło z rozmowy, iż Marcik mu się oświadczył z przełaju, iż mu próżniaczy chleb obrzydł, a rad by służbę rycerską znalazł sobie, byle u dobrego pana.

— Choć Ulryk Boskowicz — rzekł Czech — którego, chwała Bogu, stąd wzięto, nie wierzył Polakom, terazniejszy Paweł z Paulsztynu, myślę, że inny będzie. Ludzi nam trzeba, moglibyście i na zamku służbę dostać.

— Czemuż nie! Czemu nie? Rad bym jej był — odezwał się Suła. — Na zamku mi służyć najwygodniej by było. I zdałbym się wam...

Czech pokręcił głową.

— No, służba teraz — rzekł — może nam przypaść ciężka!

— Tym ci lepiej — wtrącił Marcik. — Co żołnierzowi warto siedzieć pod szopą i ziewać? Gdzie gorąco, tam się on najlepiej żywi.

— Gorąco może być! — powtórzył Mikosz — gorąco!!

— Ano! Niechajby! — rozśmiał się ochoczo Suła.

— Co myślicie? — dodał poufnie po chwili — tyra Niemcom mieszczanom ja bym niewiele wierzył. Już oni na króla Wacława za to sarkali i kwasili się, że na Okolu nowe miasto zrobił i mury stanęły około Świętego Franciszka do zamku, a od Świętego Andrzeja do Stradomskiej bramy. Tego nowego miasta nie zasiedlić Niemcami, a oni by radzi tu być sami. Jak im ten polski, mały książe zaśpiewa, że Okolą nie będzie budował, a obieca im co jeszcze więcej, gotowi mu poddać miasto. No! A jakby miasto wzięto, na zamku trzymać się będzie ciężko.

Mikosz westchnął tylko, dając do zrozumienia, że toż samo myślał. Kiwnęli zgodnie głowami.

— I ja tym mieszczanom nie bardzo wierzę — zamruczał. — To ludzie, którym ich kaleta milsza niż pan, choćby najlepszy był. Im każdy równy, byle go tanio kupili, a sprzedali drogo.

— No... tak — dodał Marcik — a właśnie Łoktka, który, jak wiadomo, grosza nie ma, dostaną łatwo.

Suła stawał się coraz serdeczniejszym dla Czecha, którego już miał tak, jak za swego.

— Od czasu, jak się o śmierci króla dowiedzieli — szepnął — nosami bardzo kręcą.

Mikosz zapił tę smutną uwagę.

— Nie wierzę ja im — rzekł — choć nasz nowy wielkorządca inaczej trzyma. Wójt Albert go uspokoił.

— Wójt Albert! — zawołał Suła — a to najchytřejszy lis między nimi!

— Znacie go? — spytał Mikosz.

— Jam tu prawie z dziecka w Krakowie — mówił Marcik. — Albert na mieście jakby książe udzielny siedzi. Co on chce, to robi. Wiedzą o tym wszyscy, że i on, i brat jego, co w Miechowie opactwo trzyma, do Szlązaków ciągną. Szlązaków między mieszczanami moc wielka. Rozpatrzcie się, ilu tu ich jest z Brzega, z Lignicy, z Opola, z Wrocławia, ze Świdnicy. Wrocław a Kraków trzymają się za ręce. Gotowi albo Szlązaka, albo i Małego sprowadzić. Ulrych ich sobie naraził.

— Prawda — potwierdził Czech — z Boskowicza nikt nie był rad. Ostro ich trzymał i ziemian nie szanował. Dla nas on też nie był dobry. Paweł będzie inny.

— Daj Boże — dodał Marcik — ale czasu potrzeba, aż się na nim poznają i zawierzą mu.

Wygadawszy się tak od serca, wstali.

Czech pociągnął na zamek, Marcik, jakby nic lepszego do czynienia nie miał, przeprowadzał go. Szli ulicami z wolna, nieznacznie, a im się ku Wawelowi więcej zbliżali, tym Marcik żywiej zagadywał Czecha i bawił go lepiej. W głównej bramie począł mu mówić o Grecie, wiedząc, że na tę wędkę Czecha złapie najpewniej. Wśliznął się tak z nim na zamek, na który bez tego towarzysza dostać by mu się nie było łatwo, bo właśnie pod ten czas pilniej go od miasta strzeżono. Wszedłszy w podwórca, śmiejąc się, gawędząc, wdzięcząc do Mikosza, Suła miał dobry czas rozpatrywać się dokoła.

Zamek po niedawnej pogorzeli, która i kościół dotknęła, choć wieże miał ołowiem kryte, i wszystkie drewniane gmachy, których było najwięcej, zniszczyła, nie miał jeszcze czasu się odbudować. Boskowicz myślał, z Pragi sprowadziwszy murarzy, mocny gród i piękne gmachy zakładać *na kształt Hradczyna*. Ledwie się do tego przygotowywać począł. Leżały stopy kamieni nazwożonych, drzewa belki olbrzymie, ale dotąd stały tylko tymczasowe dworki i budy, a załoga musiała się jako tako dusić w onych izbicach, w których dawniej mieszczanie mienie swe przechowywali, bo te jedne ocalały. Za Leszka Czarnego Niemcy je popoprawali, zamku obraniając. Teraz i ludzie w nich przytułek mieli. Dwór jeden okazańszy zajmował wielkorządca sani, a inni dowódcy jako tako się mieścili po budach z tarcie i chrustu, a gliny polepionych.

Oczywa tak strzelając dokoła, Marcik obliczył łatwo po pewnych znakach, że załoga niewielka i nie bardzo silna tyć musiała. Wprawdzie na wałach ostrokoły już nowe stały i do obrony przygotowane, ale garścią niewielką tak rozległej przestrzeni bronić było trudno. Wojsko też, które tak długo leżało, sposobności nie mając wojowania, wiążąc w mieście łatwe przyjaźnie, zgnuśniało. Chodzili żołnierze bez zbroi bezpieczni, nie zdając się myśleć, aby im co grozić mogło.

Marcik unikając innej rozmowy, bawił Mikosza opowiadaniem o Grecie, rozprawiał długo, aby chodząc z nim po wałach lepiej się mógł rozpatrzyć. Potrzeba mu było wiedzieć na wszelki wypadek, z której strony łatwiejszy szturm, a słabsza się zdała obrona.

W końcu napomknął znowu o służbie, którą rad by był przyjąć, na co Czech odpowiedział mu dobrodusznie:

— Zobaczemy, gdy się lepiej z nowym wielkorządcą poznamy. Ja wam rad pomogę, ale wyżej nad sotnika trudno będzie się umieścić.

I zapytał go, czy miał dobrą zbroję.

— Dobrą i niejedną — odpowiedział Marcik. — W potrzebie zdam się i do kuszy, bo z nią, z bełtem i kołowrotkiem umiem sobie poradzić. Pewnie też *balistarzy* siła nie macie, a przyjdzie się bronić, to ci będą najpotrzebniejsi.

— My ich teraz nad pięciu czy sześciu nie naliczym — rzekł Mikosz — a z tych dwu nie na wiele się zdało.

Chwilę jeszcze pogawędziwszy, Marcik się nisko pokłonił i z dobrą miną nazad pociągnął ku wrotom, bo Czech poszedł do budy swej odpocząć po piwie.

Szedł, a w duszy mu się robiło coraz weselej, bo widział jawnie, iż Czechy się z tym, co mieli, długo teraz bronić nie mogli, jeśliby posiłki nie nadeszły. Pobudził zarazem niewiarę u mieszczan i obawą zdrady. Rad więc mógł być z siebie. Spuściwszy się ku miastu i znalazłszy znowu w Rynku, w którym ranne życie znacznie się już zmniejszyło, ciżba przeredziła, Marcik wprost skierował się

do domu Greta przy Rzeźniczej ulicy, gdy po drodze od ratusza wracającego spotkał Pawła z Brzegu, który szedł w tę samą stronę.

— Cóżecie to Czecha tak zapragnęli ugłaskać i wielką z nim przyjaźń zawarli? — zapytał rzeźnik.

— Dobry chłop jest — odparł Suła. — Nagadaliśmy się z nim do syta, naśmiali i na zamek go odprowadziłem.

— Byłeś na zamku? — rzekł stając Paweł.

— A juści! Byłem — zaśmiał się Marcik.

— I cóżecie tam widzieli?

— Wszystko, okrom zamku, bo tam żadnego nie ma od czasu ostatniego pożaru. Bronić też gródka będzie trudno — począł swobodnie Marcik, tak jak by się mimo woli wygadywał. — Czechów garść mała, wały szeroko rozpostarte, na inną osadę patrzą. Oni też to dobrze rozumieją. Jeżeli im posiłki nie nadejdą, oddadzą Wawel bez oporu, na pierwsze wezwanie.

— Myślicie? — spytał zadumany Paweł.

— Ale to rzecz najpewniejsza — potwierdził Marcik. — Nowy wielkorządca nie tak twardy jak Boskowicz, szaleć nie będzie. Wy sobie z miastem poczniecie, jak chcecie, to wasza rzecz, a że oni za was szyi nadstawiać nie będą, byle im wolne wyjście z bronią i sakwami dozwolono, to rzecz pewna!!

Paweł sposepniał.

— Łoktek rad będzie temu — dodał Suła. — Zresztą spalone zamczysko niewiele znaczy dziś, a miasto, gdy się nie podda wczas samo — tym lepiej...

— Jak to? — spytał mieszczanin.

— Prosta rzecz — kończył śmiejąc się Marcik. — Z miasta upartego będzie się czym pożywić. Z Czechów dziesięciu kop nie namłóci tyle, co z waszego półkopka. Gdy żołnierze wrota złamią, nie będzie siły, co by ich strzymała. Pójdą szaleć i obłowią się.

Paweł z Brzega zafrasował się bardzo.

— Teraz już tak nam prawicie! — zawołał.

— Zawszem wam mówił prawdę — odrzekł Marcik— i teraz jej nie taję. Wy nie chcecie być pierwsi z miastem, zgoda, zamek się podda pierwszy, ale z wami mówić nie będzie czasu ani ochoty.

Szli dalej razem. Rzeźnik dumał i sapał. Patrzył, dokąd towarzysz jego zdąży, co Marcik porozumiewszy, choć mu się do Greta chciało, zmienił postanowienie i rzekł:

— Pójdę po konia, którego w szopie u Szeluty zostawił, bo mi do domu pilno.

— Do Greta dziś nie przyjdziecie? — spytał Paweł.

— A po co? — rozśmiał się niby dobrodusznie Suła — nie wskóram tam już nic. Greta tak dobrze Wurma, Mikosza, jak mnie przyjmuje, a żadnemu z nas z tego nic.

— To prawda! — począł wesoło Paweł. — Mnie też z niej nic, bo to synowica moja, ale na nią choćby popatrzeć, tak jak by człek co dobrego zjadł!!

— Albo się napił! — dorzucił Suła.

— Wiecie co — dodał Paweł, biorąc go za suknię. — Idźcie do Greta, posiedźcie u niej. Ja tymczasem pójde, rozmówię się z ludźmi. Miasta na swawolę żołnierstwa narażać się nie godzi.

Marcik z początku się wahał wrzekomo i ociągał, potem ręką dał znak i poszedł do Greta.

Siedziała wdowa znowu u okna, trzymając w ręku rodzaj cytry, na której strunach pobrzękiwała po cichu. Za stołem podparty najupartszy z jej zalotników słuchał Wurm i dumał. W kącie, na stronie, nieodstępny Kurcwurst drzemał. Nie było nikogo więcej.

Na wchodzącego Marcika spojrzała uważnie Greta i spytała go nieco szydersko, rzucając cytrę na ławę:

— No, bardzoście się z Mikoszem pokumali?

— W kumy nie ma jak dzban — zawołał Marcik — a to chłopisko zaprawdę serca dobrego i choć ja bym go chwalić nierad, ale sprawiedliwym być muszę. Dobry brat!

Wurm się skrzywił.

— Chwalić każdego można — ozwał się z przekąsem — począwszy od cielecego mięsa, które też dobre jest. Mikosz na żołnierza tak dobry, jak ciele na pieczyste, ale więcej...

— On też czym innym nie myśli być — zawołał Marcik — tak jako i ja. My oba ludzie prości, od siekiery, niemieckich *minelidrów* śpiewać nie umiemy ani się nauczymy. Za to kord nasz bardzo bywa wymowny!

Wurm pogardliwą miną przyjął tę odprawę. Spojrzał na Marcika, który blisko Greta miejsce zajął, śmiało się do niej przysuwając, zżymnął się, rzucił do wstawania, żal mu się zrobiło i został, rozparłszy się na stole.

— Gdym wchodził, przerwaliście piosenkę — odezwał się Marcik do Greta — czym to ja słuchać jej niewart?

— Nie warcicie — odparła wdowa. — Na naszych *minesingerów* wymyślacie, a ja ich lubię.

— Szkoda, że ja do nich nie chodził do szkoły, może bym i ja u was większe miał łaski — westchnął Suła.

Greta popatrzała nań śmiało.

— Ja was i tak lubię dość — odezwała się — a gdybym lubiła więcej, na co by się to wam zdało?

— Jak to na co? — wykrzyknął Suła.

— Znacie mnie przecież — zimno mówiła dalej Greta — jestem bałamutna. Każdego dnia ktoś inny mi lepszy. Wy macie dni swoje, ma je Wurm (wskazała nań), nawet Czech, któregoście i wy umiłowali, a oprócz was, kto wie, ilu będzie w łaskach! Tak mi najlepiej, niewolnicą niczyją być nie chcę.

— A królową? — podchwycił Wurm.

— Królowe u was królują, póki wesela, potem je w niewolę obracacie — odezwała się Greta. — Ja to wiem, więc ani królową, ani niewolnicą nie chcę być, wolę panią sobie i wdową!!

Wurm się rzucił niecierpliwie. Zapomniał, że Marcik ich słucha i ciągnął dalej.

— Tak wam przecie zostać nie dozwolą — rzekł żywo — prędzej, później kogoś sobie wybrać musicie.

— No to później i jak najpóźniej — zaśmiała się Greta. Lice jej zarumieniło się.

— Wybiorę może — dodała — ale wątpię, bym was wzięła. Wurm z gniewu ręką o stół uderzył, a Marcik głośno się śmiać zaczął. Kurc wurst w kącie, choć mu się do tego mieszać nie wypadało, usta sobie ogromną łapą zatuliwszy, prychnął...

Rozdział dziewiąty.

Piękny był, ciepły, jasny wieczór jesienny, jeden z tych dni, które lato przypominają, nie mając już skwaru jego. Powietrze, przejęte pól pożętych wonią, lekkie do oddychania, zdawało się posilnymi darami jesieni nasycone.

Po wsiach brzmiały gędźby i śpiewy, bo to u nas pora swatów i weselisk, godów i uciech. Stodoły i brogi pełne, pola zasiane, w najuboższym domu dostatek.

Okolo miasta też ludno było, żywo, wesoło; w karczemkach panien zwierzynieckich, **Ostrzygońce i Kretkówku**, w szynkach podmiejskich, w gospodach na przedmieściach Krakowa, ludek się posilał i zabawiał po drodze. Mało który wóz nie przystanął tu na chwilę, usłyszawszy **szalamaje** lub kozę w szynku i wesołość, jaka tam panowała. Wozy z końmi, którym trochę siana zarzucono, czekały na panów spokojnie.

Godzina zamykania wrót w mieście jeszcze nie nadeszła, a ówczesne bramy Floriańska, Sławkowska, Szewska, Wiślna, Mikołajska, Rzeźnicza stały otworem, bez żadnej straży. Nikt też tak dalece nie zwracał na to uwagi, że dnia tego, począwszy od południa, ziemian się do miasta ścigało bardzo wielu. Więcej może niż kiedykolwiek. Ale że nie wszyscy jednymi wroty wjeżdżali ani razem, a w ulicach nie bardzo zważano, co się działo, nierychło się postrzeżono, iż się jakby na jaki zjazd gromady zbierało.

Było w obyczaju naówczas i długo potem, iż gdy miasto gospód pod dostatkiem nie miało, mieszczanie znajomych i nieznajomych gości do siebie przyjmowali. Tak ci było i w Rzymie czasu tego jubileuszu 1300 roku, na którym się Łoktek znajdował, gdzie na ulicy Klaudia do wszystkich domów pielgrzymi się wprasali, a wszędzie ich ugaszczano, prawda, że za ich grosz miły. Tak samo działo się w Krakowie. Tego dnia mało do którego ze znaczniejszych domów nie zapukał jeden z ziemian krakowskich. Jechali z dworami zbrojnymi, co nikogo nie dziwiło, bo się bez broni nie ruszało za wrota, pokaźnie poubierani, z czeladzią, z wozami. W każdej gromadce rycerstwa po kilku i kilkunastu, ludzi statecznych, znanych po nazwiskach i z urzędów każdemu.

Niektórzy z nich, jak Wierzbęta kasztelan i Wojciech ze Żmigroda, wojewoda, mieli tu dwory swoje i do nich zajeżdżali, z sobą też innych wiodąc. Sandomierzanie i Kujawiacy do mieszczan się wprasali. Przez wrota ze wszystkich stron ku wieczorowi napłynęło tylu tych gości, że i w ulicach poczęło być gęsto, a z bram, domostw i podwórców gwar szedł wielki. Czeladź szynki i browary napelniała. Dopiero teraz Veit, dowódca straży miejskiej i wiertelników opatrzył się, że gości tych w mieście tłum był do zbytku wielki. Nikt się ich tu nie spodziewał, bo ani święta, ni zwołanego zjazdu nie było. Gdy tłum tak wielki nagle się znalazł, Veit, rozpatrzywszy się w nim, niespokojny, na ratusz pobiegł, spodziewając się tam znaleźć wójta Alberta. Ale tu go nie było. Powiadano, że do brata Henryka pojechał.

W ratuszu zastał tylko Veit burmistrza Amyleja z Muchowa, jednego z najzamożniejszych kupców, który do spraw miasta najmniej się był zwykł mieszać, swoich więcej dozierając. Amylej czekał na Pawła z Brzega, z którym do mówienia coś mieli. Po wielkiej izbie radnej przechadzał się sam, gdy Veit wbiegł mocno poruszony.

— Wójta, słyszę, doma nie ma ani się jego zastępców doszukać, a tu sprawa pilna!

— Jaka? Gdzie? — zapytał Amylej obojętnie. — Pobili się ulicznicy czy podrapały przekupki?

Możny człek Amylej z Muchowa nierad się poufalił ze służbą i dowódcę chciał zbyć drwinami. Veit, na którego odpowiedzialności bezpieczeństwo miasta było, brodaty i kudłaty olbrzym w hełmie spiczastym, cały w żelazie, miał się też za ważnego człeka i nierad był Amylej owi dworować, bo ten nie żadnym wójtem, ale prostym rajcą był.

— Nasi panowie wójtowie — rzekł — wczasu sobie zażywają, a tu...

— Cóż? Gore? — spytał Amylej szydersko.

— A może i zgorzeć — odparł butno Veit — może i co gorszego powstać niż ogień, jeśli nad ogień jest większa plaga.

Wodził po izbie oczyma niespokojnymi, gdy suknię opinając na sobie, zjawił się z piwnicy wracający Hanusz, jeden z panów wójtów.

— Co się tak sierzdzisz, Veit? — zapytał.

— Chybaście nie widzieli, co się to w mieście dzieje, a na co już ja z wiertelnikami nie poradzę — zawołał, głos rozpaczliwie podnosząc, dowódca straży. — Ziemianie i rycerstwo miasto zaleli, zapchali. Pełno ich wszędzie, ścisk. Od wrót poprzybiegali ludzie i z Floriańskiej, i z Wiślnej, że od południa jak procesja jadą zbrojni... Wrót im przed nosem teraz nie czas zamykać — dodał —

pełnusięko ich wszędzie. Na Okolu w kilku domach, do których ich gospodarze puszczać nie chcieli, nie znalazłszy indziej przytułku, wparli się siłą, mocą.

Mówił jeszcze, gdy z twarzą wylęklą wbiegł radny Hincza Keczer i począł wołać:

— Ziemianie i rycerstwo Kraków zajmują. Nie wiadomo jacy, czyi? Najechali bez oznajmienia żadnego. Mało tego, że krakowscy i sandomierscy, alem takich ludzi widział pełno, których oczy moje nigdy tu jeszcze nie oglądały. Jacyś obcy...

Jeszcze się drzwi za nim nie zamknęły, gdy Paweł z Brzega wsunął się z wolna, spokojniejszy pozornie od innych, lecz także chmurny i posepny.

— Wiecie? — zapytał go Amylej.

— Wiem, że miasto pełne — odezwał się Paweł. — U mnie już stoją Toporczyki, a Grety, gdyby Suła nie obronił, zajechaliby ją byli Różyce. Odparł ich, komu innemu zachowując gospodę.

— Ale cóż za zjazd czy najazd? — krzyknął wójt. — Gdzie nasz pan Albert?

— Mówią, że się wybrał do brata, do Miechowa — rzekł Paweł, ramionami ruszywszy.

Veit, obawiając się odpowiedzialności, dopominał rozkazów.

— Choćbym teraz na godzinę przed czasem wrota kazał zamykać — rzekł — cóż to pomoże? Wcześniej mi nic nie przykazano. Trudno ziemianom ulicy i drogi odmówić! Z początku po jednym ciągnęli, potem po kilku, w ostatku kupami.

— Każecie spuścić brony?

Paweł żywo się zwrócił.

— Ani się ważcie! — zawołał głośno. — W mieście już ich na tysiące liczyć. Broń Boże, wrota się zaprą, wrzawa powstanie, a szaleniec jaki brony łamać pocznie, byle kropla krwi pociekła, myśmy życia i mienia niepewni.

Wbiegł drugi wójt przestraszony, czapkę rzucając na stół i ręce łamiąc.

— Przepadliśmy! — krzyknął. — Łoktkowi ludzie, nie kto, gromadami wciągają, pocztami, pułkami. Ulice pełne, rynek jak nabity. Patrzcież!!

— Kto mówił, że Łoktkowi? — zawołał Amylej.

— Wszyscyć wiedzą, a i poznać nietrudno, bo obszarpane draby i zuchwałe.

Veit we drzwiach rzucał się jak opętany.

— Cóż mnie czynić? — jęczał — ja im z moją pół kopą ludzi nie dostoję.

— Nic nie czynić! — wtrącił nakazująco Paweł. — Stań i pokłoń się im. Wójta nie ma... Co się stało, nie odstanie... Porwie się kto do nich, radzi będą i miasto obróćą w perzynę!!

Rajcy, którzy się w coraz większej liczbie ściągali, stali jak osłupieli. Niektórzy biegli do okien przysłuchiwać się.

Kawał Rynku, który stąd widać było, wyglądał wcale osobliwie. U każdego prawie wrót domu stali łuckie rycerzcy, hełmy już pozdejmowawszy, jedni o łaźnie pytając, drudzy c szynki, inni o stajnie dla koni. Oddziały coraz nadciągały nowe, czeladź biegała krzycząc. Hałas i gwar niósł się aż na ratusz. Ostrożniejsi kupcy, na gwałt spiesząc, ławki i budy zamykali co żywiej. Na całym mieście niepokój był i trwoga niewysłowiona. Miejscowych, znanych ludzi, do których oczy były nawykłe, w ulicy prawie dojrzeć nie można było. Snuli się sami obcy, błakając i dopytując kułakami. Mieszczanie kryli się po kątach.

Nagle w Rynku, z dala, od Floriańskiej dały się słyszeć trąby i okrzyki. — Z bram powybiegali ludzie, w oknach górnych pokazały się głowy mieszczek wylękłe, pod ścianami gawiedź i wyrostki stali ściśnięci w kupy. Patrzano w ulicę, od której trąby i wołania słychać było coraz wyraźniej. Wszyscy radni i wójtowie powywieszali się, z okien patrząc, i oniemieli ze zdumienia. Oddział, który poprzedzało chorągwi kilka czerwonych, łatwych do poznania, że czeskie nie były, bo lwów na sobie nie miały, z trębaczami i surmistrzami, ze zbrojną czeladzią liczną spokojnie na rynek wciągał. Naprzeciw niego z gospód i domów wysypali się starsi ziemianie, kasztelan, wojewoda, duchowni i stali, jak by witać mieli. Wjeżdżał więc ktoś starszy i dostojniejszy nad nich. Wśród okolenia bardzo strojnie przybranego starszych mężów, ludzi wzrostem go przechodzących, ci, co go nigdy nie widzieli, domyślili się z postawy Łoktka. Na ten wjazd uroczysty do Krakowa już mu umyślnie konia rosłego i silnego dobrano i przykryto szytym suknem i drucianą zbroją, z siadzeniem błyszczącym od złota. On sam, do czego nie był nawykł, zbroję przywdziać musiał świetną i płaszcz szkarłatny z pasamanami złotymi. Ziemianie w rynku stojący czapkami go, rękami, niektórzy dobytymi w górę mieczami miotając, witali głośno. A gdy się tu ozwały okrzyki, poszły od domostwa po ulicach echem i zabrzmiał nimi cały gród aż do przedmieści. Rozległo się nimi i Okolę pod zamkiem, a wrzawa ta Czechów na Wawelu obudziła.

Trzeba było widzieć, jak nagle się porwawszy, na wały poczęli biec, wrota zamykać, zabijając furty, brony spuszczać.

W kilku kościołach wesoło dzwony zabrzmiały. Biskup siedział nad swą księgą w małej izbie, gdy kustosz Michał z Modlnicy, ulubiony mu, wbiegł do izby jak trup bładny, tak że twarzą samą przeraził, nim mógł wyrzec słowo.

Muskata zerwał się z siedzenia.

— *Miserere nobis!* — wyrwało mu się mimowolnie. — Co się dzieje?

Kustoszowi na odpowiedź głosu brakło.

— Miasto, miasto zalane — począł niewyraźnie — pełne! Zajazd niespodziany ziemian, rycerstwa, ze wszystkich ziem. Nikt nie doniósł, nikt nie przewidział. Zdrajcy mieszczenie wpuścili ich. Wójt uciekł do Miechowa... umyślnie. Księżę Władysław Łoktek już w Rynku.

Nazwisko to usłyszawszy, zadrzał Muskata, usta mu zapadły, padł na siedzenie, rękami twarz zasłaniając.

— A na zamku? — wyjąknął. — Czesi? Co robią Czesi?

— Tak samo jak wszyscy nie spodziewali się — odrzekł kustosz. — Spisek był! — wołał namiętnie, zburzony. — Zdradzono nas i ich! Co Wasza Miłość czynić myślicie?

— Ja? Ja? — jąkał się Muskata, szukając myśli. — Ja? Nie! nie! Zamknąć wrota! Nie wiem o niczym. Nie przyłożę ręki do niczego. Poczęto bez mej rady, niech kończą sami.

A po namyśle szepnął:

— Gdybym mógł, zjechałbym precz. Nie chcę patrzeć na to ani się o nich ocierać.

Kustosz głową poruszał.

— Czeskie panowanie skończone! — rzekł. — Sprawa ich stracona. Ten zuchwały... Łoktek zajął już wszystkie ziemie prawie, nie puści ich! Rycerstwo przeszło na jego stronę... wszyscy.

— Ja, nie, nie! — przerwał Muskata. — Wygnany był, tułał się już wielokroć, pójdzie znowu na tułactwo... Wyżeną go... Prawowity król go przegna... Złamie... zwycięży... Czechy siłę mają Niemiec całych...

Biskup zaczął się rozgrzewać, lecz wprędce pohamował i głos zniżył.

— Idźcie — rzekł do kustosza — abyście wiedzieli, co się stanie, donieście mi. Pozostaną wiernym mojej przysiędze. Znać ich nie chcę. Wrota zaprzec.

Kustosz Michał z Modlnicy wysunął się szybko. Nie podzielał może zdania biskupa, ale musiał mu być posłusznym.

Na mieście gorzało weselem jakimś i zwycięstwem. Ludzie chodzili nim jak upojeni, na mieszczan coraz większy strach padał. Spokojni mieszkańcy łatwo teraz obliczyć mogli, iż gdyby najmniejszy stawili opór, naraziliby się na rabunek i pożogę. Rycerstwo i ziemianie byli liczbą przemagający, a do nich łączyły się coraz przybywające pułki Łoktka, rozkładające się po placach, ogrodach i pustych dworzyszczach.

Lud ten do wojowania i łupieży nawykły, głodny, chciwy, rozpuszczony ciągłym bojem, dowódcy ledwie mogli utrzymać w porządku. Na widok dostatków po domach i sklepach krew się w nich gotowała. Na uboczach też, gdzie mogli, gwałtem się do domostw parli. Słysząc było z dala krzyki niewieście i zwady. Starsi biegali i jak mogli poskramiali wybryki.

Księżciu pod niebytność wójta Alberta otwarto dom jego, za nim na radę wciągnęli dowódcy i urzędnicy. Dokoła stawiono strażę, w ulicy zatknięto chorągiew.

Kilku czeladzi, posłanej przez Marcika, pilnowało wrót wdowy Grety, która z górnego ganku swego domostwa, sparszy się na balaskach okalających górkę na poddaszu, stała najspokojniej, przypatrując się temu, co się działo w ulicy. Kurewurst tak był przelękły, iż laskę swą, obawiając się, by jej za broń nie wzięto, a jego za stawiającego opór, skrył najstaranniej do kąta. Sam z ukrycia spozierając, żegnał się co chwila i pacierz mamrotał.

Greta, jakby przygotowana była do tego, wcale nie okazywała zdziwienia, pewną będąc, że się jej nic złego stać nie może. O zamknięcie wrót nawet niewiele się troszczyła. Pilnowała ich straż Marcikowa, nikomu nie dając przystępu.

W klasztorach męskich nie tak wielka jak u zakonnic panowała trwoga. Szczególniej beginki, których domy stały naprzeciw dominikanów i franciszkanów, pozamykały się szczelnie, bo schronienia ich pół tylko klauzury miały. Mógł do nich łatwo kto wkroczyć. Jak tylko zasłyszano o Łoktku, którego wojska osławione były, okrzyki trwożliwe, jęki i lamenty napelniły dworki beginek. Nie bez przyczyny obawiały się, gdyż franciszkanie i dominikanie w sąsiedztwie pootwierali swe klasztory przybywającym, a franciszkanie szczególnie, którym ksiązę Władysław winien był ocalenie swoje, jak swojego przyjmować się gotowali. Przywiązuje się zawsze do tych, którym się dobrze uczynić mogło; i dzieci świętego Franciszka kochali małego pana, który ich habitowi winien był życie. Miłym im też był, bo jak oni ubogim, surowego żywota i wytrwałym.

Wśród tego zgiełku i zamieszania, którego noc nie mogła powściągnąć, dzień się skończył. Straże miejskie wrót już zamykać nie śmiały, a Veit wahał się, czy mógł jak zwykle wyciągać ze swoją garścią wiertelników w ulice, na których porządku utrzymać nie miał siły. W mieście panem był kto inny.

W domu wójta Alberta świeciło się we wszystkich oknach, drzwi stały otworem, w sieniach paliły się pochodnie, cisnęli się i wychodzili ludzie, gospodarza tylko nie było widać. Wójt Albert nie wracał z Miechowa.

Mieszczanie mieniali się na ratuszu, nie schodząc z niego, co chwila bowiem spodziewali się żądań i rozkazów. W radzie miejskiej, dawniej spójnej i zgodnej, dostrzec już było można jakby zarysowujący się podział na dwa obozy. Nie stały one jeszcze wyraźnie przeciwko sobie, lecz z wejrzeń, półsłówek, twarzy, humoru, mieszczanie poczuli się sami do myśli różnych i uczuć niezgodnych. Do najzjadlejszych, jawnych nieprzyjaciół księcia Łoktka należał naówczas nie wchodzący do rady mieszczanin Herman z Raciborza, młody kupiec majątny, który był właśnie po ojcu odziedziczył domostwa i dworzyszczą znaczne w Rynku i przy ulicy od Świętego Franciszka wiodącej. Ten na ratusz wpadłszy, wszystkich radnych łącał i narzekał na nich, iż nieczujni byli, że wrót nawet strzec nie umieli, nieprzyjaciela wpuścili i miasto narazili na zgubę. Człek młody był, gębacz wielki i śmiałek.

Nie odpowiadano mu, ledwie ramionami ruszając, bo się każdy ust obawiał otworzyć. On jeden śmiało wywoływał:

— A na co nam się aż trzech panowie wójtowie zdali, dziedziczny i wybrani, a rajców tylu!! Pięknie oni wszyscy dobra naszego strzegą! Cóż teraz? Czechy jutro, jeśli nie dziś, z zamku wypadną i miasto zmieni się w popiołów kupę!

— Milczelibyście! — przerwał mu gwałtownie Paweł z Brzega. — Wy ważycie swoje mienie, aleć i my też do stracenia coś mamy. Co się stało, musiało, inaczej nie było można.

— Tak! tak! — wołał Herman zapamiętały. — Dobregoście panka sobie wybrali, żebraka, włóczęgę, któremu jutro na chleb i słoninę dać będzie trzeba, choćby *gzło* ostatnie przyszło zdjąć.

Rzucał się tak a łącał. Radni stali i milczeli.

— Nie można było inaczej — powtórzył Paweł, jak gdyby się czuł obwinionym. — Cóż byś ty, mądry Hermanie, czynił? Co? Wrota byś zaparł, czeladź zwołał do obrony, hę? Byliby szturm radzi przypuścili i miasto złupili. Lepiej dać chleb i słoninę niż życie.

— A oni z was, z nas — krzyknął Herman — naprzód gźło zdejmą, a potem życie.

Tak się z sobą ucierali.

Z ratusza ślano po wójta.

Nieprawdą było, jakoby do brata, do Miechowa miał zjechać. Wiedzieli jego zauszniczy, iż chcąc pierwszej chwili uniknąć, zjechał na czas i w Krowodrzy się ukrył, skąd przybyć obiecał, gdy wszystko będzie skończone. Teraz gdy się skończyło, Kraków został zajęty, spodziewano się jego powrotu.

Noc już była późna, gdy w kilka koni, ze służbą, na tęgiej szkapie, przy mieczu, w półbroi zjechał Albert przed dom własny. Z szat nawet poznać było łatwo, że nie z podróży wracał, ale przygotował się stanąć przed księciem. Ubrany był świątecznie, w jedwabiach, kozuszkę lekkim, na szyi miał łańcuch i kołpak soboli, a rękawice szyte u pasa. Zsiadłszy z konia, sam, nie prowadzony przez nikogo, poszedł wprost do izby swej większej, w której księcia się zastać spodziewał, bo w oknach jej się świeciło. Tu pacholkiwie stali z pochodniami, panów pełno było, wojewodów dwu, kasztelanów czterech, Klemens kanclerz, sędzia Smił i z rodów przedniejszych krakowskich i sandomirskich po kilku starszych. Stał tu i Mieczyk Topor, czekając na łaskawe wejrzenie pana, ale Łoktek, choć dawno go widział, zwrócić się do niego nie chciał.

Wszyscy się poruszyli, gdy w progu ukazał się Albert. Łoktek siedzący wstał i podszedł ku niemu, mierząc go oczyma. Pan był dnia tego dobrej myśli i otworzystego serca, wszystko mu się uśmiechało, więc albo nie widział, że Albert, gdyby jeniec mimo woli zmarszczony, szedł doń z pokłonem, albo widzieć tego nie chciał.

Niemiec, głowę pochyliwszy, stał gdyby oniemiały. Pierwszy się odezwał Łoktek:

— Wójcie Albercie — rzekł — o miasto się nie trwóźcie, złego mu nie chcę. Owszem, przywileje wasze stwierdżę i powiększę je. Będę wam ojcem łaskawym.

Tu ręką wskazał na otoczenie swe.

— Widzicie, że mnie tu wszystkich ziemian i rycerstwa wola powołała, a i prawo mam do państwa tego lepsze niż Czech. Bogu się podobało posadzić mnie na tej stolicy, mieczem moim utrzymam się na niej.

Albert kłaniał się, milcząc jeszcze, a Łoktek, głos nieco podniósłszy, dodał:

— Będę wam ojcem dobrym, słowo dane strzymam, ale dzieci chcę mieć posłuszne i wierne. Gdzie mi się kto sprzeciwi, tam ja sprawiedliwość sobie krótką domierzam, nie litując winnego.

Uśmiechał się, mówiąc to dobrotliwie i schylonego wójta po ramieniu poklepawszy, dokończył:

— Bądźcie nam, jako gościom, dziś radzi, panie gospodarzu!

Wójt pomruczał coś niewyraźnie, pokornie się schylając. Spod oka patrząc na małego pana, badał go. Z zimnej, stężałej twarzy Niemca nikt nie mógł odgadnąć, z jakim uczuciem przyjmował Łoktka, ale w duszy jego wrzało. Wstyd mu było po możnym królu Waławie kłaniać się temu wygnańcowi, włóczędze, którego za pana swego uznawać był zmuszony. Wójt, który się czuł możnym, silnym, przewidywał, że książę mały żelazną dłoń mieć będzie. Ale potrzeba się było poddać konieczności. Kłaniał się nisko — musiał! Natychmiast w domu swoim zajął się przyjęciem, chcąc okazać, że miał czym pana ugościć.

O śnie nikt tu nie myślał. Słano co chwila i odbierano wiadomości od zamku, których książę najpilniej żądał. Chociaż noc była ciemna, a księżyc nie wszedł jeszcze, Łoktek nie wytrzymał i konia sobie kazał dać, aby w kilkanaście towarzystwa pod Wawel podjechać. Co się we środku zamku działo, trudno było odgadnąć, ale po wałach strażę chodziły gęste, wrota i furty były pozamykane i poobsadzone, czujność widać było wielką. Że Czechy wiedziały już o zajęciu miasta przez Łoktka, o tym nie można było wątpić. Co tam postanowili względem obrony, miały dni następne okazać. Wzywać do poddania załogę nie chciał książę wprzódy, ażby go uroczyście pod Wawelem panem okrzyknięto. Z Poznania wiadomości jeszcze nie było, czy się uda Wincentemu z Szamotuł i ziemianom przez niego uzyskanym Władysława obwołać.

Cisza na Wawelu niezrozumiała, zagadkowa panowała. Czesi, którzy nawykli byli tłumami schodzić do miasta i gościć w nim do nocy, wszyscy zbiegli na Wawel i zamknęli się w nim. Jednego, pochwyconego w łaźni, w której się ukrywał, przyprowadzono do badania, lecz ten wylękły zaprzysiął się, że o niczym nie wiedział.

Łoktek, opatrzywszy wały z dala, strażę porozstawiać kazał dokoła, a do otaczających ze śmiechem się odezwał, że już raz z zajętego Krakowa zmuszonym był w habicie uciekać i drugi raz podobnego losu doznać nie chce. Wojewoda Wojtek ze Żmigroda zapewnił księcia, iż ludzie czujni będą przy zamku noc całą, a załoga z pewnością o wycieczce nie pomyśli. Ubezpieczywszy się Łoktek, wesoło nazad do wójtowego domu powrócił, gdzie czekała nań zastawiona wieczerza i ludzi dosyć, gdyż ziemianie ciągle jeszcze napływali, a każdy pragnął się nowemu panu pokłonić.

Marcik, który z księciem zamek objeżdżał, ukazując mu jego słabizny, bo te czasu pobytu w mieście poznać się starał, odwiózłszy pana do dworu wójtowego, sam teraz o sobie chciał pomyśleć. Cały dzień czynny u wrót różnych, z mieszczany po gospodach przybyłych rozprawiając, chciał zajrzeć do Grety, u której wrót straż postawił, aby mu tam nikt się nie wdarł obcy. Choć noc była, pewnym był, że ją znajdzie czuwającą, bo w całym mieście nikt nie spał ani o śnie mógł pomyśleć. Żołnierze lękali się Czechów, Czechy zdrady, mieszczanie ludzi Łoktkowych, trwoga nikomu nie dała zawrzeć oczów. Czeladź, która dworu wdowy pilnowała, rozkazanie mając nikogo doń nie wpuszczać, wrota pozapierawszy, w podwórzu bezpiecznie spoczywała. Wdowa tym swoim obrońcom, rada nierada, musiała wysłać piwa i jadła. Siedziała w izbie swej, w której Kurcwurst wylękły kąta ciągle bezpiecznego szukał na wypadek napaści, a żaden mu się dość pewnym nie wydawał. Czeladź Marcika, posłuszna rozkazom pana, nawet Pawła z Brzega nie puściła do Grety, choć ona sama o to się upominała i gniewała, że słuchać jej nie chciano.

Gdy Marcik zastukał i zawołał, otworzyli mu jego podwładni, śmiejąc się i dopominając nagrody za to, że tak ściśle spełnili jego wolę. W izbie gościnnej świeciło się jeszcze, wszedł wprost do niej. Spodziewał się wdowę znaleźć wdzięczną i radą, a zobaczył nadąsaną i gniewną. Z rozpuszczonym na ramiona włosiem siedziała w kącie, długo się nie odzywając. Dopiero gdy Marcik witając poszedł ku niej, zawołała:

— Cóż to? Czyście mnie w niewolę wzięli?

Suła się zdziwił pytaniu.

— Chcieliżecie, abym wam tu puścił ciurów i żołdactwo? — odparł Marcik.

— Alboż ja bym się ich złąkła? — zawołała mieszcza. — Może bym wolała ich niż taką niewolę i więzienie przez dzień cały. Ja takiej opieki nie potrzebuję!

Marcik stał, prawie zrozumieć nie mogąc.

— No — rzekł — toście mi dopiero wdzięczni za to, że was ratowałem i jak przy księżnej jakiej strażę rozstawiał!

Greta spojrzała nań groźnie.

— Wy bo sobie nie wiecie jakie prawa do opieki nade mną roście! — wybuchnęła.

Suła posmutniał, ręce założył na piersi i począł się jej przypatrywać. Chodziła po izbie mocno wzruszona.

— Otóż mam przyjęcie — zamruczał — gdybym się całe innego spodziewał.

— Wy wiecie — mówiła, stając naprzeciwko niego i mierząc go oczyma — wiecie, że ja niewoli nie znoszę żadnej. Nieboszczykowi mężowi nie dałam się spętać ani opiekunowi — nie dam też i wam.

— A komuż?

— Nikomu, nigdy! — odparła dumnie niewiasta. — Jeśli z dobrej woli oddam się komu, pewnie nie wam!

— Dlaczegoż nie mnie? — oburzył się Marcik. — Ja was nie chcę mieć niewolnicą, tylko żoną. Nie jestem lada podły chłop, ziemianin, rycerz, powinowaty panów na Tęczynie, toć przecie mieszczkim wart? Prawda, że bogactw nie mam, ale ziemi kawałek od pana dostanę, bo mi to przyrzekł. Wyposażenie od niego mieć będę, a was wezmę choćby bez wiana i grosza. Miłowałem was dziewczką, miłuję wdową, a, przysięgajcie sobie, jak chcecie, moją musicie być!

Greta rzuciła się jak szalona.

— Dla mnie musu nie ma i nigdy nie będzie! — krzyknęła. — Wy mnie sobie miłujcie, ale mi z oczów idźcie, bo mi się już was słuchać i patrzeć na was znudziło. Ja was nie chcę.

— Nawet gdyby księżę był mi swatem?

Greta rozśmiała się szydersko.

— A co mi wasz księżę? Przykazać nic nie może, ojcem mi nie jest, a ja się rodzonemu opierałam!

Marcik nie spodziewający się takiej odprawy — zaniemiał.

— Greto! Greto! — odezwał się smutnie — serca i litości nie macie! Taka to nagroda za wierną służbę moją!

Niemka pogardliwie odparła:

— Kurcwo też służy mi wiernie i dawno, przecie za niego iść nie myślę.

— A jaż niewarto więcej nad niego?

— Kto to wie?! — zaśmiała się wdowa.

Marcik przybity nieco wprędce otrząsł się z rozpaczki wielkiej i zawołał:

— Dzisiaj na was coś napadło! Gieź jakiś pokąsał; w lepszą godzinę będziecie łaskawszą.

To mówiąc poszedł ku niej rażno, jakby wpaół chciał pochwycić. Wdowa cofnęła się na kilka kroków, zmierzyla go oczyma strasznymi i ręką sięgnęła do noża u pasa, który ją nigdy nie opuszczała.

Suła padł gniewny na ławę.

Spojrzawszy nań raz i drugi, Grecie się może żal go zrobiło, przeszła się po izbie, zobaczyła na stole stojący dzban i kubek i, brząknąwszy nim, pokazała Marcikowi, który pogardliwie potrząsł głową.

— Zżyć się mnie chcecie — rzekł — jak najemnego stróża, płacąc napitkiem i strawą!

Greta się powoli rozweselała.

— Za nic liczysz, że ci się śmieję i że łaję! — rzekła.

Marcik, który pokusie dzbanka z trudnością mógł się oprzeć, podszedł ku niemu i do kubka nalewać zaczął.

— E! Z wami, babami — zawołał — człek duszę gubi, a nigdy nie dojdzie do końca!

Zebrało mu się na narzekanie.

— Myślicie, że ja bym tu pracował tak do zdechu, choćby i dla księcia? Życiem ważył, szyję nastawiał, wysługiwał się u niego tylko dlatego, aby zarobić na kawałek ziemi, gdzie bym z wami mógł się osiedlić! Zaprawdę nie wiecie, jak was miłuję, tyle lat, tyle lat: i nadaremno! Ale upor za upor, wy nie chcecie moją być, a ja wam powiadam — musicie!

Uderzył ręką o stół. Greta zbliżyła się do niego, ręką w pięść ściśniętą stuknęła.

— Nie muszę i nie będę!

W oczy sobie patrzyli śmiało.

— Gwałtu mi nie uczynicie — rzekła — ani ty, ani książę twój. Jak nie zechcę, sposób znajdę od was się uwolnić... Nie przymusi mnie nikt! Słyszycie, nikt!

Marcik pić począł, jakby sobie lekcewał próżną mowę, Greta coraz się mocniej rozgrzewała.

— Ani ty, ani nikt mnie w niewolę nie weźmie!

— Szkoda wam Czecha! — śmiał się Marcik.

— Chyba dlatego, że ten mi musem nie groził.

— Wolicie Wurma?

— Wurma? Liczcież dalej — przerwała Niemka. — Jest jeszcze kilku... Mały Dunin pięknego rodu i możny pan, który mi się na kolanach przysięga, że do ołtarza gotów, choć z mieszczką; jest Prandota z Woli, co także księdza chce sprowadzić, jest takich dosyć!

Śmiała się.

— Widzicie — dodała — trudno, abyście wy od nich mieli być lepsi.

Suła się za piersi szarpnął.

— A kto nade mnie dawniej was miłuje?! — zawołał.

— Myślicieź, że miłość jak miód, im starsza, tym lepsza! A nieprawda! Ona jest jak piwo, które postawszy kwaśniej.

Kurcwurst, posłyszawszy to, począł się śmiać głośno. Marcik się oburzył, a Greta, popatrzwszy nań spokojnie, poszła zająć swe miejsce.

Wtem do wrót gwałtownie bić zaczęto, jak by je wyłamać chciano.

Rozdział dziesiąty.

Marcik gniewny już wybiegł w podwórze, rad, że na kimś spędzi złość swoją. Tu zastał czeladź zajadle broniącą wrót. Dobijano się do nich szturmem wielkim, wołając:

— Otwierajcie, bo wywalim!

— Do kordów! — krzyknął Suła, który sam już swojego dobył i podbiegł do wrót grożąc:

— Precz! Nie ważcie mi się — porąbiemy w szmaty...

Lecz do czynienia miał z równie zuchwałymi, jak sam był. Pan Wincenty z Szamotuł, którego widzieliśmy u Łoktka, nadażył późno z Poznania. Wskazano mu po drodze jako jedyną nie zajętą gospodę dom Grety.

Człowiek był nie dający się łatwo i lada czym odprawić, gotów do kordą i z licznym dworem zbrojnym. Z obu stron bramy poczęło się łajanie wzajemne od słów ostatnich i pogróżki. Czeladź Marcika była podpiła.

Wtem na próg domu swego wybiegła Greta.

— Jakie wy macie prawo — krzyknęła — bronić komu u mnie zająć gospodę?! Ja chcę mieć gości jako i drudzy.

Suła odwrócił się, nie odpowiedział nic, ale ustąpić nie myślał.

Greta wołała ciągle:

— Wolę gospodę dać dobrowolnie, niż żebyście mi się zabijali we wrotach i broczyli. Czemu nie puszczacie?

— Bom ja tu sam dla siebie gospodę zajął — krzyknął Marcik — a takim dobry, jak i drugi!

— Łżesz! — zawołano zza bramy. — Nie możesz mi być równy, choćbyś ziemianinem był, bo ja ani w swej ziemi, ani w żadnej równego sobie nie znam!

Był to głos dumnego Wincentego z Szamotuł, który z rodu i mienia czuł się księżętom równy.

Marcik też, gdy w złość wpadł, nie ustąpiłby był ani księżęciu. Lekce sobie ważył napastnika.

— Precz, bo się krew poleje! — krzyczał.

— Poleje się, ale twoja, zuchwalcze podły! — grzmiał głos zza bramy.

Wrota, choć mocne były i choć je drągami i plecami trzymała czeladź Marcika, chłopcy silne, naparte mocno trzeszczeć zaczynały. Greta stała w progu, patrząc na to jak na zabawkę, a Kurcwurst za nią skryty ręce łamał, wszystkich świętych wzywając na pomoc.

— Miłosierny Boże! Na rany Pańskie! Oni nas tu wszystkich pozabijają! Marciku, puszczaj ich, bo nieszczęścia będziesz przyczyną.

Suła ani słuchał, ani myślał ustępować.

Wrota naparte zaczęły się coraz bardziej wewnątrz chylić, giąć, łamać i padać w kawały. Ludzie Szamotulskiego, wrywając z nich deski, wyłom zrobili i, jak tylko zewrzeć się mogli z czeladzią Marcika, padli na nią z berdyszami i obuchami. Marcik, siebie nie żałując, dopadłszy otworu, mieczem żgał po łbach i po hełmach, aż brzęczało.

Wtem Wincenty, serca okrutnie gorącego człek, miecz w rękach mając obosieczny, wielki, w obie dłonie go ujął. zamachnął nim i stojącemu naprzeciw Marcikowi nie tylko kord wytrącił, ale głowę obnażoną przeciął i krew plusnęła...

Czeladź, zobaczywszy pana padającego na wznak, z rękami rozpostartymi i wołającego: — Jezus! Maria! — spłoszyła się, a Wincenty z Szamotuł, bramę do reszty wyłamawszy, w podwórze wtargnął.

Ledwie czas mieli Marcikowi ludzie, pana pochwyciwszy, pastwić się nad nim nie dając, unieść go we wnątrz domu.

Wdowa namarszczona nie ustępowała z progu. Spojrzawszy na pięknego, młodego, pańsko stąpającego mężczyznę, który miecz jeszcze trzymając w ręku, przystępował do niej z poufałością rycerza, mieszczkę sobie mało ważącego, przybrała też dumną postać. Piękne lice i bogaty strój gospodyni na zuchwałym napastniku uczyniły pewne wrażenie.

— Gospodę tu mieć muszę, piękna moja! — odezwał się do niej.

Pokręciła Greta główką.

— Piękna, ale nie twoja! — odparła mieszcza, biorąc się w boki. — Gospodę siłą zajmujecie, choć wojny nie ma! Nie dziwujciez się potem, że wara i waszemu księciu miasto sprzyjać nie będzie, kiedy od gwałtów poczynacie. Wy sobie jak na polskim prawie zajeżdżacie, a my tu siedziemy na niemieckim.

Wincenty słuchał, mieniali wejrzenia, łagodniał jakoś, a ona też kończyła głosem mniej gniewnym.

— Wam ja gwałtu nie zadałem — odezwał się gość — piękna gosposiu, bom sam słyszał, żeście puszczać kazali, a zuchwalec ten ni was, ni mnie za nic nie miał.

— Ma on już za swe — dodała Greta — dajciez pokój jemu i ludziom. — To rzekłszy, powoli weszła do izby, a Wincenty podążył za nią.

Naprzeciw, w komorze, położono rannego Marcika. Temu stara gospodyni nadbiegłszy głowę już obwiązywała płachtami, ale majaczył, tak mu ów raz silny mózg wstrząsnął.

Greta, ledwie nań okiem rzuciwszy, gościa nowego przyjmowała. Znudzona, rada była człowiekowi, który jak inni, znalazłszy ją bardzo piękną i wypieszczoną jak wielką panie, dał się jej bałamucić, zapominając o wszystkim po trosze.

Przybyły miał tę pańską ogładę, która niewiastom jest miłą, bo wyższość jakąś obiecuje, choć najczęściej jest łupiną gładką pustego orzecha. Greta więc uśmiechała mu się i spoglądała nań rada, a pierwszy gniew ustąpił wrodzonej zalotności. Rozmowa stała się bardzo zabawną. W końcu, gdy późno się już bardzo zrobiło, Greta na górkę się cofnęła, drzwi wszystkie zamykając i ryglując za sobą i sługi stawiać przy nich na straży.

Gdy się to działo, Marcik uspokojony zasnął mocno. Dopiero ze dniem, przebudziwszy się i oprzytomniwszy, ludzi swych widząc przy sobie, wczorajszą przygodę przypomniał. Nalegał koniecznie, aby go natychmiast precz stąd niesiono, bodaj w ulicę, na śmiecisko, byle pod jednym dachem z wdową nie był. Nie było sposobu go usłuchać, bo wszędzie ciasnota była wielka, a on ranny. Więc, choć się rzucał i gniewał, nie posłuchano.

Nazajutrz, jak dzień, ruch w mieście większy się począł niż wczora. Pogoda nowemu panu sprzyjała, mogło więc zgromadzone ziemiaństwo różnych krajów całe skupić się v Rynku i około ratusza, bo nigdzie indziej miejsca dlań dostatniego nie było. Rano bardzo zaczęli się ściągać przybyli.

Wszystkim wiadomo było, że Krakowianie, Sandomierza-nie, Kujawiacy, rycerstwo innych ziem, mieli dnia tego okrzyknąć Łokietka nie tylko księciem krakowskim, ale dziedzicem całej polskiej korony. Brakło tylko z Wielkiej Polski tych, co by przynieśli zgodę na to, a że korona w Gnieźnie była, bez której Łoktek królem być nie mógł, wiele na tym zależało. Na dworcu wójta Alberta przez noc całą posłów z Poznania oczekiwano, niecierpliwąc się, iż ich nie było.

Wincenty z Szamotuł, późno przybywszy, znużony, potem przez piękną wdowę zbałamucony, dopiero nazajutrz, odziawszy się pysznie, na koń siadł jechać do księcia. Chociaż wcześniej było bardzo, Greta na wpół przyodziana wyszła odsunąć okiennicę, aby się po dniu gościowi swemu przypatrzeć. Na dzień najpiękniejsze szaty gotować sobie kazała.

Radośnie powitał księżę wielkopolskiego posła, lecz po krótkiej z nim rozmowie brwi mu się ściągnęły, usta zaciął. Wielkopolanin stawił się sam, ale za innych poręki nie dawał. Znaczniejsza część Szlązakom sprzyjała, a księżę już, biskupa i duchowieństwo jednajac sobie, kanclerstwo dziedziczne katedrze poznańskiej przyrzekał.

Wysłuchawszy Łoktek, nie rzekł nic, odwrócił się, kazał rękawice i hełm podawać, aby na Rynek jechać, gdy Wierzbęta przystąpił z radą, aby do Muskaty słać i czymkolwiek jego skłonić do pojednania się. Łoktek i do tego wielkiej nie zdawał się przywiązywać wagi ani chciał długo czekać. Wysłał kasztelana z kanclerzem do biskupiego dworu, który znaleźli zamkniętym. Odzwierny, dawszy się im długo prosić u wrót, wystawił głowę i na zapytanie o Muskatę oświadczył, iż go doma nie było. Nie wiedziano lub mówić nie chciano, dokąd się schronił.

Księżę, oknem zobaczywszy powracających, gdy mu znak dali, iż biskupa nie znaleźli, natychmiast konia dosiadł. Widok był piękny i uroczysty. Sam księżę na ten dzień złoconą wdział zbroję, hełm umyślnie dlań przygotowany, który otaczała korona, płaszcz białym futrem podbity, ostrogi złote, miecz w pochwach kamieniami ozdobnych. Koń, pokryty cały, pióra miał na głowie i rząd wyłaczany. Wojewodowie, kasztelanowie jechali strojni od szkarłatów i złota.

W Rynku co najprzedniejsi z ziemian ogromnym kołem stali. Ziemia każda z osobna pod chorągwiemi, rody i zawołania pod znakami własnymi. Ci, którzy tarcze mieli, nieśli na nich malowane godła, innym świeciły na piersiach w sukniach szyte. Pośledniejszy lud gromadził się za pierwszymi szeregami, do których najmożniejszych i najpoważniejszych dobrano.

Gdy z dala ukazał się przybywający Władysław, szmer poszedł naprzód głuchy po tłumach, potem wołanie się ozwało, kołpaki i ręce podniosły do góry.

— Jedzie! Jedzie!

Z wolna zbliżał się Łoktek z twarzą wypogodzoną, witając stojących po stronach ręką i głową, uśmiechając znanym. W pośrodku koła miejsce dlań zgotowane było i garstka duchowieństwa czekała. Niektórzy natychmiast okrzykiwać już chcieli, lecz starszyzna milczenie nakazała.

Szli naprzeciw księciu najdostojniejsi z głowy odkrytymi, do których i wójt Albert ze ściśniętym sercem przyłączyć się musiał. Mały księżę stanął w pośrodku, na mieczu się oparłszy, i czekał. W

imieniu ziem swych Wierzbęta, Wojtek ze Żmigrodu, Żegota i Prandota sandomirscy, Toporczyk jeden, Leliwa, Kaniowa, Ostoja, Różyc, Śreniawa wystąpili naprzód i głos zabrał kasztelan.

Książę długich mów nie lubił, obeszło się więc słowy niewielu.

— Miłościwy Panie — rzekł — ziemianie i rycerstwo wszystkie zgodnie proszą i wzywają, abyś im panował... Ze krwi i prawa należy ci stolica i moc nad nami. Wierność ci poprzysięgamy. Rządź i sądz sprawiedliwie.

Dodali inni po trosze, a tłum ledwie można było utrzymać, aby milczał, tak w nim wrzało. Rękami i chorągwiami musiano dawać znaki, aby do czasu wstrzymano okrzyki, szmer niósł się, że ledwie mówiących słychać było.

Książę odezwał się też krótko:

— Coście za Bożym natchnieniem postanowili, jako wolę Bożą przyjmuję. Przysięgam wam rządzić i sądzić po ojcowsku, władać i bronić, ile sił stanie, krwi i potu nie żałować. Jedności nam potrzeba do siły, abyśmy nieprzyjaciołom się obronili i pokoju zażywali.

Uderzono w dzwony u Panny Marii, a wnet i inne kościoły odezwały się, bijąc na wesołą nowinę, i ogromny okrzyk jak huk burzy wszystko zagłuszył. Książę otoczony przez dwór swój, z wojewodami, kasztelanami i co było *comesów i baronów*, do Panny Marii szedł Bogu dziękować. Okrzyki nie ustawały i co słabnąć się zdały, to znów podniesione rosły, wzmagaly się, huczały.

Cizba im wtórowała po mieście całym, tak że na Wawelu stojący u wałów jak groźby i wyzwania ich słuchać musieli. Na zamku cicho było jak w grobie, w mieście dzwony, trąby, kotły i wrzawa nie ustawały, brzmiać groźnie.

Gdy się nabożeństwo skończyło, a książę z panami wyszedł z kościoła, powitano go okrzyki nowymi. Wszystkim jakby kamień spadł z serca.

Poczęło się więc biesiadowanie, niewielkim ładem, ale wesoło i hucznie. W ulicach powystawiano ławy, stoły, a gdzie ich brakło, wrota i drzwi na beczkach pokładzono. Znoszono chleby i dzbany, jadło, jakie się pod ręką znalazło. Mieszczanie dosyć ochotnie, co kto mógł, dostarczali, choćby miasto miało być ogłodzone. Jedni po domach, drudzy w Rynku, po podwórzach i ogrodach pozasiadali na gołej ziemi. Miasto wyglądało jak szturmem wzięte, a niewiasty krom w oknie gdzieś na strychu, prócz posługujących bab starych, nie najrzał nikt. Pochowały się wszystkie. Kramy też, sklepy, ławki, prócz tych, w których żywność sprzedawano, stały zaparte. Mieszczanie znikli wśród gości. Do późnej nocy śpiewami i śmiechy rozlegały się ulice.

Wincenty z Szamotuł, niewiele zyskawszy u nowego pana, bo mu mało co przyniósł, prędko się uwolniwszy, do gospody swej powrócił.

W komorze naprzeciwko leżał ranny Marcik i dobrze, że ani słyszał, ni wiedział, jak wesoło, strojna w klejnoty i pasy, Greta gościa swego przyjmowała, jak rada z nim wiodła rozmowę, jak i na cyttrze mu grać i piosenki śpiewać nie odmawiała. Szamotulski pan głowę tracił dla urokliwej zalotnicy i więcej sobie pono obiecywał po niej, niż ona myślała. Okazała się na nim dopiero wielka sztuka niewiasty, która umiała i pociągać, i odpychać, dopuszczać do siebie i bronić zbytniej poufałości, być dumną i łaskawą, gniewną i uprzejmą na przemiany. W ciągu doby gościa swojego niemal do szafu doprowadziła, tak że w końcu nie wiedział, czy mu sprzyjała, czy drwiła z niego.

Pod wieczór chciał do księcia znowu iść, aby mu się zalecić — przybył bowiem dlatego tylko; Greta, gdy się naposiadła, nie puściła go, a w końcu, gdy już za późno było, wyśmiała jeszcze. Gość był młody, przystojny bardzo, wesół, śmiały, wszystko mówiło za nim, ale mieszcza spodziewać się nie mogła, aby tak wielki pan myślał o niej naprawdę. Pomimo to obchodziła się z nim, jakby mu głowę zawrócić chciała koniecznie. Zmęczony go dobrze tymi zalotami próżnymi, gdy późno się robiło, wyrwała się bardzo zrećnie, obawiając się uzuchwalenia, i kryjomo zbiegła do stryja Pawła, u którego się schroniła. Trzęsiono dom cały, szukając jej na próżno.

Naprzeciwno, ciągle jeszcze o niczym nie wiedząc, leżał Marcik, a choć go i tam śmiechy i głośnie wołania dochodziły, był jakby zdrętwiały i zobojętniały na wszystko. Opatrywano go, dawał z sobą czynić, co chciano, o nic nie dbając. Jednego z ludzi swych posłał tylko ze skargą do księcia, opowiadając się, że został napadnięty i porąbany. Służyć teraz nie mógł, a na Łowcze do wyleczenia się prosił.

Łoktek, żałując wiernego i potrzebnego sługi, posłał doń nie tylko kanclerza, ale kanonika, doktora Raclawa, którego spod Skalki, gdzie dom z ogrodem miał, przywieziono, aby rannego opatrzył. Książę rozkazał przez kanclerza, aby prędko wyzdrowieć się starał, bo mu był potrzebny, i z miasta się nie oddalał. Pozostał więc Marcik u Greta.

Nazajutrz rano nową radością niespodziewaną zabrzmiał Kraków. Stało się, czego tak rychło nie obiecywano sobie. Oddziały straży pod Wawelem stojące nie słyszały w nocy nic, ruchu tam nie było żadnego. Gdy rozedniało, bramy zawarte były jak wczoraj, ale chorągwi czeskiej ze lwem nie postrzeżono nad dworcem i na wałach ludzi nie było. Lękano się zasadzki jakiej i zdrady. Wysłano do księcia z oznajmieniem, że Czechów coś czuć nie było. Dowiedziawszy się o tym Łoktek, jak stał, ledwie zbroję na siebie opiąwszy, na konia cudzego siadł i pod zamek popędził. U wrót stanąwszy, posłał herolda z chorągwią i rogiem, aby wyzwał na rozmowę dowódcę. Trąbili długo i wołali, nie ukazał się nikt. Biały dzień się już robił, nie wiedziano, co poczynać.

Oddział Krakowian z Toporczykami na czele i Miecznikiem, który łaskę pańską chciał odzyskać, rzucili się na oślep do wrót z siekierami, rąbiąc je i łamiąc. Nikt nie bronił ich i już mieli bramę wywazać lub ogień pod nią podłożyć, gdy w jednym okienku ukazał się człek blady, schorowany, który mówić nie mogąc, rękami dawał znaki, że na zamku nikogo nie było. Co żyło, posypało się, drapiąc na wały, na ostrokoły, łamiąc je i cisnąc do zamku z radością niezmierną, aby go księciu otworzyć.

Okrzyki wesole doszły na miasto, skąd wszyscy biegli ów cud oglądać, a mieszcza mu najwięcej byli radzi, bo się walki z Czechami obawiali dla siebie.

Gdy wrota od tak dawna przez obcych strzeżone otwały się wreście, a Łoktek żegnając się krzyżem świętym wszedł na ten gród praojców, choć mu lice się rozjaśniło na pierwszym kroku, wprędce posmutniał. Oczom jego przedstawiał się widok bolesny, przerażający. Wrześniowe słońce poranne, zza mgły się wybijając, oblewało go światłem jaskrawym. Gród stał pusty, milczący. Jeden chory łazarz, leżący u wrót, bezsilny, ledwie żywy, witał go osłupiałymi oczyma. Siady niedawnej pogorzeli wszędzie były widoczne. Kościół stał ruiną, ledwie polepioną; dwa inne, poczęte, ledwie się cokolwiek nad ziemię podnosiły. Dworców pańskich jedynym szczątkiem były ogorzałe słupy, kupy rumowisk i popiołów. Opuszczając budy, które sobie na zamku wystawili, Czesi gniewni poniszczyli je i zburzyli. Stały na nich podarte i pokruszone dachy, powyłamywane wrota, porąbane uszaki i ściany. Śmieciska tylko i gnoje zalegały podwórca, na pół z kamieniami i belkami.

Na tym dziedzictwie swym nowy pan nie brał nic oprócz zwalisk i pamięci lepszych, starych czasów, gdy wesele i dostatki złościły to zamczysko. Stanąwszy u drzwi kościelnych, lada jako z tarcic zbitych, kazał je otworzyć książę i wszedł do katedry, po ostatnim pożarze cokolwiek już opatrzonej. Pomodliwszy się u krzyża w ołtarzu, szedł w podwórce dalej. Zdechłe konie i kości bielejące pod wałami, łachmany i gruzy go witały, ale był tu panem. Czoło okryte zmarszczkami znowu się wypogadzać zaczynało.

W tej chwili nadbiegający jeden z rycerstwa jego z chorągwią pańską zatknął ją na najwyższym cyplu góry i wszyscy powitali ją okrzykiem. Reszta wojska, ujrawszy ją z miasta, wtórowała mu radośnie.

Sypał się lud, biegli żołnierze, cisnęło się pospólstwo, szły już pułki co rychlej zajmować gród, który kropli krwi nie kosztował, z takim weselem, jakby skarby na nim czekały.

Łoktek wszedł do dworca, który tej nocy jeszcze zajmował Paweł z Paulsztynu, do izb ogołconych ze wszystkiego i odartych i zdjął hełm ze skroni.

— Tu teraz miejsce moje! — zawołał rażno. — Nie znijdę już stąd, chyba bym żyw nie był!

Ani do wójta na obiad, ani do miasta iść już nie chciał, rozkazując sobie natychmiast parę izb oczyścić. W mgnieniu oka po cieślów na miasto ślano, po robotników i parobków. Urzędnicy i dwór ciągnęli za panem na zgliszcza. W ulicach cokolwiek się przeredziło i mniej zrobiło ludno. Mieszczanie odetchnęli wolniej. Kraków z Wawelem był w ręku Łoktka.

Pół wieku niemal walczył on, aby się dnia tego doczekać.

Marcika w parę dni później ojciec, który się o jego losie dowiedział, matka i czeladź na dobrze wysłanym wozie powoli przeprowadziła do Łowczej. Gdy go z domu Grety wywożono, nie spytał nawet o nią, nie obejrzał się, nie chciał wiedzieć, co się z nią działo.

Greta wyjrzała oknem zarumieniona nieco, niespokojna, lecz że Szamotulski ją zabawiał jeszcze, bo przyłgnał był do niej. wprędce ku niemu się zwróciła.

Trwała rana i okładanie jej niedziel kilka, do której leczenia balsamów i plastrów ks. Raclaw dostarczał, z rozkazu księcia do Łowczej dojeżdżając. Matka też sprowadzała baby znachorki z ziołami, a że Marcik sił miał dosyć, począł się dźwigać rychło, choć z głową jeszcze obwiązaną.

Ojciec, choć bolał nad nim, cieszył się razem, iż ta przygoda w domu Grety i z jej przyczyny syna spotkała, sądząc, że ona go z głupiej miłości do zalotnej mieszczyki wyleczy. Jakoż czasu choroby Marcik wcale o niej nie wspomniał, o tym tylko prawiąc ciągle, jakby rad co rychlej do pana swojego powrócić i służyć mu znowu.

Gdy rana się już dobrze podgajać zaczęła, coraz niespokojniejszy Suła do Krakowa się począł wyrwać. Trzymano go długo, a w końcu i powściągnąć nie było sposobu. Choć mu się we łbie kręciło i szumiało jeszcze, siadł na koń i pojechał. Zapowiadał, że wprost na zamek do księcia się uda, ale nie strzymał słowa, zboczył na Rzeźniczą ulicę i do tych wrót nieszczęsnych, których obronę niepotrzebną o mało nie przyplacił życiem. Wrota świeciły białymi, nowymi powstawianymi deskami, przed nimi stał właśnie opasły, rumiany, ale nachmurzony Paweł z Brzega.

Poznawszy Marcika, głową doń skinął.

— Zdrówes już? — zapytał.

Suła krwawy, ledwie zabliźniony szram na głowie i czole ukazał.

— Zbójca! — zamruczał Paweł.

— Ciął mnie — odparł Marcik — ano, jeszczeż żyw, rachunek między nami nie skończony.

— Cóż Greta? Doma?

Na to pytanie Paweł usta wyjął, czapki poprawił, poparzą! nań, jakby się zdziwił pytaniu, i — nie rzekł nic z razu.

— Ależ żywa i zdrowa! — pytał niepoprawny Marcik.

Stryj ruszył ramionami.

— Podczas nie ma jej doma — rzekł sucho. — U swoich we Wrocławiu! — Skłonił się i wszedł w podwórze. Marcik, koniowi dawszy ostrogę, ku zamkowi ruszył.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

Rozdział pierwszy.

Nad drogą z Gdowa, przez Łapanów, do Bochni wiodącą jest starodawna osada Wieruszyce. Gdy Łoktek objął po Czechach panowanie, znalazł ją bezpieczną i opustoszałą. Dawny jej dziedzic za zdradę jakąś przepłacił głową, a że rodziny nie miał, liczyły się Wieruszyce za książęcą własność. Choć majątność dość była rozległą i piękną, osadnicy się w niej jakoś utrzymać nie mogli. Gdy gospodarza nie stało, wieśniacy w świat też poszli.

Napierało się duchowieństwo tego kawałka ziemi i przyległych lasów i byłoby ją dostało, gdyby Łoktek, pamiętny usług Marcika, który mu z porąbaną wrócił głową, nie począł się dowiadywać, gdzie by jaki kawał ziemi mógł mu nadać. Kanclerz Klemens wspomniał jakoś Wieruszyce, a Łoktek, zatrzymawszy na zamku Sułę, kazał nadanie Wieruszyce spisać na Marcina, Zbigniewa syna, żołnierza swego (*miles*), na wieczne czasy jemu i potomstwu ziemię tę przekazując.

Nie spodziewał się Marcik łaski tej, bo mu też teraz o nią mniej chodziło, gdy majątności nie miał z kim dzielić. Gdy mu nazajutrz po przybyciu do księcia się stawić kazano, spytał go naprzód Łoktek, widząc zwiśla głowę i pochmurne wejrzenie:

— Cóżeś to ty tak od jednego po głowie draśnięcia na siłach opadł? Z tobą i z ojcem nieraz gorzej bywało.

— O ranę bym ja tam niewiele dbał — odpowiedział Suła — ale co innego mnie doma skwasilo.

— Nie dajże sobie marnieć — począł książę. — Spocząć ci nie czas jeszcze i potrzebny mi jesteś, ale żeby na starość było gdzie głowę przytulić, a ojciec z matką gniazdo ci usłali, chcę ci dać kawał ziemi.

Obojętnie dość pokłonił się Marcik, a książę, który mu już list pergaminowy wyciągnął, zawołał zdziwiony:

— Cóżeś, nierad temu?

— Wdzieczen owszem jestem Miłości Waszej jako ojcu dobrotliwemu — począł Marcik, do nóg mu upadłszy — szczególnie dla starych moich, co dotąd komornem siedzą, na łasce cudzej. — A dla mnie — to tam!!

— Cóż ci tak świat zbrzydł? — zapytał książę.

Marcik z dawnego życia obozowego miał poufałość do swego pana.

— Miły Panie — rzekł — wszystko to przez te baby przekłete!

Łoktek się uśmiechnął.

— Cóż? Urok na cię rzuciły?

— Musi to być — odparł Marcik smutnie — bo inaczej bym pewnie dawno pluął i zapomniał.

— Gadajże — począł księżę siadając.

— Nie ma o czym, Miłościwy Księżę — westchnął Suła. — Dziewką była, miłowałem ją, za mąż poszła, owdowiała, nie przestałem. Niewiasta osobliwa, śmiać się rada, serce rwie, a z ludzi wszystkich drwi sobie. Niechżeby ze mną, ale ze wszystkimi tak czyni. Gdyśmy Kraków zajmowali, a jam ją chciał od gospody ochronić, o mało mnie pan z Szamotuł nie ubił. I tego tak bałamuciła jak mnie, aż w końcu porwać ją pewnie myślał, co ona zmiarkowawszy, uszła mu do Wrocławia i tak z niego, jak ze mnie zadrwiła. Dosyciem dla niej cierpiał. Zakląłem się, że jej widzieć i znać nie chcę, ano przecie serce boli.

Marcik wzdychał tak pociesznie, że księżęciu na śmiech się zbierało i rzekł:

— Pójdiesz ze mną, da Bóg, na Pomorze... W Gdańsku urodziwych niewiast dosyć, napytasz sobie drugą.

Oddał księżę list Marcikowi, który do nóg mu padł po raz drugi, a choć dosyć obojętnie to przyjął, gdy za pazuchą poczuł owo nadanie pańskie, a pomyślał, że swój własny szmat ziemi mieć będzie — kawał lasu, ryby, grzyby, wypas dla stadniny, gruntu, na których ludzi będzie mógł sadzić, że się stanie panem jako i drudzy, z chudego pachółka, zaszumiało mu w porąbanej głowie. A jakaż to dopiero radość dla starego ojca i macierzy! Gdy go Łoktek odpuścił potem, już nawet na Rzeźniczą ulicę nie wstąpiwszy, wprost do Łowczej pośpieszył.

Była godzina na noc, gdy tam stanął. Koń zarżał i stary Chaber wyszedł go wziąć do szopy. Zbyszek, który go widział wyjeżdżającym dość smutnie, uradował się w progu, ujrawszy wracającego z jakąś butą znaczną, a licem dość wesołym, przynajmniej rozpogodzonym.

Witali się, a Zbita wieczerzę już podawać miała, gdy Marcik obejrzał się po starym dworze.

— A co? — odezwał się — już by nam tę Łowcze warto porzucić, bo to biesi kąt jest, życie w nim licha warto!!

Zbyszek zdziwił się mocno.

— Co ci w głowie? Gotówes do miasta? — rzekł kwaśno.

— Jam to mieścisko zbrzydził gorzej Łowczej — żwawo odpowiedział Marcik. — Mnie by się chciało precz stąd wynieść. Jak myślicie? Gdzieś pod Bochnię albo co?

— Cóż ci to tu soli mało? — rozśmiał się Zbyszek. Wtem Marcik, nie mogąc już strzymać, rozśmiał się, dobył z płachty zawinięty w niej pergamin z pieczęcią wiszącą, chustę precz odrzucił i podniósł go w rękę do góry.

— Patrzajcie no — zawołał — jaki to dobry pan! Bóg mu daj tę koronę, której pragnie! Ojczulu miły, ziemi nam szmat podarował na wieczne czasy. Zowie się majętność nasza Wieruszycy!

Zbyszek uszom nie wierzył, Zbita stała jak skamieniała.

— Jakie ci tam Wieruszycy — odezwał się — głowę zawieruszyły! Co bo pleciesz! Starych nie zwódź! Nie godzi się.

— Nie zwodzę, nie kłamię, nie bałamucę — zawołał, dmąc się nieco Marcik. — Oto tym listem za wierne usługi pan mi nadał ziemię koło Bochni... Była tam, albo i jest, osada jakaś, gruntów i lasu dosyć. Łowcze teraz kołkiem podeprzeć, Mieczykowi za łaskę jego, nieraz wypominaną, podziękować i na swoje śmiećisko nam ruszać!

Zbyszek ani syn czytać nie umieli, przecież ów zamazany pergamin, owa pieczęć na sznurku, którą stary pochwycał do ust cisnął, a oczy paśł nimi, uczyniły na nich wrażenie niezmiernie. Chaber, Marucha, chłopak przybiegli przypatrzeć się temu czemuś, co ziemię dawało, z poszanowaniem jak świętości. Zbyszek przekonawszy się, że syn prawdę mówił, wpadł w rodzaj radosnego szału, prawie upojenia. Długo znoszone ubóstwo, pokora, do której był zmuszony, żywot na łasce, przygniotły tak go, że odrobiny tej szczęścia spokojnie znieść nie umiał. Roilo się im państwo wielkie, choć nie wiedzieli sami, co im dano. Temu, co długo nie miał nic, ziemia, owo czarodziejskie słowo, zawracało głowę. Ziemia, lasy, woda, pastwiska, rola, barcie, a może ludzie, służba i swój własny dwór i chleb, nie cudzy!! Wszystko to jak z nieba na nich spadało.

Zbyszek, starowina, gdyby był mógł, puściłby się był na noc całą do swych Wieruszyc, do których drogi nie wiedział, o których, jako żyw, nie słyszał. Marcikowi mniej było pilno, przecież i on swe dziedzictwo zobaczyć pragnął.

Zaczęto spierać się, co z tym robić. Zbita już w myśli gospodarstwo zaprowadzała, frasując, skąd chudoby dostanie. Stańło na tym, ażeby Zbyszek obejmował, budował, pracował tam, a Marcik, wdzięczny panu, miał z nim iść na Pomorze, a choćby na kraj świata. Nim się spać pokładli, milczący Chaber pewien był, że juścić i on chatynę tam z kilką zagonami otrzyma, a i Marucha coś roila. Miała mieć dziewczki pod rozkazami swymi i zagon lnu dla kądzieli.

Gdy nazajutrz ojciec i syn, o świcie grzanym piwem się posiliwszy, puścili się, szukając Wieruszyc onych, na spytki, ledwie w Bochni dowiedzieli się, iż to pustynia była nad Stradomką kędyś i drugiego dnia do nich trafili.

Bezpańskie to było od dawna, granic pewnych nikt nie znał, o **wodocięczach** tylko powiadano, że je niegdyś stanowiąc miały. Sąsiedzi wpierali się z różnych stron, zajmując łąki i zarośla. Z osadników, niegdyś tu zamieszkałych, zręby chat tylko pozostały, nie było ich już więcej nad jednego starego z synem, który się tu bodaj dziedzicem sądził, a drugi w lepiance, dziad głuchy, zdziczały, w lachmanach. Z tym rozmówić się nawet nie było można. Z sąsiedniej Woli niektórzy ludzie ofiarowali się granice i grunta zarosłe okazywać, na których ledwie widnych zagonach drzewa już bujały. Każdy z nich wszakże inaczej wiedział. Dworu nie było żadnego, zwałiska tylko na pagórku nad Stradomką i murów szczątki zielskiem okryte. Sterczało ścian parę i złomy kamienne, pośród których młoda brzezina i łoży gęsto puszczały.

Posmutnieli Sułowie, bo wszystko tu stworzyć było potrzeba, ale ziemię mieli swoją!! Ponieważ około Krakowa, Wieliczki i Bochni ludu się zawsze różnego wiele przewijało, miał Marcik **nadzieję na wolę** zwabić osadników. Tymczasem ziemia wyżywić mogła. W lasach były barcie, w Stradomce

i strumieniu, który w nią wpadał, ryby, na łąkach leśnych było paść się mogło, ale z rękami założonymi siedzieć tu nie mogli, a nie wiedzieć, od czego poczynać było.

Ponieważ gościniec szedł tędy od Bochni do Gdowa, a ludzi nim przejeżdżało wiele, staremu Zbyszkowi naprzód na myśl przyszło karczmę z gospodą stawić. Tu wedle zwyczaju, kędy się ludzi najwięcej zbierało, miał wbić ów pal z kołkami, który oznaczał, ile lat woli osadnikom dawano. Przechodnie, szukający opieki i roli, około takiego pala stawali i czytali z kołków, czy warto było iść o naznaczenie jakiego ładu się targować.

— Byle ziemia — mówił pocieszając się Zbyszek — ludzie się znajdą do niej.

Przenosić się z Łowczej nie było dokąd, dopóki by jaka taka chata nie stanęła, a na tę drzewo potrzeba było wywieźć z lasu i cieśłów do niej ściągnąć z miasteczka.

Marcik mniej cierpliwy, gdy się po wielkim swym dziedzictwie rozglądał, choć polować w nim miał gdzie i o zwierzynie mu powiadano wiele, zrozpaczył zupełnie, gotów się go był już wyrzekać. Zbyszek myślał inaczej.

— Do stu katów — mówił do syna — gdyby przyszło nad wozem *szatrę* rozpiąć i pod gołym niebem stać, na swej ziemi gdy się pocnie, zrobi się coś. Nie święci garnki lepią.

Jedyny ów osadnik, jakiego tu zastali, stary Dygas z synem Jędrkiem, który na zbója wyglądał, nowemu panu w oczy patrzali niechętni. Pomagali mu po trosze, ale ów dziedzic i nowy ład, jaki chciał zaprowadzać, nie były im do smaku. Zgadziali się ze swym losem, trąc głowy i spluwając, lecz *posługiwać zmuszeni*. Takim był pierwszy dzień w tej ziemi obiecanej, na którą Marcik się użalał, i na parobka nie chcąc zejść, ojcu oświadczył, że na dwór do księcia powróci. Zbyszek podjął się wszystkiego.

Drugiego dnia Suła na koń siadłszy, obejrzawszy się dokoła, u Dygasa ojca zostawując, który odwagi nie tracił, sam do Krakowa ruszył.

Łoktek miał wiele do czynienia na państwie swym, jak Zbyszek w Wieruszycach. Księżę Henryk szląski wydarł mu był Poznań, na Pomorze Brandenburskie czyhały i Krzyżacy. Przyłączył się Marcik do orszaku księcia, aby o Krakowie i niewdzięcznej Grecie zapomnieć. Na Pomorzu tyle do czynienia było, iż do Krakowa prawie zaglądać nie mogąc, a ojcu o sobie przez drugich znać dając, lat kilka Marcik zabawił. Źle się wiodło Łoktkowi na Pomorzu z ludźmi złej wiary i napastnikami. Suła nie miał czasu o sobie myśleć. Ciągłe posyłany, targany, gnany, czemu i rad był może, wysługiwał się panu lepiej od innych i łaskę jednał coraz większą.

W przeciągu czasu tego, chociaż Pomorze się oderwało, Wielkopolska pod Henrykiem głogowskim, który czystym Niemcem był i nic w sobie polskiego, ani żdźbła już nie miał, poczęła tęsknić do własnego pana. Nałęczę, których z *Zarębami* za zdradę i zemstę na Przemysławie, za zabójstwo króla od szkarłatów i od ziemiańskiego szyku odsądzono, do czci wrócić zapragnęli.

Wziął się tedy Dobrogost z Szamotuł, którego Małym zwano, przeciwko Szlązakowi ludzi gromadzić i z Polski go wyganiać tak skutecznie, iż pobiwszy Janasza Baberstejna, owemu Szlązaków panowaniu koniec położył. W Poznaniu tylko samym zawieruchę niepoczciwą zrobił Przemek mieszczanin, który ze swymi na zamku się w kościele osadził, aż go stamtąd dobywać musiano, nie bez krwi rozlewu.

We wszystkich tych sprawach Marcik, zawsze gotów a ochoczy, księciu swemu pomocnym był wielce. Nie minął żadnej zręczności, ażeby się nie odznaczył. Miał u pana miłość i zachowanie wielkie. Przy zdobywaniu kościoła w Poznaniu będąc też czynnym, od strzały w ramię otrzymał ranę dosyć głęboką. Nie bardzo ją sobie ważył, bo nie była pierwsza ani najstraszniejsza, lecz czy strzałę dostał zatrutą, czy krew w nim nie ta już, co dawniej była, rana się jątrzyć zaczęła mocno. Musiał Marcik się lizać. Jechał z nią do znajomego sobie, a łaskawego na się kanonika Raclawa do Krakowa, aby na ten postrzał radę mu dał. Bywał ci on lat tych w Krakowie niemało razy z poselstwami do księżnej Jadwigi od pana — właśnie była na świat syna wydała, któremu imię Kazmierza na chrzcie włożono — bywał na krótko, na zamku stając i nie mając czasu rozpatrywać się ani o sobie myśleć. Teraz ranny, gospody sobie szukać zmuszony, gdy do miasta wjechał znowu, okrutnie mu się dawne lata i owa Greta, a co dla niej wycierpiał, przypomniały.

Los pewnie tak zrządził, że nigdzie sobie gospody nie mogąc napytać, na Rzeźniczej ulicy, u dawnego znajomego Hinczy ze Świdnicy, którego w ulicy spotkał, a ten go jął zapraszać bardzo, stanąć musiał. Był ten dworek Hinczy mało nie naprzeciw okien domu Grety, o której nie wiedział już nawet Marcik, co się z nią działo. Ulica wąska, gdy okna otwarte były, do wnętrza mieszkania zajrzeć dozwalała.

Hincza, który wiedział, że Marcik w wielkich łaskach u księcia był, przyjmował gościnnie.

Oprócz tego, choć pół-Szlązak, a ojca Niemca miał, po matce Polce inną krew i obyczaj wziął w spadku. Browar, który po ojcu dostał, prowadził dalej, warzył piwo i sprzedawał, żelazem też i kruszcem różnym handlował, mimo to naturę więcej żołnierską niż kupiecką mając, do konia i łowów wzdychał, a najchętniej się przyjaźnił z wojakami. Rad więc był i Marcikowi, bo z nim mógł się do syta o tym nagadać, co mu miłym było.

Nim się jeszcze kanonika Raclawa doczekali bo go dostać nie było łatwo, gdyż na dwór i na miasto był najślawniejszym lekarzem, Hincza doglądał, karmił i poił rannego.

Patrzali jakoś na okna Grety, gdy Hincza mrugnął na towarzysza.

— Cóż? — spytał. — O Grecie pamiętacie jeszcze? Nie pozbyliście miłości dla niej?

Marcik ręką zamachnął i splunął.

— A cóż się z nią dzieje?

— No — rzekł Hincza — to się dzieje, co się działo, nie zmieniła się wcale. Jaką się urodziła, taka zginie. Wiecie, że była na czas jakiś znikła z miasta. Różnie prawiono o tym, ale Paweł z Brzega przysięgał się, że uciekła od tego wielkopolskiego panka do krewnych we Wrocławiu. Wróciła już dawno, a za nią wrócili zalotnicy, których może przybyło jeszcze. Bawią się po dawnemu.

Ruszył ramionami.

— Za mąż nie idzie? — pytał Suła.

— Poszłaby dawno, gdyby chciała — odpowiedział Hincza — ale czy jej tak źle? Opiekun nie zmusza, bo sam lubi siedzieć przy niej razem z Kurc wurstem. Śmieją się ludzie, a ona z nich.

Marcik zadumał się, nie pytał więcej. Nazajutrz rano przybył kanonik Raclaw, rękę opatrzył, dał balsamy i maście i kazał pilno chodzić koło niej. Stara macocha Hinczy, niewiasta dobra i usłużna, podjęła się pomocy, a że srodze gadatliwa była i wiedziała, co się kolwiek w mieście działo, Marcik się od niej o Grecie dowiedział, cokolwiek chodziło po mieście. Baby śmiały się z niej i wygadywały na nią, że niestateczną i szaloną była, męża brać nie chcąc, aby swobody zażywać. O podróży do Wrocławia różne baśnie plotła, że ją ludzie tłumaczyli nie najlepiej. Stryj Paweł bronił jej, a w istocie znali wszyscy, że w słowach płochą była, ale hardą i nieprzystępną.

Pora była ciepła. Marcik często w oknie od ulicy siadywał z nudów, gdy Hinczy w domu nie było. Greta, która o nim wiedzieć musiała, bo w tej ulicy byle drzwi skrzypnęły, rozchodziło się to z końca w koniec, znalazła się raz też naprzeciw u okna.

Stanęła, spierając się oburącz na balasach i wychyliwszy się tak, aby Suła się jej mógł dobrze przypatrzeć, oglądała się dokoła. Nie postarzała wcale ani zbrzydła w ciągu tych lat kilku, wyglądała świeżo, różowo, tylko pełniejszą, niż była. Marcikowi serce okrutnie kołatało, złość go wzięła.

Wtem wdowa, jakby dopiero postrzegłszy sąsiada, skłoniła główkę i zaśpiewała mu znanym głosem wesółym:

— Cóżecie to o starej znajomej zapomnieli? Nie raczycie? Chciał Suła bryznąć czymś ostrym, ale mu się splątał język i — sam nie wiedział jak — z ręką na chuście, bez czapki, jak stał, wyskoczył oknem w ulicę, wprost do Grety.

Wstydił się potem sam pewnie, ale szatańska to była sprawa. Drżał znalazłszy się u progu znajomej izby, w której dostał taką bolesną odprawę. U Grety nic się nie zmieniło, tylko dumna niewiasta czy lepszego bytu zapragnęła, czy jej z nudów zbytku się zachciało, mieszczchańską izbę ustroiła bogaciej. Na policach stały srebra, kobierców nasłała i nawieszała barwnych dużo, które ze Wschodu przywożono, naczyń malowanych różnych i zabawek jakby dziecinnych. Ona sama wśród tych przepychów jak królowa strojna, dumna, ani przystępu do niej. Mało co podstarzały Kurcwurst, ubrany też w nowy kaftan bramowany, w pasie pozłocistym z kaletą, przy kiju nowym z sznurkami jedwabnymi, siedział w miejscu swoim.

Przywitała go Greta, jakby się nigdy źle nie rozstali.

— Do ran macie osobliwe szczęście — odezwała się — widzę znowu was ktoś zgnął.

— To prawda, że mnie żga, kto chce, po ciele i po duszy — odparł Marcik — ano, przecie, jak widzicie, nie dają się...

Prosiła go sięść, a Kurcwurst przysunął kubek, w który ona sama zaczęła nalewać wina, pokazując ma rękę białą, całą okrytą pierścieniami. Miała w nich upodobanie, tak że palce niemal do pół nimi były okryte. Świeciły w nich rubiny, turkusy i różne kamyki oczyma jak bobowe ziarna, oplatany złotem. Kochając się w nich, brała co dzień inne, często we dnie mieniając, aby ludzie wiedzieli, że ich pełne pudła miała. Ale Marcik więcej na ręce niż na kamienie patrzył, a ona mu się tego dnia tak wdzięczyła, jakby doprawdy serce doń miała.

Przyjść do tej czarownicy niczym było; jak się tu znalazł Marcik, nie wiedział sam, ale teraz, gdy już siedział przy niej i patrzył na nią, na rozmowę trudno mu się było zebrać. Pożerał ją oczyma, gorzał, czerwieniał, drżał, a niewiasta, w chytrłości swej dobrze o tym wiedząc, rumieniła się też, kto

by powiedział, z radości. Czują, że go znowu w mocy swej miała. Zręcznie poczęła rozpytywać, kędy był, co porabiał, a Marcik, gdy go na ten gościniec wprowadziła, jechał nim zwawo.

Wspomniał jej o nadanej sobie ziemi w Wieruszycach, gdzie ojciec mu tymczasem gospodarzył, chwając się, że przecież teraz i on chudym pacholem nie był, mając gdzie głowę położyć. Chwalił się i tym, że teraz całe pułki wodził, a księżę mu najważniejsze polecał sprawy. Gdy o sobie mówiąc, potrącił o to, że w Poznaniu był, gdzie kościoła dobywał, przy którym braniu zabito kanonika Mikołaja z Szamotuł, nazwisko to posłyszawszy, Greta śmiać się zaczęła. Wlepiała oczy w Marcika i rzekła:

— Tych z Szamotuł toście pewno nie zapomnieli!

— I pókim żyw nie zapomnę — odpowiedział Suła — bo z Wincentym mam rachunek, a co u mnie zakarbowano na kogo, nie przepada.

— Trudna to z nim sprawa — dodała Greta. — Słyszałam, że ów dumny panek w łaski urósł u księcia szczególnie teraz, gdy mu pono z Małym Nałęczem pomógł do odebrania Poznania.

— Z panem on może być jako chce — rzekł Marcik — a ze mną inna sprawa. Pono i u was on w łaskach?

— U mnie? — śmiejąc się podchwyciła Greta. — Nie trafiliście, bo go nie cierpię!

Suła uszom nie wierzył.

— A tak — mówiła dalej — gdybym mężczyzną była, nie wiem, czyby żyw został.

— Ho! ho! Tak was pokrzywdził? — zawołał Marcik.

— Nie! Nie dałabym się ani jemu, ale zuchwałym był i uchodzić od niego musiałam, a tego mu darować nie mogę. Kto mi się pomścić pomoże, wdzięczną będę.

Spojrzała na Marcika, który zrozumiał, że do niego piła, ale z odpowiedzią nie spieszył.

— Juści — odezwał się poczekawszy. — Wasza wdzięczność smakowałaby niemało, choćby i mnie, alem ja już próbował, że przyjaźń wasza na pstrym koniu jeździ.

Piękna wdowa zarumieniła się i ramiona jej drgnęły.

— Czy wy, czy kto inny zemstę mi nad nim sprawi, a upokorzy go, zawsze sobie kogoś znajdę. Wyście też nie ten, co dawniej.

Tym go w serce ubodła. Milczący dotąd wylał się Suła z żalami.

— Tak ci było — mówił — miłowałem was jak szalony, życie bym był dał, ale po cóż ono wam, gdy ja u was tyle znacę, co wióry na śmietniku.

— Nie, ale tyle, co i drudzy.

Zamilkli trochę, Marcik wzdychał ciężko i popijał mało, bo mu kanonik napoju zabronił.

Po chwili Greta poczęła sobie żartować z niego, dopytując, jak mu się dziewczęta na Pomorzu podobały, czy Wielkopolanki wolał, czy szląskie i czy żenić się nie myślał, aby było komu w Wieruszycach gospodarzyć.

— Dajcie wy mi pokój — ofuknął Marcik — żenić się ja nie myślę, chyba gdy już na koń nie będę mógł sięść, wezmę babę, aby ojcu i matce pomagała.

Greta śmiała się z tego ożenku na starość, a Marcik też jej oddawał tym, że i ona chyba do siwego włosa czekać będzie ze ślubem. Pożartowawszy trochę, gdy zaczęło zmierzchać, Marcik wstał, pożegnał ją i do Hinczy powrócił. Ten, zobaczywszy go bez czapki od Grety wracającego, witając śmiał się i szdyził, że znowu popadł w niewolę, na co Marcik ramionami trząsł.

Przy pilnym staraniu księdza Raclawa rana prędko się bardzo goić zaczęła i Marcik nie miał już co robić w Krakowie, ale do Grety chodzić począwszy, gdy nałóg sobie z tego zrobił, ruszać mu się w pole nie chciało. Wstyd dopiero poczuł, gdy mu doktor powiedział, że rany nie ma co dłużej pielęgnować, a byle chustę miękką podkładać, już i zbroję wdziać na nią można. Ruszyło sumienie, że powinien był do Wieruszyc pojechać, do starych rodziców, a swoje też dziedzictwo na pustkowiu po kilku leciech zobaczyć, co się z niego stało. Wiele się tam znaleźć nie spodziewał, byle swoich starych zobaczył i pozdrowił. Wiózł też dla nich i do domu trochę łupu na wyprawach zdobytego.

I tak dnia jednego, jakby się uląkł, ażeby do Krakowa nie przyrósł, kazał nagle konie sposobić, Hinczę żegnał, *do Bochni mu spieszyło*. Przez bramę otwartą w dziedzińcu konie już posiadlane widać było i Greta zobaczyć je musiała, a domyśliła się, że jej miał zbiec, więc oknem do Hinczy zawołała, żeby Marcika jej na pożegnanie przysłał.

W innych sprawach twardy chłop, Suła dla tej niewiasty był jak z wosku. Czyniła z nim, co się jej zamarzyło. Nie opierając się, poszedł posłuszny.

— Cóż to? — spytała od progu. — Ja nic o wyjeździe nie wiem, a wy uciekacie? Dokąd?

— Do Wieruszyc jadę — rzekł Suła. — Od czasu, jak mi je dano, nie widziałem ich.

Zakręciła główką.

— A potem?

— Pewnie księżę mnie zawoła, bom służby się nie wyrzekł.

— Z mojej to się uwolnić chcecie — rzekła szydersko.

— Przeciem dostał odprawę — westchnął Marcik. — Tyle tylko uczynić mogę, aby wam usłużyć, iż panka z Szamotuł dumę i rogi przytrę.

Greta głowy ruchem podziękowała.

— Do strzemia — odezwała się — kazałam wam zagrzać wina, Napijcie się.

Sama z policy poślacany kubek zdjawszy, otarła go, naląła i podała z uśmiechem.

— Gdy wino wypijecie — dodała — *becherek* do kieszeni weźcie, aby wam w podróży i w domu przypominał Gretę...

Marcik chciał ją wpół chwycić, aby podziękować, ale mu się wyrwała z rąk. Pił więc, pocałował kubek i za pazuchę go włożył. Już szedł do progu, patrząc na nią, gdy wdowa obejrzawszy się pochyliła ku niemu i szepnęła z cicha:

— Długo w tych Wieruszycach nie bawcie. Ja wam i panu waszemu dobrze życzę, stryj Paweł też. Więcej powiedzieć nie mogę, tylko że tu w Krakowie będzie co może do czynienia.

Suła niespokojny chciał pytać, gdy dodała:

— Nas w mieście różnych ludzi dużo jest, nie wszyscy myślą jednako. Książę wasz ma i druhów, i wrogów. Dziś mówić więcej nie pora. Jedźcie, a wracajcie. Stryj Paweł wam dobrze życzy, rozmówcie się z nim.

Więcej z niej dobyć nie mogąc, Marcik niespokojny trochę odjechać musiał. Gdy mimo Greta domu przejeżdżał, wdowa wychyliła się z okna i chustką białą, choć ludzie w ulicy stojący patrzali, żegnała go długo.

Sule znowu i głowa się zawróciła, i serce zakołatało.

— Moją musi być! — powtórzył po staremu.

Rozdział drugi.

Z tego, co ojciec przez ludzi doń nakazywał, Marcik domyślać się nie mógł wcale, jak sobie radę dawał na nowym gospodarstwie. Lat upłynęło kilka, stary Zbyszek jak odmłodzony się krzątał i zabiegał, mało wiele coś przecie zrobić musiał. Marcik tak ciekawym był swych Wieruszyc, iż trochę zapomniał o zalotnicy i o tej zagadkowej przestrodze, którą go pożegnała. Podejrzany mu było, że do Krakowa powracać kazała, a on właśnie tego sobie nie życzył, aby się jeszcze więcej nie dać spętać i wodzić babie na pasku. Ale sprawa księcia u niego była pierwszą zawsze.

Zbliżając się ku Wieruszycom, gdy już na gościńcu od Bochni do Gdowa się znalazł, serce mu poczciwą miłością starych rodziców uderzyło. Tyle lat nie widział ich, głosu nie słyszał, uścisku macierzyńskiego nie czuł... Gdy po raz pierwszy z ojcem tu byli, Zbyszek zapowiadał, iż dworu nowego gdzie indziej stawiać nie będzie jak na wzgórzu, kędy rumowiska, gruzy i ściany ze starego zostały.

W tę więc stronę oczy się jego zwróciły i uśmiechnął się, widząc, że tam coś już jak dach ponad zaroślami majaczało. Drzewo ścian nowych, które nie miało czasu poczerwieć, żółto przez liście przeglądało. Stał i *tyn* na pagórku, i szopy.

Nie szukając więc ścieżyny, konia na przelaj popędził, oglądając się dokoła. Gdzie dawniej chata stała i dziadowska lepianka, w odstępach od siebie zobaczył cztery chałupy z ogrodami. Ojciec więc doszedł już był do czterech osadników na woli czy niewoli i było za co ręce zaczepić. Rażniej jechał pod zarośla, które pagórek dworski otaczały. Dwór był niewielki, nie wspinały, ale mocno

zbudowany z drzewa, bo na mur ani czasu, ni kosztu nie stało. Z jednej jego strony zęby kłód w zrąb pokładzionych zostały tak nie pokryte i nie ociosane, jakby do nich nową ścianę przyczepić chciano. W pośrodku dworek miał podsień na słupkach, drzwi jedno, a z obu stron jedno i dwa okienka. Szopy wszystkie z chrustu były plecione, niektóre mierzwą poohacane, inne polepione gliną. Stała po środku studnia z żurawiem, a przy niej żłób na palach. Wrota kryte wiodły w podwórko.

Marcik się uradował, wszystko to jego było, wszystko i czterej osadnicy pode dworem, a może więcej gdzie w lesie. Czeladź, którą z sobą miał, otworzyła mu wrota wprzód, nim kto wyszedł ze dworu. Dopiero gdy te zaskrzypiały, Chaber się pokazał w progu, krzyknął radośnie i zniknął. Za nim w białej namiotce wybiegła stara Zbita, wołając już syna po imieniu. Zbyszka tylko nie było.

Zsiadł albo raczej skoczył Marcik, biegnąc do matki, a o ojca dopytując, bo go strach ogarnął.

— Tylko co nie widać, gdy wróci — zawołała Zbita wesoło. — Ho! ho! Ani go poznać, tak tu odmłodniał! On, co bywało pół dnia u ognia siedzi, ani go napędzić, aby koni poszedł zobaczyć, teraz całe dni po lasach się tłucze, łąk pilnuje, stadka dogląda i tych nieszczęsnych chłopów, z którymi skaranie Boże!

— Dobrze, że i tacy są! — zawołał Marcik.

— Kto wie, czy lepiej by nie było ich nie mieć — poczęła matka. — Wiadoma rzecz, że dobry człek nierad się rusza z kąta, a ci, co się do nas przybłąkali, obieżyświaty i złodzieje, że od nich jak od nieprzyjaciół dzień i noc pilnować się trzeba. Spasają, rabują i kradną. Jużemy tego Dygasa, co tu dawniej siedział, sołtysem zrobili i kawał gruntu dali za to, ale ni on, ni my z nimi nie poradzim.

Zasypała go matka pytaniami, przerywając je narzekaniem na biedę swoją.

Marcik rozpatrywał po kątach. Ubogo było! Wszystko z nowa od siekiery ciosane, jeszcze prawie wyschnąć nie miało czasu. Ławy, stół, police, ognisko licho były postawiane, ciasnota i niewygoda.

— Ale swój dach! — mówił sobie Marcik. — Nie wypędzi nikt i nikomu się kłaniać nie trzeba.

Rozpoczęła Zbita opowiadanie szerokie o tym, co oni tu wycierpieli w szałasie, nim dworek się pobudował, na wozie, pod namiotem, w szopce przesiadując, jak zakładając dom czarną kurę zabili starym obyczajem, pierwszą ją wpuściwszy do zrębu, gdy wpadł Zbyszek jak oszalały z radości i nuż syna ścisnąć, a całować.

Prawdą było, że stary odżył, utył, choć posiwił więcej, a twarz mu się jak zmarzłe jabłko pomarszczyła. Był teraz gadatliwszy a żwawszy.

W pierwszej chwili wszyscy mówić chcieli, nikt nie słuchał, ale radowali się wszyscy, sług nie wyjmując. Zbyszek chwalił się tym, czego on dokazał, mówił, że to były cuda. Zbita żaliła się na to, co ucierpiała. Chaber dawał uczuć, że i on niepoślednio się zasłużył. Gotowano jeść, a Marcik o swoich losach prawił i nierychło uspokajając się zaczęli, gdy już im sił zabrakło.

Spokojniej po chlebie i piwie rozpowiadano dalej. Zbyszek przy swym stał, że on przy pomocy Bożej tyle tu zrobił, iż nikt w świecie tego by nie potrafił. Skarżył się, iż osadnicy urwisze były straszne, jeden podejrzan o to, że ze zbójami trzymał i po drogach łupił, drugi pijak, podchmieliwszy z siekierą się rwał do ludzi, trzeci leń i do niczego itp. A jednak z pomocą ich i najemnych przybłądów było siano dla koni, półka coś obsiano na równinie, nieźle zrodziło i brożek

stał. W szopie owce beczwały, było kilkoro sprzężaju i mała stadninka. Z tego, co już uczynił, wnosił Zbyszek, że do wielkich dojdzie rzeczy. Skarżył się tylko, że mu niemiłosiernie dziesięć wotytkano i osadnicy narzekali, że od granicy wpadano mu do lasów, i o łakę miał wojnę z sąsiadem.

Na cały wieczór stało stękania nad biedą i mimo biedy Zbyszek był szczęśliwy, wesół, zdrow. Opowiadanie syna o wojnach i wyprawach radowało go też niezmiernie.

Dla różnych spraw stary nie tylko do Bochni jeździł, ale i do Krakowa zaglądał często. Mowa się poczęła o nowym panie, którego Marcik rad był już widzieć w koronie, gdy Poznań i Gniezno odzyskali.

Zbyszek coś głową kręcił.

— Daj mu, panie Boże — rzekł — doczesną i niebieską koronę, ja mu pewnie życzę, ano, człek się o różnych ociera, nasłucha różności, trwoga ogarnia.

— Czego? — spytał syn zdziwiony.

— Wrogów ma dużo — odparł stary. — Najgorzej nań Niemcy biją.

Marcik wspomniał sobie to, co mu Greta na wyjeźdźnym mówiła, i pytać począł:

— Czegóż to im tak pod nim źle? Kto się skarży?

— W Krakowie — mówił ojciec — Niemcy bez mała wszyscy nań, bij, zabij, dlatego naprzód, że on ze wszystkich książąt najmniej zniemczał, a potem że, jak oni gadają, skórę z nich zdiera.

— Cha! cha! — śmiał się Marcik — a z kogóż brać, jeśli nie z nich? Nasz pan skarbów ani po ojcu, ani po stryju, ani po bracie nie dostał, kto mu ma dać, jeśli nie poddani? Przecie aby oni w pokoju handle prowadzili i bogactw nabywali, on krew swoją i naszą przelewa. I to być ma darmo?

— No, a piszczą, narzekają — wtrącił Zbyszek — i co gorzej, odgrają się, słyszę. Mruczą coś, szoldry, że sobie chcą innego pana szukać.

Usłyszawszy to, Marcik zerwał się gniewny i kułak podniósł w górę.

— Tak śpiewają! — krzyknął. — No, to my im rozpuszczonej gęby przymkniemy.

I zaczął badać ojca, gdzie mógł słyszeć o tym. Zbyszek powiadał, że na Rynku w Krakowie nietrudno było o tym posłyszeć, iż głośno Niemcy prawili, jako im pod polskim panem żyć nie można, bo ziemianie i rycerstwo górę biorą, każdy ich szarpie, a u Łoktka lada ciura lepszy niż pan wójt krakowski.

— Bo inaczej być nie powinno! — rzekł Marcik.

Zbyszek, choć sami byli, trwożliwie jakoś głos zniżał. Dodał poufnie, że słuchy chodziły, choć próżne może i żywe, iż się mieszczanie już ze Szlązakami wachali, aby Łoktka wygnać z Krakowa. Drudzy obawiali się, by z Czechami nie mieli porozumienia.

Marcik zmilczał, ale w duchu sobie rzekł, że rozumiał teraz, o czym go Greta przestrzegala, i pomyslał, że pilniej bylo w Krakowie siasc niz na Pomorze spieszc. Spisek przeciw księciu oburzal go tak, iz krwawa zemsta poprzysgal zawczasu. Z niewielu slow ojcowskich nabywszy strachu, Marcik ledwie pare dni sie dal strzymac w Wieruszycach. Pilno mu nazad bylo.

Miasto znal dobrze z tych czasow, gdy jeszcze w Lowczej siedzieli, o mieszczanach wiedzial, jak ktory myslal, w Krakowie mu wiec na strazy trwac trzeba bylo. Na ruke zreszta moglo byc, ze sie od Grety nie potrzebował oddalac. Wybieral sie juz, gdy dzien jeden dla sloty go wstrzymano, ale niecierpliwosc w nim rosla i nazajtrz do dnia, choc deszcz proszyl jeszcze, popedzil spieszniej, niz do Wieruszyc jechal.

Ksiązę Łoktek podczas byl w Krakowie, chociaz go układy i spory o Pomorze, traktowania z przewrotnymi Krzyżakami ciagnely gdzie indziej. Marcik zastac go chcial i mowic z nim o tym, co slyszal. Zaledwie dobiwszy sie po slizgocie do Krakowa, gospode znalazlszy jaką taką na Okolu, gdzie go nie znano, opowiedziawszy sie jako ziemianin spod Bochni, Marcik nazajtrz na zamek pobiegl.

Tu juz teraz nie takie byly pustki i zniszczenie jak przed laty. Dwór stanal wielki, na którym księżna mieszkala i Łoktek czasem przebywal. Trzy kościoły szybko podniosly sie na Wawelu. Gród dokoła opatrzony byl mocno i warowny. Wprawdzie ksiązę Władysław i zona jego wspaniałości dawnej tutejszych panow nie potrzebowali dla siebie ani sie starali o nia, ale dla narodu samego i obcych ludzi musieli dwór trzymac wielki, a wystepowac po królewsku, o korone sie kuszac. W dni uroczyste stroilo sie, co zylo, i wdziewalo barwe panska, a na powszednie pan, pani i sludzy ich w prostych kozuszkach sie nosili, ani ich wielkosc bylo poznac.

Księżna Jadwiga niezbyt juz mloda, a dlugim cierpieniem, gdy w Radziejowie u mieszczanina kryc sie musiala, znękana, nawykla do prostego obyczaj, wolala sie odziewac skromnie. Dziecmi zajeta, dla których miłosc wielka miala, sarna im prawie byla piastunka i sluga. Nierada zdawala je na ruce obcych, niechętnie na chwile odchodzila od nich.

Oboje panstwo zyli, gdy mogli, jako ludzie wszyscy, nawyklszy do niedostatku, przy którym chleb smakuje czarny. Zywtot tez na dworze dwojaki byl. Gdy sami zostawali, jak ziemianie zamożni obchodzili sie chlebem powszednim, nie dbajac o wystawe i zbytek. Gdy obcy ludzie na dwór ich przybyli, legat papieski, poseł krzyżacki albo ziemianie z dala, wówczas dobywano, co najlepszego bylo i najwspanialszego. Sluzba szla po szaty swiateczne, Jadwiga zrzucala szara suknie codzienna, ksiązę przyoblekal szkarlaty. Ledwie poslowie byli za brama, wracali z radością do sukni i stołu zwyklego. Ład na zamku panowal, jakiego tu dawno nie bylo, skinienia sluchac musiano, a od karnosci nikt wymawiac sie nie smial.

Czasy dla księcia nastaly ciezkie, grozne niemal. Czul, ze dopoki korony nie wlozy na skronie, wszyscy sie przeciwko niemu targac beda. Szlaczacy i Niemcy po staremu drwili zen i odgrazali sie, czesc duchowienstwa i biskup byl o niechec podejrzany. Czuwac musial. Mial on swych wiarnych, ale swawola zawsze wiecej jedna przyjaciol niz surowosc i karnosc. Ci, co sie go lekac musieli, nienawidzili skrycie. Nie mial sposobnosc byc okrutnym, a przeczowano, iz nieublaganym byc potrafi.

Niemcy, w oczy mu patrzac, czuli ciarki przechodzace po plecach. Nakladano na nich coraz nowe pobory, cla, pozyczki, daniny, a wymowki nie bylo. Wójt klaniał sie posluszny, ale sztywny i milczacy. Zbieraly sie zewszad chmury, a ksiązę, zajety swym Pomorzem i Krzyżakami, nie widzial ich lub lekcewazyl.

Ranna była godzina, dziedzińce pełne, ale *gwarne*, bo się tu cicho sprawiać musiano. — Służba i strażę chodziły spokojne, poważne, uporządkowane, każdy w swym miejscu. Stały konie panów, którzy do księcia przybyli z bliska, w podwórku, innych dwory rozmieszczone pod dachami, czeladź spoczywała po izbach jej przeznaczonych, gdzie nikt z głodu nie marł, ale zbytku dla nikogo nie było. Książęcy skarb i tak starczył ledwie na mnogie wydatki.

Marcik, który konie i ludzi tych, co do pana przybywali zwykle i na dworze jego bawili, znał dobrze, witał się z dworzany kasztelana Wierzbięty, Zbigniewa z Brzezia, Ratulda Gryfa Trepki, zwanego Żyłą, Petrosława z Mtyszyna, młodego Prandoty z Kozieglów, Jakuba z Konicypola, Ligęzy z Bobrku, Dąbrowy z Rostkowa i innych.

Stanął tu z innymi, czekając i rozglądając się po królewskim grodzie, który mało co inaczej i lepiej wyglądał nad ziemiańskie zamki. Wszystko tu z nowa wznosić było potrzeba, a Łoktek, mało dbając o majestat, wołał siłę rzeczywistą niż jej blaski i żołnierzy w obozie niż grzywny w skarbcu. Tych też rzadko było najrzeć u niego, bo byle grosz przy płynął, pułkownicy go rozchwytywali. Ciężyły podatki na miastach, a Kraków stękał na nie.

Nierychło goście z zamku się rozjeżdżać zaczęli. Marcik, który tu wszystkich znał, poszedł do Strojberza, ochmistrza księcia, pytać, kiedy by z nim na osobności mógł się rozmówić. Musiał poczekać, aż go po obiedzie bocznymi drzwiami wprowadzono do pańskiej komory.

Stał Łoktek, jakby się wychodzić wybierał, bo nigdy nie spoczywał i znużenia nie znał, a gdy go rada i mówienie zmęczyło, szedł do żołnierzy opatrywać ich porządek, kazał pisać listy albo wołał przychodzących z doniesieniami. Tych zaś zawsze było dosyć z różnych stron, szczególnie od Pomorza, z Kujaw i Wielkiej Polski.

Zobaczywszy Marcika, uśmiechnął się książę.

— Jużeś się wylizał — rzekł — chwała Bogu, do pułku ci się chce?

Marcik westchnął.

— Miłościwy Książę — odezwał się — choć ja w obozie chętniej służę, ale na teraz wołałbym zostać w Krakowie. Coś mnie tu niedobrego za wiewa; z Niemcami, mieszczany, ostrożnym być trzeba. — Ja się z nimi znam, wszystkiem kąty wycierał. Myślę, że mi każecie tu posiedzieć i oko na nich mieć.

— Hm — odparł książę — mnie się widzi, że ci tu pewnie jaka podwika pachnie!

— Nie, Miłościwy Panie, dla żadnej bym służby się nie wyrzekł — rzekł smutnie uśmiechnięty Marcik. — Podwika mi nie pachnie, ale Niemcy śmierdzą.

Łoktek zbliżył się doń.

— Wiesz ty co? — spytał.

— Mało albo nic, ale w powietrzu coś jest. Żle na nas patrzą, piszczą, kurczą się o podatki, bodaj żeby co nie knuli albo z Czechem, albo ze Szlązakiem. Biskup licha wart, a wójt jeszcze gorszy...

Kręcił głową, książę dumał.

— Nie bardzo mi się spiskom chce wierzyć — rzekł po chwili — ano, nie zawadzi czuwanie. Maszli sposób na Niemców, aby z nich ciągnąć, co myślą, zostań, rób, co chcesz. Ale beczynnienie zostając w Krakowie, podasz się w podejrzenie, bo oni też nosy mają. Weź na zamku urząd jaki, będziesz miał co czynić, a na miasto zajrzeć dość czasu.

— Zostanę przy zamkowej straży — odezwał się Marcik. — Niech Wasza Miłość przykaże, aby mnie zbyt służbą nie wiązano, abym wolniejszym był.

Stali chwilę milczący, a Łoktek się marszczył.

— Niemcy! Ci Niemcy! — zamruczał. — Kiedy my się od nich oczyścimy. Tu i wszędzie mnie prześladują. Sasy, Brandenburscy, Krzyżacy i po własnych miastach, co ich jest jak mrowia. Wszyscy oni się z sobą znają, za jedno trzymają, a nas, tak jak my ich, nienawidzą.

Gdy tych słów domawiał, oznajmiono jakby wywołanych dwu wójtów krakowskich dziedzicznych, Alberta z bratem Henrykiem. Marcik, jako do dworu należący, stanął u drzwi, aby popatrzeć i posłuchać, z czym przybywali. Szli wójtowie, poubierani jak dostojne pany, dumnie, butno, od jedwabów i złota. Albert starszy przodem, niosąc się jakby wojewoda lub kasztelan jaki. Twarz jego ułożona, zimna, wejrzenie przenikające, miały w sobie coś obudzającego nieufność, zdradzającego niechęć.

Łoktek przyjął ich obliczem surowym.

— Miłościwy Książę — odezwał się Albert, czyniąc pokłon głęboki — przychodzimy do Was prosić o miłosierdzie nad miastem naszym. Upadamy pod ciężarem ucisków wszelkich, a tu nam handel jeszcze sandeczanie hamują, od miasta lada kto odrywa grunta, na których dla Miłości Waszej zakładają ogrody i zagrody... Kupiectwo jęczy i skarży się.

Książę, jak w tęczę nieporuszonym wzrokiem patrząc w wójta, dał mówić mu do końca i długo się rozwodzić, nie przerywając.

— Miejcie cierpliwość — rzekł wreszcie. — Ja bronić się muszę i utrzymywać przy swoim, oganiając nieprzyjaciołom na wsze strony. Skończy się troska moja i dla was lepsze nastąpią czasy, miasto odetchnie, gdy ja spocznę. Dopókim ja niepewien swego i wy lepszego bytu mieć nie możecie. Pomagajcie mi, aby się złe prędzej skończyło.

Odezwał się Henryk młodszy z *grawaminami* różnymi, skarżyli się na przemiany, stękali, książę stał zimny, niemal szydersko patrząc na nich.

— Mili moi — rzekł — co byście powiedzieli, gdybym ja też przed wami moje żale, a wiele ich słusznych mam, rozwodzić zaczął? To się na nic nie zdało. Ja moje, wy swoje brzemienie dźwigać musicie. — Powtarzam wam, pomóżcie mi, abym pokój miał, to go wam dam.

Albert wtrącił zaraz, że pieniędzy nie mieli i wymaganych dać nie mogą.

— Ja ich też nie mam, a potrzebuję pilno — przerwał Łoktek. — Łacniej wam ich dostać niż mnie.

Twardym go tak znaleźli, iż Albert zamilkł w końcu. Stali czas jakiś, jakby czekając łaski, ale nie otrzymawszy nic, pokłonili się posępni i odeszli.

Wprost u podszienia na konie pysznie poodziewane siedli i namarszczeni pojechali na miasto, do wójtowego dworu, w którym czekali na nich ci, co ich do zamku wysłali. Stali tu u wnijsia Herman i Raciborza, Suderman, Pecold z Rożnowa, Hincza Keczer i kilku innych, kupcy najbogatsi, którzy tu rej wiedli, wszyscy niespokojni i poruszeni. Z dala zobaczywszy wójta, oczyma go badali pilnie i po znaku, jaki im dał Henryk, domyślili się, że powracali z niczym. Nawykli byli dawniej do tego, że ich szanowano, ustępowano im, wazono wielce, kłaniano się, bo oni tu i ich grosze królowały. Dopiero Łoktek pokazał im, że za gości i przybyszów ich miał, od których wymagał posłuszeństwa i ofiary.

Starszyzna była oburzona. W ulicy, gdy Albert zsiadał, nie poczynano rozmowy, Herman z Raciborza pierwszy pospieszył za wójtem, za nim cisnęli się inni. Gdy się w izbie górnej znaleźli, a Albert zwierzchnią suknię zrzucił i kołpak zdjął, obejrzał się po nich i drzwi zaraz opatrzone, aby nikt nie podsłuchiwał. Otoczono ich kołem z ciekawością wielką. Albert musnął się po bladej twarzy ręką białą.

— Od księcia się nic spodziewać nie możemy — rzekł — próżno byśmy się łudzili. Nie cierpi Niemców, litości nad nami mieć nie będzie, wyginiemy tu pod jego rządami albo wynosić się musimy. U niego miecz jedynym prawem.

— Tak — potwierdził Herman — tak! Dawno potrzeba było myśleć o sobie.

Popatrzyli na siebie z pewną trwogą, Albert rękę podniósł.

— Pod przysięgą wielką żądam po was posłuszeństwa i milczenia. Innego pana potrzeba nam i mieć go musimy. Z tych polskich rządów i polskiego prawa trzeba się uwolnić.

Wszyscy zamruczeli potakująco.

— Szlązaka musimy tu wprowadzić — dodał Albert.

Nikt się nie sprzeciwił.

— Łoktek porozrywał swe siły. Byleśmy go stąd i z Sandomierza precz wyrzucili, i z kilku grodków, w których on ma przewagę, pójdzie znowu na tułaczkę.

Chociaż wójt Albert mówił to z wielką siłą przekonania, jak by wierzył w nieochybne spełnienie swych planów, na twarzach znaczniejszej części mieszczan odmalowała się trwoga.

— Hm — zamruczał Hincza Keczer — rim się na to ważyć będziemy, dobrze rozrachować się trzeba, bo pan to jest zuchwały, odważny i uparty. Sprawa z nim niełatwa.

Wójt się uśmiechnął pogardliwie.

— Zuchwały jest — odezwał się — ale siła jego zuchwalstwu nierówna. Dajmy tylko sobie ręce wszyscy, gotujmy ludzi do tego, że ważyć coś trzeba, aby się z niewoli wykuć.

— Pewno, że ze Szlązakiem którymkolwiek lepiej by nam było — odezwał się Suderman. — Dziś nie to, co za Czarnego Leszka, gdyśmy tu panowali, musimy ustępować Polakom. Dziś my słudzy. Język sobie nawet dla nich łamać musimy.

Albert nie słuchając zadumał się.

— Szlązakowi — dodał — Czechy pomogą. Duchowieństwo ma też znaczenie i moc, a biskupa Muskatę z sobą mamy. *Nie daruje im Biecz*. Liczcież no, gdy się za ręce wezmą Szlązak, Czechy, Brandenburczyk, Krzyżacy, biskup i my.

Lik ten sprzymierzonych rozjaśnił oblicza wszystkich oprócz Keczera. Pecold i Herman w dłonie uderzyli śmiejąc się.

Henryk, ostrożny, podszedł ku drzwiom na zwiady.

— Czasu nie trzeba tracić — mówił Albert. — Do Opoła, do księcia Bolesława, ja sam będę docierał, z biskupem się porozumiem, do Czech i do Krzyżaków ślać potrzeba, aby nie folgowali. Osaczym go!

Spojrzał na Hermana z Raciborza, który głową dał znak, że gotów jest na rozkazy.

Pecold z Roźnowa rzekł głośno:

— Pojadę, gdzie trzeba.

Szeptano po cichu, rozdzieliwszy się na gromadki.

Narada rozpoczęta rychło się ukończyć nie mogła. Wiele drobnych rzeczy było do obmyślenia. Na koniec, gdy się już miano rozchodzić, brat wójtów Henryk rzekł, dokoła się zwracając:

— Nim się to spełni, co powinno, kłaniać się im nisko potrzeba, aby nas posądzać nie mogli, a jutro, pojutrze ostatnie grzywny nałożone na nas, zapłacić. Niech myślą, żeśmy jarzmo przyjęli.

Herman przeciw grzywnom się oburzył.

— Hę? — zawołał. — Gardło im nienasycone zapychać! Po co? Zwłóczyć, zwłóczyć, a tymczasem...

Albert potrząsł głową.

— Trzeba coś dać, aby ich uspić — rzekł. — Nie zapłacimy, ile żądają, poniesiemy połowę, mówiąc, że więcej znaleźć nie mogliśmy. Na drugą zyszczyliśmy zwłokę.

— Połowę — potwierdził Suderman. — Chciwi są, wezmą i to, nim się reszty doczekają, już ich stąd wymiotą.

— Dobrze i tak — rzekł Herman — a teraz język za zębami i nisko się kłaniać, nisko, do ziemi, a małymi czynić, póki ich szatani stąd nie wyniosą.

— Suderman — dodał Albert — pojedzie do Sandomierza, namawiać mieszczan, aby toż czynili, co i my, a opolskiemu się oddali. *Henryka poślę do Sądcza*, abyśmy i tych do przymierza wciągnęli.

— Z sądeczanami trudno będzie — odezwał się Hincza (który widział więcej trudności niż inni). — Radziłbym ich nie zaczepiać, bo to wrogi nasze. Byle Kraków na prawo szedł, oni pewno w lewo się odbiją. Z nimi braterstwa nie będzie.

Albert, który miał się za rozumniejszego od Kecera, ramionami poruszył.

— W Sądczu my też swoich mamy — rzekł krótko — porozumiemy się. Gdyby ich nie było, osiedlim umyślnie... Na Sądczu mógłby się trzymać, a i o Poznaniu nie zapomniemy, aby mu go odebrać.

Tak szeroko zakreślony plan spisku w końcu panów radnych zaślepił i wbił w dumę. Albert zdał im się mężem zdolnym walczyć o lepszą z małym księciem. Patrzali nań z poszanowaniem, jak na swojego pana i księcia, czując, że to, co teraz objawił, dawno w nim mieszkać musiało, miało czas dojrzeć i przyszło w swej godzinie. Nowe życie w nich wstąpiło.

Wójt Albert, powiódłszy oczyma dokoła, znalazł na twarzach wszystkich wyraz czci i wiary w siebie. Jeden Hincza Keczer oczy trzymał wlepione w podłogę i dumał, ale przed większością milczał. Herman ścisnął rękę Alberta, Pecold z Rożnowa dworował mu, Suderman śmiał się w nadziei, że Polaków wyżeną i czysto niemieckie zaprowadzą panowanie. Albert wójt był w tej chwili istotnie królem i władcą miasta, którego skinienia wszyscy słuchać byli gotowi. Jak apostołów rozpuścił swą radę, zalecając milczenie i oględność.

Rozdział trzeci.

W szynku, przy browarze Szeluty, w Grodzkiej ulicy, niedaleko Rynku, choć piwo nie świdnickie było, ale własnego wyrobu, słynęło przecie z tęgości i tłustości, a ci, co z Łoktkiem w Gdańsku bywali i kosztowali tam onego sławnego, jak smoła czarnego i gęstego, twierdzili, że piwo Szeluty mu nie ustępowało. Co on tam do niego mieszał, jak je warzył, czym przyprawiał, iż tak smakowało, a nie kwaśniało nigdy i długo stojąc stawało się jak miód wytrawniejsze coraz, było jego tajemnicą. Słody sobie sam robił, zaciery własną ręką dokonywał i to tak, że sekretu jego nikt podpatrzeć nie mógł. Do Szeluty zbierali się i tacy, co w miejskiej piwnicy bywali. Miał szynk jego dogodności wiele, bo tuż był rzeźnik, który różnego dostarczał mięsiwa. Najeść się i napić u niego było można. Gorzał zawsze ogień wielki w izbie szynkowej, dwie baby krzątały się, głośno śmiejąc i żartując, około kociołka i patelni. Najmniej jedną starał się Szeluta mieć młodą i przystojną, bo doświadczył, że to piwu dodawało smaku. Rzadko też tu kiedy pusto bywało, a zawsze wesoło.

Gościem stałym był tu niejaki Czelustka, którego całe miasto znało, bo od lat kilkadziesiąt, dawniej na zamku, teraz w mieście błaznował. Żadne lepsze wesele nie obeszło się bez niego. Był to czas na wesołków i błaznów, bez których miasto żadne, dwór, możny pan, ucztą się nie obchodziła. Dlatego i my tak wielu ich malować musiemy. Należą do obrazu wieku.

Czelustka błazen był osobliwy, dokazujący nie tylko gębą, ale całym sobą. Ręce jego, nogi, głowa chodziły nie tak, jak u innych ludzi, ale wyłamane były jak u lalki, tak wykręcały się, łamały, gięły, iż nieraz się zdawało, że człek pójdzie na kawałki. Był w sobie niezmiernie chudy i długi, twarz miał

pociągłą i wiecznie się śmiejącą. Nie stąpił kroku jak inni, zawsze to nogi przed się wysuwając na szańce, to ręce wyciągając w górę, w dół zakładając je, robiąc nimi ruchy osobliwe. Skóra na głowie całej chodziła mu jak pożyczana, uszami ruszał każdym z osobna, a gdy smutną minę zrobił, trzeba było pękać ze śmiechu. Polak był, ale po niemiecku się doskonale wyuczył na dworze Czarnego i błaznował, jak kto zażądał, po niemiecku czy po polsku. Niekiedy nawet z popsutą łaciną się popisywał, ażeby okazać, jak mądry był. Spojrzeć tylko na Czelustkę dosyć było, aby się śmiać, bo postawą obudzał wesołość. U Szeluty znali go, cieszyli się z nim goście wszyscy i bardzo być może, iż przemądry piwowar karmił go i poił, aby gdzie indziej nie chodził. Drudzy też z gości często gęsto rzucili mu coś, gdy ich dobrze ubawił. Oprócz wszystkich innych sztuk i sztuczek, bo piał jak kogut, czekał jak pies, śpiewał jak ptacy, mruczał jak kłapouche, Czelustka każdego człowieka minę i mowę naśladował, tak przejmując głos, że się mu wydziwić nie mogli ludzie. Przed Polakami wyśmiewał Niemców, a przed Niemcami Polaków, nie szanując nawet księży, których śpiew powtarzał, jakby się go uczył.

Czelustka miał swój kątek na ławie, siadał w nim, gdy nie miał nic do roboty, na ziemi, nogi podnosząc tak, że mu kolana twarz zasłaniały, a rękami obejmując się za nie. Wydawał się maleńki, bo siedzącego ledwie trzecia część była tego, co stał. Tym sposobem odpoczywał, spał nawet i zdawało się, jakby nogi trzymał, by mu nie uciekły. Suknie miał bodaj jeszcze te dawne, które mu księżna Gryfina sprawiała, wytarte, poplamione, połatane. Rodzaj kaptura brunatnego kładł na głowę i ramiona, gdy mu chłodno było, i tak chodził. Mnichy się pono niektóre na niego za ten kaptur gniewały i zdzierano mu go nieraz, ale długimi opatrzony nogami uchodził zawsze, a u Szeluty znał takie kąty, z których nikt go dobyć nie mógł. W potrzebie chował się między kadzie w browarze.

Panowie radni niechętnie do Szeluty uczęszczali, tak samo jak ziemianie do ratuszowej piwnicy. — Tu i tam przecież trafiały się wyjątki. Z zamku ludzie i wojskowi rychlej tu się znaleźli niż pod ratuszem, a Marcik też z dawna, jak wiemy, do Szeluty uczęszczał. Z mieszczan zaglądali tu ci, co nie bardzo dobrze byli z rajcami i panem wójtem. Jakiegokolwiek panowanie rzadko się bez sprzeczki obchodzi. Ci, co rej wodzą, radzi sobie, ci, co słuchać muszą, mruczą. U Szeluty często słowem bryzgano ostrym, choć sam gospodarz otyły, spokojny, milczący, człek z wielkim guzem na czole, nierad był słuchać tego, sam wszystkim równo kłaniając się i będąc powolnym.

Różne plotki miejskie dla bliskości ratusza i dyngusza, kędy ławnicy sądzili, najpierw się tu dostawały na *wysadki*. Kto komu sprzedał dworzyszczce, dwór oddał w połowie lub cały, kogo rajcy z miasta wyświecić kazali, gdzie co ukradziono, komu w nocy krwawych sińców nabito albo i łeb rozplącano, najpierw tu się dowiedzieć było można. Prawda, że nieraz pogłoski te były fałszywe, że niejeden zmyślił, co mu puścić było potrzeba, ale przy piwie dobrze jest zakąsić cudzą biedą. Ta zawsze przedziwnie smakuje. Śmiech popijano piwem czarnym, a piwo zajadano plotką. Czelustka z nich jak dobra prządka z kądzieli wysnuwał doskonale żarty.

Zimą czasami tylko, w mrozy wielkie, latem szerokie drzwi Szeluty nigdy się nie zamykały. Nie miały tego zwyczaju i na noc chcąc je zawrzeć potrzeba było gwałt zadawać, aby się zeszyły pod jeden drąg niewoli.

W pół dnia następnego Marcik się tu znalazł, pilno rozglądając, czy kogo ze znajomych nie zobaczy. Ludzi było mało i niewielkich. Z glinianego kufla pił powoli Frycz, pisarz ratuszowy, który to gęste piwo bardzo lubił, choć gospodarz niekoniecznie.

Zaledwie się tu ukazał, opadano go pytaniami jako wszystko wiedzącego, a zdradzić wielkie arkana i tajemnice miasta niebezpiecznym było! Pachło to wygnaniem, a co gorzej, więzieniem wprzódy. Frycz, jak każdy człowiek, co się sobie wielkim zdaje, dumny był i mocno zamknięty.

Szanowano go też. Osobliwa rzecz, mąż w urzędzie ratuszowym trzymający pióro wielkiej miłości pono dla Niemców nie miał, choć na pół z nich pochodził. Z Marcikiem znali się tak dawno, iż naówczas Frycz, wielkiej swej nie przewidując przyszłości, jeszcze z garnuszkiem u szyi do szkoły u Panny Marii chodził, Suła już się z kordzikiem kręcił po ulicach Krakowa powiadając, że życie wszystkiego uczy, a szkoła nikogo mądrym nie uczyni. Taki był człowiek. Zobaczywszy pana pisarza, Marcik się zaraz zbliżył ku niemu, choć teraz urzędnik żołnierza niewiele sobie ważył. Spotykali się rzadko, bo drogi ich daleko się rozeszły.

Obok Frycza siedział, a bodaj go i poił, Niklasz z Zawichostu, kupiec, który żelastwem handlował. I tego znał Marcik, bo to był czas, gdy się Niklasz zalecał do Grety, jak wielu innych, ale zobaczywszy, że progi nie na jego nogi, wysokie i przepadziste, dobrowolnie poszedł precz i inną mieszczkę, brzydką a bogatą, zaślubił. On i teść jego Wigand z Lupczyc mieli teraz wspólny sklep, bodaj nie największy w Rynku.

Żelazo miało naówczas inną wartość i inną cenę, na wsi ludzie kawałek jego na równi ze srebrem cenili. Kruszec ten drogi prowadzili z różnych stron Niklasz i Wigand, bodaj z Węgier.

Niklasz z Fryczem byli już na bardzo cichej rozmowie, pochyleni głowami ku sobie, gdy Marcik się do nich przybliżył. Żołnierza, choć się obawiano i szanować musiano, ale w głębi duszy każdy mieszczanin czuł się od niego lepszym.

Dawno go nie widywali. Frycz spytał:

— Musieliście kędyś z wojskiem bywać?

— A juści, to moje rzemiosło — rzekł Karcik. — W Poznaniu mnie Szlązak postrzelił haniebnie; musiałem się lizać.

Popatrzali nań, jakby śladu rany szukając, że jej nic nie zdradzało.

— Ach! — ozwał się Niklasz — bodaj już raz te wojny ustały. Wam jak wam, zawsze się z nich coś okroi, a naszemu handlowi drogi wojna zapiera. Po gościńcach rozboje. Co nam czeladzi nabiją, a towaru nałupią!

— Ha!! Gdzie drwa rąbią... znacie przysłowie — rzekł Marcik. — Czy sądzicie, że nam się wojny nie naprzykrzyły? Nam i wojowniczemu panu naszemu? Jemu też teraz, gdy Bóg syna dał, a ziemi ma dosyć, czas by spocząć.

Niklasz mruknął:

— A po cóż mu się chce coraz więcej?

Frycz pił i milczał.

— Bo mu się ona należy — rzekł Marcik. — Dobry to pan, ale biedny, bo jemu pokoju nie dają.

Niklasz dziwnie zamruczał.

— Już bo i niemłody!

— Pół wieku przeżył — poprawił Frycz.

— Prawda — mówił Suła — a na nim ani lat, ani tułactwa nie widać. Dobry pan, a nie wszyscy go tak kochają, jak należy.

Stało się cicho, bo rozmowa była drażliwą. Czelustka zerwał się z ławy, zbliżył, głowę wykrzywił, ręce wyłamał i zawołał głosem piskliwym:

— Żyw niech będzie drugie pół wieku, ale dajcież piwa!! Wszyscy się rozśmieli, choć nie było z czego.

— Ja bo nie wiem, jak go nie kochać — mówił Czelustka, głos mieniąc osobliwie. — Mieszczanie krakowscy nie wiedzieliby, gdzie grosze chować, a on ich miłosiernie tak podbiera jak pszczoły. Biedactwo by się podusiło w ulu.

Znowu się śmiano, ale Marcik mu pogroził.

— Ej ty, niezdaro!

Niklasz zapatrzył się w pułap, Frycz w kubek, niby nie rozumieli.

— Skądże byśmy brali, jeśli nie stamtąd, gdzie jest — dodał Marcik.

Żartowali chwilę jeszcze z Czelustką, gdy Frycz, może zaniepokojony obrotem, jaki rozmowa przybrała, wstał, utarł wąsy, dał znak Niklaszowi, że mu do dyngusza pilno, i zemknął.

Czelustka powrócił na swe siedzenie w kącie, a Marcik pozostał z Niklaszem, który nie *unikął od niego*.

— A cóż tam wasza Greta? — spytał.

— Jam ją rzucił — odparł żołnierz.

— Albo ona was?

— Może i to być — zaśmiał się Marcik. — Nam, żołnierzom, zaloty do mieszczek się nie udają, tak jak księciu naszemu zgoda z wami.

Niklasz bystro mu spojrzał w oczy.

— Czegóż ty chcesz? Albo zgody nie ma?

— Posłuszeństwo jest, ale miłości i zgody nie ma — mówił Suła. — Nie trza kłamać, bo wy go nie kochacie.

Niklasz się oburzył.

— Jak to? Jak to? — zaczął szeplenić. — Może być, że się w mieście tacy znajdują, co szemrzą, ale więcej takich, co wolą jego niż innego.

— Chyba nie ci, w których żyłach niemiecka krew płynie — rzekł Marcik. — Z was, który jak wy albo i Frycz Polakiem na pół jest, przecie dla gromady z Niemcami trzymać musi.

— Hm — odparł cicho Niklasz — bo ich tu więcej jest, przy nich moc i siła, a nas garść.

Marcik napił się i zebrało mu się na szczerłość.

— Żal mi was — rzekł — bo wy z Niemcami razem przepadniecie.

To mówiąc wstał i chciał się oddalić, gdy Niklasz za wiszący rękaw go strzymał i posadził obok siebie. Twarz miał wylęklą.

— Wiecie co? Hm? — spytał cicho.

— Nie wiem nic — odparł Suła — ale czuję coś! Uchowaj Boże, Niemcy się z nim zadną, krwawo się to skończy!

Niklasz chwilę siedział zadumany smutnie.

— Kto wie? — przebąknął. — O licha nietrudno! Ale co potem? Co potem?

— Co potem? — odparł Marcik. — Źle potem będzie. Wy, co rozum macie, powinniście zapobiec, aby licha nie nawarzyli.

Niklasz mu się do ucha nachylił.

— Albo my co wiemy — szepnął — albo nam co powiedzą? My jak w jamie...

— Cóżście wy, malowani?

— Nas garść! — powtórzył Niklasz, ręce rozstawiając.

— Przeciebyście na zamku znaleźli poparcie?

— Przeciwno swoim? Żebyśmy się jeszcze z sobą jedli?

Potrząśł głową.

Pili znów piwo milcząc, gdy wszedł Paweł z Brzega i zażądał też kufła. Kiwnął głową siedzącym i zbliżył się ku nim. Nie powiedzieli mu nic, lecz z milczenia ich wywnioskował, iż coś z sobą mówić musieli, czym się z nim dzielić nie chcieli.

— Co tam słyhać u Greta? — spytał Marcik.

— No, myślę, że chyba na was czeka — rzekł Paweł wesolo. — Jużeście się byli rozeszli na wieki, a teraz znowu pono dobra zgoda? He?

— Kolecie mi w oczy Gretę — odparł żwawo żołnierz — a świat cały powiada, żeście sami w synowicy rozmilowani!

— O! o! — śmiał się okrągły Paweł. — Albo się zapieram! Miłowałbym ją, gdyby chciała, czemu nie!

Niklasz, który słuchał roztargniony, jakby nie wiedział, o czym mowa, trącił Pawła, chwytając za rękę.

— Wójt na zamku bywał, nie wiecie, z czym powrócił?

— Owszem — rzekł Paweł — z tym powrócił, z czym pojechał. A łatwo było naprzód zgadnąć, że inaczej nie może być. Utrąpiona wojna pieniądze ssie. Któż ma dawać jak nie my?

— Rychło i na nas skóry nie stanie! — zawołał Niklasz.

— A lepiej było za Czecha? — odparł Paweł.

Na tym się skończyło. Niklasz, szepnąwszy coś na ucho Marcikowi, wstał. Ten, choć piwa miał dosyć, dosiadywał. Zostali z Pawłem sam na sam, o którym wiedział z dawna Suła, iż z wójtem i zaciętymi Niemcami nie był w zażyłości wielkiej.

— A co, panie Pawle — odezwał się — zły wiatr od zamku wieje na miasto? Słyszeliście? Wójta podejrzewają, że księciu niezyczliwy i że gotów mącić.

— Nie wiem nic — odpowiedział Paweł. — Ja się o nich ocieram mało, a oni mi nie zwierzają się z niczym.

Gwarząc wyciągnęli razem w ulicę i doszli aż na Rzeźniczą. Marcik do Grety myślał iść, on do domu.

Znalazł wdowę wielce poruszoną czymś i niespokojną. Zobaczywszy Marcika, Kurcwursta precz wyprawiła i zbliżyła się doń żywo.

— W samą porę przychodzicie mi, a to gotowam była słać po was.

— Cóż za szczęście! — rozśmiał się Suła.

— Nie myślcie tylko, żebym ja za wami tęskniła — odparła nadąsana. — Wy na zamku usnęliście; nie wiecie nic, nie widzicie! Albert coś knuje.

— Myśmy o tym wiedzieli już — rzekł Marcik — ale zawsze Bóg zapłać za dobre słowo. Nie wiemy tylko, jak radzić na to, bo się kryją i tają, nawet swoim nie wierząc.

— Miejcie się na bacności! — dodała Greta.

Nie byłby może ufał bardzo Marcik przyjaźni pięknej wdowy dla swojego księcia, gdyby nie wiedział z dawna, jak nienawidziła wójta Alberta. Mówiono, że niegdyś łaskawym okiem nań rzucała, a stary wdowiec rozmiłował się był w niej wielce, ale dumny panek do ołtarza iść nie myślał i miłość tę za zabawkę uważał.

Greta czuła się tym mocno obrażoną i darować mu nie mogła, że ją za niegodną uznał podzielenia jego dostojęstwa i losu. Nie cierpiała Alberta. Paweł, choć pochodzeniem Szlązak, ani książąt szląskich, ani Czechów nie lubił. Był on w pół Polakiem.

— Tego naszego królika, pana Alberta — mówiła Greta z przejęciem wielkim — ani wy, ani nikt nie zna jak ja!! Jemu się marzy o takim prawie do Krakowa jak Łoktkowi do korony. Dziedziczni są panowie nasi, on i trat jego, nas za poddanych i niewolników uważają. Albert dumny jest, przebiegły i chytry, a na odwadze mu nie zbywa. Wasz pan dla niego za mocny, musi sobie powolniejszego szukać, aby sam nad nim panował. Mówię wam, wy go nie znacie!

— Święta to prawda, piękna Greto — odparł Marcik — i tym trudniej nam z nim, że my tylko bić się umiemy, a chytrości tropić nie potrafim.

Greta białymi ramionami poruszyła.

— Śmieszno mnie dawać wam radę — rzekła — lecz jeśli najmniejsze podejrzenie macie, a siła przy was, czemuż byście nie mieli jego zrzucić, choć dziedziczny jest, a drugiego posadzić w jego miejsce?

— Hm — odparł tą porywcznością trochę rażony Marcik. — Pewnie, że dla nas Paweł byłby lepszym wójtem, bo lepszym jest człowiekiem, ale pana Alberta trzeba by na czymś gorącym pochwytać, aby go ukarać. Będziemy wietrzyli zdradę.

— Tak — rozśmiała się Greta — a nim wy ją zwietrzycie, on i wam, i miastu licha nawarzy!!

Marcik popędliwość niewieścią policzył na karb niechęci ku Albertowi. Greta tymczasem, coraz bardziej się ożywiając, prawila swoje.

— Dajcież radę, co czynić? — rozśmiał się Suła.

— Ja? — zawołała wdowa — przecież wy, mężczyźni, krótsze włosy, a dłuższy rozum mieć powinniście?

Od słowa do słowa ucierali się z sobą na pół żartobliwie, pół serio. Przebiegła niewiasta wręście, gdy Marcik dopytywał, z kim by w mieście mógł się sprzymierzyć, komu zaufać, ruszając ramionami i szydząc, poczęła:

— Krótkowłosa mój panie! Ja na waszym miejscu szukałabym w mieście takich ludzi, co siedzą w nim, a do wójta nie należą i są mu solą w oku!!

Niedomyślny Suła ludzi takich dojrzeć nie mógł, dumął i przemyślał na próżno.

Dawszy mu się trochę wymęczyć odgadywaniem, Greta krzyknęła nareście:

— Pójdźcież na Żydowską ulicę i zapytajcie o to Muszy lub Lewka, oni wam powiedzą!

Marcik dopiero teraz zrozumiał i uradował się.

— Bóg z wami! — zawołał — nie ma to jak niewiasty, gdy człowiek sam sobie rady dać nie może! Wy wielki rozum macie!

— A wy go u mnie nie spodziewaliście się znaleźć!?! — zapytała szydersko.

Pochlebilo jej to jednak i zbliżywszy się do Marcika, dodała ciszej:

— Z Muszą, z Jozsem, z Lewkiem, z nimi wszystkimi, ile ich jest, możecie o tym mówić otwarcie. Wasza sprawa a ich — jedna. Albert nienawidzi Żydów, oni jego, bo ani spraw ich nie sądzi, ani porządku między nimi nie trzyma. Oni należą do zamku. A wiedzą wszystko i nic nie ujdzie ich oka. Znacie bogatego Muszę? — spytała w ostatku.

Marcik wprawdzie spotykał Izraelitę na zamku, ale bliżej go nie znał. Między słynącym z dostatków, handlującym pieniędzmi i klejnotami Muszą a ubogim żołnierzem jakież mógł być stosunek? Przystęp do starego był trudny. Uchodził on w owym czasie za głowę wszystkich Izraelitów osiadłych w Krakowie. Na Żydowskiej ulicy dom jego stał jak twierdza obronna, ogromnym opasany murem. Sam on z drzewa był zbudowany, ale opasanie kosztowne z kamienia mogło bodaj oblężenie wytrzymać, a wieści chodziły, że Musza miał chodnik podziemny, którym w razie niebezpieczeństwa mógł się wymknąć.

Tak wyuczony i podbudzony Marcik, nacieszywszy się dnia tego znowu czarnych oczu widokiem, choć mu się od Greta odchodzić nie chciało, pożegnawszy ją, na Żydowską ulicę wprost powędrował.

Musza, który, jakeśmy mówili, kamieniami drogimi, złotem i srebrem handlował, nie był dla lada kogo przystępnym. Nie miał on ani kramu, ni sklepu. Trafiano doń przez innych, a do domu kto się chciał dostać, musiał mieć znanego przewodnika. W sile wieku, choć niemłody, poważny, krzepki Izraelita po swojemu był dumny. Odbijała się na nim potęga bogactwa, które posiadał. Żył zamknięty. Mówiono, że część większą czasu nad księgami jakimiś trawił i złoto robić umiał. Ubożsi Izraelici, ilekroć na zamku mieli sprawę, a tam się one wszystkie rozstrzygały, bo prawu miejskiemu nie podlegali, wysyłali za sobą Muszę, który mówić, przekonać, a w potrzebie przekupić umiał.

Marcik szedł do niego niezbyt śmiałym krokiem, czując, że sprawa ta cała na jego rozum i ramiona była za ciężka. Lecz przy całej jego prostoduszności nie zbywało mu na przebiegłości pewnej. Ludzi poznawał instynktem i ten sam instynkt uczył go sposobu postępowania z nimi. Najtrudniej było dostać się do Żyda i wiarę w nim obudzić.

Właśnie u wrót stanął i miał do nich zapukać, gdy wewnątrz posłyszał ogromny gwar, hałas i dziwne krzyki, tonem i głosem do tych, jakie słyszał w ulicy, niepodobne. Sprzeczano się namiętnie, lamentowano na pół śpiewając. Przysłuchiwał się jeszcze, gdy wrota się uchyliły i cała gromada ludzi poubieranych dziwacznie, odartych, w kapeluszach spiczastych, z włosy z przodu długimi, a z tyłu wygolonymi, w płaszczach długich i w łachmanach, zbita w masę, klóćąc się, wywijając pięściami, miotając się gorączkowo, wyparła się z dziedzińca. Zapalone oczy, pieniające się usta, ręce poruszane gwałtownie okazywały, że spór jakiś wielki toczyć się musiał albo wyrok został wydany. W pośrodku tego tłumu szedł człek blady, którego inni szarpali, pięści mu pod nos podsuwali, popychali jak skazanego winowajcę. Cała ta gromada składała się z dzieci Izraela.

Wrótny miał za nią zawierać bramę, gdy Marcik wszedł śmiało i rzekł, że z zaniku jest przysłany do Muszy od księcia, aby z nim mówił. Spoglądano nań z nieufnością, potrząsano głowami, widocznym było, że gromada, która wyległa na ulicę, zostawiła tu po sobie wzruszenie jakieś. W głębi, w oknie domu widać było poważnego mężczyznę z czarną, nieco siwiejącą brodą, w

aksamitnej czapeczce na głowie, wyglądającego za odchodzącymi. Był to Musza, który po oznajmieniu Marcika zaraz do siebie wpuścić kazał.

Izba, w której go przyjął, skromnie, ale dostatnio była urządzona. Proste kobierce okrywały ławy, sprzętu było mało, szafa jedna stała w kącie. Milczącym ruchem ręki gospodarz wchodzącego pozdrowił.

— Jestem sługą księcia Władysława — ozwał się Marcik — wojowałem z nim długo i miłuję go. Krótko wam powiem, z czym przychodzę, bo gładko mówić a wiele nie umiem. Mieszczanie Niemcy knują coś przeciwko panu naszemu. Jawna to już rzecz. Myślą pewnie sobie nowego szukać na Szląsku lub w Czechach.

Musza niby zdziwiony z lekka głową potrząsał.

— Knuje się coś — powtórzył Suła. — Księżę za mało o to dba, ale my służy jego i na mieście, co jest poczciwych, bojemy się. Wy też do wójtowych nie należycie, powinniście pomóc nam, aby, uchowaj Boże, nie dopuścić zdrady.

Skończywszy podniósł nań oczy. Izraelita stał spokojny, zamyślony, jakby potrzebował długiego zastanowienia się, nim by odpowiedział.

— Skąd wam ten strach przyszedł? — zapytał.

— Z miłości dla naszego pana — rzekł Marcik — i z tego, co po mieście już gadają, nie darmo.

— A nasz Miłościwy Pan wie o tym? — rzekł Musza.

— Wie tyle, co i ja, ale waży lekko.

Żyd poruszył się, ręce za pas założył, oczy w ziemię wlepił.

— A czegoż wy od nas chcecie? — pytał.

— Pomocy do wytropienia tej zdrady — odpowiedział Marcik. — Macie swych ludzi, swe drogi, łatwiej niż my wiedzieć możecie, co się u wójta gotuje.

Musza głową potrząsał, słaby uśmiezek zarysował się na jego ustach, tak że ledwie spod gęstego zarostu domyślać go się było można.

I było przeciągłe milczenie.

— Za wiele od nas chcecie — rzekł w końcu Izraelita. — Sami mówicie, że wójt nam wrogiem jest. Rada i ława wszystko nieprzyjaciele, jakże my zbliżyć się i badać ich możemy?

Nie czekając na odpowiedź, gospodarz wskazał siedzenie, a sam, ocierając czoło chustą, która u pasa wisiała, mówił dalej:

— W mieście gadają? Cóż mówią? Skąd ten niepokój?

— Poczciwi mieszczanie, obawiając się rozruchu i zemsty, wietrzą już spisek. Mówią, że Albert pod pozorem handlu swoich zaufanych w różne strony rozsyła. Dzień i noc u niego obrady tajemne. Są poznaکی wielkie!

Izraelita zdawał się niepewny, co ma począć i mówić. Wahał się.

— Cóż my możemy? — ozwał się — my biedni Żydzi? My, co się opłacać musimy, aby nam wolno było powietrzem oddychać i wody wziąć u studni, my, których raz wraz podejrzewają o zbrodnie, o czary, o bezbożność, my, co się bez osobnego znaku w ulicę pokazać nie możemy? My żadnej mocy nie mamy!

— Wy — odparł Marcik rezolutnie — macie rozum, przebiegłość i pieniądze, które najwięcej znaczą.

Musza pogardliwie ruszył ramionami.

— A tak — rzekł — pieniądz to jest jedyny oręż nasz, którym się bronić musimy — ale też on jest największym nieprzyjacielem naszym, bo wszyscy nań czyhają.

Z przeciągającej się tak rozmowy nic nie mogąc wydobyć dla siebie, Marcik zaczynał się już niecierpliwić. Chciał mocno nacisnąć na Żyda, aby mu stanowczą dał odpowiedź, gdy siwy, podobnie do gospodarza ubrany mężczyzna w wysokiej czapce spiczastej wszedł do izby, nie zdejmując jej i dopiero obcego ujrzawszy, którego zmierzył okiem niechętnym, powoli zsunął z głowy nakrycie. Poczęła się między nim a Muszą żywa, w niezrozumiałym języku rozmowa. Przybyły starszy był znacznie, wzrostu mniejszego, brodę miał siwą, a w twarzy jego, niemiłego wyrazu, źle tajona niechęć przeciwko *gwiazdochwalcom* się malowała.

Ze wzroków rzucanych na siebie Marcik zmiarkował, że mowa o nim była między nimi.

Był to możny też Izraelita, handlujący towary wschodnimi, którego Lewkiem zwano. Ten rozmówiwszy się z gospodarzem, poruszył ramionami, czapkę swą wziął ze stołu, z ukosa spojrzął na Marcika i nie odezwawszy się doń, wyszedł z izby.

Marcik zżymał się niecierpliwie.

— Mieszkacie na zamku? — spytał go Musza.

— Tak jest, do dworu księcia i załogi zamkowej należę.

— A dopytać tam o was można?

— Pytajcie o Marcika, Zbyszkowego syna, Sułę z Wieruszyc pod Bochnią — odezwał się gość z pewną dumą — a traficie do mnie.

Izraelita badał go, słuchał, ale oględny nie wygadywał się z niczym. Czekał jeszcze Sułę, gdy w sieni dały się słyszeć głosy sporne. Musza do drzwi pospieszył, otworzył je i nakazująco odprawił natrętów, którzy, natychmiast zamilkłszy, w dziedziniec wyciągnęli i tam znowu żwawo się kłócić zaczęli. Musza widocznie był sędzią i rozjemcą dla swego ludu.

Na zapytanie powtórzone, czy się może jakiej spodziewać pomocy, Suła otrzymał odpowiedź wymijającą i obojętną. Zmarszczył się i miał wyniść, nie tając przykrości, jakiej doznał, gdy Izraelita począł go łagodzić, powtarzając, iż sobie sami ledwie mogli radzić, a nikomu być pomocą nie zdołają.

— Co my możemy, biedni! — powtarzał. — Siedzieć musimy cicho, by się nikomu nie narazić. Zamek nas nie obroni od wójta, a nasza swoboda taka, że nas z obu stron cisną!! Co my możemy?

Marcik, już się nie oglądając na przeprowadzającego, zburzony wybiegł w ulicę...

Rozdział czwarty.

W parę dni potem Marcik, który błdził ciągle niespokojny, bo mając coś na sercu bezczynnym wysiedzieć nie umiał, włócząc się od piwnicy ratuszowej do Szeluty, od browaru jego na ulicę Rzeźniczą i do Mikołajskiej bramy, aby podpatrywać, co się w wójtowym dworze dzieje, dostał języka, iż Albert w drogę się dla jakiejś sprawy handlowej wybiera. Wiedział także, iż prawa jego ręka Herman z Raciborza w podróż jakąś potajemnie się wybrał a Pecold z Rożnowa także się do niej gotował. Wszystko to byli najczynniejsi pomocnicy wójtowi, ludzie, na których pilne miał oko. Czuł, że ten rozjazd podejrzanym nie mógł być przypadkowym.

Wiedząc iż Greta nieprzyjazną była wójtowi, Marcik pobiegł do niej, azali i tam się czego nie dowie. Nie zastał ją samą, zabawiano się u niej jak zwykle. Stryj Paweł z Brzega, Hincza Keczer, Niklasz z Zawichostu siedzieli za stołem. Piękna zawsze gosposia, rada się pośmiać, popisać z dostatkiem i gościnnością, zachęcała do kubków, dolewała sama, podsuwała misy z łakociami, które na stole zastawiono. Rozmowa toczyła się wesoła, pusta, bo Greta taką lubiła, starych i młodych na pokuszenie wystawiać, rozum im odejmować, do szału pobudzać, było dla niej najulubieńszą rozrywką. Na ostatek wydrwić tych, których wywiodła w pole, i pozbyć się wprawiało ją w humor najlepszy.

Wejście Marcika ostudziło trochę rozmowę bardzo ożywioną. Dość było jego skłopotanej twarzy, aby drugim wesele odebrać. Greta natychmiast otarła kubek, naląła i podała mu go. Od śmiechu była jak wiśnia rumiana, a przy ustach różowych i płonącej twarzy piękne jej ząbki białe śliczniej jeszcze połyskiwały i czarne oczy paliły się ognistiej niż zawsze. Pierś rozkołysana poruszała rąbkiem białym, którym tak była przysłonięta, aby do przypatrywania się pobudzić. Cały w blachach i haftach gorset sztywny kibić jej i okrągłe kształty uwydatniał na pokusę starych wielbicieli. Choć już pierwszą świeżość młodości straciła była Greta, ponętę miała w sobie taką jeszcze, iż, począwszy od stryja, wszyscy z zachwytem w nią wlepiali oczy. Paweł z Brzega jako opiekun więcej sobie pozwalał niż inni, chwycił ją za ręce białe, przyciągał ku sobie, mrugając pokazywał Niklaszowi i Hinczy.

Bystra niewiasta poznała zaraz z oczów Marcika, iż tym razem może nie dla niej samej tu przychodził. Chciała się dowiedzieć, co zrobił. Wprawdzie wszyscy tu swoi byli, lecz w szerszym kółku o drażliwych rzeczach mówić się obawiano. Hinczy Keczera nie bardzo była pewną nawet, z kim trzymał.

Mówiono o połapanych przy łaźni żydowskiej mężobójcach, których już na ratuszu trzymano w więzieniu, a ławnicy ich na śmierć sądzić mieli. Na cmentarzu też u Panny Marii w nocy schwytano niewiastę podejrzaną. To były nowiny miejskie. Marcik słuchał, ale mało go to obchodziło.

Niklasz sprzeczał się, że wdowa Erlichowa nie miała prawa do połowy dworu i jatek na Grodzkiej, a Keczer wiedział, iż w księgach stało, jako mąż jej to przekazywał. Pół zaś ławki oddał za duszę swą do Świętej Trójcy. Wśród tego paplania na piękną Gretę gorące latały wejrzenia; śmiechy, szepty i mrugania je przerywały.

Marcikowi znudziło się tego słuchać i przerywając historię wdowy Erlichowej, o której utrzymywano, że za młodego parobka, służącego u niej, za mąż wychodzić miała, rzekł nagle:

— Dokądże to pan wójt jedzie? Nie słyszeliście?

Niklasz i Paweł zerknęli ku sobie.

— Alboż jedzie? — zapytał pierwszy.

— Mówią, że wyjeżdża, no i dużo jakoś panów radnych w różne strony rusza — odparł Marcik, kładąc nacisk na to szyderski. — Herman z Raciborza, Suderman, Pecold albo się już porozjeżdżali, lub są na wyjeźdźnym. Czegoś im pilno bardzo.

Greta patrzyła nań, dając znaki oczyma.

— Alem ja dziś u pana wójta był — rzekł Paweł z Brzega — o żadnej podróży mowy nie było.

— Hm — szepnął Marcik — albo to o każdej podróży się mówi?

— Juści prawda — śmiejąc się rzekł Keczer — gdy się dowiem, kędy tanio towar kupić można, jadę sam, nie trąbiąc o tym na rynku.

— Żeby nasz wielowładny pan wójt — przerwała Greta — sam miał jechać za kupią, temu ja nie uwierzę. Dziedziczny nasz władca za wielki pan na to, ma i bratów, i swatów mnogo, co go zastąpią radzi. Gdyby sam się w podróż puszczał, musiałby towar być wart tego.

— Nie takie to wielkie pany — sprzeciwił się Niklasz. — Niedawno urosli. Ludzie pamiętają, gdy ojciec ich za Czarnego sam łokciem mierzył w kramiku. Dorobili się tej wielkości *po zamku obronie*.

— Tak, ale teraz wójt dziedziczny drugi książę — odparła Greta. — Podoba się mu wasza albo moja głowa, każe ją ściąć i nikt mu nie powie nic. Myśmy jego ludzie. Rajców ma, jakich chce. Ławników też, a miasto w kieszeni!

— O! o! o! — poczęli wszyscy wołać chórem — Jeszcze do tego nie przyszło!

— Przyszło już! — odpowiedziała Greta stanowczo. — Tak jest! Robi z nami i z miastem, co chce.

— Ale my też do rady należym — rzekł kwaśno Paweł.

— A cóż wy i rada znaczący? — zapytała gorąco Greta. — Herman z Raciborza, Suderman, Pecold, sługi jego i zauszni rej wodzą, a wy — siano za nimi...

Wymówki te nie podobały się gościom, pospuszczali głowy. Greta tym napastliwiej kończyła:

— Pan wójt u nas królem!

Milczenie, które nastąpiło potem, Marcik przerwał.

— Nasza gospodyn timer prawdę mówi. — Tak ono jest!

Goście kwaśno poruszać się zaczęli zakłopotani. Zahartował jeden i drugi, obróciwszy się do wdowy, i powynosili się. Paweł tylko pozostał.

— Ciekawa by to rzecz była, dowiedzieć się — wznowił Marcik — dokąd pan wójt się wybiera? Dokąd jego pomocnicy? Dopytać nie mogę.

— Trudno — odpowiedziała Greta — bo za czterma jechać w ślad jednemu nie ma sposobu, ale przecież, gdybyś sobie wybrał z nich którego...

Marcika myśl ta tknęła, wypił wino spiesząc, spojrział na wdowę i zegnał się. Greta zrozumiała, iż miał jej usłuchać.

— Przychodźcie do mnie częściej! — zawołała, odprowadzając go do progu.

Suła był zawsze do podróży gotowym. Ruszył zaraz wprost pod dom wójtowski, pod którym przez cały dzień, do nocy, dużo ludzi siadywało, a drugie tyle się uwijało dokoła. Chciał tu dostać języka. Wcisnął się w tłum, nastawiając ucha, usiłując naprzód dowiedzieć się, czy wójt już nie ruszył. U wrót podwórzowych czeladź rozpowiadała, że dopiero wieczorem do Miechowa się wybierał. W Miechów ten nie wierząc wcale, Marcik skoczył na zamek po konia i służki nawet nie biorąc z sobą, stanął tak u Mikołajskiej bramy na czatach, aby mu się wyjeżdżający wymknąć nie mógł. Sądził bowiem, że najbliższymi wrotami Albert wyjechać musi.

Wieczór był szary, gdy ujrzał z kamienicy wyciągającego wójta, ale przeciw zwyczajowi tak niepozornie przyodzianego, z orszakiem tak lichym, iż gdyby o nim nie wiedział i nie czatował nań, nie poznałby go pewnie. Skrywszy się u wrót, Marcik wyczekał, aż się gromadka ta odbiła trochę i z wolna podążył za nią. Musiał jednak posuwać się ostrożnie, trzymając się z dala, aby go nie poszlakowano.

Pusto było dokoła. Sama godzina, którą sobie wójt do wyjazdu wybrał, podejrzanym go czyniła. Więcej jeszcze to, że z miasta na błonia się wydobywszy, począł przedmieścia okręzać, snuć się jakby bez celu, jak tropiony zając kluczyć, aż wreszcie wydobył się na gościniec, który ku Pradze i do Czech prowadził.

Marcik nie poprzestał na tym; chciał być swego pewnym.

Wprawdzie dla samotnego człowieka okolice miasta po nocy nie bardzo były pewne, ale miał dobry kawał miecza u boku, obuszek u siodła, konia mocnych nóg i szparkiego chodu, postanowił ścigać dalej. Wójt, na szeroki wybrawszy się gościniec, począł mimo nocy szybko się naprzód

posuwać. Marcik trochę się zakłopotał, bo nagle z wielkiej drogi zwrócił Albert na małą, boczną, wiodącą do osady na gruntach miejskich założonej i do miasta należącej.

— Tropić, to tropić do ostatka — rzekł w duchu Suła. — Zobaczymy, czym go posądzają na próżno,

Wschodzący księżyc pogoń ułatwiał. Konia tylko musiał uśmierzać, bo zbyt mu się rwał naprzód, czując te, które ich wyścigały. Przy słabym blasku dojrzał goniący, że wójt skierował się ku dworowi w zaroślach i tu się zatrzymał. Ludzie posiadali z koni. Pochyliwszy się nieco, na jaśniejszym niebie ciemne ich postacie miał jak na dłoni. Gonić dalej było już niebezpiecznie, stanął więc w gąszczy tak, aby nie widziany mógł zobaczyć, co się tam będzie działo. Stał tak na czatach dosyć długo. Wójt mu zniknął, konie jego tylko widać było przed chatą. W oknach jej ogień gorzał i ludzie z łuczywami obiegali dokoła. Gwarno się zdawało i ludno, jakby tam na wójta oczekiwano. Księżyc zaczynał się podnosić, Marcik stał i czekał, wtem nagle konie ruszyły spod dworku, ale zamiast iść w dalszą drogę, zwróciły się nazad, tak że ludzie obok stojącego Suły przejeżdżać musieli. Strach go ogarnął, aby mu koń jego do tamtych nie zarżał. Położył się na nim, aby nie był spostrzeżony, lice ściągnął i czekał. Ludzie wójtowi wracali z wolna. Oko żołnierskie nawykłe śledzić z zasadzki, dostrzegło zaraz, iż wójta między powracającymi nie było. Czeladź swobodna śmiała się i gwarzyła, do Krakowa powracając.

— Głupis — mówił jeden z pachółków do drugiego — albo to on tam jedzie, gdzie mówi!

— To dokądże?

— Co ci z tego?

— Ano gadaj, gdyś począł.

— Jam bo słyszał, jak z bratem Henrykiem umawiali się przed stajnią, że do Pragi czy do Ołomuńca musiał...

— A co on tam będzie kupować?

Śmiech słyhać było szyderski, Marcik już więcej pochwycić nie mógł. Ścieżka, którą jechali, zakręcała się, znikli mu z oczów, ciężkie tylko stąpanie koni go dochodziło.

Suła całą uwagę zwrócił na chatę, około której wóz stał kryty i kilka koni dla jezdnych. Pod noc pewnie dalej ruszać nie chciano, gdyż wkrótce w chacie światła gasnąć zaczęły. Marcik, z konia zsiadłszy i wolno go uwiązawszy w gąszczy do drzewa, pieszo się przekradł pod dworek, ostrożnie jak złodziej. Szczęściem, że psów przy nim nie było. Czeladź koczowała około wielkiego wozu i koni, leżąc na ziemi. Mógł się tak zbliżyć, iż kawałkami rozmowę ich pochwytał. Mówili o drodze do Ołomuńca i o trakcie, na który się wybierać mieli, bo wielkim gościńcem pan jechać nie chciał.

Tego już dość było dla Marcika, aby się upewnił, że z Czechami zdradę knuto, nie potrzebował dowodów więcej. Do miasta powracać za późno było, postawszy czas jakiś, wrócił do konia i z wolna ku gościńcowi kierując, postanowił gdzie na błoniach przenocować, bo po zawarciu bram do Krakowa się już dostać nie mógł. Rad był, że nie jeździł darmo, a choć chłodna noc do kości go przejmowała, pokłusował nazad wesoło. Na gościńcu już, jakby nie wiedzieć skąd jechał, nagonił i dotarł do powracającej wójtowej czeladzi.

Posłyszawszy za sobą tętent konia, ludzie się trochę ulękli i chwycili za obuchy, bojąc się napaści jakiej, gdy Marcik ich rażno pozdrowił i, jakby się obłąkał, o drogę pytać począł. Udawał nieświadomego sługę jednego z panów mieszkających w Krakowie, którego za potrzebą jakąś wysłano. Czeladź wójtowa drwić z niego zaczęła. Jechali tak razem. A że pacholkiwie do karczemki miejskiej na nocleg dążyli, Suła się do nich uwiązał, głuptaszkciem się czyniąc, aby coś w rozmowie z nich dobyć.

W gospodzie pod miastem, zwanej Kojcem, osławionej z tego, że się w niej włóczęgi i kostery zbierały, i ludzie z miasta wyświeceni, co się w Krakowie pokazywać nie mogli, paliło się jeszcze, hałas był w niej okrutny. Po nocy samemu tu bezpiecznie nie było, ale przy miejskiej czeladzi nie miał się Marcik czego lękać. Trafili właśnie na to, gdy cała opita gawiedź karczemna wyszła z łuczycami przed gospodę oglądać zabitego człeka, który się tam nie wiedzieć jak znalazł. Widać było żółtkłego już trupa, z przyszła na piersiach raną, głową potłuczoną i zeszpeconą, odartego na poły. Niektórzy poznawali, że Beriasz był, *roztruchacz*, i szeptano, że go ktoś dla pary szkap, które prowadził, zamordował.

Wypadek ten, który gdzie indziej uczyniłby był wrazenie, tu jako rzecz powszednią przyjmowano — obojętnie. Gospodarz tylko, straszny zbój, z twarzą płachtami obwiązaną, tak że mu spod nich jedno tylko oko widać było, czarny, osmolony, mrucał, że trupa należało wywlec gdzie indziej, aby mu na szynk biedy nie naprowadził. Przytomni targowali się już, ile miał piwa postawić za tę przyjacielską usługę.

Gdy czeladź wójtowa, którą poznano, czyja była, nadciągnęła, mieszała się trochę goście karczemni, a gospodarz stęknął, że mu jeszcze więcej piwa dać przyjdzie, aby i ci milczeli.

Marcik, jak gdyby do nich należał, trzymał się swych towarzyszków. Ci, którzy go po nocy za sobą jadącego dobrze widzieć nie mogli, dopiero teraz, gdy się rozpatrzyli w rycerskiej postawie i twarzy Suły, postrzegli, że się na nim oszukali. Koso spoglądali nań i kwaśno.

Około karczemki tej musiał Marcik z tą gawiedzią stanąć na nocleg. Przypatrywano mu się, czyby go spoić i obedrzeć nie można albo kłótnię wywołać i napaść nań, ale czeladź wójtowa i śmiała postawa żołnierza odwiodła od tej pokusy.

Do dnia dopiero, gdy Rzeźniczą bramą pastuch bydło wyganiał w pole i wrota otworzono, wjechał Marcik sam, nie postrzeżony, do miasta i dostał się na zamek, gdzie legł spocząć po męczącej podróży. Zasnął tak dobrze, iż się nie przebudził, aż go Jurgaś, wyrostek jego, za rękę szarpiąc, zmusił do wstania, wołając, że się do niego *dowiadrywano*.

Miał Marcik komorę własną na zamku, ale w niej ludzi przyjmować nie było gdzie. Zerwawszy się co prędzej, chciał do studni biec, aby wiadrem wody, wylanym na głowę, orzeźwić się, gdy w progu zobaczył stojącego Muszę. Trzeba się więc było rozmówić, choć miejsca po temu nie umiał znaleźć, i wyszli oba w podwórze, gdzie się podsłuchanymi być nie lękali. Musza wcale inaczej teraz i z pewnym zaufaniem, jak do dobrego znajomego, zbliżył się do Suły.

— Wiecie — rzekł z cicha — iż Albert wójt wczoraj kędyś wyjechał?

Uśmiechnął się Marcik, rad z siebie.

— Wiem — odparł Marcik — a nawet dokąd i domyślam się po co. Śledziłem go trop w trop i nade dniem dopierom powrócił.

Musza, trochę zdziwiony, głową pokiwał.

— Dokądże? — spytał.

— Do Ołomuńca lub do Pragi.

Żyd się uśmiechnął.

— No, więc i to wiedzieć musicie, o czym ja was ostrzec chciałem — dodał — że Herman z Raciborza i Pecold wyjechali także. Jeżeli on do Ołomuńca, oni pewnie do Sandomierza, Wrocławia lub Opola.

Spojrzeni sobie w oczy, Marcik głową potwierdzał. Byli z sobą teraz w zupełnym porozumieniu i zgodzie. Po kilku z cicha wymienionych słowach Musza pożegnał się i odszedł, oświadczając się z gotowością na posługi.

Marcikowi spieszno było teraz do Greta. Na zamku trwożyć tym, o czym się dowiedział, uważał za przedwczesne; chciał wprzód pewnym być swego. Gretę zastał, gdy się jeszcze przystrajała, bo się wybierała do kościoła iść, a gdy z domu za próg wychodziła, musiała się zawsze tak ubrać, aby na nią patrzano. Ludzie też nie tylko ją palcami wskazywali, ale szli za nią i zabiegali jej drogę. Do kościoła i Kurcwurst zwykle jej towarzyszył, ale nie w błazeńskim stroju. Greta rzuciła zasłonkę, którą właśnie upinała, i zawołała na Kurcwursta, aby jej Gamrota przyprowadził. Kto był ten Gamrot, Suła nie wiedział wcale, nie znał go. Wdowa, zbliżywszy mu się do ucha, szepnęła żywo:

— Gamrota nie znacie? Nie wiecie, że brata jego wójt Albert przez zemstę za siostrę wziąć kazał, w więzieniu trzymał i ledwie za usilną prośbą księżnej, zamiast na gardle karać, z miasta wyświecić kazał. Gamrot wam przeciw wójtowi usłuży, ja za niego stoję.

Mówiła gorączkowo i lice jej pałało. Sprawivszy to, odeszła nazad do porzuconego stroju i opinać się zaczęła, bo do kościoła ślubowała się dnia tego i musiała iść.

Gamrot nadszedł wprędce. Człek był młody, przystojny, ale z pierwszego nań wejrzenia domyślał się Marcik w nim warchoła i niespokojnego kłótnika. Niegdyś możni Gamrotowie ci, gdy się im dwór i kram spalił, zubożeli, a że brata wójt wygnał z miasta, jemu swój upadek przypisywali. Radzi byli się pomścić, a prócz tego młody chłopak ujęty był przez Gretę i rozkazów jej słuchał.

Żwawo na wychodnym poznałomiła ich z sobą. Ubogo odziany Gamrot, w fartuchu, bo gdzieś u rzemieślnika był w terminie, inaczej na chleb nie mogąc zarobić, ochotnie się Marcikowi stawił. Gospodyni kazawszy im dzban postawić, poszeptawszy jednemu i drugiemu, na Kurcwursta skinęła i wyszła. Siedli za stół milczący, przypatrując się sobie, aż mieszczanin, widząc Sułę nieskorym do rozmowy, sam zaczął.

— Kazano mi służyć wam — rzekł z uśmiechem. — Może się i przydam na co? Miasto znam, dawniej i mnie więcej ludzi znało...

Westchnął i popił.

— Jeżeli co przeciwko temu zbójowi Albertowi, który nas zgubił, potrzeba począć — uderzył się dłonią po piersi — ja z wami! — I rękę mu wyciągnął. Poczęli się badać i porozumiewać wzajemnie.

Gamrot okazał się pojętnym, byстрыm i ochotnym. Przede wszystkim na prześladowcy rodziny swej zemstę wyrzeć pragnął.

— Możecie mnie posyłać, gdzie zechcecie — rzekł — wśliznę się wszędzie. Tutejszy jestem, oba języki dobrze umiem i uszy mam.

Naradzali się więc, jak podzielić między siebie czuwanie nad ludźmi, gdzie się spotykać mogli, kogo Gamrot powinien być mieć na oku. Rozmowa przeciągnęła się u dzbanka tak długo, że Greta miała czas z pobliskiego powrócić kościoła i znalazła ich za stołem jeszcze. Zobaczywszy ją Gamrot, uradowany, że czynnym będzie, dopił kubka, zaśmiał się i wybiegł na miasto. Zostali sami. Greta pytała go, jak mu się nastęrczony podobał.

— Niczego — odparł Marcik — ale gorący bardzo i łatwo się zadzierać musi. Z człowiekiem jak z garnkiem rozbitym (bo mało który cały), potrzeba wiedzieć, dopóki w niego wody nalać, aby nie wyciekła.

— Zresztą — dodał — dobry chłop, dziękuję wam za niego, zda mi się. Będzie nas kilku na oku ich trzymać, zjedzą licha, żeby się nam wymknęli.

— Wójt pilnujcie najpierw — dodała Greta gorąco — ten jest, który wszystkich burzy.

Z tej poważnej rozmowy Suła, któremu dawna miłość powracała, przeszedł do zalotów i wspomnień dawnych, do przysiąg, jako ją i teraz miłował strasznie, a wdowa się śmiała z niego.

— Miłujcie! — rzekła — miłujcie! Kto wie, jak mnie żaden książę ani wojewoda nie zechce, może doczekawszy siwego włosa gotowam się wam dać wziąć!

Oczy błysły Marcikowi i huknął:

— Jam bo przysiągł, że moją być musicie!! Zmarszczyła się Greta, popatrzyła nań, ramionami potrząsała i śmiała się znowu. Tak kłócąc się, godząc, gdy wdowa cytrę wzięwszy dla rozrywki brzdąkać i podśpiewywać zaczęła, codzienny gość wszedł, Paweł z Brzega. Godzina się zbliżała, gdy i inni ściągając się tu byli nawykli. Drzwi coraz to się otwierały i jeden ze znajomych przybywał, niosąc plotkę z ulicy.

— Wójt pojechał do Miechowa — rzeki Niklusz, któremu się zdawało, iż nowinę przynosił.

Ktoś inny powiadał, że do Wrocławia, trzeci, że do Sądcza, aby się z mieszczanami o handlowe sprawy porozumieć.

Marcikowi, który słuchał, wytrzymać już było trudno dłużej.

— Dalibyście pokój tym gadkom — rzekł. — Nie za lada sprawą wasz pan wójt nocą z miasta ruszył, choć wy o niczym nie wiecie. Pod nosem waszym frymarczy wami, a wyście ślepi i głusi. Dobrego wam pana Pan Bóg dał, który wszystko, co Czarny darował, strzymał. Pokoju pod nim zażywacie, a tego wam mało!

Zdumieli się trochę słuchający tym wybuchem, nie rozumiejąc, co znaczy. Greta próżno znaki mu dawała, aby milczał, piwo szumiało w głowie. Tymczasem pomiędzy gośćmi nie wszyscy pewni byli i jednej myśli. Marcik mało bacząc na to, prawil śmiało.

— Wójt jak wójt — mówił — sam by on nic nie znaczył, ale ma swoich, którzy mu pomagają i zda się im, że naszego pana tak się łatwo pozbyć jak drugiego! Byle się nie zawiedli, a drogo tego nie przypłacili!

Wszyscy milczeli, Suła mówił rozochocony:

— Słyszałem ja raz gadkę jedną, którą by panu Albertowi nie wadziło powtórzyć. Szedł raz człek, niosąc na plecach kupione mięso, aż mu się na drodze nadarzyła grusza, na której był owoc dojrzały. Myśli tedy sobie: wleżę na nią i nabiorę do torby. Położywszy więc mięso na ziemi, nuż się drapać na gruszę. Tymczasem pies przyskoczył i mięso pochwycił. Spiesząc z drzewa łakomiec spadł i kości jeszcze połamał. Aby tak i drugim nie było, którym się gruszek chce, choć mięso mają.

Niektórzy ze słuchających śmieli się, bajce radując. Tuż około Marcika siedział mieszczanin, którego Paternoster zwano. Miał to nazwisko ze szkoły jeszcze, przyłgnęło doń i zostało. Posądzali go niektórzy, iż wójtowym zausznikiem i szpiegiem był, a donosił mu, co kędy posłyszał. Ten ułożywszy minę, począł pytać Marcika:

— Tak źle o panu wójtacie trzymacie?

— Nie kryją tego, że mu nie wierzę — odparł Suła, nie widząc, iż Greta znaki dawała, aby milczał. — A nie tylko ja, ale na zamku wszyscy nie ufają mu i na oku mają.

Paternoster mały i giętki jak wosk, układny bardzo, skrzywił się i skulił.

— Widzi mi się — rzekł — że to nań niechętni potwarzami ciskają. Szanuje on pana i dobrze mu życzy, a że swojego miasta i ludzi swych ochrania i broni, co za dziw? Na to on jest i my go płaciemy.

Marcik zamiast odpowiedzi zaklął głośno. Schmurzył się Paternoster.

— Nie daj Boże — szepnął — na wysokim miejscu siedzieć, z góry i z dołu wszystko pada na człowieka, tak i z nim.

To rzekłszy czapkę spod stołu wyjął Paternoster, skłonił się dokoła i powoli wysunął.

Ledwie się drzwi za nim zamkły, Greta nadąsana wpadła na gadułę.

— Otoś sobie języka puścił! — zawołała. — Nie wiecie, że ten siedzi u wójta za uchem...

— Co mi tam! — odparł Suła.

— Ostrzeże go, aby się na bacności miał.

Marcik mało się zdał dbać o to.

— Niech go ostrzegają, niech robi, co chce — krzyknął — rąk naszych nie ujdzie, ten zdrajca.

Paweł z Brzega markotny był także, iż się to u nich przygodziło. Wójta sobie narazić nikomu zdrowo nie było, mścił się i nękał, a Gretę i tak w posądzeniu miał, iż wrogą mu była.

Na Marcika się nachmurzyli wszyscy, co postrzegłszy czapkę nałożył i na zamek wrócił.

Rozdział piąty.

Od opisanych wypadków kilka tygodni upłynęło, wójt Albert ze swej tajemniczej podróży powrócił był właśnie. W dynguszu rankiem zbierali się ławnicy i pisarz Frycz gotował się do notowania, co mu każą.

Sprawa Gamrota miała przyjść pod sąd. Zaraz po powrocie wójta wiertelnicy, z nakazu pewnie, w browarze u Lichego zuchwałego chłopaka pochwycili *in flagranti*, gdy Niemca jakiegoś w kości ogrywał. Podpiły a zuchwały porwał się do kordą i jednego z pacholków ciał przez łeb haniebnie, drugiego ciężko ranił. Byłby może potem zdołał ujść i z miasta się wymknąć, ale sam dowódca straży Veit był pogotowiu z posiłkiem. Sześciu się nań rzuciło, powalili, związali, zbili i z wielkim triumfem w biały dzień na postronku poprowadzili do ratuszowego więzienia. Wielkie zbiegowisko ludu mu towarzyszyło.

Jadący właśnie ulicą Marcik natknął się na tę kupę, poznał Gamrota swego i złość go porwała niezmierna, bo czuł, że nań czyhać musiano, aby zgubić.

Dostać się pod sąd ławników człowiekowi, którego wójt nienawidził, a rad się był pozbyć, była to pewna śmierć. Za wielką łaską przez wstawienie się królowej lub którego z książąt ledwie się czasem udało gardłową karę zmienić i winowajca, ochłostany, wyświecony był z miasta na zawsze. Jeśli się ważył potem powrócić, choćby w orszaku książęcym lub pańskim, chwymano go i ścinano. Za grę w kości, choćby fałszywe, i za rany, choćby krwawe, zwykle na gardle nie karano, ale po chwyceniu Gamrota rozeszło się zaraz po mieście, iż niewiasta imieniem Hanusa skarżyła go o córkę, którą on gdzieś kiedyś uwieść miał, a młynarze z Gierlachowego młyna świadczyli przeciw niemu, iż był winnym gwałtu.

Z tą złą nowiną o pojmaniu Gamrota przybiegł Marcik do Grety, która ręce załamała.

— Wójt powrócił — rzekła — a to najlepszy dowód, iż mu doniesiono na Gamrota, że wam służył... Teraz wy miejcie się na baczności!

— Ho! ho! — krzyknął Suła — mnie, książęcego sługę, ważyłby się kto tknąć!

— Jeżeliście mu solą w oku — odparła wdowa — znajdzie on sposób i na was.

Greta z gniewu trzęsła się i bledła.

— Nieopatrzny a zuchwały człecze — poczęła. — Słuchaj dobrej rady, nocą się po mieście sam nie włócz, bez broni nie chodź, strzeż się zwady i zgiełku. Nasadzi na cię zbójów, a ma takich, którzy zabiwszy zbiegną przy jego pomocy do Wrocławia lub do Sandomierza. Tam parę miesięcy pochodziwszy wolno, cichaczem wrócą i nikt im słowa nie powie. A uda mu się was, gdzie przydybawszy, wzięć, wsadzi do ciemnicy, do której ludzkie nie dojdzie oko.

Straszyla go Greta, a Marcik obojętnie słuchał i mruczał.

— Mnie? mnie?

— Was i stu takich jak wy — dodała wdowa. — On w mieście panem. W więzieniu na ratuszu trzymać was nie będzie ani przy dynguszu, ani w żadnej bramie, gdzie lada kogo wiertelnicy sadzą. Ma on swoje własne lochy, o których żywa dusza nie wie, a kto się do nich dostanie, światła Bożego nie zobaczy.

Mówiła, a przytomny Paweł głową i ramiony potwierdzał. Sułę niełatwo zatrwożyć było, w końcu wręście poszły mu ciarki po skórze. Tajemne owe więzienie, gdzie zawsze gotowy kat ściąć mógł lub udusić, a w nim pogrześć, przeraziło go.

Mówiono o studniach w domu wójtowym, nie dla wody podobno robionych, kamieniem okładanych, kolcami żelaznymi najeżonych, żelaznymi zamykanych drzwiami, w które ludzi strącać miano. Miasto miało tajemnice swoje. Nie wszystkich sądzić było można i karać publicznie, za niektórymi książęta się wstawiać mogli, więc tych, których się pozbyć chciano, tracono bez wieści i rozgłosu.

— Że na Gamrota czatowano — mówiła Greta — że z umysłu go wzięto, a teraz mu postawią niepocziwą Hanusę, która poświadczy, co każą, aby go o gardło przyprawić, to pewna. Wójta już ostrzeżono!

— Pilnujcież się wy! — powtórzyła wdowa — pilnujcie!

Po ostrzeżeniu tym markotny wrócił Suta na zamek. Około ratusza jadąc, słyszał, jak rozprowadano, iż Gamrota, jeśli nie stracą, to co najmniej ochłoszczą i końmi za miasto wywloką.

Niewiele znaczyły kości i rany, ale za gwałt, o który oskarżała Hanusa, głową trzeba było płacić. Wołali już nasadzeni pod ratuszem świadkowie, iż Gamrot nałogowy *kostera* był, a matek i dziewcząt wiele się nań skarżyło i ludzi kaleczył ustawicznie itp. Przygotowywano umysły do tego, by lada lekką karą wywinąć się nie mógł. Ale gotował się też Marcik księżnę Jadwigę prosić, aby za winowajcą wstawiła się do wójta i życie mu ocaliła. To prawo łaski nie było wprawdzie nigdzie zapisanym, ale miejski sąd i rząd nigdy pośrednictwa takiego i prośby nie śmiał odrzucić. Do księżnej przystęp tak łatwy był jak do Łoktka. Wiele sama wycierpiawszy, dobra ta pani litościwą była. Od czasu narodzenia syna, w nim żyła i w córeczce Elżbiecie, która ślicznie rosła pod jej okiem. Dwoje dzieci całą stanowiło pociechę, bo książę rzadko doma posiedział długo. Z nimi zamknięta w swych izbach życie spokojne pędziła.

Pani już była niemłoda podówczas, wzrostu słusznego, pięknej postawy, wychudzonej twarzy, wczesnie zmarszczkami pokrytej, tęsknego wyrazu oblicza. Lata te, gdy mąż jej, zmuszony z kraju uchodzić, do Rzymu szedł na pokutę, a ona w Radziejowie ukryta, żywiona przez litościwego człowieka, tając się z sobą, żyła jak uboga niewiasta, często zmuszona rąbki własnymi prac rękami, gorzkimi łzy je oblewając, lata te ciężkie wyryły się niezatartymi piętny na jej twarzy. I choć Bóg jej małżonka powrócił, pocieszył potomstwem, posadził na stolicy, kazał się spodziewać korony, pozostała ową smutną wygnanką z oblicza.

Na zoranej pługiem żelaznym ziemi, choć ją zielone trawy i kwiaty okryją, zostają blizny na zawsze.

Dwór pani nie był wielki ani świetny. Niewiasty przed nią nie nawykły były padać na kolana, śmiały się do niej, mówiły do niej poufale. W komnacie krosna, dzieci, kolebki, obrazy pobożne, zabawki chłopaka i dziewczynki całą jej były ozdobą. Kilka razy na dzień przychodził kapelan Stańko odmawiać modlitwy.

Właśnie księżna trzymała na kolanach małego Kaźmierza, a ksiądz czytał coś pobożnego, gdy z pilną sprawą Marcik się oznajmił do pani. Często się do niej udawano o łaski różne, nie było w tym nic dziwnego.

— Miłościwa Pani — odezwał się stanąwszy u drzwi Suła — ważyłem się dopraszać pilno, bo o ludzkie idzie życie. Mieszczanie i wójt człowieka zgubić chcą, który księżęciu naszemu służył, dlatego właśnie, iż mu był wiernym. Obrzucono go pot warzą. Ratować trzeba.

— Osądzony już? — spytała księżna.

— Jeśli dziś nie wydadzą wyroku, najdalej jutro — mówił Marcik — bo z tym pewnie spieszyć będą, by im ofiary z rąk nie wydarto. Niech Miłość Wasza wstawi się za nim.

Kapelan Stańko o sprawę Gamrota spokojnie rozpytywać zaczął. On zwykle bywał od księżnej posłem do mieszczan, gdy ratować było potrzeba; jemu i teraz powierzyła księżna ocalenie Gamrota. Marcik gorąco błagał i mocno nastawał.

Gdy się to na zamku działo, wójt Albert, ledwie powróciwszy, już o wszystkim wiedział, co pod jego niebytność sługi wyszpiewowały i dawał stosowne rozkazy. Z jego polecenia w istocie Gamrot był pochwycony i co rychlej z ukaraniem go miano pospieszyć. Zausznicy Alberta schodzili się doń na radę. Znaleźli się tu znowu przy drzwiach zamkniętych Herman z Raciborza, Suderman, Pecold i Hincza Keczer.

Widać było z pochmurnej twarzy wójta, że nie bardzo rad z podróży swej powracał. Słuchał naprzód doniesień pomocników swych, którzy opowiadali, że w Sandomierzu mieszczanie gotowi byli pójść za krakowskimi i toż czynić, co i oni. Z Sądcza poseł przywiózł bardzo słabą nadzieję, aby na mieszczan rachować można. Słuchać nawet nie chcieli namowy tych, których za nieprzyjaciół i współzawodników mieli. Sądecz z Łoktkiem trzymał jawnie i nikogo innego znać nie chciał. Ze Szląska przywieziono tylko wiadomość, że **Bolesław**, do którego słano, pamiętny sromu, jakiego doznał, gdy Łoktek przed dwudziestu kilką laty pobił go i wziął w niewolę, mścić się był gotów i pragnął odwetu. Ochotę miał wielką, ale i obawę nie miałą. Znając księcia, wiedział, że zapasy z nim nie przyjdą łatwo. Chciał sam z wójtem mówić, a upewnić się, iż go mieszczanie na sztych nie wystawią. Z nim też nic jeszcze nie umówiono pewnego.

Gdy kolej przyszła na wójta, który do Czech jeździł, ofiarując Kraków i inne ziemie, mające się poddać Bolesławowi, jako lenno koronie Waclawów, Albert począł ociągając się:

— Nie udało mi się dokonać, com zamierzał, tak jak zamierzałem. Jechałem, jak wiecie, polegając najwięcej na Ulryku Boskowiczu i jego powinowatych, iż mi u **króla Jana Luksemburczyka** pomogą. Tymczasem trafiłem na to, iż król właśnie wyprawę przeciw Boskowiczom przedsięwziąwszy, zamki ich zdobywał, wicherzycieli do posłuszeństwa zmuszając. Z samym królem Janem, gniewnym, iż mu się poddani buntowali, mówić było trudno. Odgrażał się na małego księcia. Szlązaków też nie chce mieć, powiadając, iż sam przyjdzie odbierać, co mu należy.

Wójt zamilkł chwilę i dodał:

— Mniejsza o Czechów, którzy w domu mają co czynić. Nie przyjdą rychło... Bolesław nam starczy, tego ja skłonić muszę.

Wszyscy tedy potwierdzili, iż nikt z Bolesławem lepiej sobie nie poradzi nad wójta, nakłaniając go, aby nie zwlekał. Jechać mu trzeba było koniecznie.

— Tak — odparł Albert — ale już mnie na oku mają, już się domyślają czegoś, tak że kroku stąpić trudno.

Zadumał się, spuściwszy głowę.

— Bądź co bądź — zakończył — uczynię, co powinienem.

Herman z Raciborza zagaił, aby w sprawie Gamrota wysłuchać Paternostra, który czekał u wschodów. Wprowadzono go zaraz.

Potulny, uśmiechnięty, łyskający oczyma donosiciel usłużny, wdzięcząc się do wszystkich, ledwie wszedłszy, począł tak szybko zdawać sprawę z podsłuchów, iż go zrozumieć nie było można. Albert kazał mu milczeć i na pytania odpowiadać.

Ciągnięto więc badania z niego, a z tych się okazało, iż Gamrot był na posługach zamkowego wysłańca, niebezpiecznego Marcika Suły, ulubieńca księżęcego, który w mieście stosunki miał, chodził, podglądał, spiskował; z Pawłem z Brzegu i synowicą jego się zmawiał, u nich przesiadywał itp. Paternoster wiedział o tym, że Musza Żyd służył Marcikowi, a Izraelici wszyscy przeciw mieszczanom byli.

Wójt Albert wysłuchawszy rzekł zimno, iż dla przykładu innym Gamrota na gardle ukarać było potrzeba. Radzono, aby z tym spieszyć, gdyż domyślano się łatwo, że z zamku za nim się wstawią.

Narada ta, w której zdania były różne, przeciągnęła się dosyć długo, chociaż wszyscy za wójtem szli, a o środek tylko spierali się, jak by go potępić i natychmiast karać można. Sprawa ta była pomniejszej wagi i Paternoster wkrótce nazad iść musiał, a spiskowi sam na sam radzili.

Poddanie miasta było postanowione. Szlązacy mieli pod-stąpić pod Kraków w chwili, gdy książę znajdować się w nim nie będzie, a załoga słaba na zamku zostanie. Księżna sama Wawelu obronić nie mogła, na którym biskup miał się znaleźć z ludźmi swymi i do otwarcia wrót pomagać. Muskatę wcześniej sprowadzić chciano do miasta, a Szlązaka postawić pogotowiu, aby na dany znak przybywał. Wiele jeszcze do czynienia, do przewidzenia i przygotowania zostawało. Niektórzy frasowali się i lękali, jeden wójt w sprawę swą wierzył i był pewien, że ją doprowadzi do skutku. Lekceważenie, jakie mu Łoktek okazywał, drażniło jego miłość własną, żelazna dłoń małego księcia ciążyła mu, chciał jarzmo to zrzucić koniecznie. Wierzył w rozum swój i siłę i przy pomocy Szlązaka spodziewał się pożyć przeciwnika.

Nierychło panowie radni po jednym wysuwać się zaczęli ze dworu wójtowego i rozeszli po domach. Postanowiono, czasu nie tracąc, kończyć rzecz rozpoczętą.

Marcik, chociaż go Greta ostrzegała, więcej siedział w mieście niż na zamku. Ostrożniejszym był tylko, dwóch silnych pacholków prawie zawsze prowadził za sobą i oręza nie odpasywał. Nie zmienił trybu życia wcale, chodząc do Szeluty, przesiadując w ratuszowej piwnicy, to po innych

browarach, a kumając się, z kim nadarzyło. Dopóki wójta Alberta nie było w mieście, szło mu dosyć dobrze, po powrocie jego zmieniło się z nim obejście ludzi. Unikano go i milczano. Siedział przeto, uparcie uszu nadstawiając.

W piwnicy ratuszowej zasłyszal, że Gamrota nierychło sądzić miano, bo mu różne kryminały zadawali ludzie, dla których świadków ściągano, Hanusza córkę sprowadzano z Bochni, młynarzy z różnych młynów powoływać było trzeba, bo się rozeszli.

Gdy noc zapadała, Marcik ludzi miewał przy sobie, bo wójtowi nie wierzył. Mniej teraz mógł do Greta zaglądać, bo Paweł z Brzega ostrzegł go, iż na nich patrzą, i nie chciał mieć tak częstym gościem. Greta się nie lękała o siebie, jednakże Marcikowi zaleciła, aby boczną furta przychodził i ludzkich oczów nie ściągał.

Trzy dni upłynęły, a sprawa Gamrota ucichła jakoś, zdawała się odłożoną. Suła próbował dozorcę i wiertelników przekupić, aby go dopuścili choć się rozmówić z więźniem, żadną jednak ofiarą wymóc tego na nich nie mógł. Obawiali się Alberta.

W chwili gdy Marcik ubezpieczony już się może najmniej złego spodziewał, Żyd Lewko dał mu nagle znać rano, że dnia tego Gamrota sądzić i natychmiast kaźnić miano. Nie tracąc chwili, biegł Marcik na ratusz, kapelana księżnej ciągnąc za sobą, ale wójta rozkazy a posłuszeństwo ławników i urzędu miejskiego sprawiły, że gdy w skok na Rynek przybiegli, znaleźli na nim takie zbiegowisko, tłum, wrzawę, ścisk, iż im się przebić było prawie niepodobna.

Kapelan Stańko, który dla pośpiechu konia dosiadł i herolda pańskiego wziął za sobą z chorągwią, choć kazał nią powiewać, trąbić i wołać, ani go słuchano, ni spojrzeć nań chciano. Łakoma zawsze krwawych widowisk ciżba falą ogromną na Rynek się wylała, którego środek tylko pozostał próżnym. Widzieli z dala, jak z rękami w tył związanymi wyprowadzili pachółkowie biednego Gamrota, za którym tuż szedł kat Gregor, z rękami zakasany i pękiem różg w ręku. Dwóch oprawców smagało już krwawe plecy jego i pędziło winowajcę, który, jak ludzie mówili, skazany był pod różgami obiec trzy razy Rynek dokoła, nimby ostateczna kara na nim dokonana została.

Kapelan Stańko, niosący łaskę księżnej, dobijał się z nią na próżno. Spotykał najdziwniejsze, jakby umyślnie stawione mu, przeszkody. Ludzie głusi zastępowali drogę od zamku, których rozpędzić było niepodobna, wozy, kłody drzewa zagraadzały ją.

Już po raz trzeci ciągnięty na sznurze winowajca, padając co chwilę na kolana, Rynek obiegał, a ciżba okrutna tej krwawej drodze męczeńskiej przyklaskiwała wrzeszcząc, gdy kapelan Stańko dobił się nareście do ratusza, ogromnym głosem wołając, że od księżnej jedzie, i rozkazując się do wójta prowadzić. Ten stał na ratuszu w oknie, patrząc z góry, jak smagano wroga. Na próżno kapelan domagał się, aby wykonanie wyroku wstrzymano. Rozgniewany już duchowny z powagą posła książecego i kapłana krzyknął do wójta, że pani domagała się ułaskawienia.

Albert wysłuchał go obojętnie i niemal lekceważąco.

— Jakąż ja mam łaskę uczynić? — zapytał. — Łajdak ten przecież na śmierć skazany nie jest. Ochłosczą tego zbroja, od którego w mieście spokoju nie mieli ani mieszczanie, ni niewiasty uczciwe, i koźmi go za wrota wywloką, by się tu więcej nie śmiał pokazać.

Kapelan Stańko wiedział dobrze, iż to wywlekanie końmi najczęściej się uduszeniem i śmiercią kończyło; począł więc gwałtownie nalegać i domagać się, by chłosta natychmiast ustała. Nim wójt przystał na to zmuszony, z okna ratuszowego chustą znać dając oprawcom, tymczasem już w drugim końcu Rynku, naprzeciw Panny Marii, oprawcy do gotowych koni, na których siedzieli, przywiązali na sznurze Gamrota, zaledwie się już trzymającego na nogach, krwią oblanego, i poczęli go już jak trupa wlec w oczach rozpaczającego i wołającego o pomstę do Boga kapelana.

Stali na ratuszu panowie radni przy wójcie, równie jak on obojętni. Kapelan Stańko, w którym krew się poruszyła, obrócił się do nich i zawołał:

— Patrzcie i pomnijcie, aby dnia pomsty Bożej was tak nie powywlekano za miasto!

I podniósłszy rękę ku niebu, nie patrząc już na nich, Stańko wyszedł, drżący od gniewu i żalości.

Marcik, który się z nim rozstał u wnijsia do ratusza, nie zsiadając z konia, przebił się przez tłum w chwili właśnie, gdy oprawcy omdlałego Gamrota ciągnęli na Floriańską ulicę. Mieczem dobytym zamierzył się Marcik, krzyknął i zmusił ich, że stanęli, w tejże chwili sznur jednym przecinając zamachem. Wtem i pacholek z ratusza nadbiegł z rozkazem, aby winowajcę, nie wlokąc dalej, z miasta wyświecić.

Związany, zboczony, potłuczony okrutnie Gamrot leżał bez zmysłów. Oprawcy, posiadawszy z koni, mieli go pochwycić, gdy Marcik z mieczem obnażonym stojący, groźbą, że łby poucina, zmusił ich do ustąpienia.

— Księżna pani na zamek go wziąć kazała — wołał — bądźli żyw, to go wyświecicie! Wara mi go dotykać!

Czeladź Marcika znalazła się pod ręką i kilku ciurów zamkowych, ci wnet rozepchnęli oprawców, tłum odegnali i Gamrota, który dawał znaki życia, wzięwszy na opończę, pospiesznie ku zamkowi ponieśli.

Marcik na straży z dobytym mieczem tuż przy nich jechał, nikomu przystępu nie dając. Wołano wprawdzie z okien ratuszowych, aby Gamrota do więzienia miejskiego oddano, ale Suła nie zważał na to, odgrażając się ciągle, że kto go się tknąć waży, przypłaci życiem. Stojącego opodał u drzwi herolda z chorągwią przywoławszy, kazał mu ją nad niesionym rozpostrzeć i bezpieczny pod tą osłoną do zamku z nim jechał.

W zmorzonym głodem i więzieniem, zbitym okrutnie Gamrocie tłała jeszcze życia iskierka. Ludzie tamtych czasów, lepiej zahartowani, więcej wytrzymać mogli, więc póki tchu stało w człowieku, zawsze nadzieja była, iż życie powróci.

Dopadłszy do wrót na Wawelu, Marcik już był bezpiecznym, bo tu stopa miejskiego pacholka stąpić nie śmiała. Ludzie księżęcy w ciągłych zatargach z nimi z życiem by nie puścili wójtowego sługi.

Zaraz przy wrotach, w izbie stróżów, Marcik złożyć kazał pobitego, wodą go cucić i obwiązywać. Nierychło nieszczęśliwy oczy krwawe otworzył i jęk wydał żalсны. Od stóp do głów był zboczony, posieczona w pasy skóra na nim w kawały popadała. Ci, co z ranami na wojnach byli obyci, przelękli się patrząc nań, bo nigdy tak strasznych nie widzieli. Posłano wnet po doktora Raclawa, aby na

ratunek przybywał, a tymczasem kto co umiał i mógł, radził i robił. Mieszczanom nieprzyjaźni, zamkowi ludzie okrucieństwem wójta do szaleństwa byli zburzeni.

W mieście tymczasem tłum nierad był, że mu krwawe widowisko przerwano, nie doczekawszy się spodziewanego końca. Szczęściem dla chciwych straszego dramatu, pod Piłatem stał uwiązany drugi winowajca, mniej występny rzezimieszek, któremu naigrawać się mógł tłum i piaskiem mu sypać w oczy.

Piłat miejski (pręgierz) był to słup z obręczem żelaznym, na kształt kuny przy kościołach wystawiony. Przywiązywano doń winowajców, często przez dzień cały i dłużej zmuszonych w męczarniach i sromie stać na oczach nielitościwego gminu.

Dwóch mniej winnych dnia tego bez smagania wyświecono, wiodąc ich z postronkiem na szyi pod dozorem kata i oprawców za wrota, z groźbą ukarania na gardle, jeśliby do miasta wrócić śmieli. Nierychło po tym widowisku tłumy się z wolna rozplýwać poczęły po sąsiednich browarach. Większa część widzów tak samo na księżnę i na zamkową samowolę wyrzekała, jak w zamku na okrucieństwo mieszczan.

Herman z Raciborza, który dom miał w Rynku i wszystkiemu się wygodnie z okna przyglądał, zżymał się przeciw mieszaniu władzy książęcej do spraw miasta.

— Wylize się ten zbój — mówił do pisarza Frycza — a będzieli żyw, da się nam we znaki, bo zuchwały jest, bystry, a mścić się zechce. Pachołkowie go dobić byli powinni, bo na śmierć zasłużył!

Paweł z Brzega, milczący i chmurny, w czasie wykonania wyroku na ratuszu się znajdował i nierychło do domu wrócił. Zastał tu Gretę, która już o wszystkim wiedziała, a okrutnym pałała gniewem. Żal jej było Gamrota, a Marcika bezcześciła, że na czas z pomocą nie spieszył. Na próżno stryj jej szeptał, że wójt zawczasu ułożył tak wszystko, by od zamku zaprzec drogę i kapelana jadącego z łaską nie dopuścić, Greta przy swym stała, że Marcik powinien był znaleźć sposób ratowania tego, który z jego przyczyny cierpiał.

Kara w ten sposób domierzona na Gamrocie była jakby wyzwaniem zamku. Albertowi niezupełnie się powiodło, lecz pewnym był, iż pobity nie wyżyje. I zginąłby pewnie marnie, gdyby nie kanonik Raclaw, który, wprędce przybywszy, przy sobie go opatrywać kazał, rany zalewając balsamami, które on jeden miał. Krzyczał przewracany z boku na bok, poraniony Gamrot, zaklinając, by mu spokojnie umierać dano, ale go nie słuchano. Obwiązanego potem ludzie zanieśli do izby na zamku, gdzie Marcik wziął go pod opiekę.

Pozostawiwszy tu Jurgę swego, Marcik wybrał się choć nad wieczór do Grety, chcąc się przed nią wytłumaczyć ze wszystkiego i donieść, że Gamrota miał nadzieję przy życiu utrzymać.

Żle go wdowa przyjęła, napadłszy nań z pięściami u drzwi, co zniósłszy Suła, opowiedział jej, jaki spisek był uknuty, aby ich nie dopuścić do ratusza. Uspokoila się słuchając, ale odgrażała przeciw wójtowi i jego pomocnikom okrutnie, a Marcik jej w tym pomagał. Oboje razem, łając i przeklinając, zasiedzieli się do późna i Suła się nie opatrzył, gdy noc czarna się stała. Był sam jeden, miecz tylko mając i obuszek na obronę w powrocie na zamek.

Greta, gdy się odchodzić zabierał, ulęknęła się o niego, chciała mu parobka swego dać, ale Marcik wstydził się okazać obawę, straży przyjąć nie chciał i śmiejąc się wyszedł ze dworu.

W ulicy się znalazłszy, postrzegł dopiero, iż ciemność była tak wielka, że drogę trudno mu było dojrzeć. Oczy się wprzódy po świetle do tego mroku przyzwyczaić musiały. W większej części domostw ogień już był pogaszone, od niektórych tylko pasami padały blaski i z wnętrzków dolatywały głosy. Z dala rozeznac było można ciężki chód wiertelników, którzy swe kwartały obchodzili. Niemaloby razy drogę tę po nocy przebywszy, Marcik śmiało posuwał się dalej, trzymając się tylko pod domami, aby suchsze przejście znaleźć po deskach.

Już był dobry kawał odszedł od dworu Grety i Pawła, gdy mu się zdało, że poza sobą usłyszał szepty jakiegoś i ciche ludzi stąpanie. Z tyłu za sobą nieprzyjaciela mieć nienawykły, stanął, rozpatrując się i czekając, lecz wszystko ucichło. Zdało mu się, że owe szepty kędyś zza okiennicy którego dworka pochodzić musiały, i spokojnie dalej kroczył. Ulica trochę kręta, nierówna, szersza, to węższa, właśnie się w jednym miejscu ciasniejszą stawała, a Marcik ku ścianie się zwrócił dla uniknięcia kałuży, którą postrzegł świecącą we mroku, gdy zdało mu się, iż prawie oddech ludzki przy sobie poczuł tuż blisko. Nim miał się czas odwrócić, nagle ręce mu w tył wyłamano obie, usta zawiązano chustą i już powrozami pętano za nogi. Bezsilny rzucił się, targnął pęta z całej mocy, aby je zerwać, ale ci, co go pochwycili, tak byli zręczni i silni, iż, na ręce go porwawszy, opończą wielką obwinęli całego, o mało nie udusiwszy, i nieść poczęli szybkim krokiem. Oczy miał zasłonięte, usta zawiązane, ręce skrępowane postronkami, był więc w mocy napastników i bronić się im nie miał sposobu.

Przyszły mu na myśl i obawy Grety, i powieści owe o lochach, o studni, tajemnych morderstwach wójta Alberta; nie spodziewał się więc już dobrać z rąk oprawców, czując się zemsty ofiarą. Westchnął tylko do Boga o duszę swą, pomyślał o ojcu i o matce, obraz Grety przesunął mu się przed oczyma, czekał końca.

Niesiono go spiesźnie, ale już zmiarkować nie mógł ad w którą stronę, ani jak daleko. Okryty i związany, powietrza nawet koło siebie nie czując, leżał na pół bezprzytomny. Ludzie niosący miotali się, rzucali, biegli, stawali, nagle ścisnęli się, głowa jego uderzyła o coś twardego, i rzucono go o ziemię. Słyszał szepty gorączkowe, spieszne, niespokojne, potem nastąpiło milczenie, drzwi zatrzaśnięto...

Gdzie się znajdował, niepodobna mu było odgadnąć, pod sobą czuł tok ubity, więc musiał być w budynku jakimś. Godzina śmierci zdawała się odroczoną.

Rozdział szósty.

Na zamku oczekiwano do późna powrotu Suły. Trafiło się nieraz, iż wrócić z miasta nie mógł lub nie chciał, nie było więc nic nadzwyczajnego, iż do rana się nie zjawił.

Jurga, ulubione jego pacholę, nie kładnąc się spać, ciągle prawie do wrót chodził, to w progu izby stał, wyczekując na pana. Nad rankiem dopiero położył się zdrzemnąć, spodziewając się na pewno powrotu o dniu, ale południe nadeszło i minęło, a Marcika nie było. Niespokojny Jurga, wiedząc, gdzie go najczęściej szukać było potrzeba i znaleźć można, pobiegł naprzód do Grety. Gdy go wdowa zobaczyła, wprzód nim usta otworzył, krzyknęła przestraszona.

— Pan mój od wczora na zamek nie wrócił! — wyjąknął Jurga.

Greta patrzyła, nie mogąc wymówić słowa. Pewną już była prawie, iż czatowano nań na drodze i ubito. Kurc wursta posłała po Pawła. Stryj nadbiegł zaraz, zbladły z trwogi. Nie widział ratunku, Marcik zgubiony być musiał. Jawna rzecz, że to była sprawa Alberta. Co się działo w tym sercu Greta, którego tajemnic nikt nie znał, Paweł patrząc na nią, zrozumieć nie mógł. Widywał ją w sporach i sprzeczkach z Marcikiem, lekceważącą jego zaloty, wyśmiewającą się z niego. W tej chwili posądzał nawet, iż miłować go musiała. Twarz jej bladła, czerwieniała, mieniała się. — Strach z niej zniknął, energia wystąpiła. Krzyknęła na starą służkę, aby jej szubkę podała i zasłonę, zabierała się wychodzić z domu.

— Dokądże ty, dokąd? — ledwie dosłyszczanym głosem spytał Paweł.

— Nie pytaj! — zbyła go krótko.

Kurc wurstowi, który się z nią wybierał, kazawszy pozostać, wybiegła w ulicę, z zaciśniętymi ustami, z gorejącymi oczyma, wprost do dworu wójtowego. Nie zawsze go tu było można zastać, przesiadywał to na ratuszu, to po folwarkach miejskich, to młyny oglądał, to się zamykał gdzie dla narad tajemnych. Lecz Greta miała przy sobie kaletę, nie żałowała grosza, siadła na ławie, rozesała ludzi i w pół godziny chłopak ją wprowadził na górę do wójta.

Szła śmiało, spojrzawszy tylko naprzód, czy samego zastała. Przystąpiła doń z dumą i odwagą.

— Wiecie, po co przychodzę — odezwała się.

Wójt pogardliwie zzymnął ramionami.

— Tak, wiecie. Znam was i wyście mnie znać powinni. Człowiek ten, za którym przychodzę, od lat wielu zalecał się do mnie, nie chciałam go, ale życie mi jego potrzebne. Mówcie, żyje on?

— Kto? — odparł wójt szydersko — bo jużci chyba o Gamrocie mowa. Wiedziałem ja, że dużo miłośników mieliście, ale o tym nie. Gamrota na zamku szukać, tam o nim wiedzą.

— Nie za Gamrotem przychodzę — odpowiedziała Greta.

Wójt się uśmiechał.

— U mnie na ratuszu siedzi tylko dwóch złodziejów i dziewczka, co swe dziecko udusiła — rzekł szydersko.

Gniewne oczy, zaiskrzone, podniosła na niego wdowa.

— Wójcie — zakrzyczała — wiem, że moc macie, ale i słabych drażnić nie trzeba. I muchy kęsa! —

— Ja się ani wilków, ni much nie boję — rzekł Albert marszcząc czoło i z wolna poczynając się po izbie przechadzać. — Czego ode mnie chcecie? Po coście tu przyszli? Miłośników i druhów dosyc macie, jam dla was za stary, kogóż mam wam dać?

Greta w boki się wzięła.

— Marcik Suła z zamku wczoraj był u mnie — rzekła. — Wyszedł późno, sam, w ulicy zginął, na zamku go nie ma. Jest to ulubiony księcia sługa...

— A ja mam wiedzieć, gdzie się zapił i leży? — zawołał wójt gniewnie. — Co mnie taka szuja obchodzi? Mnie?? Spytajcie Veita i wiertników.

Greta piorunującymi oczyma go mierzyła, trzęsąc się z gniewu.

— Wójtce Albercie — rzekła dobitnie — wy najlepiej wiecie, gdzie ten człowiek się podział. Stało się z nim co, na was to spadnie!

— Ja mam za pijanicę i zbójów a włóczęgów, co się po mieście moim tułają, odpowiadać? — obruszył się wójt. — Choćby sto razy sługą księżęcym był, co mnie do niego? Niech na miasto po nocach, po szynkach się nie włóczy! — To mówiąc wójt poszedł do stołu, odwrócił się od wdowy i chciał jej okazać, że dłużej z nią rozmawiać nie myśli. Greta śmiała była i uparta.

— Ja was za nim proszę! — dodała głosem nie pokornym, ale nakazującym. — Ja proszę was, wójtce Albercie. Wy wiecie, co się z nim stało. Zabito go?

— Nie wiem!! — grzmiącym głosem zawołał wójt. — Jam wójtem nie głupich spraw takich! Znaliście tego ciurę. Chodził po mieście, aby nasze tajemnice podsłuchiwać, a na zamek je wynosić! Jeśli go gdzie porąbała hałastra, co to do mnie należy? Ma, na co zarobił.

Coraz gniewniej poruszało się łono, dyszała pierś podrażnionej niewiasty, obojętność wójta gniew jej wzmagala.

— Tak! — wołała — was to nic nie obchodzi! Wy nie wiecie nic! A widzieliście, kto był i co robił. Nie na rękę wam był, nie! Na zamku nikogo nie posadzą, tylko was. Macie tam już wrogów, przyczynicie ich sobie więcej. Czy z tym wam kiedyś dobrze będzie? — Rozśmiała się. — Ja nie wiem!

Albert urągając się, odwrócił do niej.

— O mnie głowę miejcie spokojną! — rzekł. — Byle miły wam żołnierz się znalazł, a ja go wam nie dam ni żywym, ni trupem, bo go nie mam! — I drzwi jej wskazał.

Greta pożegnała go wejrzeniem tylko, drzwiami za sobą cisnąwszy wyszła. — Albert długo patrzył za nią, zadumał się i spieszonym krokiem wybiegł do izby, w której czekali zawsze pachółkowie.

Na zamku o Marcika niepokój był wielki. Wiedzieli wszyscy, iż miał sobie zwierzone nad miastem czuwanie. Gdy się okazało, że zniknął, natychmiast rozesłano ludzi z rozkazem, aby wszystkie gospody, kąty, szynki, browary, łaźnie i domy, w których się ludzie zbierali, przetrzęśli. Jurga na swą rękę, zapłakany i podpiły biedak, przybrawszy czeladzi dwoje, włóczył się i krzątał. W mieście już się była wieść rozeszła głucha, że księżęcego sługę porwano czy ubito za to, iż swojego pana sprawy pilnował.

Na ratuszu panowie radni, ławnicy, Veit chodzili niespokojnie, bo do nich wpadali ciągle z zamku nasyłani, groźnie się upominając o to, że człowiek księżęcy, dowódca części załogi przepadł na mieście. Veit ramionami poruszał, nie wiedział o niczym. Wiertelnicy, którzy tej nocy byli w ulicy

Rzeźniczej, wyprzysięgali się, że tam nikogo nie spotkali i nie widzieli. Kasztelan do wójta poszedł z tym, iż miasto odpowiadać będzie, jeśli się co złego stało księżęcemu słudze. Wójt kazał odpowiedzieć dumnie i zuchwale:

— Za pijaniców i kosterów, co się po szynkach włóczą, miasto odpowiadać nie może.

Gdy się to działo, młody ziemianin z Sieradzkiego, ze wsi Brzega nad Pilicą, imieniem Zbrożek, z rodu Jastrzębców, którego pan ojciec przysłał był do Krakowa za kupnem sukna i bławatów, słysząc, jak u Szeluty rozpowiadano o Marciku, bacznie bardzo przysłuchiwać się począł. Zbrożek z Brzega chłopak był ledwie pod wąsem, krew prawa, stara, ziemiańska, gorąca. Wyrosły jak dębczak, w ramionach krzepki jak żubr, zdrów, z okiem strzelistym, wesół, rad życiu, ciekaw był wszystkiego. Przysłany po raz pierwszy do Krakowa dla wyprawy siostrzynej i przyborów do wesela, że nigdy na takich godach miejskich nie bywał, jakie tu znalazł, nie mógł wytrzymać, aby wszędzie nie zajrzał i każdej rzeczy, dla siebie nowej, nie spróbował. Więc i po gospodach, i gdzie gęźby słyhać było a wesele, cisnął się rad. O znajomości w Krakowie nie było trudno. Jeden go mieszczanin zaprosił na ucztę, drugi na zrękowiny córki. Tam niewiast napatrzył pięknych, a zalotnych jak Greta, ówdzie ludzi dobrej myśli. Czas mu wesoło schodził w mieście i nad Pilicę niespieszno było. Gdyby ojciec pytał, miał gotowe tłumaczenie, że koń zakulał. Był człek, choć po młodemu rad się zabawiać, razem też wielkiego serca.

Gdy u Szeluty Jurga i czeladź zamkowa rozpowiadać zaczęła, iż pan ich zginął z ulicy Rzeźniczej, wyszedłszy od wdowy, Zbrożek pilno ucha nastawił.

— Z ulicy Rzeźniczej szedł? — spytał.

— Tak, od Arnoldowej wdowy — odpowiedziano.

— Kto was tam wie, jaka wdowa — począł Zbrożek — ale dosyć, że z Rzeźniczej ulicy. — Ja wam może coś powiem, bom ja wczoraj późno na koniu stał u rogu tej ulicy, gdzie mnie jedna wasza jejmość obiecała wpuścić, a potem z okna wydrwiwała, iż jej zawierzyłem. — Stałem zły jak diabeł. Aż oto patrzę, historia się dzieje. Wychodzi z bramy, a mógłbym pokazać z której, człek słuszny i, jak mi się zdało po nocy, rycerskiej postawy, kroczy sobie powoli. Patrzę nań, choć we mroku był. Tuż za nim suną ludzie ostrożnie, jakby się nań zasadzili. Nastawiłem ucha, co to będzie. Idzie on, to przystanie, to powoli dalej się posuwa, zbóje za nim na palcach, on ich ani słyszy, ani widzi. Myślałem, żarty stroją. Przyskoczyli doń tuż i nagle, krzyknąć nawet nie miał czasu, jak go chwycą, zakneblowali czy co, obrzucili płaszczem, związali, porwali na ręce, niosą. Dopierom zmiarkował, że to nie psota ani żadna igraszka. Począłem biec za nimi w trop. Ci ze strachu jak zaczną kręcić po zaułkach, po opłotkach, a niosą, nie rzucając tego człeka, a niosą. Poszli takimi wertepami, że mnie z koniem za nimi wywinąć się było nie sposób. Tylkom widział, jak za Okolem do pustego jakiegoś budynku dopadli i tu mi znikli.

— I nie koniec — dodał Zbrożek — bo dopatrzywszy, że ja nadażam za nimi na uparte, wybiegli z tej szopy i rozproszyli się w różne strony. A co się z tym niesionym stało, nie wiem. Ciekawość mnie brała, więc się długo do tego budynku dobijałem, ale jakby pusty był. Nie odezwał się nikt i zdaje się, że w nim chyba ludzi nie ma, bom tam trwał prawie do dnia, myśląc, że łotry powrócą. Ano i dzień się zrobił, nikogo nie doczekałem.

Wszyscy pilno Zbrożka słuchali, aż gdy skończył, przyskoczył Jurga, na miłość Boską zaklinając, aby im ten budynek, o którym mówił, ukazał. Zbrożek niepewny był, czy go pozna, czy trafi na drogę, którą jechał, ale widząc dużo ludzi rozgorączkowanych, proszących, zrywających się, na

konia siadł i sam nabrawszy ochoty, ruszył szukać miejsca, w którym był nocą. Wypadli tedy, ich kilku, a ciekawej gawiedzi kilkunastu, szukać, prawdę rzec, wiatru w polu. Budynków podobnych do tego, o którym mówił Zbrożek, była niezmierna moc. Przypomniał sobie tylko, iż przy tamtym wierzba stała pooblamywana, stara. Błądzili, błądzili poza Okolem, aż Zbrożek krzyknął:

— A, ot tu, ot jest! Jak Bóg miły! Poznaję! Wierzba stoi!

Jurga z innymi do drzwi się rzucili.

Szopka była na błoni do miasta należąca, w której wiertelnicy siano dla koni chowali i różny sprzęt swój, dobrze zbudowana z drzewa i na kłodę zamknięta. Nie było sposobu otworzyć, musieli wrota łamać, choć mogli z tym biedy napytać. Ludzi dosyć było, wzięli się razem do kłody nie pytając i odbili. W środku ciemno było. Jurga pierwszy wskoczył we wnątrz, szukając, patrząc i wnet krzyknął, bo pod nogami ujrzał jakby jakieś zwierzę ogromne, które się słabo poruszało. Dopiero ochłonawszy ze strachu, dojrzał, że coś żywego było opończą obmotanego. Lękali się rozwijać, bo lichy wiedziało, co tam siedzieć mogło, aż jeden noża dobywszy sukno przeciął i w środku zobaczyli związanego człowieka. Jurga po odzieży poznawszy swego pana, padł na kolana przy nim.

On ci to był. Leżał już tylko żyw, z gębą zakneblowaną, siny, z żyłami naprężonymi na czole, nie mogąc się ruszyć, bo ręce i nogi miał powrozami pokrępowane. Wszyscy jak jeden ze zgrozą i radością krzyczeć zaczęli, a Zbrożek, który więcej od nich miał przytomności, wziął się co żywiej do Marcika, sznury rozcinając, gębę rozwiązując i po wodę śląc, *aby go odlać*.

Suła mówić już nie mógł, długa męczarnia nocna że go nie dobiła, winien był silnej naturze swojej. Złamany był jednak i tak osłabły, że choć go rozplatano, zwolniono, o swej mocy dźwignąć się nie mógł. Zbrożek był mu pomocą wielką, bo reszta gawiedzi zaraz się z wielką nowiną o tym odkryciu rozproszyła po mieście.

Co prędzej potrzeba było biednego ratować, położyć, napoić, nakarmić; więc Zbrożek konia swojego podprowadził, we dwu z Jurgą wsadzili go nań. Chłopak sukno, w które znaleźli go obwiniętym, zabrał jako *lice* i podtrzymując osłabłego pod ręce, udali się do pierwszej gospody, jaka w pobliżu się znalazła. Gospodynią w niej była wdowa Kanczorka, do której różni się ludzie schodzili, bo piękne dwie córki miała, które razem z nią gościom posługiwały. Nie w najlepszej dom ten był sławie, bo Kaśka i Magda, jak śliczne były, tak śmiałe i wyszczekane, a choć różnie o nich i o matce mówiono, którą wdową mianowano, lubo najstarsi ludzie nigdy o mężu jej nie słyszeli, chodziło tu mnóstwo i księży, i klechów, mieszczan i wszelkiego zawołania ludzi. Szynkowała miód i piwo, a znalazło się i co zjeść u niej. Wieczorami gędźba bywała, śpiewy, tany, nierzadko i guzy, bo około płochych dziewczyn ludzie się rozbijali. Kanczorkę tę już kilka razy na ratusz ciągnano, że się tam u niej różne rzeczy działy, ale wielu znacznych ludzi, a nawet z kapituły niektórzy, bronili jej ręcąc, że poczciwą była, i gospoda stała otworem. Wesołej gospodyni i jej córkom gość taki potłuczony niekoniecznie był miłym, lecz za to Zbrożek, chłopak młody, żwawy, dobrze nabitą potrzęsający kaletą, umiał je sobie pozyskać, a Jurga opowiadał o panu, że na zamku miał znaczne dowództwo. Musieli więc ich przyjąć. Kaśka pobiegła zaraz polewkę zagrzać dla osłabłego. Położono go na łóżku starej Kanczorki, która w początku za wielką to obrazę sobie poczytywała, żeby na nim miał mężczyzna legnąć, ale zobaczywszy grosz zmiękkła.

Ciekawy to był dom, stojący niby w nowej uliczce, z dala od drogi w sadzie ukryty, budowania staroświeckiego. Dołem miał mur gruby, dosyć wysoko podniesiony, w którym baby miały schowania różne, a na nim dopiero z belek budowa w słupach, z dachem wysokim stała, z oknami gęstymi i drewnianym kogutem na dachu. Wiechy przy nim nie było, tylko w ogrodzie na drągu koło

złamane. W środku z sieni izba była długa, duża, jak zwykle po szynkach, w niej ogień i kuchnia, ławy i stoły. Z tej wychód do drugiej, mniejszej prowadził, przeznaczony dla lepszych gości, a dalej komory jedna i druga, kędy baby sypiały, osobno matka, osobno córki. Po Kanczorze i po nich widać było dostatku dosyć, bo i stara ubrana była czysto, a w uszu miała kolce złote, i córki chodziły postrojone, w pasach, w spódnicach z sukna cienkiego bramowanych, w cienkich gźlach szytych, koralach i paciorkach, które im piersi okrywały, w wieńcach z trzęsidłami złożonymi i kosach przeplatanych wstęgami. A pierścieni na palcach miały mnóstwo. Starsza i młodsza głosy miały krzykliwe, śmiały się nieustannie, a oczyma rzucały zuchwale, jak by się nikogo w świecie nie bały.

Gospoda, gdy do niej weszli, nie była pustą; za stołem siedział wikariusz z jakiegoś kościoła w czapce wysokiej, człek lat średnich, ostro patrzący, z krzywą gębą; dwu kupczyków z miasta, młodzież rozochocona, podżyły rzeźnik, który miał pono w opiece jejmość, jako powinowaty, i kilku żołnierzy z zamkowej załogi.

Gdy wprowadzono Marcika, a rozniosło się zaraz, skąd i co za jeden był, poczęli się wszyscy do izby cisnąć, w której go ma łóżku umieścić Zbrożek, dopytując. Jurga ledwie się mógł pozbyć natrętów. Z miasta, dokąd ludzie zanieśli o nim wiadomość, przybywali też ciekawi. W gospodzie zrobiło się ciasno i wrzawliwo, bo dziewczęta śmiały się i krzyczały tym głośniej, im więcej ludzi ich słuchało.

Zbrożek, który opowiedział Sule, w jaki sposób go ocalił, nawzajem dopytać się od niego chciał, jakim sposobem mogły go pochwyć łotrzyki owe. Trudno było co dobyć z niego.

— Mnie — odpowiadał Marcik — we łbie się wszystko pomieszało, ledwie się mogę opamiętać, jak to było. Znienacka rzucili się i naprzód gębę mi zatkali, zem tchnąć nie mógł, dalej i oczy zakryli, ręce i nogi skrępowali. Czulem tylko, że niosą mnie i rzucają. Pewna to, że gdyby nie wy, coście ich gnać zaczęli i nastraszyli, już by mnie żywego na świecie nie było. — Do ucha zaś pochyliwszy się, zeznał Zbrożkowi, iż nie kto inny, tylko wójt i Niemcy mieszczanie w ten sposób się go pozbyć chcieli.

— Żeby was, miły bracie — dodał — Bóg nie przyniósł na mój ratunek, skończyłbym żywot mizernie. A nie żal by mi go było, bom w nim wiele szczęścia nie zaznał, ale panu miłociwemu rad bym służył, bom jemu trochę potrzebny. Wam, zbawco mój, dopókim żyw, a tchu we mnie stanie, nie zapomnę, żeście mi życie wrócili.

Dopiero polewki się napiwszy ciepłej, którą mu Kaśka przyniósłszy, stanęła z nimi bajdurzyć i zęby do Zbrożka wyszczerzać, gdy śmiech niewieści posłyszał i wesoło się zrobiło w komorze, Marcik począł do siebie przychodzić.

— Wiecie co — odezwał się na łokciu opierając, na wpół do Zbrożka, na pół do dziewczyny — takim się czuję słabym, że chyba bym starego miodu się napił!

— A ja, choć nie słaby, do miodu też stanę — rozśmiał się Zbrożek.

— Jak mnie *mecha* we środku lepiej zagrzeje, a po kościach pójdzie, może wstać będę mógł — dodał Suła.

Spojrzeli oba na Kaśkę, która śmiejąc się paciorki sobie poprawiała. Skłoniła główkę na znak zgody i pobiegła po miód. A na progu stanąwszy, odwróciła się do nich wołając:

— Dam takiego, że trupa by wskrzesił! Po nim Gołasz, co ma lat więcej siedemdziesięciu, śpiewa i gotów w umizgi iść!

— Takiego dawaj! — krzyknął Marcik.

Dobra myśl wracała. Tuż ze Zbrożkiem pobratymstwo sobie przysięgli na wiek wieków, a Suła dodał:

— Zemręli bez potomstwa, Wieruszyce ci moje oddam!

Śmieli się i ściskali, a całowali.

Na znak drużby zaraz hełmy z sobą pomieniali; Suła, byle na zamek, chciał zaraz przyjacielowi jedyny łańcuch, jaki miał, *na niezabudź* darować.

Przyniosła Kaśka mechę, która w istocie dobra była i tęga tak, że zaraz we łbach zaszumiało. Marcik poczuł łamanie w kościach, co było podług niego dobrym znakiem, iż mu czucie powracało, bo wprzód jak drewno był. Zbrożek mniej pił, bo, jak powiadał, słabą miał głowę. Krzepili się tak jeszcze, gdy już z zamku towarzysze Suły nadbiegać zaczęli z radością wielką, bo go kochali wszyscy, przynosząc mu tę wieść, że księżna z ocalenia jego bardzo rada była i przykazywała na zamek przenieść, aby w mieście złym ludziom znowu nie popadł w ręce. Wszyscy w zamku mówili o tym głośno, że nie kto inny, tylko wójtowi słudzy sprawcami być musieli. Szeptano o tym u Szeluty, dodając, że księżę pewnie na mieszczanach mścić się będzie. Rajcy miejscy i starszyzna klęła się, że o niczym nie wiedziała.

Wysłani z zamku prawie gwałtem wzięli od Kanczorki Sułę, a że mimo miodu o swej sile iść nie mógł jeszcze, bo nogi odrętwiałe włókł za sobą, wynieśli go na rękach, a potem po wojskowemu płaszcz między dwoma końmi rozwiesiwszy, na nim go złożyli, i podtrzymując na Wawel prowadzili. Zbrożek też dał się namówić i szedł za nim.

Na Wawelu dopiero dowiedział się Marcik, że wczorajszego wieczora *cursor* przybiegł od granic, a księżę, wiadomość jakąś odebrawszy, rano musiał z ludźmi wyciągnąć, nie wiadomo dokąd. O Marciku się dowiadywał, chcąc go może zabrać z sobą. Jego też żał brał, że znowu na zamku zostać musi tak jak beczynnym, ale obiecywał sobie, byle siły wróciły, za księciem pospieszyć.

Na zamku jakby z drugiego świata powracającego witano Sułę, ciesząc się, że żyw był, a dopytując o dziwną przygodę. Nie wszyscy wierzyć chcieli, aby mieszczanie się ważyli porwać na zamkowego sługę, a wielu szeptano, że zazdrosny jakiś Greta miłośnik chciał współzawodnika uprzątnąć.

Przyjmował Marcik przyjaciela, z którym zasiedzieli się aż do przybycia kanonika Raclawa, na wezwanie księżnej przybyłego. Ten, opatrzywszy Sułę, obmacawszy go, smarowanie dał jakieś i rzekł śmiejąc się, że tacy jak Marcik od tak małej rzeczy nie giną. Miał stary lekarz to przekonanie, jak powiadał, iż im kto więcej w życiu cierpiał, tym więcej przecierpieć może. Wieczorem już Marcik jeść zażądał, a nazajutrz do łaźni się gotował, która na wszystkie choroby u niego najskuteczniejszą była.

Greta nierychło dowiedziała się o ocaleniu Marcika, dopiero gdy do niej Jurgę posłał z pozdrowieniem i obietnicą, iż rychło przyjdzie sam opowiedzieć, co się z nim działo owej nocy.

Do niewiast bardzo skory, ofiarował się w poselstwie za przyjaciela do wdowy iść Zbrożek, ale Suła sobie tego nie życzył.

— Dalibyście babie tej pokój i nie zaczepiali licha — rzekł. — Urokliwa jest, a nielitościwa. Ja jej służę już lat wiele, a tyłkom się drwin i szyderstwa dosłużył.

Zbrożka to nie tylko nie odstręczyło, ale ciekawość obudzić musiało, bo się uparł w poselstwie iść i poszedł.

Gdy się Zbrożek stawił u Greta, zastał u niej stryja Pawła i kilku zwykłych gości. Wiedziano o nim tu, iż mu Suła życie był winien, bo gdyby go w czas nie rozwiązano, alboby się udusił, lub nocą zbóje by go dobili. A że różne plotki o całej przygodzie chodziły, obsiedli wszyscy kołem gościa, aby im powiadał, na co patrzył. Prostymi słowy począł im opisywać, jako w ulicy stał i jak ludzie wyglądali, którzy porwali tak zręcznie Marcika. Z powieści jego wiertelników łatwo się było domyślać. Ci bez rozkazu gwałtu takiego popełnić nie mogli, bo choć się trafiało, że czasem, na bezbronnych i samotnych napadali, czynili to dla łupu, a na Marciku wielkiego się spodziewać nie mogli. Wiedzieli zaś, na kogo się rzucili, bo nań u dworu Greta czatowali. Szopa, w której Sułę znaleziono, także przeciw nim świadczyła, bo do niej, prócz nich, nikt przystępu nie miał. Sukno zaś, w które obmotany był Marcik, zabrane jako lice, tego samego było gatunku i barwy, jakie *cirkulatorom* dawano.

Słuchający głowami potrząsali, nie śmiejąc rzec słowa, bo wójta wszystko obwiniało, a nikt nie chciał się z nim *zadzierać*. Strwożeni byli. Greta nawet, dobrze nie znając młodego chłopca, strzymała się z tym, co myślała. Zabawiwszy trochę, Zbrożek do gospody swej w Grodzkiej ulicy pociągnął, nie czekając nocy.

Mieszczanie, dopiero pozostawszy sami, otwarciej się mogli rozmówić. Wszyscy oni, Paweł, Niklasz i Keczer zafrasowani byli. Zuchwalstwo wójta dowodziło, że już pewnym siebie był.

— Książę z wojskiem wyciągnąć musiał — odezwał się Niklasz. — Na zamku małą pono załogę zostawił, nieobecność Łoktka może się przeciągnąć, bo z Krzyżakami ma do czynienia wiele. Tymczasem wójt pogotowiu. Szlżacy pewnie na czatach i w mieście nowego pana mieć będziemy!!

Wzdychali frasobliwie. Greta ręce łamała gniewna. Wszyscy lękali się, aby miasto nie ucierpiało, a najwięcej ci, których wójt nie lubił i znał za swych nieprzyjaciół.

Że się coś gotowało, wszyscy to czuli. Zausznicy Alberta podszeptowali już, że się polskie panowanie rychło skończyć musi i lepszego księcia dostaną. O Opolczyku rozpowiadali niektórzy, że był serca wielkiego, obyczajów niemieckich, pan rozumny i możny, a za sobą Brandenburczyków miał, króla czeskiego i cesarza. Rozumiano, co takie pogłoski znaczą i do czego przygotowują. Inni prześmiewali małego księcia, jego wzrost, ubóstwo, osamotnienie, przepowiadając, iż znów pójdzie na wygnanie, z którego już nie wróci.

Wszystko to smutną było przepowiednią dla Pawła i przyjaciół jego. Otyły rzeźnik wzdychał, pot ocierając z czoła.

— Na to my poradzić nie potrafimy ani temu zapobiec. Musimy siedzieć cicho, słuchać i patrzeć. Czyja siła, tego wola.

Stękali, iż się bez nowych ofiar panowanie nie obejdzie nowe. Rezygnacji ich jedna Greta rozumieć nie chciała.

— A, wy, wy! — zawołała, lamentu słuchając. — Wszyscyście, nie wyjmując Pawła, ciemięgi, do niczego! Wójtowi się za nos prowadzić dajecie, choć widzicie, że was na zgubę wiecie. Co by ten Albert znaczył, gdybyście wy serce mieli?

— A co pomoże serce — odparł Keczer — kiedy nas kupka, a z panem wójtem gromada trzyma i z nim idzie?

— Z kupki by gromada urosła, gdybyście niedołęgami nie byli! — odezwała się Greta.

Paweł nakazał jej milczenie.

— Daj ty pokój z językiem swym — rzekł. — Ja już różne pamiętam czasy i wiem jedno: nie wdawać się nam chudeuszom w nie swoje. Kto mięso sprzedaje, niech o wołach myśli, kto sukno — o postawie, kto żelazo — o kruszcu. I koniec!

— Co Bóg da, to da! — zamruczeli rozchodząc się drudzy.

Rozdział siódmy.

Upłynął miesiąc, miało się ku jesieni. W mieście mało się co zmieniło. Marcik wyzdrowiawszy rychło, pożegnawszy Zbrozka, który nad Pilicę powracać musiał, nie pojechał do Łoktka, choć go do obozu serce ciągnęło, musiał zostać, aby pilnować zamku, bo jawnie się zamach jakiś gotował. Musza, Lewek i inni zastraszające przynosili wieści. Na Wawelu załoga była mała, a książe nie miał jej czym zasilić, bo sam ludzi potrzebował.

Wójt Albert, który z drugiej jakiejś podróży wrócił, nie chodził jak dawniej chmurny i nasępiony, ale z głową do góry, nieustannie się po mieście krzątając. Veita zostawiono przy dowództwie straży, ale ludzi mu zmieniono, dając różnych Niemców, nie wiedzieć skąd ściągających się, i Szlązaków. U wszystkich wrót, gdzie straże dzień i noc czuwały, ludzi postawiono nowych, dawnych się pozbywając. Zaciężnych Szlązaków w służbie miejskiej było pełno. Cechom kazano opatrywać rynsztunek i gdzie który do jakiej bramy i połąci muru był przeznaczony ku obronie, aby zawsze w gotowości był dniem i nocą. Zbroi, co było miejskiej popsutej, do płatnerzów dano, pośpiesznie ją przykazując naprawiać.

Z tym wszystkim nie ukrywano się, działało się to jawnie. Kasztelan wiedząc o tym, pytał, co by znaczyło, a wójt odpowiadał śmiało, że miasto zawsze na wszelki wypadek do obrony od nieprzyjaciela musiało być pogotowiu. Nie było to zresztą złym, bo na zamku szczupłą miał kasztelan załogę, a zdrady jawnej nie chciał dopuszczać, choć ją drudzy przepowiadali.

Marcik przestrzegął. Mówiono mu:

— Śni ci się!

Wymógł tyle na kasztelanie, iż choć nic na pozór nie groziło, pozwolono mu na zamku straż trzymać pilną, wrota wcześniej zamykać, ludzi z miasta nie wpuszczać bez opowiedzenia, w nocy na wałach warty zaciągać.

Sam Suła, wzorem pana swojego, który gdziekolwiek był, strażę osobiście opatrywał nocami, chodził po wałach, ludzi obwoływał i za najmniejsze niedbalstwo karat surowo.

Na miasto jeżeli szedł teraz, co mu się nadziei trafiało, to tylko we dnie i wracając zawczasu; ludzi zaś z załogi nie puszczał prawie i przed wieczorem wszyscy na miejscach musieli być.

Na coś się w mieście zanosilo. Suła wiedział przez swoich. Przychodzili nieustannie za sprawami do sędziego na gród Żydzi, a ci wszyscy niemal od Muszy i Lewka przynosili ostrzeżenia i pogłoski. Obawiali się oni o siebie, gdyby, uchowaj Boże, w mieście się co zmienić miało.

Jesień już była dość późna, wieczór cichy, pogodny, piękny. W mieście panował spokój i cisza dziwna, jakby wszystko wymarło. Marcik, który, po wałach chodząc, przysłuchiwał się i rozglądał, nie mógł zrozumieć, dlaczego tak zawczasu w mieście się na spoczynek gotowano. Ruchu w ulicach nie było żadnego. W kościołach dzwony zaczęły się odzywać na modlitwę wieczorną, gdy Sule, który ucho miał bardzo czułe, zdało się, iż w dali tętent koni usłyszał gromadny. Szło coś, wojsko czy stado, ale z wolna, mierzonym krokiem... i zbliżało się. A im bliżej było, tym Suła pewniejszym się czuł, iż albo księżę z wojskiem powraca, lub inne jakieś ciągną oddziały. Z różnych stron miasta od bram tętent przychodził.

Niepewien, co to ma znaczyć, Suła zbiegł natychmiast do wrót zamkowych, które jeszcze otwarte stały, i dał rozkaz, aby je natychmiast zamykano. Straż ruszyła się nastraszona tym, kazał na ludzi zatrabić, aby się zbierali, a sam pobiegł do dworca.

Wtem z miasta, przed chwilą tak uspokojonego, dolatywać zaczął szmer głuchy i jakby stłumione okrzyki. Poruszało się coś tam. Suła wdrapał się na dworzec, gdzie stały wyżki umyślnie zrobione, aby z nich dalej widzieć było można miasto i przedmieścia. Wszedłszy i spojrzawszy — struchlał.

Przez ulice sunęły cicho oddziały jakieś zbrojne, zajmując miasto. Na chorągwiach mógł rozpoznać czarnego orła szląskiego. Nie było już wątpliwości, zdrada uknuta została dokonana, miasto się poddało Szlązakom. Jak okiem mógł zajrzeć, Marcik widział oddziały coraz nadciągające, które spokojnie, bez walki i oporu, zalewały Kraków. W Rynku już głośno okrzykiwano. Na zamku pozostali widzieli już wszyscy, iż nieprzyjaciół jakiś miasto zajął, umyślnie mu otwarte. Powstała trwoga.

Kasztelan Pakosław z Moskorzowa, niedawno naznaczony po śmierci Jana z Buska, wychodził właśnie dowiedzieć się o wrzawie, którą posłyszał, gdy mu Szlązaków zwiastowano. Zbladł i przystanął chwilę, niepewien siebie, lecz człowiek był serca wielkiego i ducha nie stracił. Zaczął wydawać rozkazy i po zbroję posłał pacholę.

Wrota były już zaparte. Od miasta coraz groźniej szumiało. Kilku żołnierzy z załogi, których najazd zastał w mieście, przybiegło do furty, prosząc się, aby ich wpuszczono, bo się niewoli obawiali. — Otwierać im było niebezpiecznie. Spuszczono linę z drążkiem i tak ich na górę wciągnięto. Ci już umieli rozpowiedzieć o tym, na co patrzali.

Gdy Szlązacy się zbliżyli, wszystkie wrota zastali na oścież otwarte. Wójt naprzeciwko księcia Bolesława polskiego wyszedł ze swoimi mieszczanami, w orszaku wielkim, do nóg się księciu

pokłonił, oddając Kraków jako panu i władcy. Niektórzy tylko z mieszczan poukrywali się i domy pozawierali, ale tych mało było. Znaczniejsza część po niemiecku wołała, ohotnie i radośnie przyjmując Szlązaka. Na ratuszu nawet zgotowane było przyjęcie i wino, gdzie wszystkich, kto chciał, ugaszczano. Żołnierze niektórzy i Jurga na oczy swe to widzieli.

Miasto więc było stracone, bo z opowiadania wnosząc, siła księcia Bolesława była tak znaczna, iż przeciw niej porywać tłą było szaleństwem. Z zamkiem co począć mieli?

Kasztelan co najprędzej szedł z żalosną nowiną do księżnej. Jadwiga, w pożyciu z mężem przejęła była męstwo i wytrwałość jego. Przetrwawszy wiele, umiała cierpieć. — Pakosław wiedział o tym, ale sam ojcem będąc, litował się niewieście, która o los dzieci zatrwożyć się musiała. Szedł, lecz im bliżej był, tym zwłóczył więcej, rad, by go kto uprzedził. I stało się, jak żądał, bo sługi wpadły naprzód do księżnej z płaczem, oznajmując, że Szlązacy Kraków zajęli. Syna pochwyciwszy na ręce księżna, jak stała, do przedsieni wybiegła. Tu spotkała kasztelana, który całe męstwo odzyskał.

— Brońcie zamku! Ratujcie dziecię moje! — zawołała żywo. — Władysław nadciągnie niechybnie z odsieczą. Dopóki go się nie' doczekamy, musimy się bronić!

— Miłościwa Pani — odparł kasztelan. — Myśmy na to przygotowani i inaczej nie może być.

Księżna przyciskała do piersi dziecię strwożone, łzy płynęły jej z oczów, lecz spojrzawszy na Pakosława, którego męska twarz cały swój pokój zachowała, odetchnęła lżej.

— Zamku nie poddamy! — powtórzyła.

— Nigdy! — odparł krótko kasztelan.

Pachołek niósł mu hełm i zbroję, w podwórzu słyhać było wołania, księżna wróciła do kaplicy i klękała na modlitwę.

Szlązacy z Albertem obrachowali byli, iż znienacka do zamku przypaść, nimby się tam opamiętano i zebrano do odporu, było dla nich najkorzystniej. Główne oddziały, mało co. się zatrzymawszy w Rynku, ciągnęły z Fuldem dowódcą i wójtem Albertem ku wrotom. Wójt w szatach paradnych, po rycersku przystrojony, z pychą wielką wiódł szląskiego dowódcę. Wybrali do swego orszaku ludzi najlepiej uzbrojonych, w błyszczących pancerzach, kuszowników niemieckich i najzuchwalszą gawieź, która łatwym do miasta wkroczeniem uzuchwalona szła, wykrzykując i odgrządzając się napastliwie i tłumnie. Albert sam stanął naprzeciw wrót, wołając, aby je otwierano.

Pakosław wystąpił przeciwko niemu na wyżki i pochylił się, grubiańsko krzycząc na wójta, który zaczerwieniony z gniewu podniósł głowę.

— Skończyło się panowanie wasze! Skończyło! — krzyknął Albert. — Wrota otwierać! Poddawajcie się! Obrany jest pan nowy, książę opolski, który miasto zajął. Chcecieli z życiem ująć — nie zwłóczcie. — Wrota otwierać!!

Inni za nim po niemiecku zaczęli wrzeszczeć: Wrota otwierać! Niektórzy grozili pożogą, rzezią i śmiercią.

Pakosław dał im krzyczeć nie odpowiadając, zwrócił się do wójta z pięścią ściśniętą.

— Ty, zdrajco podły — zawołał — szubienica cię czeka! Spojrzał z góry dumnie na Szlązaków i nie zważając na wrzawę, zszedł z wyżek. Ludzie na wrotach stojący poczęli, kusze nastawiwszy, odgrażać się, że strzelać będą. Nie przygotowani do boju Szlązacy cofnęli się nieco. Albert blady, niespokojny, w miejscu z koniem się poruszał, chcąc męstwo okazać. Herold trąbił znowu, wyzywając na rozmowę, ale Pakosław nie wyszedł więcej, a Marcik, wylazłszy na wyżki, od ostatnich słów począł besztać Niemców, plunął na wójta i precz zszedł.

Szlązacy jeszcze się burzyli i namyślali, a tu wieczór nadchodził ciemny. Rzucili się do wrót, cisnęli na nich gradem przygotowanych kamieni i kilka bełtów puszczono. Musieli ustąpić.

Naradzano się w kupie z wójtem, który wołał ze śmiechem udanym:

— Jutro oni będą pokorniejsi.

Rozstawiono z dala strażę i Fuld z wójtem zasępionym nazad pokłusował do miasta. Zawiodła go nadzieja, był bowiem pewien, że zamek niespodzianie napadnięty się podda. Siłą go brać nie było łatwo.

Bolesław opolski, obrany pan nowy, z dobrą myślą siedział w ratuszu za stołem, otoczony niemieckimi mieszczanami, zapewniony będąc przez wójta Alberta wcześniej, iż kordą nawet dobywać nie będzie potrzebował dla opanowania Krakowa. Lat już dojrzałych mężczyzna, jak wszyscy niemal szląscy Piastowie otyły, wielki, piwem dobrze utuczony, twarzy szerokiej, rysów dosyć łagodnego wyrazu, choć miał wzrost i ramiona rycerskie, nie okazywał zbyt rycerskiego usposobienia. Szedł do Krakowa przekonany, że na drodze nie znajdzie żadnej przeszkody, że weźmie miasto i państwo jak owoc dojrzały. Tak się też stało i gdy mu wrota otwarto szeroko, a mieszczanie powitali okrzykami, gdy go z honorami zaprowadzono na ratusz, czekał już tylko, by mu znać dano, że na Wawel jechać może. Był pewien, że na starym zamku zanocuje, oglądał się na wójta, kiedy mu da znać, by na koń siadał i ciągnął. Wtem zamiast Alberta, który się zatrzymał nieco, wszedł dowódca jego Fuld.

Książę, spojrzawszy nań, poruszył się, po hełm leżący na stole sięgając.

— Na zamek? — zapytał.

— Na zamku — odparł Niemiec, równie zawodem oburzony — ani słuchać nie chcą, żeby go oddać! Z nimi będziemy się musieli rozprawiać. Wały duże i mocne, góra dosyć wysoka i stroma.

Bolesławowi chmura przeszła po twarzy. Oczywiście szukał wójta, który, ułożywszy spokojne oblicze, wchodził właśnie. Spojrzał nań z wyrzutem.

— Cóż to? Zamek się opiera? Bronić się myślą? Albert wzgardliwie ramionami dźwignął.

— Nie ma o czym mówić — odparł — jutro się Wszystko wyjaśni. Bronić się nie mogą, ludzi nie mają. Trudno, aby się od razu poddali, ale popłoch tam wielki. Wasza Miłość zajmijcie dom mój, a jutro...

Książę patrzył już na Fulda, jakby wójtowi nie dowierzał. Dowódca zdawał się wątpić. Albert przysunął się do księcia.

— Księżna z dziećmi znajduje się na zamku, należałoby jej dać wolne wyjście ze dworem. Zechce pewnie swoje mienie zabrać.

Bolesławowi te targi były nie do smaku.

— Inaczej mówiliście i obiecywali mi w Opolu — odezwał się do wójta z wymówką. — Zaklinaliście się, że wszyscy mieszczanie, duchowni, rycerstwo na mnie czeka i nikt się nie sprzeciwi.

— I dziś to powtarzam — rzekł Albert — ale księżna musi się o swobodę i mienie targować.

Rozmowę poczętą przerwało wołanie oznajmujące, że biskup przybywał. Muskata, który Łoktka i Krakowa unikał od dawna, obiecywał był swe przybycie na dzień zajęcia miasta rzez Szlązaka. Spóźniwszy się nieco z przyjazdem, wprost z wozem pod ratusz zajechał i jak stał w płaszczu, pod którym miał urzędowe szaty, wszedł witać pana, którego pragnął.

Księżę powstał, rozstępowali się wszyscy, mały, niepoczesny, przykurczony biskup z wielką gorącością i poszanowaniem się przybliżył. Śmiał się i płakał, drżał i mruczał coś niewyraźnie, wielką radość widać w nim było.

— Skończyło się panowanie Antychrysta! — zawołał głosem, który kaszel przerywał. — Niech Bóg synowi swemu na tej stolicy błogosławi. — I przeżegnał schylonego.

Księżę jedno teraz miał na myśli i zamiast podziękować biskupowi — odezwał się niespokojnie:

— Zamek się nie poddaje!!

Biskup uśmiechnął się z jakimś politowaniem.

— A, nie dziś, to jutro mieć go będziecie! — rzekł wesoło. — Ja tam wejdę dla kościoła, a gdy raz się dostanę, postaram się, aby bramy otwarto.

Noc nadeszła i wszystko musiano odłożyć do jutra. Bolesław, po cichu rozmówiwszy się z biskupem, kazał się prowadzić do dworu Alberta, przygotowanego na jego przyjęcie.

Wojsko zajmwszy miasto, choć ono mu się dobrowolnie poddało, poczynano gospodarować jak w zdobytym. Mieszczanie dopiero teraz postrzegli, na co byli wystawieni. Szlązacy gwałtem domy opanowywali, odbijali kramy, chwyтали, co kto napadł, z żywności, a pachółkom miejskim kilku po łbie się dostało. Rozsypali się po ulicach z szałem i zuchwalstwem żołdactwa rozpuszczonego. Gościnne przyjęcie w Rynku, beczki piwa i starszyźnie rozdawane wino głowy strudzonych pozawracało. Do domu wójta bieżono ze skarbami, z narzekaniem, ale służba precz żalących się odpędzała. Rajcy, którzy biegli na ratunek swych sklepów, zostali pochwytni przez żołnierzy i powiązani.

Albert tymczasem, o niczym wiedzieć nie chcąc, przyjmował księcia, zapewniając go, iż nie tylko zamek podda się jutro, ale ziemianie przybędą okrzyknąć go panem, bo Łoktek naprzykrzył się im swoimi wydzierstwami i samowolą. Księżę słuchał, uśmiechał się, rad był i w końcu zapewnieniom uwierzył, domagając się przede wszystkim, aby mu zamek oddano. Albert zaręczał, iż jutro wszystko się skończy, byle herolda do księżnej posłano, zapewniając jej wyjazd wolny.

Noc w mieście była bardzo niespokojna. Wiertelnicy nie śmieli obchodzić swych kwartałów, bo Szlązacy ich groźbami precz rozpędzali. Gdy rozedniało, w ulicach naliczono trupów kilkunastu odartych, kilka domów się paliło, tak że je ledwie hakami rozerwano, aby się pożar nie rozszerzył.

Jak dzień, Hincza Keczer poszedł do wójta, który tej nocy oka nie zmrużył. I on też spokoju nie miał, i snu nie próbował nawet. Chociaż trzymali z sobą i Hincza się liczył do przyjaciół Alberta, nie ufali sobie wzajem i nie bardzo się lubili.

— Wiecie, co się na mieście dzieje? ;— zapytał wchodząc Keczer.

— Żołnierze w nocy pili i dokazywali, nie mogło być inaczej — odparł wójt. — Cóż dziwnego?

— Słyszeliście, ile kramów odbito i złupiono, ilu trupów na ratusz zaniecono? U Zebiusa na tysiąc grzywien szkody. Panko Wanczos zabity.

— Chcieliście — zawołał unosząc się wójt — aby was uwolnienie spod katowni Łoktka nic nie kosztowało? Darmo nic nie przychodzi!!

— Ale nam może przyjść bardzo drogo — odpowiedział Keczer.

Albert oburzony tą wymówką rzucił się. Wtem do drzwi inni ze skargami i płaczem zaczęli szturmować. Veit, dowódca wiertelników, stawiał się z głową rozplataną, krwawą chustą okrytą. Zniecierpliwiony wójt unosił się, łajał, groził, nie chciał słuchać nic i pędził przychodzących bez litości.

Tymczasem biskup, jak wczoraj przyrzekł, wybrał się na zamek do kościoła, w istocie do księżnej. **Krucyfer** jego szedł przodem, kapituły część mu towarzyszyła. Na szkarłatami wysłanym wozie podjechał pod wrota wielkie.

Krucyfer wołał, aby je otwierano. Tuż za wozem szedł oddział Szlązaków. Wszczęło się pokrzykiwanie: Otwierać biskupowi!

Kasztelan się pokazał na wyżkach.

— Ani księdzu biskupowi, ani nikomu wrota się nie otworzą — odezwał się spokojnie. — Wiemy, z kim biskup trzyma i co myśli. Jedźcie z Bogiem.

Kanonik Frejer, kapelan biskupi, podpadł na koniu bardzo gwałtownie, grożąc anatemą, bo nikt nie miał prawa biskupowi do kościoła jego drogi tamować. Wołanie to nic nie sprawiło. Kasztelan odrzekł krótko i sucho:

— Jedźcie z Bogiem, rozprawiemy się gdzie indziej. Stali tak z wozem, z krzyżem, dobrą chwilę, na próżno się zmagając na groźby, aż od wójta nadjechał herold z chorągwią i orłem szląskim na piersiach, w kapie, z trąbą, domagając się, aby go jako posła puszczono do księżnej Jadwigi.

Odparto go tym, że w żadne rozmowy księżna wdawać się nie chce z najeźdźcami. Łajano się jak zwykle po niemiecku i po polsku; godzina upłynęła próżno i biskup z krucyfiksem musiał na swój dwór z niczym powracać. Na herolda, gdy odjeżdżał, kamieniami sypnięto.

Nadbiegł wójt sam, ale po czasie, gdy nikogo nie było na wrotach, a do niego nikt wychodzić nie chciał.

Księżę Bolesław na dworze Alberta siedział wygodnie u dobrze zastawionego stołu, śmiejąc się, żartując, pewien, że mu lada chwila znać dadzą, aby jechał na zamek. Niespodziany wypadek zatrął mu to ucztowanie.

Nie wiedzący o niczym, co się działo w Krakowie, przybył do Łoktka Wincenty z Szamotuł rano po zajęciu miasta. Tu dopiero u wrót się dowiedział, że Bolesław szląski w nim się znajdował. Przybywał ze znacznym oddziałem, po pańsku i Szlązacy zobaczywszy go, a domyślając się, z kim trzymał i do kogo jechał, otoczyli i uwięzić chcieli. Z Szamotulskim Sprawa była niełatwa, on i ludzie jego wzięli się do mieczów i do obuchów. Tumult się stał u wrót, sam wójt nadbiegł niepokojny zobaczyć, co się tam działo. Wielkopolanin szalał, łąjał i gawiedź krwawił, rozpędzał. Wójt znając go i wiedząc, jaki wpływ miał, krzyknął na Szlązaków, aby odstąpili, a sam zabrawszy Wincentego, powiódł go na rozmowę do księcia.

Bynajmniej nie złękniiony Szamotulski samotrzeć ruszył z Albertem do jego domu. Księżę Bolesław jeszcze za stołem siedział, gdy wójt mu przyszedł o nim oznajmić, radząc, aby księżę starał się go sobie pozyskać. Za nim zaraz wkroczył Wincenty z taką dumną miną i butą, jakby sobie nowego pana niewiele ważył. Szlązak twarz mu okazał wielce łaskawą.

— Nie wiecie, widzę — rzekł — iż ja tu za wolą powszechną i wyborem wszystkich przybyłem? Kraków i Sandomierz sam mi się oddał. Nie prosiłem o to, nie narzucałem się, przyszli mnie prosić, aby się z twardej niewoli Władysława wyswobodzili.

— Zaprawdę nie wiem o tym — odpowiedział Szamotulski. — Lękam się tylko, aby Waszej Miłości w błąd nie wprowadzono. Mieszczanie niemieccy, którzy tu na cudzej ziemi siedzą, może księcia wzywali, ale o ziemianach i rycerstwie, które stoi przy swym panu, nie wiem!

— Zaręczano mi za ziemian!

— Ano oni sami całe o niczym nie wiedzą — rzekł Szamotulski. — Miasto wziąć, gdy zdrajcy wrota otwierają, mała to rzecz, ale co miasto, to nie ziemia.

Wójt stał za nim blady, księżę zwrócił się ku niemu.

— Mówcież wy! — zawołał. Albert się nieco zająknął:

— Krakowscy i sandomierscy ziemianie tak myślą jak i my! — rzekł krótko.

— Którzyż i jacy? — pytał Szamotulski.

Zmieszany wójt, zamiast odpowiedzieć wprost, począł się jękać:

— To się okaże! — My księcia Władysława wszyscy mamy już dosyć! I wojny, i ciężarów, i rozbojów wojskowych po gościńcach!

Spod oka spojrział nań Szamotulski. Zwrócił się do księcia:

— Wasza Miłość — rzekł — daliście się uwieść lada jakim zapewnieniom, ale łatwiej było wniść tu, niż będzie się utrzymać. Książę Władysław nadciągnie z siłą znaczną, a ziemianie za nim pójdą.

— Nie pójdą! — gniewnie zaprzeczył wójt. I — Nie możecie wy ręczyć za ziemian — odparł Wincenty — sprawa miasta, a nasze, nie jedne są. Wyście Niemcy przybysze, a my tu ojczyce.

Zachmurzył się książę słuchając.

Wincenty z Szamotuł tak się stawił śmiało i pańsko, iż Szlązak ani myślał go zatrzymać. Albert podszeptował, aby go nie puszczano, bo wracając do Poznania popłoch rozniesie, lecz Szlązak nie chciał sobie ziemian narazić i puścił go wolno.

Po krótkiej rozmowie tej Wielkopolanin na koń siadłszy do swojego orszaku wprost, nie zatrzymując się w mieście, podążył i natychmiast za wrota wyruszył.

Wszystko, co mówił, głęboko utkwilo w umyśle księcia Bolesława. Teraz dopiero widział jasno, że się dał uwieść pięknymi słowy.

Bardziej jeszcze niż on rozjątrzeni byli dowódcy wojskowi, którzy szli na tę wyprawę jak na wesołą wycieczkę; wojny się wcale nie spodziewali, a znaleźli na miejscu opór, który ją zapowiadał. Wszyscy narzekali na Alberta, a gniew wywierali na miasto, na mieszczanach za zawód pomsty szukając.

W zamku sposobiono się do upartej obrony; Szlązacy obchodzący wały widzieli to i książę Bolesław, choć mu szturm radzono, wahał się go przypuścić.

Rozdział ósmy.

Upłynęło parę miesięcy, a ci, co Kraków zdradą opanowali, jednego naprzód nie zrobili kroku. Żywiło ich miasto, zamek się opierał, ziemian nie było widać wcale, kraj poddawać się nie myślał. Książę Bolesław siedział w domu wójta ze dworem swoim, pił i jadł, dobrze mu się działo, lecz po trosze się już niepokoił. Wojsko jego miasto opłacać musiało, ściągano grosz, końca temu widać nie było. Wielka z początku radość Niemców zmieniała się powoli w niemniejszy frasunek, oprócz niewielkiej garstki tych, co z nim trzymała i pochlebiała mu. Albert widział wkoło siebie twarze pochmurne, ludzi milczących i skłopotanych. Księciu opolskiemu nudziło się czekać, nic nie widząc przed sobą. Rycerstwo obiecowane nie przybywało. Wójt, gdy naciskano, z dnia na dzień je obiecywał, a gdy przyszło je stawić, przyprowadzał kilku strwożonych biedaków z okolicy, ujętych przez się, którzy kłaniali się, bełkotali i co najprędzej precz jechali. Wszelkie usiłowania skierowane były ku temu, aby zamek wziąć, ale siłą dotąd nie ważył się książę Bolesław kusić oń. Powtarzał ciągle, iż przybył wezwany dobrą wolą narodu i dobijać się niczego nie potrzebuje. Wójt się spodziewał, że Wawel podda się z głodu.

U Szeluty, gdzie się różni zbierali po cichu i ostrożnie, szeptano że z miasta wielu, co Łoktkowi sprzyjali, widząc, że się Szlązak waha i słabnie, nocami żywności na zamek dostarczali.

Żydzi też pomagali oblężonym. Po pierwszej trwodze na Wawelu, po kilku dniach ucierania się u wrót na języki, gdy więcej nie poczynano, otucha wstąpiła w załogę. Księżna pewna była, że mąż ją nie opuści, a stolicy swej Szlązakowi nie odda.

Wójt nawet w ostatnich czasach znacznie mniej zuchwałym się stawał i skarżył się tylko, że ziemianie go zdradzili. W istocie zaś nikt mu nic nie przyrzekał, a on ufał, że gdy Kraków w rękę Szlązaków zobaczą, przyjdą mu się pokłonić. Posyłano swoich po dworach, do brata, do powinowatych, do Sandomierza, aby jednać ziemian, wszyscy odmawiali pomocy.

Zaczynano się obawiać zemsty Łoktka. W Sandomierzu namówieni przez Alberta mieszczenie poddali się Szlązakom i tak samo gród się trzymał jak w Krakowie. W Sądczu, na przekór Krakowowi, uzbroili się wszyscy, miasto stało przy swym panu, gotując bronić przeciw Niemcom.

Książę Bolesław tęsknił już za Opolem, chciał wyjeżdżać z Krakowa, zostawując tylko załogę, tak że Albert przestraszony na kolanach go ledwie uprosił, aby pozostał.

Wawel opasany był dokoła, strzeżono, aby nikt z niego ani doń wniknąć nie mógł, a jednak donoszono wójtowi, że mimo największej pilności ludzie się przekradali i żywność wciągano. Szlązacy popojeni, tam gdzie trzeba było, nie słyszeli nic. W miarę jak oblężenie się przeciągało, stawało się coraz wolniejszym, ludzie zmęczeni zaniedbywali się.

Śmiały Marcik przekradał się nie wiedzieć jakim sposobem do Muszy, na Okolę, zachodził do znajomych, Szlązakom figle płatał, a uleczony Gamrot dzielnie mu pomagał. Ważył się nawet jednej nocy aż na ulicę Rzeźniczą, do Pawła i od niego się z bólem serca dowiedział, że Greta, nie mogąc znieść pobytu w mieście, znowu do Wrocławia do powinowatych zjechała. Rad by ją był widział i dlatego się ważył podkraść do dworu mimo niebezpieczeństwa, ale i za ucieczkę tę ganić jej nie mógł.

— Byle jej tam jaki Szlązak nie zaswatał — wzdychał.

— O to strachu nie ma, bo ona ich nie lubi — mówił Paweł — zresztą choćby zaswatana albo i zamężna, byle wróciła! — bo za nią strasznie tęskno, a człowiek do niej nawykł jak do powietrza.

Zgadało się potem o mieście i o zamku, a Suła tak był pewien odsieczki i przykładnego winnych ukarania, że Pawła tym nastraszył.

— Z Albertem i winnymi niech czynią, co chcą, na co zasłużyli — westchnął — lecz nas niech oszczędzą. Gdy na miasto padnie straszny gniew pański, zginiemy wszyscy.

Marcik uderzył go po ramieniu.

— Nie bójcie się, będziemy umieli owce zakażone od czystych rozróżnić — ale że zdrajcom przebaczenia nie da, nadto go znam, bym wątpił!

Z każdym dniem popłoch rósł w mieście; woźnice ciągnący z kupią od Szląska, od Sandomierza, od Torunia, przynosili wieści coraz pewniejsze, iż książę Władysław przeważne siły zbiera dla odebrania Krakowa.

Księżciu Bolesławowi gościna ta przymusowa ciążyła, co dzień się stawał opryskliwszy, wójta witał i żegnał wymówkami:

— Coście to mi obiecywali? Pókiż tego czekania będzie? Zwiedliście mnie...

Biskup, choć pracował nad duchowieństwem, aby je pozyskać sobie, znaczna część trzymała się na uboczu. On, wójt i książe dwór naradzali się po dniach całych i niepokój rósł ciągle. Muskacie donoszono, iż dobra biskupie Łoktek wojskiem ciągle zajmował.

Kto by był następnej wiosny do Krakowa zajechał za tych szląskich rządów, ledwie by go teraz poznał. Miasto, gdyby nie załoga, wyludniało się. Z ziemian i rycerstwa nikt tu prawie nie zajrzał. Woźnice i kupcy nie bardzo się na gościńce wazyli, bo już Łoktkowi chwyтали ich, a dużo ziemian na swą rękę, korzystając z czasu niespokojnego, zasiadało po gościńcach. Obyczaj ten napastowania podróżnych za czeskich rządów trochę się był powściągnął, bo surowo się wzięto do łapczywych rycerzy, teraz znów bezkarnie z gródków się dobywali. W gospodzie kupieckiej, w Rynku, wozu nowo przybywającego trudno teraz zobaczyć było, połowa kramów stała zamknięta, kupujących brakło, kupcy skarżyli się i sarkali.

Za to około dyngusza, przy piłacie, na ratuszu ciągle było tłumnie i gorąco. Albert grozą starał się mieszczań utrzymać przy sobie. Nie było dnia, żeby wiertelnicy kogo do więzienia nie wlekli, bez chłosty i stawienia u pręgierza jeden nie minął. Niektórzy śmielsi wyrzucali Albertowi w oczy, iż miasto zgubił, ale kto się głośno odezwał, zamykano go. W radzie miejskiej połowa ludzi siedziała milcząca; niektórzy domagali się jakiegoś końca. Albert, jak zwierz w kniei osaczony, rzucał się, kąsał, ale kroku naprzód uczynić nie mógł. Szląska też załoga, choć ją karmiono, przykrzyła sobie. Fuld, który od pierwszego dnia położenie zrozumiał i wyprawie był niechętny, potajemnie księciu coraz gorsze wieści przynosił. Książe też co dzień był niecierpliwszy i chmurniał.

Wlokło się to nieznośnie dla niego, ale dłuższym jeszcze czas ten mógł się księżnie wydawać. Mimo tajemnie poddawanej żywności na zamku dostatku nie było. Ludzie chorować zaczęli. Od księcia Władysława przez Żydów tylko głuche dochodziły wieści.

Usłużny i bardzo zręczny Gamrot, który się na najniebezpieczniejsze wycieczki sam ofiarował, wyprawiony z poselstwem, nie wracał. Nareszcie w maju, jednej nocy, gdy Marcik wały obchodził, usłyszał znak, jaki zwykle dawano, gdy się goniec zjawiał. Pobiegł ku miejscu, skąd go sykanie doszło, i zobaczył całego i zdrowego powracającego Gamrota. Przynosił on pocieszające wieści od księcia, który obiecywał się wprędce i przyrzekał, że Szlązacy precz odejść będą musieli, byle zamek pottrzymał się jeszcze.

Zbudzono księżnę, do której zaprowadził Marcik posła. Zwiastował on, że pan niedaleko już był i rychło miał dać znać o sobie. Ziemianie wszyscy znaczniejsi sandomierscy, krakowscy, Wielkopolski przy nim stali. Serdecznie też wiarę strzymali. Na Szląsku Gamrot słyszał, że tam się księcia Bolesława, który zniechęcony był, z powrotem spodziewano.

Jeszcze się ta rozmowa toczyła w izbie księżnej, która ludźmi ciekawymi się napelniała, gdy na zamku, od wałów wśród ciszy nocnej wrzask się dał słyszeć straszny.

Marcik i co żyło wybiegli, chwytając za oręż. Noc niezbyt była ciemna. W podwórzu się rozglądawszy, Suła ujrzał ponad tynami, od strony Wisły coś poruszającego się, jakby ludzi gromadę. W jednej chwili już stanął u tynów, kędy zamkowego żołnierza dość już było. Załoga czujna, szczególnie po nocach, cała była pogotowiu. Potoczyli się wszyscy ku tynom.

Cicho i zdradnie garść Szlązaków, którą Niemcy, znający słabsze i trudniejsze do obronienia miejsca na zamku, nasłali, próbowała wdrzeć się we wnątrz. Pogotowiu stały większe siły, które, gdyby się napaść udała, ze wszech stron uderzyć miały. Napaść się nie powiodła, bo natychmiast u tynów zjawili się obrońcy. Marcik tłukł tych, których wdrapujących się u tynów znalazł, innych żołnierze chwyтали, ciągnęli, siekli i brali w niewolę. Pod ręką były kamienie i belki, które na drapiących się po wzgórzu ciskać zaczęto. Zacięta walka wśród nocnego mroku trwała niedługo, bo ci, co dalej byli, widząc pierwszych odpartych i pobitych, natychmiast uciekać i rozpraszać się zaczęli. Rachowano na to, że na zamku długie bezpieczeństwo ludzi musiało usnąć i że nikt pewnie napaści się nie spodziewał. Niemcy mogli mieć przekupionych na zamku i przy trwodze z jednej strony na otwarcie wrót liczyli. Wszystko to jednak zawiodło.

Gdy potem ognia przyniesiono, aby więźniów i trupy rozpoznać, okazało się, że najwięcej ludzi było z miasta, których jako sługi wójtowe znano. Marcik zajadły w pierwszej chwili wszystkich zdrajców nie żywiąc dobijać kazał. Na wałach naprzeciw miasta powznoszono szubienice w najwyższym miejscu i, gdy rozedniało, mogli już ci, co posłali, widzieć, jaki los ich spotkał.

Tak ta noc trwogi i nadziei przeszła na zamku, a gdy księżę Bolesław, o niczym nie wiedzący, wstał rano, Fuld mu przyszedł opowiedzieć, jak nieszczęśliwie próbowano dostać Wawelu i sromotnie uchodzić musiano. Przywołany wójt Albert składał winę całą na innych, sam się nie przyznając ani do tego napadu, ani do świadomości jego.

Następnego dnia posłaniec od brata Henryka przybył z ostrzeżeniem do niego, iż wszyscy ziemianie, nie wyjmując krakowskich, w obozie księcia Władysława gromadnie się stawili.

Z tą wiadomością Albert do Szlązaka nie spieszył. Natychmiast radnych kazał na ratusz wołać, których wiertelnicy niemal gwałtem z domów porwanych pędzili. W ostatnich tygodniach trwogi i niepewności wójt posiwił był nagle, zestarzał, zółć mu zalała twarz, oczy patrzyły dziko. Przybywający z kolei zastali go spartego na stole, pogrążonego w myślach i słowa z niego dobyć nie mogli. Stali już przed nim obaj wójtowie, wybrani przez mieszczan, Ortlieb i Pecold, radni Jaśko, Tylman, Brant, Winbold i Paweł z Brzega. Z postawy i wejrzeń ich widać było, że wszyscy przybyli z troską niemałą, a nie bardzo byli z sobą zgodni. Paweł z Brzega, Hincza Keczer, opodał nieco się trzymając, poglądali na siebie, porozumiewając się, a oczyma wskazując wójta, jakby mówili:

— Oto winowajca!

Ci na uboczu miejsca sobie obrali.

Wójtowie, jak przystało, wysunięci naprzód, ręce trzymali w kieszeniach, oba jak noc posepni. Herman tuż przy wójcie stał, jakby mu posiłkować zamierzał i chciał dodać odwagi. Reszta, spozierając po izbie, słuchała wrzawy dochodzącej z Rynku.

Wójt Albert długo się wahał, nim rozpoczął.

— Trzeba radzić — rzekł w końcu głosem stłumionym — księżę Bolesław domaga się, sam nie wie czego. Ziemian mieć chce. Ramionami ruszył.

Nikt się nie spieszył z odpowiedzią, czekano, co więcej powie. Albert oczyma potoczył dokoła, ciężko mu było przyznać, do czego miasto doprowadził, wołał odpowiadać na wymówki, niż sam się tłumaczyć. Spoglądał i wyzywał na próżno. Wójtowie podnieśli głowy, Herman z Raciborza, człek gwałtowny, widząc, że Albert się ociąga, począł za niego:

— Musiemy radzić o sobie, abyśmy nie mieli biedy. Zdradzili nas wszyscy. Wołali przeciw Łoktkowi, że go zasię nie chcą, że musi iść precz; powiadali, że byle się Kraków zdał, oni wszyscy Szlązakowi moc oddadzą i panowanie. Teraz śpiewają inaczej, a nas zostawili w matni.

Ręką zawinął i rzucił się, Albert milczący rozłożył obie ręce szeroko i załamał je.

— Żle jest! — zamruczał.

Wtem Hincza Keczer, podsunąwszy się nieco, zawołał:

— Temu złemu my nie winni. Kto go sprawił, niech naprawia! Myśmy nie chcieli żadnej odmiany. Nie mieszczan to sprawa książąt powoływać i osadzać. Jakieście piwo nawarzyli, takie pijcie. Niestety w tym, że choć nie wszyscy biedę robili, niewinni muszą pokutować z nimi.

Wójt gniewnie się poruszył.

— Wszyscyście tego chcieli — zawołał. — Ja bym nie począł sam, gdybym ludzi nie badał. Nie winienem nic.

— A któż? Może ja? — wyrwał się Paweł z Brzega. — Czyśmy was nie upominali!

Namarszczony groźnie spojrzał nań wójt.

— Jeśliśmy zawinili, to równo wszyscy. Nikt z nas miastu źle nie życzył.

— Wyście to nie dla miasta zrobili — począł Keczer ośmielony — ale dla siebie. Chciało się wam większej godności i znaczenia. Łoktek wam był za mocny, roilo się panowanie. Wyście nas w to błoto, a bodaj nie w krew wpędzili. Myślicie, jak wyrwać.

Wójt zgrzytnął zębami.

— Jeszcze się nie wszystko skończyło — rzekł groźnie. — Książę opolski siedzi u mnie i ja władzę mam. Nie rozpuszczajcie gęby, aby wam jej zamknąć nie kazał.

Keczer splunął i tyłem się do niego obrócił.

— Zapomnieliście — dodał Paweł z Brzega — że my tu nie w domu u siebie, w Niemczech, ani na Szląsku, ale między Polakami, wśród których nas garść tylko. Mieli nas dawniej za nieprzyjaciół, cóż teraz?

— Ziemianie polscy sami skomleli przeciw Łoktka — rzekł Albert.

— Gdzie? Kto? Jaki? — podchwycił Keczer. — Postawcie jednego! Mianujcie go! Przybyłże który poddać się Szlązakowi, pokazał się na dworze? Wszyscy są z księciem Władysławem. Wam się zdało, że gdy Opolskiemu Kraków dacie, złęką się i poddadzą, ale z miłym księciem niełatwa sprawa. Żelazny człek, nie nastraszyć go i nie zgryźć!

Albert nie odpowiadając mu obrócił się do innych.

— Możemy się jeszcze ratować — rzekł. — Jeżeli zamek dostanie się Opolskiemu, wszystko się zmieni. Otuchy nabierze. Szlżacy leniwi, szturmować nie chcą, nam trzeba się uzbroić i siłą czy zdradą dobyć zamku. Gdy mu gród zabierzemy, żonę i syna, będzie musiał się układać i pójdzie na dział swój, na Kujawy. Na zamek i ziemianie przyjdą — jutro.

— Tak samo jak dziś! — rozśmiał się szydersko Keczer. — Dobra rada! Popróbujcie! Popróbujcie! Wziąć zamku, nie weźmiemy, bo u nas czeladzi mało i ta do obuchów i do kusz nienawykła. Mały księżę, jak się dowie, żeśmy mu jeszcze i zamek chcieli odbierać, w pień nas wyciąć każe. Teraz, choćby opanował miasto, może się kto ocali, potem nikt. Dobra rada!!

— Rada nie jest moja — krzyknął wójt, obracając się do niego — nie moja. Książd biskup Muskata mi ją dał. Ten wiernie z nami trzyma.

— Tak rozumny jak i my! — szepnął Paweł z Brzega — i taki go jak nas los spotka.

Hieronim z Raciborza wystąpił naprzód.

— Wodę warzymy darmo — zawołał głośno i nakazujące — Ratować się trzeba i głowy słuchać, robić, co wójt każe. Rozdzielamy się, to przypadniemy!

— Tak czy owak przypadliśmy! — przerwał Paweł z Brzega. — Niech lepiej każdy siebie ratuje, jako umie, miasta nie uratujemy!

Wójt szydersko usta skrzywił.

— Was piękna synowica, która z Polakami zaloty stroi, uratuje!

Paweł zaczerwienił się cały.

— Choćby i ta, która więcej miała rozumu niż wy i my wszyscy!

Stali wszyscy pomieszani. Wtem dotąd milczący Ortlieb, wójt wybrany, grobowym głosem począł:

— Sprowadziliście do nas Opolczyka — zwrócił się do wójta — nie dajcież mu uchodzić, nie dozwólcie nas opuścić. Dopóki on tu, myśmy bezpieczni, uchowaj Boże, wyjdzie stąd, nie ma innej rady, zabierajmy, co kto ma, na wozy i ciągnijmy z nim do Opola czy Świdnicy, tu nam nie ma co robić.

— Pewnie najlepsza rada — potwierdził Tylman — nie ma innej. Pójdziemy z nim, ale z torbami zebrać, nie zabierzemy domów i dworzyszcz z sobą.

— Jeśli wy co straciecie — ofuknął go wójt — ja pono więcej niż wszyscy!

— Miasto więcej znaczy niż wójt i jego mienie — krzyknął Keczer. — Wójtowie się znajdują zawsze, byle miasto było. Byłyby tu wnuki i prawnuki nasze żyły i żywiły się, a teraz?! Przypomnijcie, czym my te nasze prawa i przywileje zdobyli? Leszkowej Gryfiny i zamku broniąc, teraz stracimy je za zdradę!

— Nikogośmy nie zdradzili! — wybuchnął Albert. — Przyszedł Opolczyk, nie mogliśmy wojować z nim, musieliśmy wrota otwierać.

— A kto Opolczyka sprowadził? Kto po niego jeździł? Kto mu pokazał drogę? — począł na boku stojący Keczer.

— Popytajcie, co nas ten nowy pan kosztuje, jak nas ssie! — wołał Paweł.

Gwar rosnął, bo za przykładem śmielszego Keczera i inni poczynali mówić odważniej.

Wójt naradzał się z Hermanem z Raciborza, który przytomniejszy i zuchwalszy był od niego. Po cichej naradzie Albert się zwrócił ku radnym.

— Jestem tu jeszcze wójtem! — zawołał. — Rady waszej pytałem, a wyście mi wyrzutami głupimi odpowiedzieli. Dość tego! Słuchajcie rozkazania mego i księdza biskupa, który więcej rozumu od nas ma. Czeladź uzbrajać, zbierać! Zrobić zaraz popis zbroi i ludzi! Kuszniaków dadzą Szlązacy. — Na zamek całą siłą musimy iść!!

Spojrzał na słuchających, którzy się nie poruszali, i Herman z Raciborza dodał:

— Niech się starsi zbiorą i rozkaz dać na miasto. Wszystkłą czeladź pozbierać, jest tej gawiedzi dosyć.

— I sklepy, ławki, kramy, warstatay pozamykać — dodał szydząc Paweł z Brzega. — Chleba nie piec, mięsa nie bić, niech Szlązacy głodni po dworach plądrują.

— Słyszycie rozkazanie! — wielkim głosem powtórzył wójt. — Tak ma być, jakom rzekł:

I dodał szybko:

— Ludzi trochę dodadzą Szlązacy, biskup też swoich wyśle. Jutro na zamek. Muskata ma swoich stróżów przy kościołach i klechów na zamku, ci pomogą.

Nikt nie okazał po sobie gotowości do spełnienia przykazania tego, tylko Keczer śmiało naprzód wystąpił.

— Czyja wola — rzekł — niech czeladź daje, a ja nie puszcę, nie dam i jednego pachółka nie poślę. To ostatnia zguba.

— Ja też! — odezwał się Paweł z Brzega.

Drudzy sobie w oczy patrzyli, ale protestować bali się.

— Nas dwu, mała rzecz — dodał Keczer — ale gdy się mieszczanie rozmyślą, znajdzie się nas więcej, ludzi nie damy!

— To głowy dacie! — ryknął wójt wściekle, ręką bijąc o stół. — Nim Łoktek wasz przyjdzie, pościnać każę buntowników!

— Próbcujcie! — odparł Keczer i zwrócił się wolnym krokiem ku drzwiom. Paweł, nie mówiąc słowa, wychodził za nim. Nie tamowano im drogi. Wyszli.

W izbie radnej zrobiło się cicho.

Wójt, wargi do krwi gryząc, zwrócił się do Hermana.

— Kaźcie ludzi zbierać i zbroje gotować!

To rzekłszy za czapkę pochwycił i groźno powiódłszy oczyma po radnych i wójtach, wysunął się krokiem ociężałym i niepewnym. Herman z Raciborza wnet za nim podążył. Ci, co pozostali, spojładali na się, badając się wzajemnie.

— Próżne to wysiłki — rzekł Ortlieb. — Biskup nam niewiele pomoże, bo tam mała garść kleszych sług, co ampułki zdalniejsi nosić niż miecze. Nasza czeladź w szynku bije się dobrze, ale na wały iść i do bram szturmować!?

Rozśmiał się gorzko. Tylman rzekł ponuro:

— Wójt bo głowę postradał! Darmo byśmy rozkazy dawali, aby się jeno zbłaźnić!

Zwątlenie ogarnęło wszystkich, wzdychając rozchodząc się poczęli. Albert wracał do swojego domu, w którym teraz gościem był, nie panem. Małą izdebkę ciemną zajmował na dole, gdzie droższy sprzęt swój zgarnął. Na zydlu tu czasem drzemał, bo mu rzadko zasnąć dawano. Ledwie wszedł, gdy pacholę strojne wbiegło od księcia opolskiego, wołając go jak sługę:

— Do pana!

Czując, na co zszedł, wójt dzikim odpowiedział wejrzeniem, lecz musiał być posłusznym. Wstał zaraz i na wschodki wstępować zaczął.

Książę Bolesław, któremu pobyt w Krakowie dojadł już srodze, bo się tu nie czuł panem, siedział z kilką Szlązakami, nudząc się w izbie. Stali niektórzy, inni z dała poprzysiadawali na ławach. Wszyscy byli powarzeni. Książę trzymał w ręku zrynek pergaminowy. Domyślając się wójta po chodzie, podniósł głowę.

— Przecież temu kiedyś koniec być musi — odezwał się głosem głuchym. — Wyście nas tu ściągnęli, mówcież, co dalej? Obiecywaliście mi złote góry! Ziemianie mnie nie chcą, czekam na nich na próżno. Sandomierzanie tamtemu się poddali, Sądecz ma w ręku! Gdzież te wasze obiecanki, że go wszyscy mieli porzucić?

W miarę jak mówił, głos rosnął księciu, gniew się zwiększał. Siedział pochylony, zaczął się prostować, nadymać, wreszcie powstał i opierając się oburącz na stole, oczy wlepiając w wójta, ciągnął dalej:

— Sądzicie, że wam to ujdzie bezkarnie?? Ziemi nie posiadłem. Miasto!? Co mi znaczy to liche miasto wasze i garść handlarzy?

— Com miał, tom oddał Miłości Waszej — odparł wójt stłumionym gniewem. — Obiecywali mnie, obiecywałem ja. Mnie zdradzili. Przecież Sandomierz mieliście w rękach, zamek, gdybyście byli kazali go zdobyć, byłby wasz, a za nim poszłaby ziemia.

— Jam nie wojować przyszedł — odezwał się książę — ale brać, co mi się samo oddać miało. Zawojowywać gdybym chciał, potrafiłbym bez was. Przyszedłem odbierać, co mi należało i co mi gwałtem narzucano!

Albert stał jak skazany winowajca, milcząc długo.

— Na jutro — rzekł — kazałem czeladź zbierać i sam ją na zamek poprowadzę. Więcej nadto uczynić nie mogę.

Książę padł na swe siedzenie i sparł się na rękę. Wlepił oczy w wójta, Szlązak Lasota, który, choć Polak, już był całkiem zniemczał, a przy księciu urząd znaczny zajmował, Alberta zaś nie cierpiał, rzekł pogardliwym tonem:

— Obiecywali nam wiele, a tu się ludzie tylko marnują. Często im suchego chleba brak i wodę pić muszą. Szklanki piwa nie mają.

— To niech nie proszą o nie — wybuchnął książę — niech ławki i komory odbijają i biorą sami. Cóż my? Głodem dla nich mrzeć będziemy?

— Dawno tak trzeba było czynić! — mruknął Lasota. Drudzy na ławach z dala siedzący po cichu się urągali.

Co się z dumnym człowiekiem dzieć musiało, wystawionym na te wymówki i szyderstwa, nie mogącym się uniewinniać, lękającym narazić, pojąć łatwo. Pot ciekł mu po skroni.

— O tym wy pewnie już wiecie — zamruczał książę — że ziemianie, wojewodowie, kasztelanowie, urzędnicy i starszyzna ziem tych jutro mają przybyć do nas, ale nie poddając się! Nie!

— Ja o tym nie wiem — jęknął wójt. — Daj Boże, aby przybyli, Wasza Miłość słowy dobrymi może ich sobie pozyskać.

— Ja! — krzyknął książę — ale ja wiem i od kogo, i z czym jadą!

Wstał znowu książę, na wójta popatrzył, odwrócił się do Lasoty i, jakby odprawę dał, odezwał się do swoich:

— Na łowy nawet nie ma gdzie pojechać! Chyba z sobą cały pułk brać! Władysławowe oddziały całą okolicę zajmują. Wytknąć głowy za wrota nie mogę.

Wójt wyszedł po cichu. Ostatnia wiadomość jak piorunem go razila. Zapowiedziani ziemianie i rycerstwo przybywali od Łoktka. Książę od dawna już nie okazywał ochoty utrzymywania się kosztem wojny przy Krakowie. Mógł miasto wydać na łup Łoktkowi. Przerażony tym wójt, nie zachodząc do swej izby, na miasto wybiegł, zawrócił się, konia chwycił dla pośpiechu i sam jeden do biskupa pokłusował.

Muskata lepiej od niego był zawiadomiony, na biskupim dworze trwoga panowała taka, jakby nieprzyjaciel już wkroczył do miasta.

Blady i drżący zaszedł mu drogę biskup.

— Uchodźć muszę — zawołał głosem słabym — gdy mnie tu pochwyć, życia nie jestem pewny.

— Dokąd? — spytał Albert, który byłby go rad jako pośrednika zatrzymał. — Oddziały Łoktkowe po okolicach plądrują. Tu wam bezpieczniej, obronić możecie nas i siebie.

Wójt, wnet pomiarkowawszy się, poprawił:

— Nic nam jeszcze nie grozi!

— Wszystko! — przerwał mu biskup zrozpaczony. — Wracam od księcia. On wojować nie chce, nie myśli. Na Szląsk powróci.

Wójt stał jak skamieniały.

— Ojcie — odezwał się z boleścią — ojcie! Choć wy nas nie opuszczajcie!

Muskata się cofnął na krok.

— Ja nie mam siły — rzekł zimno. — Nie mogę nic! Dajcie mi sposób ujęcia stąd. Tu się straszne gotują rzeczy! Przeciwno mnie są wszyscy, jam bezsilny!

Niespokojny biskup zawrócił się nazad ku izbie, z której był wyszedł, powtarzając: Uchodźć, uchodźć muszę!

Zdejmował z siebie suknię rękami drżącymi, patrzył na sługi, szukając w nich pomocy, głosu mu brakło, oczy zachodziły łzami.

— Antychryst powraca! — mówił cicho. — Uchodźć! Albert pozostawszy sam, jak człowiek, któremu zabrakło myśli i środków ratowania się, upadł na ławę, zapomniawszy gdzie się znajdował, nie myśląc nawet o własnym ocaleniu, zrozpaczony i odrętwiały.

Rozdział dziewiąty.

Wrót miasta strzegły straże ze Szlązaków i pachółków miejskich złożone. Czuwać musiano u nich, dobrze znając Łoktka, który do zuchwałej napaści zniemacka łatwy był. Smakowała mu ona. Szlązacy w mieście ani się bronić nie mieli ochoty, ani w nim dać wziąć.

Nazajutrz rano dzień wstał pogodny i ciepły. Strażom się nie bardzo chciało siedzieć w miejscu przykutym, zabawiały się po izbach przy basztach, na miasto śląc po jadło i napitek. Kostery i włóczęgi wlokły się już na codzienną z ciurami zabawę, gdy na gościńcu ukazały się jadące wprost

do miasta oddziały zbrojne. Gromadki były okazałe, strojne i w pierwszej chwili, gdy się do dwu bram razem zbliżyły, Szlązacy ulękłszy się w trąby zaczęli dawać znać jak o napaści.

Żołnierz rozproszony po mieście, od dawna ubezpieczony, zleniwiały, odgłosem trąby wołającej na gwałt zerwał się spłoszony. Rozruch powstał, jakby już nieprzyjaciel był w mieście. — Od wrót jak błyskawica popłoch szedł do Rynku. Kramy i ławki z krzykiem zamykać zaczęto, ludzie biegali bez tchu, nikt nie wiedział, co się stało. Strach był tym większy. Od księcia, oklep na koniach, bez nakrycia na głowach, bez zbroi dworzanie popędzili ku wrotom. W Rynku wołano, iż Łoktek już stoi we wrotach. Tylko co we dzwony na gwałt nie uderzono. Książę Bolesław zbroję sobie podawać kazał, choć prawie pewien był, iż nadjechali ziemianie. W ulicach wołano na żołnierzy i trąbiono, wypadali z szynków bezprzytomni, biegnąc po oręż, którego nie mieli przy sobie.

Tymczasem dwa oddziały, co się razem do dwojga bram zbliżyły, nie okazując żadnych nieprzyjacielskich usposobień, stanęły na strzał z kuszy przed wrotami i herold wyjechał, wołając, że rozmowy żądają. Ludzie na straży poznali, iż Łoktkowy był, bo miał orła jego na piersiach. Nie było się komu z nim rozmówić, póki Fuld i Lasota nie przybyli.

Tym oświadczyli spokojnie, iż ziemianami są krakowskimi, z Sandomierza, Kujaw, Sieradzia, a dopraszają się u księcia łaskawego ucha i rozmowy.

Książę Bolesław już poniekąd był przygotowany. Rycerstwu odmówić do siebie przystępu nie mógł. Kazano tylko czeladzi za wrotami pozostać, a przybyłych ziemian wpuszczono. Poczęli tedy wolnym krokiem wjeżdżać mężowie poważni, sędziwi, lat dojrzałych, wyznaczeni znać do stawienia się przed księciem, strojni wytwornie, na koniach pięknych. Żaden królewski dwór nie powstydzilby się był tak pięknego orszaku. Przy każdym prawie jechało pacholę z tarczą, na której zawołania miały godła swe malowane albo z kruszcu wysadzane.

Jechał przodem Żegota Toporczyk, rycerz mężny i sławny, wiodąc za sobą innych swego rodu, ludzi z obliczami pańskimi, wojowniczej postawy. Za nim postępowali Trepkowie, będący u księcia Władysława w zachowaniu wielkim, za nimi Jaksy, Gryfy z Ratuldem, mężem wiekowym, ale jak dąb czerstwym i silnym; Jastrzębiec Mszczuj, podkomorzy krakowski, wiodący swoich, ile ich było w tej ziemi i z Mazowsza kilku. Jechał dalej Petrosław Lis ze Mstyczowa, a przy nim młody jeszcze Prandota z Koziegłów i Śreniawici krakowscy i sieradzcy, a między nimi Kmitowie. Dalej Nałęczce, choć w niewielkiej liczbie, bo z tych dużo za śmierć Przemysławową pokutowało, i Abdanki, i Pobóg, Przedbór z Koniecpola z Jakubem sieradzkim. Bogoriów kilku, Ligęzowie z Bobrku, Brogi ze Skarzeszowa, Gozdawy, Strzemięczycy z Zębocina, Nieczujowie sandomierscy, Role z Wielkiej Polski, Trzaski z Sieradzkiego, Radwany, Slepowrony, Dąbrowy z Rostkowa, Wawrzętowie i innych mnogo, których *szczytów* wszystkich wyliczać trudno. Niemało też między nimi duchownych było, którym przód dawano, okazując uszanowanie.

Gdy wspaniały ten, długi pochód rozwijać się począł wśród ulic, Szlązacy, szląski żołnierz i potęga Szląska tak jakoś przy nich zmaląła, iż ci przybywający, choć oręża nie dobyli, zdawali się tu panami prawnymi, a wszystko reszta cudzym i naniesionym. Mieszczanie, co z okien i drzwi na poły pootwieranych spoglądali, czuli w duszy, iż to jechali panowie a dziedzice tej ziemi, a z nimi szła sprawiedliwość. Na twarzach jadących taki spokój panował, a oblicza mieli tak jasne, jakby nie wjeżdżali garścią prawie bezbronną w środek nieprzyjacielskiego obozu.

Milczeniem przyjmowało ich miasto, Niemcy się kryli, niewiasty przerażone płakały, zdało się wiernym, iż jechało nie ziemiaństwo, ale sam Łoktek, ów mały, a straszny, a z nim dzień sądu.

Ciągnęli jakby naumyślnie powoli, konie wstrzymując, gwarząc pomiędzy sobą, śmiejąc się, pewni siebie. A że gdzie indziej miejsca nie było, by wszyscy razem zgromadzić się mogli, przeto na Rynek przybywszy, tu się ustawiać zaczęli, rodami, szczytami, ziemiami, zawołaniami, ze starszyzną na przedzie, która sędziwe stanowiła grono.

Na ratusz zbiegający się mieszczanie, gdy ich tak przeważnie wciągających ujrzeli, struchleli od trwogi. Wójt stojący w oknie pobladł, zachwiał się i cofnął z niego. Lasota do księcia biegł oznajmiając, iż ziemianie nań oczekiwali. Uprzedziwszy go Fuld, już dał być znać Szlązakowi o liczbie i powadze poselstwa tego. Książę niepewnym się okazał, co pocznie. Widać było, że wszelką stracił otuchę. Kazał jednak podać sobie zbroję swoją turniejową, z orłem na piersi, szyszak złożony, miecz godowy, płaszcz książeccy a dworowi przywdziać szaty i uzbrojenie odświętne. Już miał na koń siadać, gdy nagle zachwiał się, rozmyślił i pozostał na wójtowym dworze.

— Niech z między siebie przedniejszych mówców wybiorą — rzekł do Lasoty — i przyślą do mnie. Ze stu naraz mówić nie mogę. Wszak jedno myślą, gdy kupą jadą, dość kilku do rozprawy.

Gdy poselstwo to na Rynek przyniósł Lasota, starsi wyjechali na środek, rozmówili się z sobą, porozumieli i wybrali Żegotę Topora, Trepkę, Mszczuja Jastrzębca, Petrosława ze Mstyczowa i Ligzę. Młodszego Trepkę za oratora wyznaczono, któremu inni posiłkować mieli.

Albert wójt, choć w trwodze od rana po bezsennej nocy, czując, że i on pociągniętym tam być może, odział się jak na uroczyste posłuchanie, łańcuch włożył, miecz przypasał i z ratusza tyłami do swojego domu przeszedłszy, na dole czekał. W ulicach starał się nie być poznanym, bo zdrajcą go wszyscy wiedzieli, obawiał się napaści.

Książę Bolesław stał we zbroi, szyszak w rękę trzymając, w postawie dumnej i pańskiej, więcej serca chcąc okazać, niż go może miał, gdy weszli oratorowie. Powitali go ukłonem niskim, z poszanowaniem Piastowi należnym, choć tam już onej krwi starej, którą pochłonęła niemiecka, ani kropelka się nie odzywała w piersi zamkniętej. Książę witał uprzejmie, acz po twarzy widać było, że wielce się frasował.

Wystąpił Trepka ze słowem:

— Przychodziemy tu do Miłości Waszej, od siebie i od prawego pana naszego, księcia Władysława, ziem tych ojczyce i dzieci, z pokłonem i prośbą. Wasza Miłość zająłeś dzielnicę, która mu nie przynależy, ale panu Władysławowi, chcesz ją sobie przywłaszczyć, co jego dostojęństwu i zacności nie przystoi. Wezwali Waszą Miłość płosi ludzie, ledwie od niedawna tu osadzeni, niemieccy mieszczanie krakowscy, których dobrodziejstwa obsypali Bolesław i Leszek, niewdzięczni, a prawa tu nie mający. Więc wojna stąd i rozlew niewinnej krwi chrześcijańskiej przyjść musi; bo pan nasz prawy, któremu my wierni jesteśmy wszyscy i wiary dochowamy, jako całe życie praw swych bronił i nieustraszony był, tak się też strwożyć nie da i bez walki odegnąć.

— Miłościwy Panie — dodał stary Żegota. — Pomyślcie sami, co byście czynili, gdyby wam po przodkach odziedziczoną dzielnicę waszą wydrzeć chciano? Bronilibyście ojcowizny do ostatniej kropli krwi, tak też pan nasz będzie jej strzegł i walczył za nią.

— A że zdolnym jest obronić się — rzekł Mszczuj Jastrzębiec — Wasza Miłość to wiesz, boś z nim walczył.

Na wspomnienie to swej niewoli młodzieńczej książę Bolesław zarumienił się, a Jastrzębca, nieopatrznie gorączkę (jak oni wszyscy rodem bywają), że się wyrwał ze słowem gorzkim, wnet drudzy odciągnęli, mówić już mu nie dając.

Bolesław czerwienił się i blednął.

— Jam ci tu nie przyszedł po samowoli — odezwał się. — Ciągniono mnie i wciągnięto zapewniając, że ziemie wszystkie chcą tego. Jeżeli kto winien, to mieszczenie krakowscy i wójt ich, bo ten mi ręczył, że z wolą wszystkich przybywał do mnie. Nie łakomy jestem cudzego, ale nie godziło mi się odrzucać, co samo się oddawało. Przecież ziemiaństwo krakowskie nie jeden raz panów sobie wybierało i zmieniało.

— Ale Niemcy mieszczenie nam ich nie narzucali! — odezwał się Żegota. — Oni tu przybysze, my ojczyce.

— Proszono mnie, kłaniano się, domagano — odezwał się Opolczyk. — Ściągnąłem wojsko, niemało miałem utraty, a teraz chcecie, abym ustąpił sromotnie?

— Miłościwy Książę! — mówił Trepka — ustąpić nie będzie sromotą, ale czynem szlachetnym i poczciwym. Waszą Miłość ludzie niegodziwi uwiedli i w tę matnię wprowadzili. Wina i srom pada na zdrajców, Waszej Miłości zostaje cześć i sława, żeś sprawiedliwym być umiał!

Wyrazy te pochlebily księciu, skłonił głowę, dziękując za nie.

— Nie jestem żądny ani ziemi, ani panowania — dodał — ale sławy swej strzec muszę i będę, a uszczerbić jej nie dam.

— Nie poniesie ona szwanku żadnego — odezwał się stary Toporeczyk — owszem, nowym się okryje blaskiem.

— Wojna jest sprawą nieobrachowaną i niepewną — dorzucił Jaksza Ratuld — komu Bóg w niej poszczęści, nie wiadomo. Ziemian nas wszystkich, ile jest Krakowian, Sandomierzan, Sieradzan, pan nasz mieć będzie z sobą. Mimo wieku krzepki jest, niezmordowany, nigdy w życiu żadnej się walki nie uląkł. Zechceszli Wasza Miłość wojować, z mieszczan pomoc niewielka, a swojego rycerstwa stracić można wiele. Książę Władysław na Kraków ciągnie, aby swój gród, żonę i dzieci odzyskał, ale przelewu krwi nie pragnie i posyła nas ze słowem pokoju.

Stał walcząc z sobą książę Bolesław, patrząc w ziemię, ramionami potrząsając, zbroja zdradzała oddech pospieszny i wewnętrzną walkę z sobą. Wszyscy milczeli patrząc nań. Wystąpił opat miechowski, od którego wójta brat, Henryk, majątności trzymał dzierżawą. Ten lękając się o swe mienie, Łoktkowi chciał służyć i odezwał się też, księcia nakłaniając do zgody i pokoju.

Książę przekonany już był i szło mu więcej o sposób, jakim się miał wycofać, niż o sprawę samą, bo ją miał za straconą.

— Widzicie sami — odezwał się — iż ja uwiedziony zostałem i tak jak wasz pan zdradzony, oszukany. Wojny się nie lękam, ale też jej nie pragnę, zawojowywać nie chciałem, zamkiem nie brałem, choćbym mógł. Szedłem, bo mnie wołano, za cóż pokutować mam...

— Niech winni a zdrajcy pokutują, nie Miłość Wasza — rzekł Jastrzębiec — przede wszystkim wójt, który wszystkiemu przyczyną. Ten gardło powinien dać.

Książę nic na to nie odpowiedział. Chwilę myślał i odezwał się ociągając:

— Powiedzcie księciu Władysławowi, jak was przyjąłem, zanieście mu i tę odpowiedź ode mnie, że jego ziemi zawojowywać nie miałem zamiaru. Dawano mi ją, zawierzyłem ludziom złym! To cała wina moja!

— Miłościwy Panie! — przerwał opat gorąco — nie ma tu winy żadnej. Nie ten winien, kto zawiera, ale kto zawodzi.

Książę Bolesław weselej patrzył, zawiązała się rozmowa poufalsza. Przystąpił stary Żegota, za nim inni, okazując mu uszanowanie, ochraniając cześć jego, wychwalając miłość pokoju. Wszyscy też radzi byli, że się sprawa daleko lepiej kończyła, niż się spodziewali. Lica się rozjaśniały. Żegota i Ratuld, mający do tego od księcia upoważnienie, na stronie po cichu umowę z księciem Bolesławem dokonywali, o której warunkach głośno nie mówiono. Do czego się oni zobowiązywali w imieniu Łoktka, nie wiedział nikt, ale całe zgromadzenie ziemian porękę dawało, że co przyrzeczono, dotrzymanym będzie.

Gdy na górze się losy nie tylko stolicy tej, ale wszystkich ziem rozstrzygały spokojnie, wójt Albert stał sam, opuszczony od wszystkich, w sumieniu niespokojny, wiedząc, że się przebaczenia spodziewać nie może ani od księcia Bolesława, którego o ciężki zawód przyprawił, ani od Łoktka zdradzonego. Myślał tylko, jak ująć, życie i mienie ocalić. W izbie swej przyciemnionej rzucał się chodząc, odzież szarpiąc na sobie i jęcząc z bólu. Czasami stawał i słuchał głosów, które go przez drzwi na pół otwarte dochodziły z góry, starając się odgadnąć, co postanowi Szlązak, z czym odejdą posłowie.

— Sromać się będzie precz iść i ustąpić — mówił w duchu — książęciem jest, nie da się wygnać ze wstydem. Będzie musiał wojnę prowadzić, a czasu wojny i my, i Kraków mu potrzebny!

Mówił tak, ale sam nie wierzył w taki obrót sprawy i trwoga przychodziła a zwątpienie. W tej męczarni i niepewności długie mu się godziny w izbie spędzone wydały, lecz im bardziej przeciągało się posłuchanie, tym więcej wmawiał w siebie, że wojna jest nieunikniona.

Tak na przemiany rozpaczając i nabierając otuchy, Albert w końcu zabierał się wychodzić, aby o losie swym rychlej się dowiedzieć, zamyślając, gdyby Bolesław wyszedł, uciekać do Czech, do Boskowiczów, układając tylko środki uratowania nagromadzonego grosza, gdy na górze dała się słyszeć wrzawa jakaś, suwanie nogami, wykrzyki głośniejsze, jakby goście żegnali się z księciem. Wprędce potem zacięli posłowie ze wschodów się spuszczać, cisnąc się, stąpając silnie i rozmawiając głośno. Z pierwszych wyrazów, jakie go doszły, nie mógł się omylić; odzywała się radość i zwycięstwo. Albert oczy zakrył dłońmi.

Nim przyszedł do siebie, drzwi, u których stał, rozwarły się nagle z trzaskiem. Fuld wpadł z trzema pachołkami uzbrojonymi. Dowódca, który wczoraj z wójtem był jeszcze dosyć przyjacielskim, ukazał się wcale innym człowiekiem. Wchodził z brwią ściągniętą, wąsa muskając.

— Książę rozkazał mi was ująć i do więzienia dać — rzekł sucho.

Wyrok ten, po wszystkim, co doznał przed chwilą, Albert przyjął prawie obojętnie. Fuld, nie myśląc się wdawać w rozmowę, skinął na ludzi, a sam się do drzwi zawrócił. Wójt rzucił się na zydel i sparł o ścianę. Zbrojni stróże stanęli przy nim.

Posłowie powracali do swoich na Rynek. Gdy wychodzili z domu wójta, we drzwiach ciżba ogromna ludu czekała na nich ciekawa, wypatrując, co niosą. Śmielsi rzucali pytania, ale nikt się nie wdał w rozmowę. Twarze wypogodzone, oczy wesołe za odpowiedź służyły. Gawieź popatrzwszy rozpraszać się zaczęła po mieście.

Tymczasem do stojących w Rynku, szczególnie Krakowian, garnęli się i przysuwali dawniej znajomi mieszczanie. Zawiały się rozmowy, narzekano po cichu, ziemianie milczący byli.

Powracający od księcia do swoich, głośno tu z niczym się nie wypowiedzieli, dawano sobie znaki nieme, szeptano cicho. Wkrótce rozległo się hasło:

— Na konie! Na konie!

Żegota, nie zsiadłszy nawet ze swojego, przodem już jechał ku wrotom, drudzy spieszyli na nim. Miasto, jak rażone straszny ciosem, martwe stało...

Niemcy czuli, że nadchodziła zła godzina. Biegli do domów swoich z rozpaczliwymi ruchy, ręce łamiąc, niewiasty jęczały i zawodziły. Nie wiedziano nic, ale przeczucie straszne trwożyło.

W ratuszu dwaj wójtowie chodzili po izbie radnej sami, bo Herman z Raciborza, zobaczywszy powracających posłów, wybiegł na zwiady. Na wschodach spotkał pisarza Gotfryda zbladłego, trzęsącego się, który wyjąknął:

— Alberta pod straż wzięto!

Jak piorunem raził go tym słowem.

Wójt pod strażą, uwięziony, znaczył wyrok na miasto, Oddawano więc je na łup i pomstę Łoktkowi.

Prawie w tejże chwili trąbienie dało się słyszeć w ulicach. Szlązacy się zwoływali. Konni posłańcy od księcia zaczęli w cwał pędzać po zaułkach i kątach, krzycząc i wyciągając ludzi, jakby nieprzyjaciela mieli na karku. Miasto przedstawiało obraz dziwny. Od dni kilku panowała w nim jakaś trwoga, rozdwojenie, niepewność jutra. Teraz, jak na dane hasło, co żyło, poruszało się, spieszyło, usiłując ratować, a nie wiedząc, gdzie szukać ratunku. Szlązacy zbierali się kupami i przeczuwając rychły odwrót, chwyтали, co napadli pod ręką, mieszczanie bronili swej własności, tłumiono zbytnią wrzawę, aby nie wywoływać gwałtów i rabunku. Kto mógł, zamykał się w domu, bojaźliwsi chwyтали kosztowności i pieniądze, szukając kątów, w których by je ukryć mogli. Sąsiedzi biegli do bliższych dowiadywać się, radzić, obmyślać wspólną jakąś ochronę.

Wieść o uwięzieniu Alberta obiegała już miasto, z przyjaciół jego nikt pewnym bezpieczeństwa nie był. Wszyscy uchodzić chcieli, ale okolica zalana była oddziałami Łoktka.

Szlązacy też rozbijali po drogach, łotrzyków pełno było wszędzie. — Nie wiedzieć, gdzie skryć się i co z sobą począć było!

Wśród głuchego gwaru niekiedy rozległ się trzask gwałtownie zamykanych wrót, zapadających wrzeczadźców. W dziedzińcach roilo się wystraszonymi. Niektórzy wybiegli do klasztorów i kościołów, dla siebie lub mienia swego szukając schowki i opieki.

Z jednej strony, co trzymało z wójtem, Hermanem z Raciborza i zausznikami jego, cisnęło się do kamienicy w Rynku, aby tam radzić o sobie. Przeklinano Opolczyka, łajano Alberta, że nie przewidział wcześniej tak strasznego końca.

Drudzy, Paweł z Brzega, Hincza Keczer, wszyscy przeciwnicy Alberta, głośno się odzywali, że miasto o sobie samo radzić musi, bronić życia i majątku.

Hincza wołał:

— Radcy nie radcy, wszyscy, kto ma głowę do ocalenia, na ratusz. Trzeba myśleć o sobie, gdy rozjątrzony pan tu wnijdzie, nie czas będzie się tłumaczyć! Na ratusz!

W ratuszu pachółkowie nie wiedzieli, kogo słuchać, ale Hincza i Paweł podnieśli głos, tak stanowczo rozkazując, iż się im sprzeciwić nie śmiano. Wyprawiono gońców po tych, co z wójtem nie trzymali. Powołani znaleźli się łatwo, czuli wszyscy nadchodzącą sądną godzinę. Od Szlązaków wiadano już, że otrąbiono zbieranie się nazajutrz i wyciąganie z miasta, które samo sobie oddane być miało na mściwą prawicę Łoktka.

Pawłowi, który wobec niebezpieczeństwa całą swą żywość odzyskał, przyszło na myśl Marcikiem się posłużyć. Trudność była wywabić go na miasto, dopóki w nim Szlązak gościł.

Wystraszeni znaleźli się na ratuszu Hincza Keczer, Niklas z Zawichostu, Pecold z Rożnowa i inni. Gdy tych idących do radnej izby z okna domu swojego w Rynku zobaczył Herman z Raciborza, niepokojem tknięty, wyrwał się także do nich.

Ledwie się w progu ukazał, gdy Paweł zakrzyczał;

— A wy tu po co? Z kimeście trzymali, do tego idźcie! Dla was tu miejsca nie ma.

Herman wstrząsnął się z gniewu, chciał się kłócić, lecz wszyscy odstąpili od niego jak od zapowietrzonego i od progu musiał nazad iść, przeklinając i grożąc.

— Mamy ginąć — zakrzyczał rękę podnosząc — niechże wszyscy giną, niech ginie miasto całe. Podpalemy je na cztery rogi!

Idący właśnie na górę Hanusz z Muchowa, spokojny człek, usłyszawszy to, zatrzymał go i zawołał donośnie:

— Słuchaj, ty! Niech tylko iskierka błysnie, a ja cię sam przyciągnę i dam obwiesić pod ratuszem. Tak mi Bóg zdrowie daj!

W izbie radnej wrzało narzekaniami.

— Jęczeć i kłać babska rzecz — zaryczał ogromnym głosem Hincza Keczer — radźmy!

— Gdyby rada jaka była! — przerwał Piotr Moryc.

— Jest rada jedna, że choć się wszystkich nie ocali, niektórym przynajmniej łby na karkach zostaną — odezwał się Paweł z Brzega. — Szlązacy jutro wychodzą, my musimy jechać do księcia Władysława, aby mu pokazać, żeśmy nie wszyscy z Albertem trzymali, a prosić i błagać, by łaskaw był.

— Tak — odezwał się Hincza z Dorneburga — i pierwszych, którzy mu się przed oczy nawiną, w gorącości powiesić każe! Ja go znam! U niego zowie się, że całe miasto winno. Nie przebaczy nikomu! — Zemsta będzie okrutna. Ten, co nas zgubił, pójdzie na Szląsk uwięziony i głowa mu się ostoi na karku, z nas żaden niepewien swojej.

— Nie może to być — przerwał Keczer. — Dużo padnie ofiarą, miasta przecież z ziemią nie zrówna, bo mu ono potrzebne.

— Ale Niemców wszystkich przegna precz!

— Nadto nas jest! Pustki by zostały.

Spiarali się z sobą. Paweł obstawał przy swoim, aby do księcia śłać posłów i dodawał po cichu, że się spodziewa znaleźć pośrednika, który rozgniewanego Łoktka ułagodzić może.

Zgody na to nie było jeszcze, gdy Fuld, dowódca Szlązaków wpadł na ratusz, nie tak jak dawniej, gdy tu przychodził na przyjacielską biesiadę, ale jak napastnik.

Za nim gromada Szlązaków się parła.

— Kto tu z was starszy teraz? — zapytał.

— Nie ma tu starszego, bo wójta trzymacie pod strażą — rzekł Paweł.

— Jest przecie dwóch wójtów jeszcze.

— Tych tu nie ma!

Hanusz z Muchowa, poważny człek, wystąpił nieco.

— Czego chcecie? — spytał.

— Opłacić nas musicie — zawołał Fuld. — Nie braliśmy żołdu. Książę go nam nie da. Musimy z miasta wziąć. To jego wola.

Spojrzeli wszyscy po sobie.

My skarbcem nie rozporządzamy.

— Kluczy nie mamy — rzekł drugi.

— Dawno w skrzyniach pustki — dodał trzeci.

Szlązacy cisnęli na Hanusza.

— Skarbiec? Gdzie skarbiec?

— Gdzie chowacie skarby?

Nikt nie odpowiadał.

Wtem jeden z zuchwalszych Szlązaków za gardło pochwycił najbliższego stojącego mieszczanina, a za jego przykładem drudzy porwali się do innych. Uchodzili spłoszeni ku drzewom, ale tu mocna straż stała odpychając berdyszami.

Krzyk powstał i wołanie na gwałt, aż jeden duszony o skarbcu miejskim powiedział, gdzie jest. W drugiej izbie skrzynia była żelazna, kowana, wielka, do ściany sztabami w mur wpuszczonymi przytwierdzona. Kluczów od niej nie miał nikt, a było ich trzy różnych.

Fuld natychmiast kazał odbijać zamki. Toporów kilka, jakby naumyślnie tam porzuconych, stało przy ścianie. Porwali je Szlązacy. Mieszczanie z obojętną jakąś rezygnacją patrzali na to łupiestwo. Nikt nie bronił. Ze skrzynią, która niemal cała była jak zbroją żelazem opancerzona, trudniej szło, niż się zdało zrazu. Topory żelaza nie brały, a drzewa na wierzchu tak jak nic widać nie było. Chciwe żołdactwo rzuciło się do skarbcza z taką siłą, że w końcu zamki prysnęły, wieko pękło, poczęli miotać zeń drzazgi i dostali się do wnętrza. Wewnątrz była skrzynia na dwoje podzielona. W jednej części leżały pergaminy z pieczęciami przywieszistymi, w drugiej na dnie tułało się trochę praskich groszy szerokich. Szlązacy ze złością poczęli pergaminy miotać i szarpać, mieczami je ciąć, na podłogę ciskać, nogami deptać. Drudzy rzucili się do srebra i garściami je rwali, tak że Fuld musiał obuchem po łbach tłuc, aby zmusić do odstąpienia.

Niewiele się tu pożywili, ale miasto miało puchary, bechery, *roztruchany*, misy srebrne, które też w skarbcu leżały. Te wszystkie padły ofiarą. Było kilka łańcuchów złotych i pozłocistych, które mieszczanie dali do schowania, zabrano i te, nie pytając, czyje były. W końcu drewniane dno skrzyni pokazało się przysute pyłem i okryte sukna kawałami.

Z łupem swym, wietrząc jeszcze po kątach, chwytając, co lepsze było i zdatne dla nich, Szlązacy, jak trzoda głodnych stworzeń, obrzemienieni nazad się zaczęli z ratusza wynosić.

Niemi i zrozpaczeni stali mieszczanie.

— Sądny dzień! Sądny dzień! — powtarzał Hanusz z Muchowa. — Za grzechy pokarał nas Bóg. Ale to początek dopiero!

Ze spuszczonej głowy stali tak długo, aż Hincza Keczer, zobaczywszy poszarpane pergaminy, podarte księgi, połamane pieczęcie, pierwszy począł je z podłogi podnosić z poszanowaniem i w milczeniu smutnym nazad je do pustej składać skrzyni.

— Pozostało nam choć świadectwo, żeśmy ongi przywileje i prawa mieli — rzekł smutnie. — Przepadną one teraz wszystkie i my z nimi.

Jęczeli wszyscy.

Wieczór nadchodził. Nikt nie myślał o zaprowadzeniu ładu i bezpieczeństwa w mieście. Veit zniknął, wiertelnicy się rozproszyli i pochowali. Wójtów nie było, władzy i rządu nie było. Szlązacy

plądrowali. Kto czeladź miał, uzbroiwszy ją, trzymał we wrotach ku obronie, aby napaść odeprzeć. Szeluta i inni browary zawczasu pozamykali, ale żołnierze po-odbijali wrota. Beczki wytoczono i pito nie płacąc...

Na zamku, dokąd Musza już dał znać o wszystkim, radość panowała wielka, Marcik czekał tylko, by wyciągnęli Szlązacy.

Nocą Muskata w szarej opończy, przebrany, chciał się z miasta wydobyć, ale mu znać dano, że oddziały Łoktka w pobliżu się włóczą. Musiał powrócić, a nad ranem, pieszo przemknąwszy się do dominikanów, znikł w ich klasztorze.

Ledwie na brzask się brało, gdy Szlązacy cicho, chorągwie pozwijawszy, z miasta się wysuwać poczęli, a za nimi wozy ładowne i konie poobjuczane. Księcia Bolesława wschodzące słońce już tu nie zastało. Najliczniejszy oddział wyciągnął Floriańską bramą, prowadząc z sobą pod silną strażą uwięzionego wójta Alberta.

Rozdział dziesiąty.

Słowiki śpiewały w wierzbach i zaroślach na Powiślu, po miejskich ogrodach i po gajach, nie wiedząc i nie troszcząc się o to, że jęki i narzekania wtórowały im w grodzie całym.

Ranek wschodził wesół, wiosenny, okryty rosą, zielony. Marcik stał na wałach, trzymając się w boki i patrzył, a serce mu biło żywo. Czekał tylko na to, by mógł bramy otworzyć bezpiecznie, a ludzi wygłodzonych i znękanych puścić, aby się na Okolu przewietrzyli.

Mieli mu dać znać, gdy ostatni Szlązak będzie za bramami. Tymczasem Paweł z Brzega sam, nie czekając na innych, spieszył pod zamek, pot ocierając, bo mu przy jego tuszy i to ranne ciepło już było ciężkim do zniesienia. Marcik, postrzegłszy go z dala, poznał uradowany, nim on go zobaczył.

— Oho! Idzie koza do woza — rzekł śmiejąc się — Paweł jak w dym do mnie!

Po wałach pobiegł przeciw niemu wołając:

— Paweł! Bywaj! Co u was słyhać?

— Trupami, trupami u nas czuć! — westchnął, ręce ku niemu wyciągając mieszczanin. — Marciku, stary druhu! Ratuj!

— Ja? — rozśmiał się Suła — albo to w mocy mojej ratować tych, co pana zdradzili? Ja, mizerny człeczyna, miałbym się na co przydać?

— Każ no mnie wpuścić furta, na rany Chrystusowe — począł Paweł — w mieście nikogo nie ma. Musimy pomówić z sobą.

We wrotach ludzie pogotowiu już stali, rychłoli otwierać każą, gdy Paweł zapukał. Puszczono go zaraz. Łzy miał na oczach rzeźnik i razem je z potem ocierał.

— Marciku! Przyjacielu! Byłeś nam druhem, bądź nam obrońcą! Ratuj miasto! — jęczeć począł.

— Pana Boga prosicie, nie mnie — rzekł smutnie Suła. — On chyba jeden ratować was może. Nie wiem, czy gdyby nasz święty Stanisław, z grobu wystąpiwszy, rzekł panu naszemu: Przebacz im — nie wiem, czy jego by posłuchał. Ci, co go widzieli i słyszeli, powiadają, że nigdy w życiu tak gniewnym nie był jako dziś. — Poprzysiągł, że zdrajcom nie pofolguje.

Paweł, oczy sobie zakrywszy, zajęczał. Milczeli. Marcik patrzył w dal.

— Słuchaj, Suła — odezwał się rzeźnik. — Czy my co potrafimy, czy nie, to Bóg wie, ale próbować potrzeba. My, cośmy z wójtem nie trzymali, bo za nami to poświadczyć możecie, chcemy z błaganiem jechać przeciw niemu. Jedź ty z nami!

Marcik się strząśł. — Dajcie mi pokój, ani mogę, ani chcę!

On, jak jest teraz w gniewie, mnie by razem z wami gotów dać obwiesić.

Przerwał i spytał żywo:

— A z wójtem co się stało?

— Uwięził go Bolesław i zabrał z sobą. — Bedą go trzymali w lochu, ale głowę ocali i wykupi się może, nie on, to brat znajdzie na to. My, choćbyśmy uchodzić chcieli, nie mamy dokąd. Domy, ludzie, żony, dzieci... (zajączał). Suła! Człowiecze, coś serce miał, jedź z nami. Miasto ci się...

Nie dokończył, gdy Marcik mu przerwał.

— Co? Miasto mi zapłaci? Wy mnie kupować myślicie? Fartuchem twarz ocierając i wzdychając jak miechy, Paweł słowa nie znalazł na uniewinnienie.

— Marciku — zawołał — miałem cię za druha! Chleba i soli z sobą zjedliśmy dużo, a teraz, gdy burza nadchodzi, ty...

— Tak ci jest — przerwał Marcik — jadłem chleb i sól waszą, ale mi one złością były zaprawne. Jedyna rzecz, której od was pragnąłem, ta niepocziwa Greta, drwiła ze mnie, popychała, wodziła nadaremnie. Życiem dla niej zmarnowałem.

— A cóż ja na to mogę! — westchnął Paweł. — Wiecie, wyjechała znowu do Wrocławia. Tam pewnie gachów ma i jak mnie, jak was, tak ich wodzi. Co wam po niej!

— Co po niej? — odezwał się Marcik gorąco. — Dajcie mi ją tylko, a ja sobie z nią poradzę.

— Jakże ja ci ją mam dać, kiedy jej nie ma — odparł tęsknie Paweł — a gdyby i była, ona ze mną jak z wami robi, co chce.

Zamyślił się rzeźnik, oczy w ziemię utopił i podnosząc je z wolna na Marcika, odezwał się cicho:

— Wiecie co? Hm! Wiecie co? Ja ją znam. Jak się tylko dowie, że wójta nie stało, powróci pewnie do Krakowa. Ja, prawdę rzekłszy, jestem jej opiekunem, choć nie wiem, kto nad kim z nas

ma opiekę. Klnę ci się na Boga, wezmę się do niej ostro, zmuszę, uproszę, weźmiesz ją. Będziesz ją miał!!

Marcik posłyszawszy, cały rozradowany, skoczył go ściskać.

— Przysiąż! — zawołał.

— Gotówem, ale pojedziesz z nami do księcia.

— Kat bierz! Pojadę! — krzyknął Marcik. — Ale Greta moja!

Paweł głową kiwnął. Czynił ofiarę niemałą, bo, bo miał może nadzieję, że sam ją weźmie.

— Stójże tu — mówił spiesznie Marcik. — Biegnę do kasztelana Pakosława opowiedzieć mu się. Pomogę wam, ile zmożę. Bóg jeden wie! Ale Gretę choćby przyszło gwałtem brać, pomożecie mi?

— Bierz, bierz! — zamruczał Paweł — choć... stanie ci ona kością w gardle!

— Gardła ja swego dopilnuję — rzekł Marcik wesoło — byłem ją miał!

Około południa gromadka z kilkunastu koni złożona, z Marcikiem Sułą na przedzie, z miasta wyciągnęła. Miano języka o księciu, że już w drodze do Krakowa był, bo Trepka wprost doń jechał, oznajmując, że miasto otworem stoi.

Trzeba było tylko Szlązaków przepuścić, nie spotykając się z nimi, bo gdyby się zetknęły dwa wojska, Łoktek za swoich nie ręczył, do utarczki przyjść mogło.

Z Marcikiem jechali do księcia: Paweł, Hanusz z Muchowa, Hincza Keczer, Niklasz z Zawichostu i Amylej z Muchowa. Czeladzi z sobą wiele nie brali, chędogo, lecz ubogo, od miasta w żałobie wybrali się posłowie.

W drodze ledwo kto przemówił słowo, patrzali z trwogą przed się, a u każdego krzyża zegnali się, wzdychali, czapki zdejmowali pokornie, Pana Boga prosząc, aby cało powrócili.

Marcik nic nie obiecywał, za nic nie ręczył, tylko za to, że pana będzie się starał złagodzić i za dobrymi ludźmi wstawi się gorąco.

Paweł coraz to w drodze mu do ucha podszeptywał:

— Ja w tym, Greta twoja!

Śmieszna to, dzika była miłość człowieka tego dla płochy niewiasty. Kochał ją lat kilkanaście, a im gorzej mu z nią szło, tym się więcej upierał. Było z nią jak z zamkiem oblężonym, który gdy się żołnierzowi mocniej broni, tym on doń zajadlej szturmuje. Teraz już pewnym będąc, te ją mieć będzie, choć po niewoli, roił sobie szczęśliwość taką, jak by posiadał królestwo.

Po drodze mieszczanie pilno się starali dostać języka o Łoktku, aby niespodzianie się z nim nie spotkali. Ci, których pytali, odpowiadali różnie, jedni — że jeszcze w Sandomierzu był, drudzy — że w Wiślicy, inni — że w Sądczu. Nikt na pewno nie wiedział, gdzie się obracał. Książę obyczaj taki

miał, że o sobie umyślnie fałszne puszczał wieści, a najczęściej się tam znalazł, gdzie go się wcale nie spodziewano.

Paweł włosy sobie rwał na głowie, bo mogło się to stać, że gdy oni przeciwko niemu jechali, on tymczasem na Kraków wpaść mógł i miasto zburzyć.

Dnia trzeciego, około południa, gdy postawszy trochę w lesie, aby burza przeciągnęła, dalej ruszali, niedobrze wiedząc, kędy ciągnąć, Jurga, który przodem pobiegł za językiem, nadskoczył wołając, że w pół mili księżę obozem leży...

Mieszczanie, choć do niego jechali, dowiedziawszy się, że go mają tak blisko, struchleli. Paweł i kilku z nich zupełnie męstwo stracili. Po drodze, na noclegach, Marcik im opowiadał, jak czasem, gdy przykładu potrzeba było, Łoktek srogim a nieubłaganym bywał. Wszystko to im teraz na pamięć przychodziło. Marcik, choć mu do pana serce biło, strwożył się w sumieniu, że dla jednej baby, której mu się zachciało, zaprzedał się, mieszczan miał bronić.

— Zostańcie wy tu — rzekł po namyśle do Pawła — ja pojedę przodem, będę się starał serce mu dla was naprawić. Co będzie można, uczynię, kogo zdołam, ocalę.

Zostali więc mieszczanie, a Marcik z Jurgą pojechał. Lecz nim do tego obozu w pół mili się dostał, obóz zwinięto i księżę już był w drodze.

W lesie, goniąc za nim, postrzegł wreszcie Suła pana swego, jadącego z Toporem Żegotą i Trepka. Za nim tuż orszak ogromny, chorągwie i wojsko liczne.

Z konia skoczywszy, począł iść ku panu, który stanął i ręką go witał.

— Suła! Żyweś! — wołał wesoło.

Spojrzał mu w oczy Marcik i uląkł się. Widywał on go w boju, w ucieczce, na tułactwie, i w gniewie, i w utrapieniu wszelkim, lecz takim jak teraz nie pamiętał go nigdy. Błady był, zestarzały, chmurny, straszny, jak by w sobie pełen gniewu, którego wybuch wstrzymywał.

Zapytał naprzód o księżnę i dzieci, rzekł mu Marcik, że zdrowi, a z utęsknieniem oczekiwali na niego.

— Ja też do nich spieszę — odezwał się Łoktek ponuro — spieszę, ale dla wielu straszny i krwawy powrót mój będzie. Ze zdrajcami zrobię rachunek, którego pokolenia nie zapomną! Nie zostanie mi jeden Niemiec w mieście! Wybiję to plemię zdrazieckie. Lepiej żadnego miasta niż to gniazdo plugawe!!

Suła odpowiadać mu nie śmiał. Dopiero wyczekawszy nieco, odważył się szepnąć z cicha:

— Miłościwy Panie! Nie wszyscy w mieście winni, a pięknego miasta zaprawdę żal.

— Wszyscy winni — zakrzyczał bijąc o siodło księżę, tak że koń się pod nim rzucił. — Wszyscy. Ci, co zdradzać nie chcieli, powinni byli wójta pilnować, a bodaj go ubić, niż niepocziwe dzieło dokonał! Myślałem, że już spokojnie panować będę, gdy te łotry znowu zachwieli wszystkim. Gdybym się nie pomścił, Bóg by mnie karał. Poczną jutro toż samo!

Mówił z takim uniesieniem, a ci, co dokoła stali, potakiwali mu tak, że Marcik zmilczeć musiał. Ale po chwili, w nogę pocałowawszy księcia, rzekł znowu:

— Miłościwy Panie, jam świadkiem żywym, że nie wszyscy są winni. Dużo Polaków w mieście i takich, co trzymali zawsze z nami. Żydzi też nam pomagali. Znam i wymienić bym mógł takich, co się Albertowi niepoczciwemu opierali, choć im groził i znęcał się nad nimi. Za mną jadą ci, co byli wam wierni, aby za miastem prosić.

Łoktek się rzucił oglądając.

— Gdzie oni? Natychmiast na gałąź z nimi. Chcieli być cali, niech mi się nie pokazują i w świat uciekają. Nie daruję żadnemu.

Marcik patrzył mu w oczy błagająco.

Księżę mruzczał niezrozumiale, wzrokiem sięgając w głąb lasu, jakby w nim ofiar szukał.

Raz począwszy, Suła nie mógł już ustąpić, nic nie sprawiwszy i poczał po chwili:

— Miłościwy Księżę, znacie mnie za wiernego sługę waszego, moja poręka może zaważy coś, a ja za tych rękę, którzy są ze mną, że z Albertem walczyli i nigdy nie byli z nim.

Kapelan, który na koniu stał niedaleko i słuchał, a zdał się to nakłanianie do łaskawości pochwalać, odezwał się popierając Sułę:

— Pan Bóg dla kilku sprawiedliwych miastom grzesznym chciał przebaczyć.

— Pan Bóg! — odparł księżę. — Jemu to wolno, ale człowiek sprawiedliwym być musi bez litości. — Nie przebaczę nikomu.

Wtem, jakby mu duchowny przypomniał biskupa, zapytał księżę:

— Albert uszedł... a Muskata?

— O tym nie wiem, zdaje się że w mieście być musi — rzekł Marcik.

Łoktek zwrócił się do ziemian, co stali za nim.

— Nim ja do Krakowa nadążę — odezwał się — kto z was ochotę ma, niech mi jedzie przodem, aby Muskata wziąć. Zdradzi mnie znowu dla Czecha lub Szlązaka, wolę go pod kluczem mieć.

Usłyszawszy to Toporczykowie, którzy się zalecić pragnęli, a najlepiej Kraków znali, poczęli się zaraz naradzać z sobą. Łoktek nie pytając więcej, groźby miotał i żale rozwodził. Marcik sprzed konia nie odstępował, a w oczy panu patrzył, aby chwilę szczęśliwą pochwycić.

Wytrzymałszy nieco, odezwał się z wyliczaniem tych, co z nim przybywali, chwalił Pawła, zalecał Hinczę, podnosił Niklasza. Za każdym z tych nazwisk księżę się rzucał i przerwał.

— Idźże ty mi precz z prośbami swymi — krzyknął — a chcesz z nimi, nie ze mną trzymać, ruszaj, gdzie i oni! Wszyscy jednego stryczka warci.

— Nie, Miłościwy Panie — rzekł śmiało Marcik — jesteś sprawiedliwym, będziesz nim!!

— Zły jestem! — zawrzał księżę i umilkł nagle.

Nie było sposobu go rozbroić.

Ziemiańskie z tyłu stojące dawały znaki Marcikowi, aby go nie rozjątrzał bardziej niewczesnymi prośbami. Suła musiał odstąpić w końcu, siąść na koń i w bok zjechałszy wrócić do oczekujących nań mieszczan.

Patrzali nań błagająco, niespokojnie i poznali z lica, że nic im nie przyniósł dobrego.

— Nie zrobiłem nic dotąd — odezwał się do nich — ale pierwsze kotki za płotki, nie myślę poprzestać na tym. Pojedziemy za obozem, na oczy mu się nie nastreczając.

Strwożyli się posłowie krakowscy bardzo. W milczeniu przygotowali się do ciągnięcia i gdy wojsko i dwór pominęło ich, jak Marcik obliczył, jechali w tyle za obozem. Gdy nierychło potem stanęli na nocleg w lesie, bo Łoktek nigdy dworca i chat ani dla siebie, ani dla ludzi swych nie szukał, nadbiegł pacholik od księcia po Marcika, aby się do niego stawił.

Obóz rozłożony był w dębinie, bez namiotów nawet i szałasów, gęsto strażami ostawiony, bo się zdrady od Szlązaków lękano. Mało kto nawet zrzucił całkiem zbroję, rzemyków tylko popuszczano i hełmy zdjęto ze skroni. Kilka ognisk rozłożonych oświetlało obozowisko to, któremu ziemianie dawali świetności, bo się wybrali okazale z domów, cześć panu czyniąc.

W prawdziwie królewskim też orszaku jechał Łokietek, nienawykły do niego, a bogate rycerstwo daleko świetniej niż on sam się stawiło. Wśród postrojonych ziemian swoich on jeden miał starą, szerniałą, wierną swą zbroję, noszącą na sobie ślady włóczni i mieczów, które się o nią rozbiły, i ów płaszcz stary, na którym krew nieprzyjaciół poprząsywała. Powracał znowu do gniazda, zwycięzca, ale bez bitwy, smutny, jakby nie był pewnym, czy los go raz jeszcze nie wygna. Ziemiańskie patrzali nań z dala z poszanowaniem i obawą.

Straszny był a groźny. Ciężyły na nim niepowodzenia lat wielu, walki od życia początku, gorycze wygnania, upokorzenia, niedostatku. Czoło się fałdowało troskami przeszłymi i przeczuciami przyszłości. Już pół wieku miał za sobą wspomnień czarnych.

Zawołany Marcik stał przed nim. Księżę, dawszy mu chwilę czekać, rozpytywać jął o zamek, o obronę jego, o księżnę, jak te dni trwogi przebyła. Suła opowiadał, że Szlązacy prawie się o zdobywanie go nie kusili, że głodu wielkiego nie doznali, bo z miasta ich posiłkowano tajemnie. Uderzyło to księcia, spojrzął i nie rzekł nic. Marcik korzystając z tego, że mu mówić było wolno, rozwódzić się zaczął nad Albertem i sprawami jego, nad samowolą i tyranją, którą on gnębił mieszczan. Dowodził mocno, że oprócz garści jego zauszników nikt w mieście nie lubił go, obawiali się wszyscy, niektórzy jawnie się opierając, życia nie byli pewni. Przy tej sposobności wymienił znowu tych, których prowadził z sobą, i innych wielu, jako łaski pańskiej godnych. Suła pogotowiu kazał być posłom, aby, gdy Łoktka przygotowuje, mógł mu ich do nóg przyprowadzić, ale księżę przekonać się nie dawał, groził i w gniewy wpadał.

— To psie gniazdo całe wytłuc potrzeba — mówił — jeżeli jeden winny ujdzie bezkarnie, ja nigdy spokojnie, bezpiecznie na zamku nie będę mógł usiedzieć. Wójta zażądają, co by jak ten

panem był, i własnych rządów!! Nie! nie! Ja z zamku nimi żelazną ręką rządzić będę, z mego ramienia wysadzę urzędników, co ich w kluby wezmą. Swobód im nie dam żadnych, zdradą je stracili.

Ziemiańskie, którzy kołem stali, potakując panu, miasto oskarżali. Sługa wysłuchawszy tego, pokłonił się, wysunął i wrócił do mieszczan, mówiąc z westchnieniem:

— Nie pora jeszcze!

Nazajutrz rano, jak dzień, kapelan mszę odprawiał pod dębem, na darniowym, naprędce wystawionym ołtarzu. Pan, dwór i czeladź stali z odkrytymi głowami słuchając jej. Msza się odprawiała cicho, pieśni nie było komu zanucić, a i w piersiach nie na pieśń się zbierało. Już przeżegnał ksiądz i Łoktek odstąpić miał, gdy spostrzegł u nóg swych leżących kilku ludzi, z głowami aż na ziemię pochylonymi. Zbladł i cofając się zadrżał. Twarzy ich nie widząc, przeczuł, kto byli, groźnie okiem tocząc i szukając winowajcy, co ich tu śmiało przyprowadzić. Mieszczanie płacząc błagali litości. Tuż ołtarz stał i krzyż na nim z Chrystusem. Hincza Keczer pierwszy odważył się podnieść głowę.

— Miłościwy Panie! W imię Chrystusowe, nie karz niewinnych za przestępstwo tych, co zawinili. Ulituj się! Ulituj dzieciom naszym.

Nic nie odpowiadając, książę głową potrząsnął, dał znak, aby szli precz. Spodziewano się jakiegoś wyroku. Stał niemy, spojrzął na krzyż i Chrystusa i zwrócił się, aby winowajców nie widzieć.

Jechali tedy za obozem, kryjąc się wśród niego, do Krakowa. Męczeński to był pochód dla nich, bo słuchać musieli, jak się wszystka gawiedź zmawiała, iż z miasta żywcem nikogo nie puści, co polskich słów czysto wymówić nie potrafi. Żartownisie dobierali już najtrudniejsze wyrazy, które Niemcy pod gardłem wymawiać będą musieli. Jeden chciał dawać na próbę soczewicę, drugi i trzcinę, i mielący młyn; i tak zawczasu zmawiali się, jakby Niemców udręczyć mogli. Cieszyła się gawiedź wojskowa i ciury, że im wolno będzie puścić sobie cugle i poswawolić krwawo.

Ukazały się wieże kościołów i bram mury. Łoktek, który jechał niemy, stanął.

— Nie tknę stopą miasta. Na zamek wprost.

Zwrócił się do dowódców, poczynając wybierać tych do zajęcia Krakowa, co najmniej nad nim okazywali litości. Wskazał im miasto, jakby je na łup oddawał, a sam okrążając je, puścił się na Wawel przez Okole.

Nazajutrz aż na zamek dochodziły jęki, płacz i krzyki nieszczęśliwych. Książę siedział w izbach z żoną i dziećmi, nie pytając o nic, nie chcąc wiedzieć o niczym. Rozkazy były wydane, miłosierdzia mieć nie chciał.

Głuchy tętent rozległ się w ulicach, konie wywlekały na wpół żywych zauszników i pomocników wójta Alberta ku szubienicom za wrotami stojącym. W mieście trupy leżały po ulicach, stały przy ścianach, w Rynku kat i oprawcy ścinałi. Trzeciego dnia cicho było jak w grobie.

Wójtowski dom cieśle i murarze przerobili na zamek wśród miasta, mający strzec tego, co w nim pozostało. Na ratuszu zasiadali radni, ale nie z wyborów, tylko z ramienia pańskiego. Wola księcia była prawem. Kasztelan miał rządzić miastem i już pacholkiwie jego kamienice i dworzyszczka winnych na skarb zajmowali. Wymarłe stały ulice, martwy był Rynek, pogrzeby ciche szły bez śpiewów ku cmentarzom, a za nimi kobiety zapłakane.

Marcik dobijał się do wrót Pawła, które mu nierychło otworzono. Paweł z Brzega wyznaczony burmistrzem był na ratuszu. Boczna furtą wszedł Suła do dworu Grety. I tu cisza była i pustki, choć wóz świeżo wyprężony kazał się domyślać, że wdowa powróciła. Z wolna wszedł do izby jej Marcik. Siedziała w istocie pod oknem jak posąg biała. Spojrzała na przybyłego, który się zatrzymał w progu. Mierzył ją oczyma tylko.

— Przychodzisz po zapłatę — odezwała się do niego Greta — za to, żeś Pawłowi i jeszcze kilku głowę na karku zostawił?

— Choćby i tak było — rzekł Suła spokojnie. — Nastawiałem ja swoje dla was, a za długie służby wierne coś mi się należy. Nie chciałem zapłaty innej, tylko was, bom sobie dawno rzekł: moją musicie być!

Wdowa wlepiła w niego wzrok i długo, długo tak siedziała, patrząc na Marcika...

— Pilno ci — rzekła — biedę sobie kupić?

— Komu co przeznaczone — odparł spokojnie — moja dola, sprawa moja!

Siadł na ławie, jakby już u siebie w domu, hełm zdjął i złożył na stole.

— A Kurcwurst? — zapytał.

Greta wskazała w dal, ku Pannie Marii.

— Na mogiłkach — odparła. — Zachorzał ze strachu, a umarł z żalości po mnie.

— Dobrze zrobił — z szyderstwem jakimś odezwał się Marcik — opróżnił miejsce dla mnie! W samą porę.

Wdowa się uśmiechnęła. Bąkając do siebie po słówku, Pawła się doczekali. Ten wszedł zbladły i dobrze przychudzony i na dany przez Marcika znak odezwał się do synowicy.

— No, Gretchen, chcesz, nie chcesz, musisz mu rękę dać! Słowo za siebie i za ciebie dałem, musimy strzymać. Oni tu teraz wszechmocni.

I żal mu się jej zrobiło, aż kryjąc smutną twarz, odwrócić się musiał. Greta nic nie odpowiedziała. Siedzieli z Marcikiem, patrząc jedno na drugie, aż żołnierz przysunął się i za rękę chciał ująć, ale mu ją wyrwała. Więc gwałtem pochwycił i trzymał, że mu już nie mogła jej odebrać.

— Moją musisz być — zawołał, ściągając jej pierścień z palca, a gotowy już wkładając, który księżę ze skarbcza mu wydać kazał.

Osobliwsza rzecz, Greta, jakby o oporze zapominając, ciekawie się poczęła pierścieniowi temu przyglądać. Nie byłaby niewiastą. Nie zrzuciła go, przysunęła do oczów, na oczko przeciw światła popatrzyła i obie ręce zasunęła w rękawy.

— Kiedyż wesele? — pytał Suła uparty.

— Jakaście beze mnie postanowili zaręczyny, tak sobie i o weselu stanówcie beze mnie — odparła wdowa, patrząc w okno.

Paweł głową poruszał. Marcik ku niemu się zawrócił.

— Niedzielę jedne poczekam, dalej nie! — rzekł krótko.

Nie odpowiadano. Znowu za rękę próbował wziąć, nie dała mu jej nadąsana.

Marcik pomimo to był dobrej myśli, mrugali na siebie z Pawłem. Nie mogąc się ręki doprosić, śmiało objął ją w pól, a choć mu się wrywała i krzyczała, w czoło pocałował. Zżymnęła się, rumieniec ją okrył, ale go nie połajała. Rzecz tedy była jak skończona.

Siedli za stół z Pawłem. Wdowa z początku nie mieszała się do ich rozmowy, aż gdy Alberta wspomnieli, drgnęła i gniewne ku nim oczy zwróciła.

— Tego trzeba było na najwyższą szubienicę dać! — zawołała — a wyście mu ujść dali!

— Czekaście mało, może go ten los spotka, co innych — rzekł Marcik — jeżeli nie gorszy. Szubienica krótka chwila, a on będzie wisiał lata długie, umrzeć nie mogąc.

Nadeszła niedziela, na ślub naznaczona.

Greta tak samo milcząc, nadąsana, dała się do ołtarza zaprowadzić; dopiero gdy do dworu powrócili, gdzie mała garstka gości zebrała się na ucztę weselną, nagle dawną swą wesołość i swobodę odzyskała, panią być poczynając. Usta się jej rozwiązały za wszystkie czasy. Za stołem żartowano i śmiano się do rozpuku, a najęty od Szeluty Czelustka bawił gości, jakby o świeżo rozlanej krwi zapomniał. Tylko Marcik siedział chmurny i cichy, z ukosa spoglądając ku urodziwej żonie.

Po trzech dniach wesela, gdy Paweł do nowożeńców zszedł rano, zdziwił się, doma ich nie zastawszy. Radę nie radę małżonek Gretę swą na wóz wsadził i do Wieruszyc z nią pojechał.

Stryj otarł pot z czoła, stanął w progu i zamruczał:

— Niechże go święci strzegą, bo pocziwiec niemależ sobie biedy napytał, a mnie po niej wieczny żal!!

Styczeń, 1880.

Drezno.

KONIEC

POSŁOWIE

Kraków za Łoktka, dwunaste z rzędu ogniwo w wielkim cyklu powieściowym „Dzieje Polski”, nosi wszelkie znamiona ideowe całości oraz realizuje w stopniu reprezentatywnym założenia artystyczne olbrzymiego przedsięwzięcia twórczego, wypracowane w toku przygotowywania poszczególnych jego członów. Podstawowym założeniem ideowym niezwyklej rozmiarami serii utworów była dążność dydaktyczna do zapoznania żyjącego w niewoli politycznej narodu — cykl powstawał w latach 1875—1886 — z faktami dziejowymi, z 900-letnią historią Polski. Oczywiście Kraszewski nie zadowalał się „suchym” przedstawieniem faktów. Chciał wychować społeczeństwo w określonym poglądzie na przeszłość, przekazywał więc narodowi swoją interpretację dziejów Polski, nigdy nie był beznamiętnym kronikarzem, ale wręcz przeciwnie, surowym nieraz sędzią jednostek czy ugrupowań społecznych.

Na dzieje narodu i państwa, zwłaszcza w epokach piastowskiej i jagiellońskiej, patrzył jak na dzieje dynastii i walki o władzę. Silne, scentralizowane państwo pod rządami wybitnej jednostki, księcia czy króla, którego zwykle otoczenie powieściowe „panem” nazywa, było dla pisarza ideałem więzi społecznej, a walczący o takie kształty państwowe władcy naturalnymi niejako bohaterami powieściowymi. W cyklu 29 powieści, zatytułowanych „Dzieje Polski”, znajduje się wyłącznie kilka utworów, które dostarczają pozorów do odmiennej interpretacji.

Zgodnie z przedstawioną powyżej tendencją autor tak dobierał materiał historyczny do powieści, aby dać obraz walki o władzę, o tron królewski czy książęcy i dokonać charakterystyki tych jednostek względnie ugrupowań, które sprzyjały utrwaleniu panowania „dobrego” władcy, a z drugiej strony w krytycznym ujęciu przedstawić ludzi albo siły polityczne i społeczne, które centralizacyjnym, utrwalającym całość i siłę państwa planom bohatera przeciwdziałały. Łatwo to sprawdzić na *Starej baśni*, *Braciach Zmartwychwstańcach*, *Królewskich synach* czy *Stachu z Konar*.

Otóż *Kraków za Łoktka* jest doskonałą wręcz ilustracją naszkicowanego powyżej schematu ideowo-tematycznego całości cyklu „Dzieje Polski”, a w konsekwencji również typowym przykładem romansu historycznego, który Kraszewski stworzył w tym właśnie cyklu, co postaramy się później ukazać.

W powieści naszej uczy Kraszewski przede wszystkim faktów historycznych. W bezpośrednim obrazie powieściowym przedstawia wypadki z lat 1304—1312, kiedy Łokietek po powrocie z wygnania rozpoczął walkę z czesko-niemieckimi załogami Sandomierza i Krakowa, zgłaszając swoje pretensje do tronu krakowskiego, mimo że poprzednio ich się wyrzekł, oczywiście pod naciskiem Wacława Drugiego.

Oglądamy sceny związane z opanowaniem Krakowa, zapoznajemy się z siłami przeciwdziałającymi dążnościom wskrzesiciela jednolitego państwa, z mieszczaństwem niemieckim, przewodzionym przez wójta Alberta i jego klikę, oraz z biskupem Muskata, którzy wspólnie reprezentują działanie wewnętrznej agresji niemieckiej. Razem z krzyżacką i brandenburską agresją zewnętrzną tworzą oni główne siły obce, przeciwne wskrzeszeniu państwa pod rodzimą, piastowską dynastią. Cały omal drugi tom powieści poświęcony jest artystycznej ilustracji powstawania oraz

przebiegu buntu mieszczaństwa niemieckiego w latach 1311—1312, znanego w historii pod nazwą buntu wójta Alberta.

O dawnych walkach Łokietka o Wielkopolskę i Kraków, poczynając od pierwszego opanowania Krakowa w roku 1289, przez objęcie panowania w Wielkopolsce i na Pomorzu w roku 1296, zakończone, niestety, wygnaniem z kraju, dowiadujemy się w sposób artystycznie bardzo pomysłowy z ust starego Zbyszka Suły, wiernego żołnierza Łokietkowego, który opowiada synowi Marcikowi o swych bojach pod umiłowanym wodzem. O pobycie w Rzymie w roku 1300 w poszukiwaniu pomocy papieża Bonifacego Ósmego przypomina sam Łokietek we wstępnych scenach powieści. Tylko we wzmiankach dowiadujemy się, że po opanowaniu Krakowa w roku 1306 Łokietek był zajęty walką o Pomorze, co umożliwiło mieszczanom przygotowanie buntu i wprowadzenie wojsk księcia opolskiego Bolesława, zresztą działającego z ramienia króla czeskiego Jana Luksemburczyka jako jego starosta, czemu Kraszewski zaprzecza, ograniczony stanem ówczesnej wiedzy historycznej.

Autor poprzestaje na tym fragmencie walk Łokietka o Kraków w latach 1304—1312, choć boje małego króla o zjednoczenie państwa trwały przecież do końca jego życia w roku 1333. Kierował tu Kraszewskim artystyczny umiar i świadomość, że próba objęcia całości walki niestrudzonego władcy w jednej powieści nie mogła się udać. Poświęcił zresztą Władysławowi drugą powieść, *Jelita*, w której punktem centralnym jest bitwa pod Płowcami w roku 1331.

Na tym jednak nie kończy się wartość informacyjna *Krakowa za Łoktka*. Kraszewski daje w tej powieści bardzo rozbudowane, czasem nastrojowe obrazy średniowiecznego Krakowa, jego placów i ulic, wnętrza domów patrycjatu, obrazy życia rodzinnego i publicznego, a nawet oddaje trafnie atmosferę ówczesnej gospody. Stara się wyraźnie o pełne prawdopodobieństwo wizji dawnego Krakowa, o wydobycie niemieckiego charakteru miasta, choć tu obraz jego pomija niewątpliwie życie ludności polskiej. Słyszymy tylko o Niemcach i Żydach, nie ma natomiast w powieści Polaków, poza Marcikiem i karczemnym wesołkiem Czelustka.

Kraszewski jednak nie tylko opisuje, ale i sądzi. Jako entuzjasta Łokietkowych dążeń zjednoczeniowych nie uległ opiniom niektórych współczesnych mu historyków, dostrzegających pozytywne dla odbudowania jednolitego państwa możliwości w panowaniu czeskich Przemysławów, Waclawa Drugiego i Trzeciego. Autor widzi w ich panowaniu tylko najezdnicze rządy terroru, forpocztę feudalnej agresji niemieckiej. Atmosfera pierwszych już scen powieści, wtargnięcie niemiecko-czeskiego żołdactwa do chaty Zbyszka, uwięzienie go wraz z bogatym ziemianinem Mieczysławem, liczne wypowiedzi Zbyszka i Marcika nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do stanowiska Kraszewskiego wobec prawnie się przecież w tych czasach legitymujących pretensji Waclawa Drugiego do panowania nad Polską. Autor wyraźnie lekceważy wszystkie prawne argumenty (zapis Gryfina, zrzeczenie się Krakowa przez Przemysława Drugiego na rzecz Waclawa, koronacja w Gnieźnie). Uznaje tylko polskie, Łokietkowe dążności do odbudowania jednolitego państwa. Nie tylko w oparciu o fakty historyczne, ale głównie wiedziony trafną intuicją, dostrzega w rządach czeskich zapowiedź niemieckiej agresji, a przed nią przestrzegał przecież we wszystkich dotychczasowych utworach cyklu, w niej dopatrywał się głównego niebezpieczeństwa z zewnątrz.

Z tych też przyczyn nie ma ani chwili wątpliwości, jeśli chodzi o bezwzględne osądzenie biskupa Jana Muskaty jako wroga i szkodnika, choć zaoszczędził czytelnikowi powszechnie znanych faktów z przestępczej działalności tego zaciętego wroga narodu. Informujemy o nich w przypisach. Widocznie nie chciał, aby postać biskupa, a za nią i powieść zrozumiano jako jeden z przejawów antyklerykalnych rozgrywek samego autora. Nie wprowadził też do powieści wzmianek o wszystkich matactwach Muskaty, o jego zatargach z arcybiskupem Jakubem Świnką. W powieści jest

Muskata wyłącznie jakby ideowym przywódcą spisku niemieckiego, z nienawiścią wyrażającym się o Łokietku i jego planach.

Spisek mieszczan niemieckich kwalifikował się sam, tak że nie było potrzeba wielkich wysiłków autorskich, aby przekonać czytelnika, że słuszność jest po stronie „ojczyców” tej ziemi, po stronie walczącego wspólnie z Łokietkiem drobnego rycerstwa, chłopów, a w końcu po stronie „comesów” i „baronów”, zarówno ziemi krakowskiej i sandomierskiej, jak i dalszych dzielnic Polski. Ale Kraszewski sądzi nie tylko cudzoziemskich wrogów Łokietkowej akcji zjednoczeniowej. Surowo ocenia również postawę możnowładców i feudalnych panów polskich, którzy z początku nie ufają siłom Łokietka, nie wierzą w jego zwycięstwo i choć są niezadowoleni z bezwzględnych rządów Wacława Drugiego, nie mają odwagi stanąć wyraźnie po stronie rodzimego władcy. Słyszymy na początku powieści opowiadanie o Żegocie, który ze strachu doniósł Boskowiczowi, czeskiemu staroście w Krakowie, o zjawieniu się Łokietka; w całej jasności występuje stanowisko możnych panów w rozmowie Mieczyka Tęczyńskiego z Balic z Łokietkiem w chacie Suły. Mimo że z ust księcia padają programowe wypowiedzi o zamiarach odbudowania jednolitego państwa, mimo podziwu dla jego uporu, zawziętości i wojennych talentów, feudalny pan nie może się zdobyć na otwarte poparcie Łokietka. Jest to scena, która w powieściowym skrócie zawiera artystyczne uogólnienie historycznego zjawiska, tj. stosunku feudałów polskich do zjednoczeniowych tendencji w państwie, w szczególności zaś do walki kujawsko-brzeskiego władcy o stworzenie jednolitego państwa, scena o głębokiej wymowie, pełna typowości dla skondensowanych w niej jakby historycznych faktów.

Wymowa sytuacji w chacie wiernego entuzjasty osoby Łokietka jest tym głębsza, że autor wprowadza wyraźny kontrast między postawą możnowładcy i stosunkiem drobnego szlachcica, nie posiadającego ziemi, który gotów jest wszystko, nawet jedynego syna, poświęcić dla dobra sprawy umiłowanego pana. Słyszymy zaraz potem od Łokietka, że poprą go inni, nawet chłopci, że znajdzie dość sił, aby zacząć walkę na nowo. Istotnie skład wojsk książęcych w obozie pod Sandomierzem wskazuje, że mimo obaw wielkich panów książę zdołał zgromadzić wielkie siły, także i z chłopów złożone, które pozwoliły mu na zbrojne sukcesy. Dopiero wtedy zjawiają się wokół niego siły feudalne, opisane przez Kraszewskiego, kiedy bez walki opanowują Kraków w roku 1306 lub kiedy przybywają ze świetnym poselstwem do zajmującego miasto Bolesława opolskiego w roku 1312, aby go skłonić do opuszczenia murów. Podkreślenie tego momentu, zresztą historycznie ścisłe, że pierwsze sukcesy zawdzięcza Łokietek szeregowemu rycerstwu i pomocy chłopskiej (oprócz zagranicznej, węgierskiej), nie jest u Kraszewskiego przypadkowe, ale wiąże się ściśle z głównymi ideami cyklu, z oskarżeniem możnowładztwa i magnaterii o brak patriotyzmu, a często o działalność wroga całości państwa.

Kraków za Łoktka jest może najbardziej reprezentatywną, a z pewnością jedną z najbardziej udanych artystycznie powieści ze zbioru „Dzieje Polski”. Główny problem artystyczny tego typu romansu historycznego, jaki Kraszewski opracował w swym cyklu, polegał na utrzymaniu równowagi między ścisłością historyczną, wiernością dla faktów dziejowych, a prawami twórczości artystycznej, prawami wyobraźni autorskiej i fikcji artystycznej, dzięki którym dopiero z tworzywa konkretnych, chronologicznie powiązanych faktów może powstać wizja przeszłości. Działa ona na wyobraźnię, uczucia oraz intelekt czytelnika nie dzięki absolutnej zgodności z naukowo ustalonymi faktami, ale drogą prawdopodobieństwa. Na podstawie prawdziwych faktów i zdarzeń, z wielu autentycznych postaci tworzy pisarz sceny, sytuacje, konflikty oraz działające w ich obrębie osoby — prawdopodobne, niejako w syntezie zawierające cechy całego mnóstwa faktów szczegółowych. O sprzeczność między prawdą historyka a prawdopodobieństwem obrazu historycznego rozbijały się wysiłki wielu pisarzy. Kiedy ulegali zbyt naciskowi faktów, wtedy tworzyli kroniki historyczne,

kiedy zaś dawali zbyt dużą rolę wyobraźni i nie opierali pracy artysty na pełnej znajomości epoki, wtedy powstawały utwory anachroniczne, nie dające złudzenia prawdopodobieństwa.

W cyklu powieści historycznych Kraszewskiego zdarzają się często, zwłaszcza w późniejszych jego opowieściach, wypadki, kiedy autor, zbyt wiernie trzymając się źródeł historycznych, kronik, pamiętników itp., wpada w konflikt z zasadami artystycznego ujmowania rzeczywistości i po kronikarsku referuje tylko fakty. Praca artysty schodzi wtedy na dalszy plan. Otóż w *Krakowie za Łokietka* udało się autorowi tych niebezpieczeństw uniknąć, tak że powieść można uważać za jeden z sukcesów sztuki powieściopisarskiej w zakresie romansu historycznego.

Poza szczegółami autor nigdzie nie rozminął się z prawdą dziejową. Nawet w wypadku mylnej oceny roli Bolesława opolskiego, gdy rzekomo wyłącznie na wezwanie Alberta kazał mu zająć Kraków, poszedł, jak można przypuszczać, za współczesnymi opracowaniami buntu. Dla jasności i przejrzystości rysunku powieściowego wolno mu było nie wchodzić w gąszcz intryg przeciw Łokietkowi rozsnuwanych przez Muskatę w latach od 1304—1312, kiedy dzieją się wypadki powieściowe, jeżelibyśmy nie zgodzili się na przypuszczenie, że Kraszewski nie chciał nadać utworowi nawet pozorów antykościelnych. Wolno mu też było pominąć zawikłany splot wypadków, które towarzyszyły Łokietkowym walkom o Pomorze po odzyskaniu Krakowa w roku 1306. Przecież chciał się zająć wyłącznie buntem wójta Alberta, a pretensje do autora, aby wszystko lub zbyt wiele zamknąć w utworze, są zawsze szkodliwe. Nie możemy zatem podejrzewać ścisłości obrazu powieściowego, ocenianego ze strony zgodności z historią. Podziwiać też musimy ostrożność i zmysł krytyczny pisarza, który, opierając się zasadniczo na *Dziejach Polski* Jana Długosza, przedstawił jednak inaczej postać biskupa Muskaty. Mianowicie Długosz jako ksiądz starał się „wybielić” jego rolę, ale Kraszewski nie uległ sugestiom wielkiego historyka.

Powieść o dziejach buntu wójta Alberta, a więc dzieło sztuki, powstała w wyobraźni pisarza dopiero po wprowadzeniu romansu do twórczości historycznej, inaczej, kiedy w wyobraźni autorskiej zjawiała się postać Marcika Suły z Łowczy koło Balic, syna Zbyszka, wiernego żołnierza małego księcia. Nie wyrasta Marcik wprawdzie poza tradycyjną, schematyczną miarę wiernego sługi, znanego od dawna w literaturze, ale ponieważ nie gardził tymi postaciami nawet Sienkiewicz, później przecież tworzący w *Ogniu i mieczu* Rzędziana, który tak bardzo przypomina Marcika, nie będziemy z tego powodu czynili zarzutu naszemu pisarzowi. Ale już ciekawym, a nawet ryzykownym pomysłem było ulokowanie wybranki jego serca w obozie wroga, w niemieckim i mieszczańskim Krakowie. Urodziwa mieszcza, zalotna i nieczuła na względy bohatera, jest Greta jedną z ciekawszych kreacji Kraszewskiego. Znaczy to bardzo wiele, bo Kraszewski zapełnił świat swych powieści ogromną ilością kobiet, a postaci ich udawały mu się o wiele lepiej od postaci bohaterów męczyzn.

Otóż namiętna miłość Marcika do zalotnej uwodzicielki czyni jego misję wywiadowczą w niemieckim Krakowie bardziej prawdopodobną, zarówno od historycznej jak i od ludzkiej, psychologicznej strony. Tutaj udało się autorowi w pełni realistyczną motywację zarówno misji bohatera, jak i jego wytrwałej miłości, która w samym utworze (nie licząc faktów go poprzedzających) trwa co najmniej lat siedem. Dysonanse wywołane miłosną grą Grety wypadają akurat wtedy, kiedy trzeba było Marcika z Krakowa oddalić, gdzieś w latach 1306—1311, gdyż wtedy w Krakowie nie działy się ważniejsze wypadki historyczne. Zgoda następuje wtedy, kiedy bohater z pomocą heroiny pomaga w dekonspirowaniu przygotowań do spisku (1311—1312). Trzeba znów zwrócić uwagę na pełną, realistyczną motywację postępowania Grety, która, choć Niemka, współpracuje z Marcikiem i Polakami, nie tylko dlatego, że mimo wszystko kocha Sułę, ale i dlatego, że nienawidzi wójta Alberta.

Pobyty Marcika w mieście umożliwia obserwowanie oczyma bohatera życia średniowiecznego Krakowa, pozwala sługę Łokietkowego uplatać w przygody, dzięki którym powieść zyskuje cechy dobrze pojętej awanturniczości; pozwala autorowi na w pełni prawdopodobne prezentowanie czytelnikowi różnych typów mieszczan w mieszkaniu Greta, w gospodzie, umożliwia wreszcie wydobycie specyficznych stosunków, jakie panowały między książęcym zamkiem, położonym poza obrębem murów miejskich, a miastem, w istocie nie podległym prawom książęcym.

Tak więc zastosowanie zużytego, zdawałoby się na wskroś, motywu miłości z przeszkodami wskutek różnic narodowościowych i społecznych, a w łączności z tym wprowadzenie formy konwencjonalnego romansu, nie przeszkodziło autorowi wypełnić ogranych schematów artystycznych treścią żywą, nową, interesującą, pełną historycznej i ludzkiej prawdy. Pogodny finał romansowego wątku powieści, małżeństwo Marcika z Gretą, Polaka z Niemką, szlachcica (już wówczas posiadacza wsi Wieruszycy) z mieszczką, zdaje się w sposób zamierzony kontrastować z antyniemieckim sensem wątku historycznego i poświadczać wyższość autora ponad wszystkie przesady narodowościowe i stanowe.

Na zakończenie uwaga, która może zaciekać czytelnika. Marcik Suła i jego ojciec Zbyszek (przypomina się mimo woli Maćko i Zbyszko z Bogdańca w *Krzyżakach* Sienkiewicza!) nie są całkowicie postaciami fikcyjnymi. Zachował się dokument poświadczający, że w r. 1306 Władysław Łokietek nadał wieś Wieruszycę Marcinowi Zbigniewowiczowi (synowi Zbigniewa). Wiadomość o tym znajdujemy w dziele Piekosińskiego: *Rycerstwo polskie wieków średnich*, tom trzeci, str. CLXVI — Kraków 1901. Widocznie Kraszewski znał dotyczące materiały źródłowe, zanim zostały ogłoszone drukiem. To także przyczynek do metod tworzenia pisarza, który tak bardzo cenił ścisłość historyczną podawanych przez siebie faktów powieściowych, że nawet sam sposób kolonizowania Wieruszycy przez starego Zbyszka podał zgodnie z przekazami historycznymi o metodach zasiedlania pustek. Zacieka również fakt, że M. Bunsch wprowadził Marcika do swej powieści *Na krakowskim wzgórzu*.

NOTA WYDAWNICZA

Tekst powieści przygotowano na podstawie jedynej jej wydania, dokonanego za życia autora w roku 1880. Wprowadzono konieczną modernizację pisowni oraz układu pisarskiego, usuwając zbędne akapity w narracji autorskiej, opisach, w dłuższych wypowiedziach postaci itd. Zyskała na tym przejrzystość tekstu, a czytelnikowi ułatwiono odbiór treści, przedtem pokawałkowanej w sposób niczym nie uzasadniony.

Sama zawartość tekstu nie została w niczym zmieniona ani naruszona. To samo tyczy się kształtu językowego powieści, który starano się zachować w postaci pierwotnej, oczywiście przekazanej nam już po zabiegach redakcyjnych i korektorskich drukarni Wł. L. Anczyca, w której pierwodruk był w roku 1880 składany. Niestety, nie dochował się rękopis Krakowa za Łoktka, gdyż został zniszczony w roku 1944 wraz z całością zbiorów rękopiśmiennych po Kraszewskim w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Gdyby się był zachował, można by było dopiero ustalić całą bezceremonialność, z jaką odnoszono się do szaty językowej utworu, co można dziś tylko z pewnym prawdopodobieństwem przypuszczać, znając język Kraszewskiego z innych jego rękopisów, a zwłaszcza z korespondencji. Dla sprawiedliwości trzeba podać, że niwelującym dążnościami ówczesnych korektorów i adiustatorów zdołał ująć w dużej mierze artystyczny wysiłek pisarza, aby zarchaizować język

powieści, zwłaszcza jeśli chodzi o słownictwo, niektóre formy głosowe i fleksyjne, a także i pewne kresowe prowincjonalizmy języka samego pisarza, którego polszczyzna nosiła cechy kresowości.

Dla orientacji czytelnika podajemy krótkie zestawienie niektórych tylko cech języka Kraszewskiego, najbardziej rzucających się w oczy:

1. Cechy fonetyczne (głosowe):

1. wahanie się w użyciu samogłosek o — ó, tak iż trafiają się formy spojrzawszy, coś obok *spojrzawszy i coś*. Odwrotne zjawisko obserwujemy, napotykając formy *upór, z bolu, rozproszony* i zawsze próba, próbować, zamiast form *upór, ból* itd.
2. ś zamiast ogólnopolskiego sz. Spotykamy więc obok powszechnych form wreszcie, nareszcie, jużci, zakaszłał się — również formy *wreście, nareście, juki, zakasłał się*.

2. Cechy fleksyjne:

1. Pierwsza osoba liczby mnogiej czasu teraźniejszego czasowników niedokonanych oraz czasu przyszłego czasowników dokonanych ma u Kraszewskiego dość konsekwentnie końcówkę, *-emy*, tam gdzie w języku ogólnopolskim jest *imy, -ymy*, a więc: *robimy, musimy, siedzimy, bojemy się, potrafimy, rozprawiemy się, stracimy, podpalemy* — zamiast odpowiednich form ogólnopolskich *-robimy* itd.
2. Rzeczownikowa odmiana liczebników, np.: *z kilką zagonami, przed czterdziestą kilką laty*.

Na szereg specyficznych cech składni i słownictwa Kraszewskiego zwrócono uwagę w przypisach do tekstu powieści.

PRZYPISY

TOM PIERWSZY.

1. *Na temat formy* Łoktek zobacz przypis 6.

2. **Ludwik Grossman** (1835—1915) — kompozytor, twórca między innymi dwóch oper Rybak z Palermo (1867) i Duch wojewody 11873 — opera komiczna). Z Kraszewskim łączyła go znajomość, której zawdzięczamy dość ożywioną wymianę listów. Grossman był współwłaścicielem znanego składu instrumentów muzycznych w Warszawie i Petersburgu. Rozmiałowany w muzyce pisarz, sam zresztą kompozytor drobnych utworów muzycznych, kupował u Grossmana raz harmonium, a dwukrotnie fortepian, przy czym instrument marki Bechsteina posyłano mu z Warszawy do San Remo jeszcze w roku 1886.

Co się tyczy „daru jubileuszowego”, trudno ustalić, jak on wyglądał. O pewnej zażyłości stosunków między pisarzem i kompozytorem świadczy poniższy fragment listu Grossmana z 12. V. 1880:

„Drezdeński wydawca pan Ries będzie miał zaszczyt przysłać Waszmość Panu ofiarowaną Mu przeze mnie parafrazę na temat polski, którą proszę łaskawie przyjąć. Przy tej okazji niech mnie

wolno będzie powtórnie podziękować za wielki zaszczyt okazany mnie dedykacją swej powieści «Kraków za Łoktka» (Rękopis Biblioteki Jagiellońskiej, sygn. 6504/IV).

Herb Topór, inaczej Starz a, posiadał stary ród szlachecki, który miał swą siedzibę w Tęczynie koło Krakowa. Około 1320 roku zbudował tam wojewoda sandomierski Nawój z Przegini warowny zamek. Jego ruiny wznoszą się dziś na wzgórzu, opodal wsi Tenczynek, widoczne z linii kolejowej i szosy Kraków—Katowice. Ród Tęczyńskich odegrał poważną rolę w dziejach Polski czternastym i piętnastym wieku.

4. **Łowcza** — Kraszewski lokalizuje akcję początku powieści bardzo dokładnie w pobliżu Krakowa, koto znanej wsi Balice. Nazwa Łowcza jest jednak fikcyjna.

5. **wiertelnik** — była to nazwa urzędnika policyjnego, sprawującego nadzór nad porządkiem w danej dzielnicy miasta

6. **Władysław Łokietek** (urodzony 1260 — zmarł 1333) — był dziedzicznym księciem brzesko-kujawskim. Od roku 1289 toczył nieustanne boje, naprzód o zjednoczenie swej dzielnicy i Wielkopolski, potem o utworzenie jednolitego państwa, polskiego. Pewien fragment jego walk o Kraków, zakończony uśmierzeniem buntu niemieckiego mieszczaństwa w Krakowie w roku 1312, opowiada Kraszewski w swej powieści. Władysław Łokietek koronował się na króla polskiego w roku 1320. Używana przez Kraszewskiego forma Łoktek urobiona została od dopełniacza Łoktka, pochodzącego od mianownika Łokietek.

7. **Wacław Drugi** — król czeski (1283—1305) i polski (1300—1305). Pochodził z rodu Przemyślidów. W sprawy polskie mieszał się już od roku 1289 i wysuwał prawnie obwarowane pretensje do korony polskiej. Głównym jego przeciwnikiem był Łokietek, który mimo niepowodzeń uparcie dążył do zdobycia władzy w całej Polsce. Wacław Drugi po wypędzeniu Łokietka z Wielkopolski, a potem z całego kraju oraz po koronacji oparł swe panowanie na bogatym mieszczaństwie niemieckim, niemieckich zakonach i na współdziałających z nim przedstawicielach możnowładztwa świeckiego i kościelnego, głównie z Wielkopolski.

8. **Przemysław Drugi** — książę wielkopolski (urodzony 1257 — zmarł 1296), koronował się na króla polskiego w Gnieźnie w roku 1295. Został podstępnie zamordowany w Rogoźnie przez spiskowców, działających z polecenia margrabiów brandenburskich i możnowładczych rodów wielkopolskich, Zarębów i Nałęczów. Był przed Łokietkiem najznacześniejszym reprezentantem tendencji zjednoczeniowych w państwie polskim w trzynastym wieku.

9. **Między rzekami Dunajcem** (nie Dunajem) i Kamienicą, tam gdzie dziś leży jedna z dzielnic miasta Nowego Sącza, znajdowała się wieś biskupia Kamienica. Na jej gruntach powstało w roku 1292 miasto Sącz (Sądecz). Król Wacław Drugi oddał biskupowi krakowskiemu Janowi Muskacie zamek i miasto Biecz w zamian za grunty wsi Kamienica. W Sączu zbudowano zamek, którego ruiny do dziś istnieją. Miał w nim siedzibę starosta grodowy. Dzięki dogodnemu położeniu przy najważniejszym szlaku na Węgry, Sącz był niebezpiecznym konkurentem handlowym dla Krakowa, a w walkach z Czechami stał zawsze po stronie Łokietka.

10. **Bolesław Pobożny** — książę kaliski i wielkopolski, opiekun i wychowawca swego bratanka Przemysława II, teść Władysława Łokietka, który się ożenił z jego córką Jadwigą. Bolesław posiadał opinię władcy prawego i szlacheckiego. Wskazywał drogę do zjednoczenia państwa Przemysławowi Drugiemu i Władysławowi Łokietkowi. Toczył walki z margrafami brandenburskimi i z Krzyżakami. Zmarł w roku 1279.

11. **Leszek Czarny** — książę krakowski w latach 1279—1288, przyrodni brat Władysława Łokietka

12. **Chodzi o Bolesława Drugiego**, księcia mazowieckiego, władającego całą dzielnicą w latach 1294—1313. Po śmierci Lezka Czarnego miał w roku 1289 objąć stolicę krakowską. W roku 1290 pomagał Łokietkowi do odzyskania Krakowa. — Patrz przypis 13.

13. **Po śmierci Leszka Czarnego** w roku 1288 wystąpił jako kandydat do tronu krakowskiego Henryk Probus, książę wrocławski. Wpuszczony został do miasta przez mieszczan niemieckich i objął krótkotrwałe rządy, ubiegając wspomnianego poprzednio Bolesława mazowieckiego. Zmarł,

prawdopodobnie otruty, w r. 1290. W testamencie zapisał Kraków i Sandomierz Przemysławowi Drugiemu. Patrz przypis 14.

14. *pod Siewierzem* jak i pod wymienionymi w dalszym ciągu miejscowościami miały miejsce bitwy koalicji Bolesława mazowieckiego wraz z braćmi Władysławem Łokietkiem i Kazimierzem, książętami kujawskimi, przeciw Henrykowi Probusowi

15. *Paweł z Przemankowa* — biskup krakowski w latach 1266—4296, znany z gwałtownego charakteru oraz rozwiązłego życia. Intrygował przeciw Leszkowi Czarnemu. W roku 1289 popierał rzeczywiście Łokietka przeciw Henrykowi Probusowi. Kraszewski poświęcił Pawłowi z Przemankowa osobną powieść pt. Syn Jazdona.

16. *Istotnie w tym czasie* król czeski Waclaw Drugi wysunął pretensje naprzód do niektórych ziem śląskich, a potem do Krakowa i Małopolski. Patrz przypis 17.

17. *Dążąc do opanowania Krakowa* i Małopolski, Waclaw Drugi poszukiwał tytułów prawnych, które by pozorowały legalność jego zaborczych, dynastycznych planów. Taki tytuł prawny stanowił zapis Gryfiny, wdowy po Leszku Czarnym, której mąż rzekomo przekazał w testamencie księstwo krakowskie, co w stosunku do kobiety nie było wówczas możliwe. Podejrzewano fałszerstwo testamentu Leszka Czarnego. Gryfina zrzekła się swych praw na rzecz siostrzeńca, Waclawa Drugiego. Następny tytuł prawny stanowiło dla Waclawa Drugiego zrzeczenie się na jego korzyść Krakowa i Małopolski przez Przemysława Drugiego, który w tym czasie nie miał dość sił do walki z potężnym królem czeskim.

18. *Wojskiem czeskim* dowodził naprawdę biskup bamberski Arnold.

19. *picownik* (starop.) — człowiek zajmujący się dostarczaniem dla wojska żywności i paszy

20. *Ulryk Boskowicz* — jest to nazwisko starosty Waclawa Drugiego w Krakowie. Król ten utrzymywał posłuszeństwo w kraju w istocie przy pomocy czesko-niemieckich garnizonów wojskowych.

21. *Świdnica* — miasto na Dolnym Śląsku; była wtedy stolicą udzielnego księstwa. Piwa, tam wyrabiane miały istotnie dobrą markę w Polsce.

22. *Chodzi o papieża Bonifacego Ósmego* (1294—1203). Chciał on odnowić potęgę papieżstwa i ogłosił w roku 1300 Rok Jubileuszowy, rok łask. Każdy, kto jako pielgrzym odwiedził wtedy Rzym, otrzymywał odpust zupełny. Podobno przybyło wówczas do wiecznego miasta dwa miliony pielgrzymów. Łokietek udał się również do Rzymu, ale nie tyle jako pielgrzym, ile ze skargą na Waclawa Drugiego za pozbawienie go ziemi. Polska była przecież lennem papieskim, a Łokietek starał się z powodzeniem wyzyskać interesy dyplomatyczne papieżstwa, sprzeczne z dynastycznymi pociągnięciami Waclawa Drugiego, głównie jeśli chodzi o Węgry.

23. *Przez usta Topora*, ziemianina krakowskiego, daje autor w ten sposób wyraz swemu słusznemu przekonaniu, że panowanie Waclawa Drugiego miało charakter najezdniczy, a sojuszniczy, jeśli chodzi o feudalnych agresorów, królów niemieckich oraz margrabiów brandenburskich. Panowanie Waclawa Drugiego nie było natomiast wyrazem rodzimych, polskich tendencji do zjednoczenia państwa.

24. *We wsi Pelczyska*, koło Wiślicy, istniał w tych czasach zamek, który Łokietek opanował w roku 1304. Czynił stamtąd zbrojne wycieczki przeciw załogom czeskim.

25. *Okół* — tak nazywała się przestrzeń między murami Krakowa a zamkiem na Wawelu. Dzisiaj jest to część ulicy Grodzkiej i przyległych — od kościołów Franciszkanów i Dominikanów do Wawelu.

26. *Paweł z Brzega i Żurdman z Pisar* — pierwszy z wymienionych mieszczan jest postacią historyczną, nazwisko drugiego jest prawdopodobnie fikcyjne. Paweł z Brzega należał jednak, inaczej niż w powieści, do spisku Alberta aż do jego końca. Na historyczność nazwiska zwracamy uwagę czytelników rozmyślnie, aby wskazać, że Kraszewski nawet w tak drobnych szczegółach, jak nazwiska osób biorących udział w zdarzeniach powieściowych, sięgał do faktów historycznych. Również nazwisko Keczera (raczej Katschera), przywódcy opozycji przeciw Albertowi, jest historyczne, a także nazwiska innych rajców i ławników.

27. **sędzia Smił** — postać historyczna, wymieniana przez Długosza w *Dziejach Polski* tom czwarty, str. 22. Podobnie autentyczne są nazwiska wszystkich prawie możnowładców i herbowych panów, wymienione w powieści.

28. **wójt Albert** — historyczne fakty, związane z godnością dziedzicznego wójta miasta Krakowa, przodujący udział tego człowieka w buncie niemieckiego mieszczaństwa przeciw Łokietkowi, przedstawił Kraszewski na ogół zgodnie ze współczesnym mu stanem wiedzy historycznej. Na pierwszy plan wybija się Albert w drugim tomie powieści, wyposażony tam w pełnię ludzkich namiętności i przywar. Jako wójt zdobył sobie Albert wielkie znaczenie w kraju. Współczesne dokumenty nazywają go komesem, podobnie jak rodowych panów feudalnych. Posiadał godność kasztelana sądeckiego i żupnika krakowskiego. Działalność buntowniczą Alberta przeciw Łokietkowi charakteryzuje, pochodząca prawdopodobnie z czternastego wieku, łacińska Pieśń o wójcie Albercie.

29. **Wacław Trzeci** — syn Wacława Drugiego, król czeski, został zamordowany skrytobójczo w Ołomuńcu w roku 1306, kiedy zdążył do Polski z wyprawą przeciw Łokietkowi

30. **kościóły Dominikanów** i Franciszkanów znajdują się w Krakowie w bardzo bliskim sąsiedztwie

31. **hacie** (z czeskiego) — pomosty z pęków gałęzi

32. **błogosławiony Prandota** Odrowąż z Białaczowa był biskupem krakowskim w latach 1239—1266. Szczególnie ważną rolę w dziejach Kościoła i Polski odegrał biskup krakowski błogosławiony Iwo Odrowąż, który rządził diecezją w latach 1218—1229.

33. **Prokop** — był biskupem krakowskim w latach 1293—1295

34. **Jan Muskata** — ziemczony Ślązak, był biskupem krakowskim od roku 1294 do śmierci w roku 1320. Na stolicę biskupią został wybrany dzięki naciskowi na kapitułę króla Wacława Drugiego, którego był kapelanem i gorliwym opiekunem jego panowania w Polsce. Choć biskup, sprawował przez pewien czas funkcje starosty królewskiego w Krakowie, przy czym rządy jego cechowały się okrucieństwem. Jako starosta posługiwał się omal wyłącznie Niemcami, których popierał zresztą również przy obsadzaniu stanowisk kościelnych. Odznaczał się zachłannością oraz bezwzględnością w zdobywaniu majątku lub pieniędzy. W stosunku do Polaków i Władysława Łokietka kierował się niepohamowaną nienawiścią, wspomagając wszelkie formy wewnętrznej agresji w Polsce. Przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Świnkę był Muskata dwukrotnie zawieszany w prawach biskupich. W roku 1308 został przez Władysława Łokietka uwięziony, a potem do roku 1318 nie mieszkał w Krakowie i nie pełnił swych funkcji. W czasie buntu wójta Alberta w roku 1312 przybył jednak do Krakowa, współdziałając z organizatorami spisku.

35. **szoldry** — wyraz o wielu znaczeniach, tu określa pogardliwie Niemców, zbliża się znaczeniem do „Szwabów”

36. **Paweł z Paulsztynu** (Pauelsteinu) — był starostą Wacława Trzeciego w Wielkopolsce i na Kujawach

37. **siądzienie** — siodło

38. **od siedzenia** — tak w tekście pierwodruku powieści z roku 1880; przypuszczalna omyłka drukarska, raczej od siekiery — wyciosanego

39. **Anatema!** (grec.) — klątwa kościelna. W wiekach średnich posługiwali się nią często papież i biskupi w politycznych rozrachunkach ze świeckimi panami feudalnymi.

40. **Wincenty z Szamotuł** — postać historyczna, jeden z najznacniejszych możnowładców Wielkopolski. Kraszewski wprowadza go również do kolejnej powieści z cyklu „Dzieje Polski”, zatytułowanej *Jelita*

41. **dyngusz** — tutaj: sąd (urząd) ławniczy

42. **Bizancjum** — dzisiaj Konstantynopol, podówczas siedziba cesarstwa wschodniorzymskiego, bizantyjskiego

43. **fryza** — tu oznacza: grube sukno

44. **kupia** (starop.) — towar

45. **Winedża** — Wenecja; tak przynajmniej można sądzić po wyrobach złotniczych, które kupiec pokazuje Grecie
46. **rendle i sigalet** (nie sigelat) (starop.) — rodzaj tkanin na suknie kobiece
47. **Chwacimiech** — ówczesna nazwa zalesionego wtedy wzgórza świętej Bronisławy, na którego szczycie znajduje się dziś kopiec Kościuszki
48. **Hradczyn** — dzielnica Pragi, położona na lewym brzegu Wełtawy, na wzgórzu. Znajduje się tam wspaniały zamek, wzniesiony jednak dopiero w roku 1333, oraz szereg zabytkowych kościołów, zbudowanych również przeważnie w późniejszych latach czternastego wieku.
49. **balistarz** — żołnierz obsługujący maszyny wyrzucające pociski
50. **mine*li* Iry** (z niem.) — pieśni miłosne
51. **minesanger** (niem. *Minnesanger*) — średniowieczny śpiewak pieśni miłosnych
52. **w Ostrzygońce i Kretkówku** — powyższe nazwy notuje Jan Długosz w swym dziele: *Liber beneficiorum dioecesis cracoviensis*, tom trzeci, strona 60—61
53. **szalamaje** — puszczalka, flet pasterski
54. **Miserere nobis!** (łac.) — Zmiłuj się nad nami!
55. **gzło** (starop.) — koszula
56. **comes** (łac.) — dosłownie towarzysz; w wiekach średnich był to na Zachodzie, a także w polskich źródłach używany tytuł na oznaczenie możnowładców, udzielnych panów feudalnych, sprawujących urzędy na dworze księcia czy króla; baron (germ.) — pierwotnie oznaczał rycerza; polskie źródła historyczne nazywają w ten sposób rycerzy-ziemian ze starych rodów

TOM DRUGI.

1. **wodociecz** — spław, spadek, odpływ wody; tutaj oznacza granicę wodną (np. potoku) między posiadłościami
2. **wola** — tu w znaczeniu swobody, zwolnienia od świadczeń i danin feudalnych
3. **szatra** — tutaj: płótno rozpięte nad wozem
4. **Widoczny brak** jakiejś części zdania w tekści: pierwodruku powieści, wskutek czego sens niejasny; może „posługiwać byli zmuszeni”.
5. **Nałęcz i Zarębowie** — dwa rody możnowładcze z Wielkopolski, które uknuły spisek wraz z margrabiami brandenburskimi przeciw Przemysławowi Drugiemu, królowi polskiemu, mordując go w Rogoźnie w r. 1296. Opinia szlachecka ostro potępiła zdradziecki czyn tych rodów. Patrz przypis 8 tom pierwszy.
6. **do Bochni mu spieszyło** — forma bez „się” w tekście pierwodruku
7. **becherek** (z niem.) — pucharek
8. **tyń** — ogrodzenie z gałęzi lub żerdzi względnie łąt, umocowanych poziomo do pali; płot
9. **Tak w pierwodruku.** Z sensu zdania wynika, że brak tu przeczenia „nie”.
10. **grawamina** (z łac.) — skargi, zażalenia
11. **W zamian za odstąpienie wsi biskupiej** Kamienica pod miasto Sącz otrzymał Muskata od króla Wacława Drugiego miasto Biecz w Małopolsce wraz z okolicą. Za udział w buncie wójta Alberta Łokietek odebrał Biecz biskupowi i włączył do dóbr królewskich, choć Muskata starał się oddać miasto opatowi tyńskiemu jako stronnikowi króla. Patrz przypis 9 do tomu pierwszego.
12. **Sądca** — forma dopełniacza liczby pojedynczej, utworzona od mianownika Sądecz. Jest to pierwotne brzmienie nazwy miasta.
13. **na wysadki** — wyraz o wielu znaczeniach w starej polszczyźnie. Nazywano tak również rozsądą (np. młodych warzyw). Płotki miejskie ulegały w szynku Szeluty rozsądzie, tj. wychodziły wyolbrzymione i rozszerzały się.
14. **nie unikał od niego** — forma w dawniejszej polszczyźnie używana, dziś: nie unikał go

15. **gwiazdochwalca** — czciciel gwiazd; Kraszewski kilkakrotnie wkłada ten wyraz w usta Żydów, postaci powieściowych, na oznaczenie chrześcijan

16. **W roku 1285** Niemcy, mieszczenie krakowscy, obronili zamek krakowski na prośbę księcia Leszka Czarnego przed wojskami Konrada, księcia mazowieckiego i czerskiego, a pretendenta do tronu krakowskiego. Kiedy Konrad zajęty był obleganiem zamku, Leszek Czarny nadciągnął z pomocą węgierską i pobił Konrada pod Bogucicami. Za wierność otrzymali mieszczenie od Leszka szereg przywilejów.

17. **wysiano za nimi** — tak istotnie w tekście pierwodruku. Sens powiedzenia niejasny. Chodzi zapewne o małe znaczenie opozycji mieszczańskiej przeciw Albertowi i lekceważenie jej przez wójta.

18. **roztruchacz** — handlarz końmi lub misiarz, czyli człowiek, który się trudni trzebieniem zwierząt domowych

19. **że się do niego dowiadywano** — tak istotnie w tekście pierwodruku. Forma nie notowana, zatem przypuszczalnie omyłka. Ma być: że się o niego dowiadywano.

20. **in flagranti** (łac.) — na gorącym uczynku

21. **kostera** — gracz w karty i kości, szuler

22. **Bolesław, książę opolski**, zajął istotnie Kraków, jak Kraszewski opisuje w dalszej części utworu. Stało się to jednak najpewniej nie na początku buntu Alberta, ale dopiero w roku 1312. Bolesław nie działał też z własnej inicjatywy, jak to utrzymuje autor powieści, ale właśnie z ramienia króla czeskiego Jana Luksemburczyka, w charakterze jego starosty. Patrz przypis 28 do tomu pierwszego i Posłowie.

23. **Jan Luksemburski** — król czeski (1310—1346), tytułował się królem polskim i zgłaszał pretensje do korony polskiej aż do roku 1335. Zapamiętały wróg państwa Łokietkowego i Kazimierza Wielkiego, popierał Krzyżaków, a sam kilkakrotnie najeżdżał ziemie polskie.

24. **odlać** — tu użyte w staropolskim znaczeniu: ocucić (wodą)

25. **lice** — rzeczowy dowód winy

26. **mecha** — miód do picia

27. **na niezabudź** (z rus.) — w upominku, na pamiątkę

28. **kursor** (z łac.) — posłaniec

29. **circulator** (z łac.) — oznacza posłańca, sługę w urzędzie

30. **nie chciał się z nim zadzierać** — tak w pierwodruku; jest to forma notowana w staropolszczyźnie

31. **krucyfer** — ksiądz niosący krzyż przed orszakiem biskupa

32. **szczyt** — tarcza, puklerz; na tarczach umieszczone były herbowe znaki rodowe, według których ustawiali się na Rynku członkowie rodów

33. **roztruchan** — wielki, bogato zdobiony kielich

34. **Tak podaje dokument historyczny**, zwany „Rocznikiem Krasieńskich”.

Hd.